

VIGDIS HJORTH

GDYBY TYLKO

WSPÓLCZESNA POWIEŚĆ SKANDYNAWSKA

LITERATURA
PÓŁNOCY

GDYBY TYLKO

VIGDIS HJORTH

przełożyła Katarzyna Mosek

1

Dawno, dawno temu, gdy miałam dziewiętnaście lat, siedziałam na dworcu kolejowym za granicą. Byłam taka samotna, taka nieszczęśliwa. Pamiętam, że pytałam sama siebie: Co ze mną będzie. Jak się będą czuła, co się ze mną stanie za dwadzieścia lat.

Kurtyna idzie w górę i oto ja!

W dworcowej kawiarni, tak samo jak wtedy, dwadzieścia lat później, tak, oto ja!

Piszę w notatniku, unoszę kieliszek. Tajemne sygnały dla samej siebie sprzed dwudziestu lat. Odchylam się i uśmiecham ostrożnie, zachowuję się, jakby mnie obserwowała.

Wyobrażam ją sobie, jak tam siedziała, samotna, nieszczęśliwa, wystraszona. Próbuję przywołać ją w sobie do życia. Wezwać ją, zawołać i pocieszyć.

To, co wówczas wydawało się żalosne, teraz już takie nie jest. Ból, który wtedy czuła, którego się wstydziła, chociaż nie powinna, ja się go teraz nie wstydzę, traktuję go poważnie, znając już sekret nieszczęśliwej dziewczyny.

Pamiętam zapach dworca, kawiarnię. Pamiętam wypowiedziane słowa, które ją tak zawstydziły. Były głupie, zbyt głupie, by ona, ja, mogła traktować poważnie ból, który

spowodowały. Bolało, ale wstydziłam się bólu, załamalam się pod ciężarem własnego bólu. Biedna, biedna.

Dlaczego mnie wtedy z tobą nie było? Dlaczego nie mogłam do ciebie wtedy podejść, usiąść obok, dotknąć cię i pocieszyć?

Ja, twoje urzeczywistnienie, byłam oddalona o wiele lat. Na dworcu kolejowym, spóźniona o dwadzieścia lat.

2

Stosunkowo młoda kobieta, trzydzieści lat. Wyszła za mąż mając dwadzieścia kilka, dwoje dzieci. Píše dramaty do radia i redaguje magazyn poświęcony dramatopisarstwu. Jest zima. Styczeń, czternaście stopni poniżej zera, biała, zimna mgła otacza zaparkowany samochód, świerki, skrzynekę na listy na słupie, ale na górze niebo jest niebieskie, przejrzyste, dni robią się dłuższe. W pamiętniku zapisała, że czeka na smutek, który sprawi, że stanie się sobą. Że wyczuwa albo go, albo śmierć.

Dzieci są w szkole i w przedszkolu. Jak tu cicho, kiedy nie pisze. Wstaje i zaczyna się krzątać. W gazecie młody dramaturg zaatakował starszego, starsi zaczęli go bronić. Będą o tym dyskutować na seminarium, została zaproszona do udziału. Luty, z dachów kapie woda. Wie, co powiedzieć, nie o to chodzi, taka jest niespokojna. Jest wiosna.

Ludzie z radia są na seminarium. Ów młody, gniewny dramaturg ma przemawiać jako pierwszy. Mówi, że nie czuje już gniewu. Być może dlatego, że jego ostatnia sztuka zebrała dobre recenzje. Być może dlatego, że ostatnio była ładna pogoda.

Jest marzec, wkrótce wiosna. W każdym razie

on nie czuje już gniewu.

Czy ktoś chciałby to skomentować? Reporter z radia chodzi od jednego uczestnika do drugiego. Ale co mają powiedzieć; skoro młody człowiek nie czuje już gniewu, nie ma o czym dyskutować. Nie ma czemu się sprzeciwiać, nie ma czego bronić. Tylko ostatni uczestnik, niski, ogolony na łyso mężczyzna siedzący najniżej po lewej stronie, tłumacz Brechta, Arnold Busk, ma coś do powiedzenia. Mówi, że kompletnie się nie zgadza.

Nie zgadza się? Sala nadstawia uszu, reporter biegnie w jego kierunku.

– Pogoda nie była ostatnio ładna. Nie w Trondheim, gdzie mieszka Arnold Busk.

Wieczorem piją. Arnold Busk próbuje dotknąć dłoni jakiejś kobiety, ona z przestachem cofa rękę. Jest otwarty, myśli Ida. Ktoś idzie spać, ktoś zostaje. Na koniec gromadzą się przy jednym, jedynym małym stoliku. Nie ma dość krzeseł. Ida przysiadła na poręczu jego fotela. Niektórzy mieszkają w pawilonie sto metrów od głównego budynku i muszą mieć własny klucz, żeby wejść, decydują się więc wracać wszyscy razem. Gdy wstają, żeby wyjść, gdy on wstaje, żeby wyjść, Ida mówi: – Nie musisz iść, możesz spać u mnie. Wtedy on siada z powrotem. Kiedy później spotkanie się kończy, on idzie za nią po schodach.

Wziął mnie na poważnie, myśli ona. Jest chudy, w jednym uchu nosi diament, może jest gejem, najwyżej prześpi się u niej na waleta. Ona rozbiera się i kładzie. On rozbiera się, nalewa sobie szklankę wody w łazience, kładzie się z głową po tej samej stronie co ona, zdejmuje soczewki i wkłada je do szklanki z wodą.

– Żebyś tego nie wypła – mówi.

Ona gasi światło. On obejmuje ją, jakby mieli się kochać. Próbują się kochać, ale zanim on dojdzie, zaczyna świtać.

– Nie jesteś mężatką? – pyta.

– Jestem.

– Ja też mam żonę.

– Myślałam, że jesteś homo – przyznaje się ona.

– Mam trzyletniego syna – odpowiada urażony.

Rano ona ma przemawiać jako pierwsza, więc wstaje. Ciało jest dziwnie lekkie. Stojąc w łazience zastanawia się, czy kiedy wyjdzie, on dalej tam będzie; jest, cieszy ją to, on stoi nago na podłodze, od pachy do ramienia biegnie blizna.

– Co to jest?

– Szrama. Nie bez powodu mówią na mnie Scar-nold.

Ona myśli: Mówił to już wiele razy.

Wychodzą z pokoju i schodzą na dół. Ona idzie

jeszcze niżej, do sali konferencyjnej, on skręca w lewo, pewnie po to, żeby nikt nie widział ich razem. Siedzi tam, gdy ona przemawia, potem znika, ale wraca po następnym wykładzie, przebrany w świeżą koszulę. Młody mężczyzna opowiada o pisaniu ciałem, pisaniu płcią. Arnold Busk unosi bladą rękę i prosi o głos. Wstaje i stoi z zaciśniętymi wargami. Czeką, aż zapadnie cisza, aż wszyscy zaczną na niego patrzeć, czeka zbyt długo i wreszcie zaczyna mówić, mówi zbyt cicho, tak że wszyscy muszą się skupić, żeby zrozumieć jego słowa, jakby nie chciało mu się podnosić głosu, jakby nie było warto, jakby nudziło go to wszystko.

– W czasie... – mówi powoli – ...tego seminarium potwierdziło się coś, co podejrzewałem od dawna. Norwescy dramaturgowie mówią lepiej, niż my i oni sami przypuszczali. W przeciwieństwie do mnie i moich kolegów, którzy uważają pisanie za wysiłek, którzy walczą z językiem każdego dnia, oni twierdzą, że pisanie sprawia im przyjemność. Nie dość na tym. Teraz dowiedziałem się, że czerpią również z tego seksualną rozkosz.

Ona nie zaznała. Seksualnej rozkoszy. Wtedy, w pokoju. On nie zaznał. Chciał ich rozśmieszyć. Śmieją się. Lekko pochylony, ubrany w świeżą,

jasnożółtą koszulę, zdradza się. Tak wcześniej: niczego nie brakuje.

Później w ten sam dzień, dzień wyjazdu, on schodzi z kolegą na nabrzeże. Ona podbiega do nich i puka go w plecy.

– Muszę z tobą chwilę porozmawiać – mówi.

Kolega kiwa głową i znika.

– Masz kaca? – pyta Arnold.

Nie o to chodzi. Idą razem pięćdziesiąt metrów jedyną drogą wzdłuż nabrzeża, po czym zawracają i idą pięćdziesiąt metrów z powrotem. Na pewno jest od niej z dziesięć lat starszy, ma pozycję, niedługo zostanie profesorem. Ona dopiero zaczyna.

– Mamy przecież rodziny – mówi on. – Nie chodzi tylko o nas.

Nie o to chodzi. Źle ją zrozumiał. To stało się tak po prostu. Niczego nie potrzebuje. To już koniec, uczestnicy seminarium stoją przed hotelem z walizkami i torbami. Ściskają się uprzejmie na pożegnanie i odchodzą każdy w swoją stronę. Żegnają się, podają sobie dłonie, przytulają wszystkich, tylko nie siebie nawzajem. On wraca do Trondheim, jedzie autobusem na lotnisko. Ona pociągiem, do Oslo. Większość ludzi zasypia w pociągu, ale nie Ida. Nie ma wyrzutów sumienia. Robiła to już wcześniej. I tak się

rozwiedzie, ma tę świadomość od dawna. Nie wiedziała, co nadchodzi, co właśnie się zaczęło.

Człowiek może rozpoznać swoją zdolność kochania, zanim spotka ukochaną osobę. Rozpoznać umiejętność odczuwania pożądania, zanim odczuje samo pożądanie. Wiedzieć to już jako dziecko, widzieć możliwość: potrafię mocno pokochać. Jeśli tego kogoś nie poznasz, i tak wiesz coś niecoś o miłości. Duch śpi w kamieniach, drzemie w roślinach. Budzi się w zwierzętach, wkrótce ona zmieni się w zwierzę.

Mąż odbiera ją ze stacji, ona nie ma wyrzutów sumienia, jest dziwnie radosna. Nie myśli o tym przez następne dni. Potem z uniwersytetu w Trondheim przychodzi brunatna koperta, nad logo uczelni widnieje ręczny dopisek: A. Busk. Zbiorek poezji Görana Sonnevi, „Niemożliwe”. Cieszy się. Czyta wiersze, wysyła podziękowanie. Nieraz myślała, nie wtedy, ale później, że poszedł do księgarni i zapytał o ten tomik albo sam wyszukał go na półce, położył na ladzie, zapłacił za niego i wymyślił, co napisać na stronie tytułowej:

„Czy w nowszych czasach pisze się lepszą poezję?

czyż nie czytałem jej
w ciemnościach
cieniach cieni”

– jakby chcąc zasugerować, że nie tylko Sonnevi, ale też nadawca ma poetyczną naturę, że można uważać go za artystę – włożył go do koperty, nad logo uniwersytetu napisał czerwonym długopisem „A. Busk”, znalazł jej adres, prawdopodobnie dzwoniąc na informację, kupił znaczek, polizał go, wrzucił kopertę do skrzynki, ale tytuł brzmiał „Niemożliwe”, jakby nie powinna robić sobie żadnych nadziei. Miewa obłeśne, erotyczne sny, wyglądają jak w kinie, jakby to nie o nią chodziło, a jednak rozkoszuje się nimi, a po chwili rozkoszy ktoś umiera za to, co zrobiła.

Wprawiam rzeczy w ruch, napisała w dzienniku, a potem po prostu znikam, jakby mnie to nie dotyczyło, jeszcze jestem roztrzęsiona, pewnego dnia zdarzy się coś strasznego.

Trzy dni po wysłaniu podziękowań dostaje list. Cztery ręcznie zapisane strony o niemieckiej dramaturgii, o jego pracy tłumacza, o tym i tamtym, o słońcu, które znika w wodach fiordu, gdy on siedzi na tarasie z kieliszkiem wina i pisze. Żona wyjechała. Kjersti wyjechała, pisze. Odpowiada mu, nie tak obszernie. Jest od niej starszy, jest pracownikiem naukowym o ugruntowanej pozycji. Zajmuje się krytyką współczesnego dramatu. Ona taki pisze, właśnie

zaczęła. Trochę się go boi. Pisze o tym. Wspomina o różnicy wieku. Nie wdaje się w żadne dyskusje o Goethem i Schopenhauerze.

Nadchodzi Wielkanoc. Wyjeżdża w góry z rodziną. Spaceruje nad wodą w ciemności, pogrążona w rozmyślaniach. Wygląda przez hotelowe okno i patrzy na swojego męża. Stoi na dole i rozmawia z jakąś kobietą, to nie do zniesienia, teraz go traci, on dostrzega, że ona go nie kocha i oddala się od niej. Musi się rozwieść, zanim do tego dojdzie, zanim on ją zostawi. Wspina się samotnie na lodowiec, w mroku, spogląda w stronę oświetlonego hotelu. Gdzie są dzieci? Z ojcem. Jest z nimi na dole. Rozmawia z matkami, które stoją na dole ze swoimi dziećmi. Ciało ciepłe, powietrze chłodne, góry zimne, jej oddech to jedyny słyszalny dźwięk. Jeden, drugi mroczny cień, po śladach innych kieruje się z powrotem do hotelu, idzie powoli, żeby dłużej to trwało. Zanim zacznie się jedzenie, dzieci, muzyka, goście. Pomaga tylko wino, tylko wino działa. Wdychać ciemność, pochylić się nad swoimi myślami. Co ze mną będzie? Co on teraz robi? Stoi w recepcji z kryształkami szronu na wakacyjnym zaroście, ciemny, rozmawia z innymi kobietami, którego go doceniają, które uważają go za sympatycznego. Uśmiechają się: ja będę dla ciebie

miła. Moje objęcia są ciepłe. Dam ci to, czego nie daje ci ona, wszyscy widzą, że nie daje ci tego, czego potrzebujesz i za czym tęsknisz. Ona oddala się i przygotowuje się do porażki, to się właśnie dzieje. Ćwiczy się w traceniu go, żeby wiedzieć, co robi, żeby później nie zaskoczyło jej nic niespodziewanego. Będzie tak: Tracisz go, chce całować inną kobietę. Skierować swoją energię, swoją pozytywną, ogromną energię na inną kobietę. Wyobraża sobie, że ją zdradza, co za paskudne uczucie. Ale kiedy on rozmawia o pogodzie, o jedzeniu, konwersuje z obcymi, to nie do zniesienia, musi odejść. Jego słowa są nie do zniesienia, one są najgorsze, on taki już jest. W domu, w skrzynce czeka list od A. Buska, to ona przynosi korespondencję i ją przegląda. Przeczytał artykuł napisany do „Tidsskrift”, które redaguje, i w Wielkanoc dyskutował o nim z teściową. Píše, że teściowa jest bibliotekarką. Teściowa jest z nim. On także i teraz siedzi z kieliszkiem wina i patrzy, jak słońce chowa się w morzu. Kjersti wyjechała także i tym razem. Kjersti nie ma. Wspomina o wieku, bo ona o nim wspomniała. Píše, że Kjersti ma dwadzieścia pięć lat. On sam ma trzydzieści dziewięć, dziwnie się o tym myśli teraz, gdy jest starsza niż on był, kiedy się poznali. Trzydzieści dziewięć lat i słyszy szum

nadpływających lat, pisze, to piękne. Czy to możliwe, dodaje na końcu, czy niemożliwe, by kiedyś we dwoje, razem patrzyli jak słońce zachodzi nad morzem?

Czyta list pod lasem, w świetle latarki. Chowa go tam, gdzie trzyma inne listy od niego, w kopercie za książkami, na regale w pokoju do pracy. Odpowiada, krócej niż on, ale dłużej niż ostatnio. Jest kwiecień. To możliwe, odpowiada. On odpisuje, wybiera się do Oslo pod koniec maja, dwudziestego piątego, będzie zasiadał w komisji egzaminacyjnej z niemieckiego i pyta o spotkanie.

Czy był siedemnasty maja tamtego roku. Czy ubrała dzieci i zabrała je na pochód. Zjadła odświętny obiad z rodziną, czy może poszła z dziećmi do szkoły i wzięła udział w biegu z kartoflem na łyżce? Możemy się spotkać, odpisuje, gdy zbliża się czas, możemy się spotkać „jakby nigdy nic”. Nie otrzymuje odpowiedzi i robi się niespokojna, już to zniszczyła, zanim jeszcze się zaczęło, czyżby to zniszczyła? Dni płyną, zbliża się czas, a on nie daje znaku życia. Nie uważa, żeby był przystojny, nie może nazwać tego, co przydarzyło się podczas seminarium, miłością. Dlaczego jej ciało przepęlnia drżące oczekiwanie, dlaczego chce jej się płakać. Pisze do niego, że mogą się spotkać „jakby zawsze wszystko”, „jakby

zawsze wszystko”. Czeką na odpowiedź przez cztery dni, cztery smutne, szarpiące nerwy dni, po czym dostają dwa listy. Jeden jest odpowiedzią na pierwszy, a drugi – na kolejny, ale widzi, że oba zostały napisane po otrzymaniu drugiego, w którym napisał, żeby spotkali się „jakby zawsze wszystko”. Mogą zrobić to jakby nigdy nic, pisze on w pierwszym liście i sprawdzić, czy usłyszą dzwonki nicości. Mogą zrobić to też „jakby zawsze wszystko”, pisze w drugim liście, podając numer, pod który może zadzwonić do jego biura. Zapisuje go tam, gdzie nikt nie zobaczy. On pisze, żeby zadzwoniła we wtorek, między drugą a trzecią. W noc poprzedzającą wtorek nie może spać. Zadzwoni równo o wpół do trzeciej. Siedzi u przyjaciółki, poszła z dziećmi do przyjaciółki, żeby zabić czas. Ich dzieci bawią się razem w ogrodzie, one siedzą na dworze pod drzewami i piją kawę. Trzeba mieć coś do roboty, rozmawiać z kimś o różnych sprawach.

– Mogę skorzystać z telefonu?

Wchodzi w półmrok domu, ręce jej się trzęsą.

– Hej – mówi on, czekał na nią.

Ona mówi, żeby wybrał czas i miejsce. Jej jest wszystko jedno.

On opowiada, co ma do zrobienia i o której mniej więcej powinien skończyć. Może

w restauracji Herregårdskroa, w czwartek o szóstej, czy jej to pasuje. Pasuje.

– Cieszę się – mówi.

Ciesz się. Powinna odpowiedzieć: ja również, ale nie może wykrztusić tych słów. On się cieszy. Mówi to tak po prostu. Mężczyzna. Ciesz się. Wychodzi do ogródka. Nigdy nie czuła się tak wcześniej, teraz jest zakochana. Czy widzicie, że jestem zupełnie odmieniona? Widzicie, że jestem zakochana? Czy mamusia wygląda dziwnie?

– Nie.

– Czy mama wygląda tak samo, jak zwykle?

Dzieci mierzą wzrokiem jej twarz. – Uderzyłaś się?

– Nie. Gdzie?

– Tu – mówi dziecko i dotyka ją palcem nad okiem.

Ona zjawia się na miejscu pierwsza. Siedzi na murku i czeka. Chudy mężczyzna w jasnożółtej koszulce, czarnych dżinsach i z czarną marynarką przewieszoną przez ramię. Tak więc wygląda. Błady, bezwłosy. Witają się. Nie jest w jej typie. Piją piwo. Rozmawiają o związkach, o przeszłości, był dwukrotnie żonaty. Jest ciepło. Jest jasno. On jest chudy.

Idą coś zjeść. Znajdują restaurację. Przeczytał wywiad z nią w nowym numerze „Tidsskrift”,

zabawny wywiad. Mówi, że trochę się wystraszył. Ona to rozumie. Udaje, że tak nie jest, ale rozumie, wie. On już się nie boi, teraz to ona drży. Nagle gładzi ją po policzku, ona odwraca się zaskoczona, on uśmiecha się, dźwięczą dzwonki nicości.

W Oslo jest wiosna. Zapłacili, wyszli. Ona się nie żegna. Nie mówi, że czas iść do domu. Wspomina, że w hotelu ma butelkę wina, ona nie odmawia.

Otworzył wino i wypił kieliszek, zanim wyszła z łazienki. Teraz napełnia dwa kieliszki i stawia jeden na stole obok niej. – Żebyś tego nie wypła – mówi i uśmiecha się, ma jej to przypomnieć jego słowa z pierwszego razu podczas seminarium, gdy włożył swoje soczewki kontaktowe do szklanki z wodą. Ona uśmiecha się i pije, a on siada obok niej na kanapie, znowu gładzi ją po policzku i całuje. Rozbierają się i kochają. On dochodzi. Zsuwa się z niej i uśmiecha się: – Nie dam już rady więcej – mówi. Wypijają więcej wina. Raz nazywa ją Kjersti, ale to nic nie szkodzi. Śmieje się i mówi: – Nie powinno się tak robić, prawda? Wypytuje o jej męża, o małżeństwo, ona odpowiada szczerze. Niedługo się rozwiedzie. On ze swej strony mówi: – Nie zniosę kolejnego rozstania.

Może śpią i się budzą, a może nie zasypiają w ogóle. Ona ma spotkanie w radiu wcześniej rano. W domu powiedziała, że nocuje u przyjaciółki. Spod kołdry wystaje tylko jego głowa, otwiera zaspane oczy, gdy ona go całuje. Jest taki obcy. Umawiają się, że zadzwoni do niego po południu, to jego ostatni dzień w Oslo. Następnego dnia rano wyjeżdża, wieczorem zje kolację u przyjaciela, u którego będzie też nocował.

– To nieuczciwe – mówi on z powagą.

Ona uśmiecha się, nie ma obaw. Nie idzie, tylko biegnie przez miasto.

Dzwoni do hotelu wczesnym popołudniem, tak jak się umówili, ale jego nie ma. Obsługa twierdzi, że jest w pokoju, ale nikt nie odbiera, nie podnosi słuchawki. Ona wydzwania, coraz bardziej histerycznie. Rozumie: on nie jest w stanie. Dokładnie tak: on nie jest w stanie. Wydzwania przez godzinę, teraz już nigdy go nie zobaczy. Wyjmuje listy od niego i drze je na kawałki, prawie trzydzieści stron, w tak maleńkie drobiny, że nie da się ich z powrotem posklejać, wrzuca je do koperty i pisze na niej jego nazwisko, żeby mu je odesłać. Patrz, co robię z listami, z miłością. Bo nie odbierasz telefonu. Nie dzwoni już więcej, poddała się, tak należy postąpić, musi się poddać, milczeć. On dzwoni po kwadransie. Głos ma

przyjazny, ona już się nie gniewa. Telefon musiał się zepsuć, mówi on. Kłamie.

– Ależ się wścieklam. Myślałam, że taki z ciebie typowy facet, tchórzliwy, że się przestraszyłeś.

On odpowiada, że przestraszył się, gdy usłyszał o jej małżeństwie, o planowanym rozwodzie. Mówi, że jest tylko jednym z pionków w tej grze. Że nie zniesie kolejnego rozstania. Tak, boi się. Umawiają się na spotkanie za zaledwie dwie godziny. Zanim pójdzie do swojego starego znajomego i jego żony, zje z nimi kolację i zostanie na noc, jak ustalili to już dawno temu. W Herregårdskroa, jak ostatnio. Ona stoi przy murku i czeka. On przychodzi w czarnych dżinsach, czarnej koszulce, czarnej marynarce, z czarną teczką, w czarnych okularach przeciwsłonecznych, jest w jej typie. Ona ma w torbie kopertę z podartymi listami, nie chce mu jej wręczyć. Przytulają się, on mówi jej, że jest piękna. Wypijają na spółkę butelkę wina i idą przez park na postój taksówek, a między drzewami, gdzie nikt ich nie widzi, on przyciska ją do siebie.

– Tęskniłem za tobą – mówi.

Tęskniłem za tobą, powiedział. Jadą jedną taksówką, najpierw tam, gdzie chce ona; umówiła

się, żeby nie wracać do domu, żeby móc dalej pić. Gdy samochód zatrzymuje się przed domem, całują się. Prędko, ponieważ jest z nimi kierowca, ponieważ on musi jechać dalej, a zrobiło się już późno. Ona wchodzi do ogródka przyjaciółki, alez to boli, już po czterech krokach, już po pierwszym. Pije, rozmawia, nic nie pomaga, chodzi w kółko po salonie, przerażona tęsknotą tak intensywną, że czuje się poparzona. Muszę mu powiedzieć, że go kocham. Kocham go. Znajduje numer jego przyjaciela, dzwoni i pyta o niego, chcąc mu powiedzieć, że go kocha. Jakaś kobieta odbiera telefon, to żona przyjaciela.

– Czy mogłabym rozmawiać z Arnoldem Buskiem?

Podchodzi. Jest powściągliwy. Siedzi u przyjaciół, którzy znają jego żonę i mogą zacząć coś podejrzewać. Czy ona jest takim typem kobiety, która może stwarzać problemy, która nie umie nad sobą panować?

– Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że cię kocham.

Aha. To wspaniale. Pa. Pa. On nie wie, że ona po raz pierwszy wypowiada to słowo: kocham. Po odłożeniu słuchawki jest gorzej, nie do zniesienia. Wyrzuci te listy, pije, żeby się upić i móc wyrzucić podarte listy do miejskiego kosza na śmieci w drodze do domu.

Nieco później w tej historii, kiedy była zła, zdenerwowana, jak często w pierwszym roku ich znajomości, poprosiła go, żeby wyrzucił listy od niej. Chciała być złośliwa i pomyślała, że to najgorsza rzecz, o którą może go prosić, ponieważ sądziła, że listy od niej znaczą dla niego tyle samo, co dla niej listy od niego, że są nie do zastąpienia. Żałowała, że wyrzuciła swoje. Gdyby nie alkohol, nigdy by tego nie zrobiła, najpierw wypięła na odwagę, coś w niej chciało zniszczyć wszystko, zanim jeszcze się zaczęło, jakby przewidywała, ile to będzie ją kosztować. Poprosiła go, żeby wyrzucił listy, ale nie sądziła, że to zrobi. Trzymał je w biurze. Był trzeźwy, kiedy tam poszedł, ale nie chciał wyrzucać ich na trzeźwo. Jakiś czas potem, gdy zostali już parą, zapytała go, czy je wówczas wyrzucił. Odpowiedział, że tak.

– Poprosiłaś mnie o to przecież.

Wyrzucił najdroższe świadectwa ich wyjątkowej historii i przyznał się do tego bez zażenowania. Nie był tam, gdzie była ona. Może nigdy nie byli w tym samym miejscu równocześnie.

Gdzie były dzieci. Czy je nakarmiła. Czy zaprowadziła je do przedszkola. Czy chodziła na zebrania rodzicielskie. Nie mogła sobie przypomnieć, w pamięci miała tylko jedno imię.

Nosiła albo wozila dzieci, powtarzając w myślach tylko jedno imię. W lesie, nad wodą, idąc boso po pylistej drodze, myślała o jednym imieniu. Leżała na trawie i spoglądała w niebo, gdy maluchy czołgały się dookoła i po niej, myśląc o jednym, jedynym imieniu. Na zakończeniu roku szkolnego w sali gimnastycznej dzieci stały na małej scenie i śpiewały. W ogródku rosła pietruszka mała. Zieloną spódniczkę i czuprynę miała. Jej mały synek na samym przedzie, po lewej stronie, ze sterczącymi włosami i wielkimi, przestraszonymi oczami. Może przyjdiesz w tym roku na bal. Taka jest poruszona. Mąż otacza ją ramieniem. Cały czas to jedno imię. Wszystko, co widzi, wszystko, co słyszy, także jej własne ukochane, wystraszone dziecko – sprawia, że myśli o nim, o Arnoldzie, z niesłychaną czułością, jakby to on był tym potrzebującym, zalęknionym, poddanym, jakby to on był dzieckiem. Pragnienie, by go przytulić i przycisnąć do siebie, nosić, i pocieszać, i kochać, jest prawie nie do zniesienia. Ponieważ nie znajduje dla tego pragnienia żadnego ujścia. Czy całe lato upłynie w ten sposób, czy tak będzie się czuła przez całe lato?

On pisze do niej wieczorem, po jej telefonie z wyznaniem miłości, kiedy użyła tego słowa po raz pierwszy. Gdy gospodarze poszli już spać, a on

został sam w pokoju gościnnym, pożałował nieprzyjaznego tonu, który pojawił się wraz z lękiem. Okno otwarte na noc, wyobraża sobie ona, kwitnące drzewa owocowe i gwiazdy. Tęskni za nią. Myśli o niej. List leży w skrzynce i zmienia nieznośną, wyniszczającą tęsknotę w mdlącą radość, która trwa dzień albo dwa, po czym powoli przechodzi w niepokój. Odpisuje szybko, żeby on zdążył odpowiedzieć, zanim niepokój powróci. Po raz kolejny powtarza napisane przez siebie zdania zmywając, robiąc sok, smarując masłem chleb. Trzy dni i niepokój znowu się pojawia, narasta wieczorem, ale rano nadzieja wraca razem ze światłem dnia i podtrzymuje ją, dopóki nie nadejdzie poczta, nie ma listu, nie śpi więc w nocy, popłakuje bez powodu, odwraca się plecami, wysuwa się z objęć, nie może odpocząć w obecności nikogo innego niż on, w jego głosie albo piśmie. Na kratkowanej kartce wyrwanej z notatnika napisał w pośpiechu, że wyjeżdżają, Kjersti, Berthold i on, w tej kolejności, na wakacje do Nøtteroy, „tak że będziemy bliżej siebie niż zwykle” i dodał kilka wersów z wiersza Paala Brekke, którego ona nie może sobie przypomnieć, nigdy nie znalazła go w wierszach zebranych. Mógł ukoić niepokój, ale tego nie zrobił. Mógł napisać: widzimy się w sierpniu, ale tego nie robi, nigdy nie przyrzeka,

z zasady, niczego, wtedy nie jest winien. Jest daleko, być może nigdy więcej go nie zobaczy. Píše do niego smutny, pełen oskarżeń list, nie może się powstrzymać.

Lato w rozkwicie, wszystko ocieka, wszystko zastyga, słońce zawisa na niebie. Ona przyzwyczajają się do niepokoju, który zmienia się w pożądanie, ciężkie, otępiające pożądanie, nadające jej krokom nowy rytm. Nie je z pożądania, pachnie tym pożądaniem, tak że mężczyźni i psy odwracają się za nią na ulicy. Mąż zbliża się ostrożnie i pod osłoną ciemności. W świetle dnia patrzy na nią z lękiem. *On* nie przychodzi. Nie dlatego, że jej nie kocha, ale dlatego, że nie może. Ponieważ ma zobowiązania, żonę i dzieci, które są od niego zależne. Ponieważ boi się, że związek z Idą spowoduje więcej bólu niż szczęścia, tak jak to zawsze jest z wielką miłością. Wielka miłość znika, a mała zostaje, tak jest napisane w książkach, które czytał. Ponieważ jego miłość jest zbyt wielka, a nie zbyt mała, nie została zdradzona, tłumaczy sama sobie. Widzi to, rozumie to. Posiadła jego miłość i to czyni różnicę. Jest otoczona miłością, chociaż nie widziała go i nie słyszała przez całe lato, zachowuje się jak kobieta kochana. Jest darzona miłością przez ukochanego i promieniuje nią. Ponieważ jest

kochana tak mocno, może dawać miłość, jej oznaki, myśli, mówi i oddycha seksem, chodzi otoczona jego miłością, kołysząc biodrami, wita szczupłych mężczyzn bez włosów szczególnym krokiem i uważnym spojrzeniem, siada możliwie blisko nich, patrzy im w oczy bez mrugnięcia, próbuje wdychać ich zapach. Oni odwzajemniają uśmiech, wpatrują się w nią, stawiają jej drinki, dostaje je do stolika, gdy siedzi sama, ale rzadko się to zdarza, są wakacje, podróżuje z mężem i dziećmi. Nie dostrzega nikogo poza nim, widzi go we wszystkich mężczyznach, a ponieważ nie jest dostępny, by mogła go wypytać, wypytuje innych. Ponieważ nie może do niego napisać, pisze do innych. Siada na kamieniach w lesie i pisze, ponieważ nie może odwzajemnić jego miłości inaczej niż w myślach, odwzajemnia ją poprzez innych, własnego męża, innych mężczyzn, szepcze zebrane słowa w inne uszy z taką namiętnością, że policzki mężczyzn czerwienieją, niektórzy szepczą w odpowiedzi słowa, które przygotowywali od dawna, przeznaczone dla innych kobiet, przyciskają się do niej, tyle jest nieszczęśliwej miłości, nieszczęśliwych ludzi, którzy tęsknią, którzy nigdy nie dostaną tej drugiej osoby, tylu kocha w ukryciu.

– Jaki ty piękny – mówi ona.

– Jaki ty silny – mówi, nieliczni słyszeli, że są piękni, są silni, ona wędruje spełniona przez lotniska, jedzie ruchomymi schodami, wsiada do tramwajów, spaceruje ulicami.

Gdyby tak było dalej. Gdyby ten stan mógł ulec zamrożeniu i trwać, gdyby mogła przejść przez życie wypełniona jego urojoną miłością, a potem go spotkać, po dwudziestu latach. Spotkałaby swego ukochanego z żoną i dzieckiem, które w międzyczasie dorosło. Zatrzymaliby się na chwilę, niepewni, czy dobrze pamiętają. Szczególnie on nie miałby pewności, czy Ida to Ida, ale jeszcze mniej pewności, czy on sam to on sam. A ona czułaby, jak to znika. Zniknęłoby pod jego przeciągłym spojrzeniem, gdy usłyszałaby ich rozmowę, widziałaby, jak zwraca się do swojej żony, do swojego syna, wtedy to by zniknęło i musiałyby odejść, machając tylko na pożegnanie, odwrócić się i odejść, i wszystko zacząć od nowa.

W domu musi czekać list od niego, przeczyta go po powrocie. Kocha ją, nie ma innej możliwości. Pytanie brzmi tylko, czy podola, czy jest wystarczająco silny. Nigdy wcześniej nie był tak kochany, to niemożliwe, to pierwszy i ostatni raz. Gdyby tylko mógł w to uwierzyć. Musi poczuć się bezpiecznie, ona musi zapewnić mu bezpieczeństwo, być może on nigdy się nie odważy.

W domu czeka na nią list, to ona przynosi i sortuje pocztę. Jest długi, bardziej stonowany; kiedy ona nad sobą nie panuje, on jest opanowany i uderza w ojcowski ton, jakby nie był zakochany, jakby tylko ona była zakochana, jakby to nie było nic szczególnego, jakby przywykł, że kobiety wokół niego się w nim zakochują. Pisze, że nie ma powodów, by go oskarżać. Nigdy jej niczego nie obiecywał. Wspomina o żonie, wspomina o dziecku. A jednak myślałem o tobie każdego dnia tego lata, pisze. Odsuwa i przyciąga z powrotem. Jakby to był zaszczyt, jakby powinna być wdzięczna. Myślał o niej każdego dnia? Myślałeś o mnie przez cały czas, w każdej sekundzie, także nocą, przyznaj to po prostu, bo jeśli się nie odważysz, nigdy nam się nie uda.

Spotykają się dwa razy jesienią. On ma jakieś sprawy do załatwienia albo zatrzymuje się w hotelu, będąc przejazdem w Oslo. Pisze, że przyjedzie do Oslo, i tyle. To ona musi pytać, proponować, prosić, robi to na własną odpowiedzialność. On pilnuje się, żeby niczego nie przyrzekać, nie prosić, nie planować, być może sam wierzy, że dzieje się to niemal przypadkiem. To ona pisze: Spotkamy się? Ona pisze: Chcę cię zobaczyć! Ona pisze: Przyjdę, powiedz tylko gdzie i kiedy! On odpowiada z opóźnieniem, w ostatniej

chwili, gdzie i kiedy, ale – zawsze jest jakieś ale – pisze, że coś może mu wypaść, pisze, że plany mogą się zmienić, coś może mu nagle wyskoczyć, ostrzega. Ona wie, że przyjedzie, że nie może się powstrzymać, udaje tylko, że jest jakieś ale, dodaje jakieś ale, żeby trzymać ją w napięciu. Zdarza się, że traci nad sobą panowanie i odpowiada mu wielkimi literami: To daj sobie spokój, ty dupku! Zostań w domu, idioto! Wtedy zapada nieznośna cisza, ani słowa, oto kara, ona w desperacji żałuje i boi się, że zniszczyła wszystko na zawsze, i prosi o wybaczenie, i tłumaczy się: Kocham cię! – pisze. Kocham, kocham cię! – pisze. Wybacz mi! – pisze. Błagam, Arnoldzie! – żebrze.

Tak musi być. Dzień nadchodzi, nadchodzi czas i oto zjawia się on. Nie gniewaj się! Nie miej wymagań! Stań na paluszkach! Oto on!

Oto on. Prawdziwy mężczyzna. Ona stoi w szatni w klubie Tostrupkjelleren. Zajrzała przed chwilą do środka, by sprawdzić, czy go tam nie ma, ale nie ma. Chce wyjść, poczekać na zewnątrz, kiedy on schodzi po schodach. Nie widzieli się od ponad trzech miesięcy. Kurtka wisi mu na ramieniu. Ogolona głowa. Nieśmiały wzrok. Ręce w kieszeniach. Teraz je wyjmuje. Błede, wypielęgowane dłonie i oliwkowozielone oczy

otoczone zmarszczkami i fałdami. Kurtkę trzyma na ramieniu. Ona go kocha. Nie wie, co powiedzieć. On nic nie mówi, z tego samego powodu. Ona chce przytulić się do niego, by mieć to za sobą. Przycisnąć się do niego i pogryźć go za te wszystkie razy, gdy była pijana, a on był daleko, za wszystkich mężczyzn, z którymi próbowała być blisko, żeby o nim zapomnieć, za wszystkie nieszczęścia, jakie ze sobą niesie, wgrzyźć się i nie puszczać. Witają się ostrożnym skinieniem głowy. Nie przytulają się, nie uśmiechają. Wszystko, co między nimi było, chociaż było tego niewiele, ale zawsze, wszystko zniknęło, za każdym razem muszą zaczynać od nowa. On pije piwo, ona nie pije, bo prowadzi, nietrudno jest być trzeźwą, jest przepełniona. Po piwie on zaczyna opowiadać o nieistotnych rzeczach, jak tak można. O seminarium, na które się wybiera, o innych uczestnikach. Wychodzą w jesienną ciemność. Pada deszcz. Wiatr wieje tak mocno, że wydyma mu kurtkę, nie zapiął jej, ręce trzyma w kieszeniach. Od tego czasu przez wiele lat będzie czuła bolesny ucisk w piersi na widok jasnej, wydętej wiatrem męskiej kurtki. Idą do hotelu i się Kochają, to takie proste. Dwa albo trzy razy, za każdym kolejnym jest lżej. On pije whisky.

– Czego ci nalać? – pyta.

Niczego jej nie trzeba. Prowadzi samochód, następnego dnia wyjeżdża z mężem do Hiszpanii, w miejsce, gdzie mieszkali, gdy było im razem dobrze, aby może znowu było im razem dobrze. Ucieka od bólu, który nadejdzie później, którego nie potrafi sobie teraz wyobrazić, gdy są razem. On siusia, nie zamykając drzwi łazienki. Siada nago na hotelowym krześle pod lampką i uśmiecha się. Ona wspina mu się na kolana i ujeżdża go jak nikt nigdy, tak jej się wydaje. On ma zniszczony paznokieć u nogi, jak starcy w domu opieki, należałoby obciąć go cążkami. Nie mogą być z mężczyzną, który ma taki paznokieć, myśli z ulgą. Kładą się do łóżka. Uprawiają seks. Rozmawiają, ona upija kilka łyków z jego szklanki. To ona przerywa, jutro ma jechać do Hiszpanii. On wstaje z nią i ubiera się razem z nią. Ona się kąpie. On staje za nią i opiera jej głowę na ramieniu. Ich spojrzenia spotykają się w lustrze. Tak razem wyglądają. Przypominają parę, którą połączyło wspólne nieszczęście. Ona próbuje się uśmiechnąć. Zawsze próbuje się uśmiechać. On odprowadza ją do samochodu. Zagląda przez okno i pyta, co jest w siatce na tylnym siedzeniu. Po co mu to wiedzieć, jaki on bezczelny, jaki podejrzliwy. To para butów.

Zapomniała ich u pewnego mężczyzny i zajrzała do niego po drodze, żeby je zabrać. Całują się. Jutro rano ona wyjeżdża. On musi wrócić samotnie do hotelu. Wyczuwa w pocałunku, że to on chce to przeciągnąć, chociaż są wśród ludzi. Taki paznokieć, nie wolno jej o tym zapominać. Łatwo jest odejść, gdy on nie chce jej puścić. Uśmiechać się, gdy on się nie uśmiecha, powstrzymywać się. Trąbi klaksonem i unosi dłoń na pożegnanie. Żegnaj! Może jeszcze kiedyś się spotkamy! On zostaje w deszczu, na chodniku. Ona odjeżdża do zapachu tymianku, słońca. Ogolona głowa, smutne spojrzenie nieruchomych oczu, samotny powrót do hotelu.

Nie przychodzi jej do głowy, że mógł zadzwonić do innej. Że zna kobiety, do których może dzwonić nocą i zapraszać je do siebie. Żeby nie być sam. Żeby nie czuć tego, co nadchodzi, gdy się rozstają, tego, co może ukoić tylko obecność innej. Takiej, którą zabierze do tego samego łóżka, w którym przed chwilą leżała ona. Nie zniesie kolejnego rozstania i nie pozwala sobie na zakochanie, które doprowadzi do rozstania, chce zapomnieć, szybko, ale jak szybko można zapomnieć, gdy inna kobieta wchodzi do pokoju, łóżka. Zechce zapomnieć czy pamiętać? Czy to zrobił. Co to właściwie teraz za różnica. Czy odczuwał to tak, jak ona to

odczuwała. Czy czuł się tak, jak ona się czuła. Jaka to teraz różnica. Nigdy nie zapytała. Może odpowiedziałby szczerze. A może nie.

W słońcu wszyscy są do niego podobni, szczupli, o oliwkowych oczach i krzywych nosach. Palą Gaulouisy, jak on. Czuje materiał sukienki na nogach, podmuchy wiatru. Czuje ucisk podeszwy buta na stopie. Czuje ramiączka stanika, gumkę majtek w talii, jedno udo na drugim, siedzenie krzesła, stół pod łokciem, szklanekę przy ustach. Czuje, jak księżyc przyciąga wodę, czuje gorące wnętrze ziemi, siłę gwiazd, jest magnetyczna, elektryczna i rozpalona.

Na targu znajduje srebrną figurkę marynarza w starej skrzyneczce zdobionej kamykami. Dwucentymetrowego wzrostu małeńki marynarz w czapce i z chustką na szyi. Kiedy była mała, udawała, że ma brata marynarza, który pomoże jej w potrzebie, to nie przypadek. Przyklei go do pocztówki, napisze coś na niej i mu wyśle. Arnold-marynarz! Spoczywa w jej dłoni. Dłoń schowana w kieszeni sukienki. Kieszeń sukienki łaskocze ją w udo. Wyśle swojego męża w jakiejś sprawie, usiądzie w kawiarni i wypije piwo, i napisze ją w słońcu, usiądzie razem z nim w słońcu. Znajdzie znaczek i kopertę, i wyśle ją przed powrotem męża. W domu jest paździenik. Nikt nie jest tak

szczęśliwy, tak radosny, jak ona. Wieczorem piją wino nad morzem i w milczeniu obserwują statki. Oczy jej błyszczą, widzi je w kieliszku, w wiaderku na wino. Myśli tylko o jednej rzeczy. Kochają się w pokoju hotelowym. Po wszystkim wstaje, żeby otworzyć okno. On stoi przy oknie i sięga ręką do klamki. Sypia z nim w jednym łóżku od prawie dziesięciu lat. Tak więc wygląda. To niewiarygodne, jest za duży. Ma zbyt wiele włosów. Już jest po wszystkim, jakby ucięła to nożyczkami. Mąż wraca i siada obok niej na łóżku, ona odsuwa się, by nie siedzieć za blisko. On przysuwa się do niej, pochyla, jakby była jego kobietą, to tak jakby siedziała za blisko kogoś obcego w autobusie. Zupełnie jakby nie miała nic do powiedzenia w tej sprawie, to po prostu się dzieje.

Spotykają się raz tej jesieni. Jest listopad. Pub Gamle Major na Majorstua. Jest trudniej niż wcześniej. Napisała, że zamierza się rozwieść. Ten fakt zawisł nad nimi. Nie jest tak głupia, by nie napisać: To nie ma z tobą nic wspólnego. I tak by do tego doszło. Taka jest prawda. A jednak. Idzie z nim do hotelu. Następnego dnia ma spotkanie w radiu wcześniej rano. Mężowi powiedziała, że wychodzi z przyjaciółką, u której będzie też nocować, żeby rano mieć bliżej na spotkanie. To

nowoczesny, brzydki hotel, mały, brzydki pokój. Nie dzieje się nic godnego uwagi, nie tak, jak ostatnio, ponieważ napisała, że zamierza się rozwieść. Od tego zaczął rozmowę po przyjeździe: spytał, czy podjęła już decyzję. Bo jeśli tak, to koniec. Nie zniesie kolejnego rozstania, jeśli ona się rozwiedzie i będzie chciała czegoś innego, kogoś innego, kto nie jest zonaty. Piją za dużo. Może dlatego nie pamięta za wiele. Mocno straciła na wadze. On wciąż śpi, gdy ona wstaje i ubiera się w ciemnościach. Całuje go prędko w policzek, wychodzi i czuje to, zanim drzwi jeszcze się za nią zamkną, gdy idzie korytarzem, mijają pustą recepcję, brzydki hotel w brzydkim punkcie miasta. Jest późny październik, a może już listopad. Na dworze jest ciemno i pada deszcz, pada bez przerwy. Bierze taksówkę na Marienlyst. On jeszcze śpi, w południe wsiądzie w samolot do Hamburga. Spotkanie, wpół do dziewiątej, na pewno jest jeszcze w pokoju, ona wychodzi, żeby skorzystać z telefonu. W pustym biurze bez drzwi, z ludźmi w pokoju obok, pochyła się i zasłania dłonią usta: – To ja.

– Tak? Mówi krótko, jakby pytając: czego chcesz.

– Śpisz? – pyta ona.

– Już nie – odpowiada on i zapada cisza.

– O co chodzi? – pyta on.

Ogarnia ją strach.

– O nic.

Potem rozłączają się. Ból. Teraz się pojawił.

Nie wysławiają się precyzyjniej, bo nie znajdują jeszcze słów.

– Nie powinnaś się we mnie zakochiwać, będziesz cierpieła.

– Chcę cierpieć!

– Nie znasz mnie. Bywam podły.

– Nie boję się!

– Cięży na mnie klątwa. Muszę krzywdzić kobiety, które się we mnie zakochują. Rozumiesz to? Sprawiam im ból.

– Co masz na myśli, mówiąc o klątwie?

– Sama się przekonasz. Klątwa jest wtedy, gdy nie umie się postępować inaczej.

– Nie umiesz inaczej? Co chcesz przez to powiedzieć?

– Klątwa, mówię przecież, ja nie potrafię przestać.

Wiele czasu zajmuje jej samo dobranie słów, wypowiedzenie ich do samej siebie. Jeszcze więcej wypowiedzenie na głos, do innych, słowa układają się w pytania: Czy myślałeś kiedyś, by... Jak myślisz, co by było, gdyby... Nie da się powiedzieć ich temu, którego dotyczą najbardziej. Wykrzyzczeć

je w gniewie: rozwód. Słowo zawisa więc w domu, w przestrzeni między nimi. Rano on przynosi tacę z kawą, ciepłym mlekiem i gazetą, po czym odwozi dzieci do przedszkola i szkoły, by mogła popracować w spokoju. Wieczorem, gdy dzieci są już w łóżkach, ona siada na podłodze przed jego krzesłem, on bawi się jej włosami. Ona czyta. On ogląda telewizję. Nie ma w nim zła. Można mu zaufać. Żadnych wygłupów. Porządny człowiek. Traktuje ją i wszystko, co do niej należy, z szacunkiem. Należy wyjść za człowieka, z którym można będzie się rozwieść. Takiego, który zajmie się dziećmi przed i po rozstaniu. Zaradnego, przyzwoitego człowieka, który przeżyje i znajdzie sobie nową towarzyszkę życia, który nie wyskoczy z okna ani nie skończy pod mostem, gdy się go porzuci. Nie przeceniaj swojego znaczenia, Ido. On da sobie radę bez ciebie. Co powinna powiedzieć, jak to uzasadnić? Chcę tego, ponieważ? Nie kocham go. Nie kocham cię. Wiedziała to od dawna, bo człowiek może rozpoznać swoją zdolność kochania zanim spotka ukochaną osobę. Ponieważ ty mnie nie kochasz. Ponieważ on jej nie kocha. Ponieważ nie wie, kim ona jest. Ponieważ jej nie widzi. Nie potrafi jej zobaczyć, nie chce i nie ma siły jej zobaczyć. Boi się jej. Nie zniósłby tego. Straciłby równowagę,

przeżyłby wstrząs, a tego nie chce, nie wolno nim wstrząsnąć, co by się wówczas stało?

Uratował ją. Taka jest prawda, on sam o tym nie wie, jest mu za to wdzięczna. Prowadzi ją na świat, na światło dzienne. Poranna kawa i dzieci, którymi trzeba się zająć. Przywiązał ją do ziemi. Dlatego przeżyła. Powiedziała „tak”, żeby przeżyć. Ponieważ się uśmiecha, odnajduje się w życiu, ponieważ nie zadaje pytań. Ponieważ nie rozwija się, jest zrobiony ze zbyt twardego materiału. Żuje, a wewnątrz jej głowy rozlega się trzask. Gdy słyszy jego głos w telefonie, wewnątrz jej głowy rozlega się trzask: Nie, no cudownie! Long time no see. Zawsze. Pewnie, że tak. Wspaniale!

Uderzyć go w pysk, żeby pękł! Czy go zniszczy? Powoli, żeby nie zauważył, przejeżdża go parowym walcem, on tego nie widzi, spycha go na pobocze, a on tego nie widzi. Muszę stąd uciec. Uciec stąd. Córka przyciska się do niej w nocy, dlaczego nie może tego znieść, coś jest nie tak. Czy on idzie w nocy do córki? Kiedy wraca późno do domu z przyjęć, na które jej nie chciało się iść. Słyszy, jak wchodzi, ale nie kładzie się do ich podwójnego łóżka. Co on wtedy robi? Przekrada się na dół, zasiada przed telewizorem i zasypia. Coś definitywnie jest nie tak. Wszystko się trzęsie. Ona kręci się po domu, poruszona, płacze bez

powodu. Arnold się nie odzywa. To straszne, nie może powstrzymać się od pisania. Jesteś taki sam jak inni. Tchórz! Rzuca zapaloną zapalniczkę, ale ucieka, kiedy buchają płomienie, żeby się nie poparzyć. Jedno albo dwa, albo trzy spotkania w roku, kiedy ci pasuje, żeby się pobzykać i poczuć jak uwodziciel, a potem wrócić do domu, do żony i dziecka, do bezpieczeństwa, z odzyskanym poczuciem własnej wartości i kolejnym piórkiem u kapelusza, KURWA!

Wysyła listy, gdy jeszcze musi, zanim zmieni zdanie i odpuści, żeby oddychać nieco swobodniej przez godzinę albo dwie.

On odpowiada, że czuje się poparzony. Pisze, że tak, przestraszył się. Pisze, że nie zniesie kolejnego rozstania. Dodaje, że był pod tym względem szczery od samego początku.

To prawda. To nie pomoże. To musi się skończyć. Nie chce do niego więcej pisać! Tak żeby pożałował. Dupek.

Jej siostra studiuje na uniwersytecie w Trondheim. W katedrze anglistyki, położonej na tym samym piętrze co germanistyka, gdzie pracuje Arnold Busk. Siostra widuje go na korytarzach, gdy idzie do ubikacji, często wychodzi do ubikacji, czyżby miał zapalenie dróg moczowych? Ida dzwoni do siostry. Widziałas go?

– pyta. Kiedy szedł do i z ubikacji? Może oglądać go każdego dnia, może z nim flirtuje, może z nim sypia, kto wie, kto to może wiedzieć, czy jest coś, o czym jej nie mówi? On przychodzi w swoim długim skórzanym płaszczu, opowiada siostra, Ida nigdy nie widziała tego płaszcza. Wisi obok jasnego trencza przy wejściu do domu, w którym mieszka z żoną, dwudziestopięcioletnią Kjersti i ich synkiem, Bertholdem. A obok skózanego płaszcza i trencza wiszą jej okrycia, jej płaszcz i kurtka są blisko jego ubrań, chociaż ona o tym nie myśli. Żona nie otula się jego płaszczem, żeby go powąchać, nie gładzi go pieszczotliwie, bo nie wie, z kim mieszka. Dzieli z nim łóżko, jakby było to coś zupełnie zwyczajnego i nie dziękuje za godziny spędzone z nim w jednym pokoju. Leży nago w podwójnym łóżu obok niego i jeśli on zaśnie pierwszy, żona może słuchać jego niespokojnego oddechu. Ale prawdopodobnie on nie zasypia, prawdopodobnie obejmuje ją i chce kochać się z nią w ich zwyczajny sposób, miły, stary sposób, tak że ona dochodzi pierwsza, a żaden mężczyzna nie może oglądać ani słuchać kobiecej rozkoszy, nie czując wobec niej czułości, miłości i nie podniecając się później, gdy to wspomina. Siedem razy doszedł w ciele Idy. Kjersti kładzie się obok niego nago co noc, leżą

nago każdej nocy, przez większość nocy. Piją razem wino na kanapie w sobotni wieczór i żona nie przypuszcza nawet, że gdzieś na świecie jest kobieta, która nie marzy o niczym innym, jak tylko o siedzeniu obok Arnolda na kanapie. Żona jest blisko niego, nawet tego nie zauważając, gdy wstaje i przechodzi obok, by przynieść kolejną butelkę.

– Mówi Ida. Widziałaś go?

Jest niedziela. Jest zimno. Jest grudzień. Boli. Myśli o nim przez cały czas. Ubrała dzieci, mają gdzieś razem wyjść. Stoją w korytarzu, gotowi do wyjścia, gdy dzwoni telefon. Siostra pyta, czy nie przeszkadza.

– Czy coś się stało?

Poprzedniego dnia w katedrze germanistyki była impreza i Arnold wyszedł z niej ze studentką, u której potem spał, siostra wie, bo mieszka razem z Åse, która zna studentkę o imieniu Tone. Mąż przyszedł, musi odłożyć słuchawkę. To zazdrość. To, co teraz czuje, uniemożliwia poruszanie ustami, ciałem, to sztywność wszystkich kończyn, nigdy już się nie uśmiechnie. Coś się rozpada i nie daje naprawić. Nieznośny niepokój zmienia się w nieznośny ból. Miłość jest chirurgiem. Tnie cię nożem. Teraz zrozumiała poezję. Odcina kawałki ciała. Mogłaby teraz umrzeć. On nie żałuje. Robi

to z *inną*. Mógłby robić to z Idą, ale robi to z *inną*. Będzie robił to z Mette, z Dorthę, z Ingunn i innymi, których imion ona nigdy nie pozna. Mógłby mieć Idę, ale wybiera *inną*. Wsiadają do zimnego samochodu i zapinają pasy. Może wyglądają jak rodzina, dwoje dorosłych z przodu i dwoje dzieci z tyłu, w niedzielę, w samochodzie, w drodze gdzieś tam. Zrobił to z Tone. W łóżku Tone, które pachnie Tone. Rozebrał siebie, rozebrał Tone i wszedł w nią. Najwyraźniej przyjechali na rodzinny obiad. Ona nie może jeść. Nie może mówić. Jest w stanie wypić czerwone wino. Po powrocie do domu zbiega do piwnicy i wybiera numer.

– Jak ona wygląda? Jest ładna? Ciemnowłosa? Jest gruba? Głupia? Powiedz coś! Pomóż mi!

Ładna, ciemna kobieta pod nim, w swoim łóżku, które nią pachnie, jej perfumami, jej kremem na noc i innymi kusząco kobiecymi przedmiotami w łazience, w której on po wszystkim siada na sedesie i siusia, jego język w jej ustach okrąża jej język, on dochodzi w niej, krzyczy i może mówi, że ją kocha, tak jak lubią tego słuchać kobiety, a może rzeczywiście ją kocha, nie, to niemożliwe. Pyta, czy nie ma butelki wina, którą mogliby razem wypić, zanim wróci do domu, ona ma wino, piją je siedząc obok siebie,

ramię przy ramieniu, nago w łóżku, w którym się kochali i zwierają się sobie. A następnego dnia, albo kilka dni później, *kiedy zechce*, Tone być może zajrzy do katedry germanistyki, licząc, że na niego wpadnie. Może zapuka do jego drzwi, on zawoła – Proszę! I będą siedzieć twarzą w twarz w jego gabinecie, może zrobią to na kanapie, na pewno ma u siebie kanapę, może będą robić to raz za razem, codziennie, w jego biurze, jeśli ona zechce, a zechce na pewno, a on nie umie odmawiać. Ida nie potrafi nie napisać do niego: DZIWKARZU, RÓB TO ZE SWOIMI STUDENTKAMI, TY SKURWIELU, NIE CHCĘ CIĘ WIĘCEJ WIDZIEĆ! Nie kontroluje się, pisze wielkimi literami, jedzie do skrzynki pocztowej i wysyła list zanim się zastanowi i rozmyśli. Taka jest prawda, jak ostrze w ciele, rani ją, jeśli to nie przejdzie, jeśli nie przestanie boleć, odbierze sobie życie, dlatego właśnie ludzie to robią, nie można ich za to winić. Czy nigdy już nie będzie dobrze? Gdyby mogła o tym zapomnieć, gdyby to było możliwe, zapomnieć na sekundę albo na godzinę, na cały dzień, ale wystarczy tylko, że przyjdzie jej do głowy ta myśl. I jednocześnie, w epicentrum bólu: To dlatego, że za mną tęskni. W bólu: Ona jest substytutem. Oraz: Jest nieostrożny. Niszczy swoje małżeństwo. Może zostać przyłapany, mogą

zacząć się plotki, żona dowie się o wszystkim i wezmą rozwód. W bólu: Świadomie czy nie, robi to, by być ze mną.

Nie wiedziała wtedy, i powinna się z tego cieszyć, że nie była to jedna noc, nie dwie. Było wiele nocy, związek, podróże do innych miast i noclegi w hotelach, kawa w łóżku i w biurze. Pijąc kawę w gabinecie, on mówi do Tone oskarżycielskim tonem, że nie wolno jej wspominać nikomu o tym związku, którym nie jest związkiem. Tone musiała się komuś zwierzyć, bo plotki o związku, który nie jest związkiem, dotarły aż do Oslo. Ma na myśli list od Idy. Mówi, że jest żonaty i że jest jej wykładowcą, ten nie-związek należy zakończyć.

A Tone myśli o Åse, bo nie rozmawiała z nikim innym, Åse przyznaje się, że wspomniała o tym Jorunn, a Jorunn – że rozmawiała z Idą, swoją siostrą w Oslo, która jest tak bardzo zakochana w Arnoldzie. A więc to Ida musiała zadzwonić albo napisać do Arnolda, bo to taki typ kobiety, który nie umie się opanować. Wtedy Arnold wzywa Tone do swojego gabinetu i rozmawia z nią pouczającym tonem, i mówi, że ten nie-związek należy zakończyć. Tone jest nieszczęśliwa, w pewnym sensie to wina Jorunn. W dodatku to poważna sprawa. Gdyby dowiedziało się o tym

kierownictwo uniwersytetu, mówi Arnold oskarżycielskim tonem. Mógłby ponieść konsekwencje. Arnold Busk nie chce mieć opinii człowieka, który sypia ze swoimi studentkami. Nie chce być uważany za kogoś, kim naprawdę jest, a więc proszę was, trzymajcie buzie na kłódkę.

Do Idy pisze chłodno, że nie ma ona pozycji, która uzasadniałaby konieczność tłumaczenia się przed nią. – Owszem, byłem na imprezie i nie wróciłem sam do domu – pisze tak, że ona może to sobie wyobrazić. Poza tym studentka jest dorosła, dodaje, ma trzydzieści cztery lata. To nie tak, jak się Idzie wydaje. Została zaproszona na seminarium poświęcone alternatywnemu teatrowi w Trondheim. Musiał przeczytać zapowiedź w „Adresseavisen” albo broszurę z informacją, że ona zasiądzie w panelu dyskusyjnym, bo dopisuje na samym dole strony: *Widzę, że wybierasz się do Trondheim. Będę wtedy w Bergen. Kjersti w Stavanger.* Kurwa. Jakby chciała odwiedzić go wbrew jego woli. Narzucać mu się. Albo jego żonie. Odwiedzić żonę i powiedzieć jej o jego niewierności. Zniszczyć rodzinną idyllę. Zemścić się, być jędrą. Jakby była taka głupia. Jakby sądziła, że coś tym ugra. Jakby nie miała honoru, jakby nie wierzyła, że może być kochana nie

zebrząc, nie grożąc.

Dzwoni do Jorunn i pyta, czy widuje go na korytarzach. Ale Jorunn nie odpowiada tak jak zawsze, waha się, a jej głos nabiera dziwnego brzmienia. Kilka dni później Ida dostaje list, w którym Jorunn pisze, że nie chce mieć już nic wspólnego z tą historią, i to zupełnie zrozumiałe, ale Ida zostaje z tym teraz całkiem sama. I nie ma wyboru. To cholernie poważna sprawa, nie może zrezygnować. On nie jest nic wart, zostaw go, zajmij się czymś innym, czyta między wierszami w liście Jorunn, ale Ida nie może zrezygnować. To cholernie poważna sprawa.

Przyjeżdża do Trondheim wieczorem, zapłakana. Każdy, kto ją widzi, musi sobie myśleć: ta to jest dopiero nieszczęśliwa. Nie szkodzi. Czy powinna wstydzić się miłości? Kiedy mówi, drży jej głos. Nagrała ten drżący głos na automatycznej sekretarce, jeśli on zadzwoni, będzie mógł usłyszeć, jak bardzo jest nieszczęśliwa. Nie bierze udziału w debacie. Gdy dociera do niej, że nikt ze zgromadzonych go nie zna, nie wie, kim on jest, nie może jej nic o nim powiedzieć ani wspomnieć mu o niej później, traci zainteresowanie. Kobieta, którą poznała już wcześniej, mówi do niej w toalecie: – Wyglądasz na smutną, Ido.

Ida kiwa głową. – Jestem nieszczęśliwie

zakochana.

W Trondheim jest szaro. Mży. Wychodzi, żeby pospacerować w deszczu, żeby poczuć deszcz na twarzy. To przyjemne uczucie, jak łyzy. Na nabrzeżu zatrzymuje ją mężczyzna:

– Czy to nie Ida?

Ma kaptur na głowie, więc nie widzi jego twarzy. To Erik Grøver z jej grupy na studiach dawno temu. Wygląda na nieszczęśliwego. Tak, jest nieszczęśliwy. Nieszczęśliwi wyczuwają się wzajemnie na odległość. Idą razem w deszczu, w ciemności, wzdłuż nabrzeża w Trondheim, drogami, którymi nigdy wcześniej nie szła, ścieżkami przez las pachnący wilgocią, gnijącymi liśćmi i deszczem, a on popycha przed sobą dziecięcą wózek. Jest środowe popołudnie i jego, ojca, kolej na opiekę nad dzieckiem. Niemowlę śpi pod daszkiem. Gdy Erik miał siedem lat, jego rodzice się rozwiedli i dzieci musiały wybrać, u kogo chcą zamieszkać. Starszy brat wybrał mamę, starsza siostra wybrała mamę, został więc tylko ojciec i Erik musiał wybrać jego. Gdy przychodził do matki w co drugi weekend i w każde środowe popołudnie, tęsknił i cieszył się na wizytę, ale nigdy nie miał wrażenia, że matka tęskniła, cieszyła się i czekała, w lodówce nigdy nie znalazł swoich ulubionych smakołyków,

a matka często wychodziła. Taka jest jego historia.

Ida kocha Arnolda. Taka jest jej historia.

– Jesteś pewna – pyta Erik – że tak właśnie jest?

Deszcz w Trondheim. Spacer z Erikiem w ciemnościach. Obiad z uczestnikami seminarium w ostatni dzień. Ida uwodzi mężczyznę w odwecie za studentkę uwiedzioną przez Arnolda. Żeby odpędzić swój niepokój, zapomnieć o nim na chwilę, pije i idzie z mężczyzną do jego pokoju hotelowego, uprawia z nim seks w hotelowym łóżku. Jęczy z rozkoszy, nienasycona, nieprzyzwoita, to za studentkę Arnolda. Nie zabrała ze sobą pudełka na soczewki kontaktowe, więc wrzuca je do szklanki z wodą, którą stawia na stole w salonie przed pójściem spać. Mężczyzna wychodzi z łazienki i sięga po szklankę. Teraz powinna powiedzieć: – Żebyś tego nie wypił.

Ale nie może użyć miłosnej repliki w takim momencie. On bierze szklankę i wypija jej nowe soczewki kontaktowe za półtora tysiąca koron, stoi sparaliżowana i patrzy na niego, a kiedy on odstawia szklankę, wybucha: – Wypiłeś moje soczewki! Nie chcę, nie mogę cię więcej widzieć!

Biegnie do własnego pokoju i nigdy już go nie spotyka, był zresztą żonaty, jak większość. Ido, już

wystarczy! Ido, przestań już! Miejsze odrobinę godności, Ido. Teraz musisz coś zrobić, działać. Kim jestem, pytamy siebie; ten, kto odpowiada z lękiem, ma inne życie niż ten, kto odpowiada odważnie na to pytanie. Kim ty jesteś, Ido. To musi wydarzyć się teraz.

On siedzi na krześle przed telewizorem. Tam, gdzie zazwyczaj siada, w swój zwykły sposób, nogi lekko rozstawione, nieco zgarbiony, dzieci śpią. Ona przekrada się do niego, przesiada ze swojego krzesła na jego, sadowi mu się na kolanach, a on cieszy się i ją przytula. Co teraz?

Leżą w łóżku, skończyli się kochać i Idzie chce się płakać. On to zauważa.

– Co się dzieje? Coś się stało?

Co teraz?

Siedzą sami w aucie, odwieźli dzieci, atmosfera jest taka napięta. Co teraz? Idą na spacer, ona pyta, czy nie wybiorą się pospacerować wieczorem, wychodzą w ciemność, pada śnieg, ona próbuje coś powiedzieć, ale on źle ją rozumie, a może ona nie wysławia się dość jasno, chociaż na tyle jasno, by on się wściekł i nie chciał dalej słuchać, przez resztę drogi idzie cztery metry przed nią.

Prawdopodobnie uznasz, że to ja, przez to, co robię, sprawiam tobie i dzieciom wielki ból, wyrządzam szkodę nie do naprawienia, ale jestem

pewna, że mimo wszystko postępuję słusznie. Wobec siebie samej, ale też wobec ciebie i dzieci. To nieuniknione. Co teraz? On stoi przy blacie kuchennym i smaruje sobie kawałek chleba. Jeśli chcesz mnie zostawić, zrób to wyraźnie i jednym cięciem. I co teraz?

Ona nie może. Rozbierają się, kładą się do łóżka i kochają, ona zaczyna płakać i on rozumie, że są jakieś trudności, ale nie dostrzega powagi sytuacji, albo widzi tę powagę i dlatego nie pyta już więcej. Nie opowiadała mu o swoich pragnieniach, bo nie o nie chodzi. Ale opowiedziała o swoich pragnieniach własnej siostrze, przyjaciółkom, żonie jednego z jego braci, a pewnego późnego wieczoru, pijana, opowiedziała o nich jego najlepszemu przyjacielowi. Opowiedziała, ponieważ nie potrafiła się powstrzymać, serce jest tak przepelnione, że słowa wylewają się z ust, dobry Boże, pozwól mu do mnie przyjść. Myślisz, myślicie, że do mnie przyjdzie? Odpowiedzcie, że tak! Sama zastawia na siebie pułapki, niedługo w jedną z nich wpadnie, straci nad sobą kontrolę i nie będzie to piękny widok. Jedzie do Nowego Jorku, by móc wysłać Arnoldowi pocztówkę, z Oslo wydawałoby się to nienaturalne, jedzie do Nowego Jorku, pocztówka z Nowego Jorku to coś zupełnie

normalnego. Wyjeżdża, by uciec od myśli, by pomyśleć o czymś innym, ale to nie pomaga, wciąż myśli o tym samym. Być może wyjeżdża, żeby pomyśleć w spokoju, nie myśli o niczym innym i kiedy jej dzieci i męża nie ma w pobliżu, może poświęcić się tym myślom bez skrępowania. W piersi dudni jak na koncercie rockowym, jakby stała pod sceną, jakby znajdowała się obok startującego samolotu, jakby podłoga drżała, może to samolot. Jest na lotnisku, pije wino w samolocie, to pomaga, układa treść pocztówki. Wyjeżdża do Nowego Jorku, żeby znaleźć pocztówkę i wysłać ją do Arnolda Buska. Mieszka u koleżanki Norweżki, wraz z jej mężem i dzieckiem, powiedziała jej, że przyjechała oglądać sztuki teatralne. Znajduje pocztówkę, autoportret Fridy Kahlo, z twarzą ukochanego Diega namalowaną na czole. Idzie do baru na dworcu kolejowym, w którym podają ostrygi, zamawia ostrygi i szampana, żeby móc napisać o tym Arnoldowi na pocztówce. „Pozdrowienia z The Oyster Bar na dworcu w Nowym Jorku, gdzie jem ostrygi i piję szampana”. Znajduje wróżkę w Greenwich, która mówi jej, że ma niski poziom energii, ale to się zmieni na lepsze. Życie uczuciowe jest słabe, ale zmieni się na lepsze. Widzę pierścionek, mówi wróżka, być może

zaręczynowy, zgódź się! Widzi wroga na literę T, może chodzi o studentkę, Tone, a także wroga na O, kto to może być? Jeśli dostanie jeszcze kilka dolarów, powie więcej.

Idzie do chińskiej restauracji i z wróżby w ciasteczku szczęścia dowiadyuje się, że przyszłość zależy od dnia dzisiejszego, że obecne działania decydują o szczęściu albo nieszczęściu w przyszłości. Przyszłość zależy od terażniejszości, trzeba postępować właściwie. To właśnie przecież sobie powtarza!

Serce bije mocno. Znajduje sklep z minerałami i kupuje kamień, który ma ukoić nerwy, uśmierzyć ból zakochania i wzmocnić siłę przyciągania. Wieczorem je na mieście ze swoimi gospodarzami i uznaje, że mąż koleżanki jest podobny do Arnolda, chudy, z krzywym nosem, i uwodzi go, gdy żona wyszła już do domu, żeby zwolnić nianię, a po powrocie uprawiają seks w łóżku w gościnnym pokoju obok sypialni, gdzie śpi jego żona. Zastawia pułapki, kiedy sama w jedną z nich wpadnie. Z namaszczeniem przebiega kolejne okrażenia w Central Parku, słuchając Franka Sinatry. If you can make it here, you'll make it everywhere. Wypróbowuje wodę po goleniu Arnolda na wierzchu dłoni w domu towarowym na Fifth Avenue i musi usiąść. Tam.

Zapach wnika w skórzany pasek od zegarka i zostaje. Ona już tylko płacze. To nie do wytrzymania, to nie do zniesienia. Kocha go po drugiej stronie oceanu. Co ona robi, co ona wyprawia. Przenosi się do hotelu, żeby побыć sama, nie potrafi wytrzymać w samotności, pije, żeby zasnąć, budzą ją koszmary senne. W łóżku jest jakiś mężczyzna. Odwrócony do ściany, nie zna go. Dobry Boże, niech to będzie *on*. Odwraca go ostrożnie, to nie *on*. Prawie go miała i utraciła. Nie przestaje tracić, będzie go tracić wciąż i wciąż. Wyjmuje gumkę z włosów i chce podać ją temu drugiemu. Wystają z niej nitki, jest rozciągnięta, rozłazi jej się w palcach, zanim on zdążył ją chwycić. Pada deszcz. Za oknem jest ciemno. Na zewnątrz stoi obłąkana kobieta i krzyczy. Zupełnie jakby to ona oszalała, stała w deszczu i krzyczała.

– Wszystko mi zabrałaś – mówi do niej on, jej mąż.

Kac, wstyd i lęk, to niegodne.

Wybierz go ponownie, Ido. To jedyne wyjście. Albo to drugie.

Powiedz „tak” raz jeszcze i zostań z nim. Albo to drugie.

Nie kocha go, a wie już, czym jest miłość.

Musi więc wybrać to drugie.

Gdy wraca do domu, nie czeka na nią żaden list. Płacze w nocy, gdy się kochają i mówi, że chce rozwodu. On jej nie wierzy, na pewno jej przejdzie. W dzień, w świetle dnia. Nic nie mówi, nie pyta o nic w dzień, w świetle dnia. Następnego nocy ona również płacze, kiedy się kochają, a on pyta: – O co chodzi?

Ona mówi, że chce rozwodu. On jej nie wierzy. Na pewno jej przejdzie. Jutro, w świetle dnia. Przy śniadaniu, kiedy przychodzi z kawą na tacy, z gazetą, z dziećmi, z tym wszystkim. Zna ją, wie, jak to jest.

Jest niedziela.

Zjedli śniadanie.

Dzieci poszły do salonu i siedzą przed telewizorem.

Na dworze jest ciemno, zbliża się Boże Narodzenie.

– To, co powiedziałaś w nocy?... – pyta on.

Ona nie musi nic mówić. On to widzi. Nie pyta, czy mówiła poważnie. Może zna też przyczynę, może myślał o tym samym na swój własny sposób. Nie jest głupi. Uważa, że się różnią, chcą czego innego. Nic nie może zrobić. Ona jest taka, że wszystko na nic. On może wierzy, że po zastanowieniu ona zmieni zdanie. Ale zna ją. Tak daleko zaszła.

Całe życie, wszystko, co sobie wyobrażał, zupełnie inaczej. Tonie. Jest ciemno, jest grudzień. To jej wina.

Została zaproszona na seminarium do Trondheim. W maju. Poświęcone współczesnej dramaturgii niemieckiej. W maju. Arnold Busk będzie zasiadał w panelu. Jest koniec grudnia, czas płynie powoli. W maju. Przejść, przebrnąć, przetrwać do maja.

W wyniku niezwykłych procesów zachodzących w jej wnętrzu, ból zmienia się w energię, siłę do działania. Jeśli się zatrzyma, być może ją poczuje. Mąż zapada się w fotelu przed telewizorem. Ona znajduje dom w pobliżu, nie za drogi, idzie do banku. Wypełnia papiery i kładzie je przed nim, on podpisuje. Dzieli sztuce i zastawę na pół, dzieli książki, gdy dzieci poszły już do łóżek, niedługo im o wszystkim powiedzą. Ustalają dzień, popołudnie. Ona od rana się denerwuje, to wszystko dzieje się z jej powodu. To jej decyzja, z jej winy wyrządzają dzieciom taką krzywdę. Taką, że nie będą sypiać po nocach. Taką, że nie zasną. Taką, że długo nie będą potrafiły się cieszyć. Smutne, zapłakane, przez długi czas. W dół. Ściągnie je w dół. To ona zadaje im ból. Trzeba to zrobić, to konieczne. Wbić wzrok w jeden punkt i iść w jego kierunku prosto jak po

sznurku. Nie w dół, nie w bok. Ich przyjaciele muszą teraz pójść do domu. Dlaczego? Bo musimy porozmawiać. Tata, ja i wy.

Domyślają się, wiedzą, ale to nie może się wydarzyć! Córka przez całą jesień wypytywała żarliwie: – Nie rozwiedziecie się? Nie rozwiedziecie się, prawda? Bo umrę! I Ida odpowiadała: – Nie. Nie, no skąd.

Córka przez całą jesień rozstawiała zapalone stearynowe świece na pianinie, na komódce w korytarzu, na stole w jadalni, na parapecie, jak wtedy, gdy chce się stworzyć miłą atmosferę, jak na przyjęciu, na urodzinach, w Wigilię. Przychodzi do niej rankami w za dużej piżamie i z rozczochranymi włosami. Śniły się jej paskudne rzeczy, śniło się jej, że płynęły statkiem po morzu i rozszalał się sztorm, a mama wpadła do wody i prawie utonąła.

– Ech.

– Ale wtedy przyszedł krasnolud i cię uratował. Krasnolud, to właśnie *on*.

Przyjaciele dzieci idą do domu, oni jedzą obiad w milczeniu. Dzisiaj jest deser. Ona nie ma siły tego zrobić. Musi to zrobić. Tak, żeby widzieli, co robi, czego *chce*. Jak brutalnie to brzmi. Teraz musi powiedzieć, że to nie tak. Na chwilę zapada cisza, bo nikt w to nie wierzy. Dzieci patrzą na

nich, czekają na zaprzeczenie, ale oni nie zaprzeczają. Mąż zaczyna płakać, a więc to prawda, tata płacze. Syn zaczyna krzyczeć i pędzi do drzwi.

– Zabiję się – woła. – Zabiję się. Jeśli to zrobicie, to się zabiję. Córka nie mówi nic. Twarz jej pociemniała: i tak to zrobią. Po prostu to zrobią. Wiedziała o tym.

Nikt nie wyjeżdża. Żadnego z nas nie straciecie, to ważne. Będziecie mieszkać tyle samo u mamy, co u taty. Mama przeprowadzi się do domu na tej samej ulicy. Nie od razu, za jakiś czas. Kiedy przyzwyczaiacie się do tej myśli. Możecie wybrać sobie kolor ścian w pokoju. Przejdziemy się tam?

Ubierają się. Grube, trochę za duże puchowe kurtki, w których trudno się poruszać. Kurtki puchowe, do których muszą dorosnąć i czapki, zrobione w domu na drutach. Rękawiczki przyłączone klamerkami do rękawów kurtek. Dwoje małych ludzi pomiędzy nimi wędruje drogą w ciemnościach, trzymając się za ręce, w szeregu powoli idą ośnieżoną drogą w ciemnościach. Młodszy ma za duże buty. Idą do domu, do którego w ostatnich tygodniach chodziła wieczorami, gdy dzieci poszły już do łóżek, gdy zasnęły, a mąż siedział przed telewizorem, żeby burzyć, wyrywać, rozpocząć, przygotowywać się na ten dzień i na

te, które po nim nastąpią, na przyszłość.

Teraz nie rozumie, jak mogła temu podolać, skąd wzięła siły, teraz pamięta tylko urywki, jakby robiła to na wpół przytomna.

Jej rodzina uważa, że nie powinna tego robić, ale co mają powiedzieć. Rodzina jest niespokojna i się martwi. Co z nią będzie bez niego. Uratował ją kiedyś. Wiedzą o tym, widzieli to. Mają nadzieję, że będzie dobrze, nic innego im nie pozostało. Są niespokojni, teraz niczego nie da się przewidzieć. Czy będzie potrafiła zająć się sobą. A dziećmi? Ale co mają powiedzieć.

– Pamiętaj o dzieciach – mówią. – Nie chodzi tylko o ciebie, Ido. Jesteś teraz odpowiedzialna również za innych.

Córeczka w różowych okularach. Przedstawienie bożonarodzeniowe w kościele. Przed południem, więc zjawili się tylko nieliczni rodzice, kilka matek. Dzieci ustawiają się w dwóch rzędach, po obu stronach zakrystii, w białych albach, skupione, żeby się nie potknąć, trzymając w dłoniach stearynowe świece. Córka rozgląda się dookoła. Czy mama przyszła?

– Jestem tutaj, kochanie – szepcze. Porusza wargami, unosi rękę, by dać znak, córka jej nie widzi, wciąż się rozgląda. Gdzie jest mama? Musi tam być!

– Jestem tutaj, kochanie! Tutaj!

Teraz ją widzi. Ależ się cieszy. Tak strasznie kocha Idę. Dzieci tak bardzo kochają matki i tak bardzo są od nich zależne. Córka uśmiecha się. Da sobie doskonale radę. Pokaże mamie. Mama jest tutaj! Jedno za drugim podchodzą do wielkiej, zapalanej świecy na przedzie. Przysuwają swoje świeczki, żeby odpalić je od płomienia. Robiąc to, mówią: – Zapalamy dzisiaj świeczkę... A potem, z płonącymi świecami w dłoniach, zanim jeszcze odwrócą się i wrócą na swoje miejsca w nierównym szeregu: – Zapalamy dzisiaj świeczkę za tych, którzy głodują.

Zapala się świece za tych, którzy nie mają dachu nad głową. Zapala się świece za ubogich, bezrobotnych. Córka Idy występuje naprzód, pochyła się nad świecą, w jej okularach migocze odblask ognia, gdy wpatruje się w Idę:

– Zapalam dzisiaj świeczkę... – mówi, zapalając świeczkę i uśmiecha się, a blask płomienia złoci jej buzię: – Zapalamy świeczkę za samotnych.

Tak bardzo chciała mieć dziecko, żeby sama nie być dzieckiem, tylko matką. Już nie córką, tylko matką, a dzieci przywiązały ją do ziemi tak, że nie zniknęła ani nie zapadła się w siebie, nie wiedząc, kim jest. Skąd człowiek, który nigdy nie był pełny, ma wiedzieć, gdzie czegoś brakuje.

Liczy szklanki i pakuje połowę. Pyta, którą patelnię mąż chce zatrzymać. On bez słowa zgadza się na wszystkie propozycje. Ona liczy, dzieli i pakuje, przynosi biurko i krzesła z jednego domu do drugiego przez las, ma nadnaturalną siłę, do późnego wieczora. Mąż siedzi w fotelu przed telewizorem. Dzieci śpią.

– Chcesz to czy to?

Obraca się do niej. Łzy płyną mu z oczu, po raz pierwszy od dawna na nią patrzy.

– Nie teraz, Ido – mówi. – Król nie żyje.

Data zapisuje się w podręcznikach historii. Rozwiodła się, gdy umarł król Olaf. Młodzi i starzy niosą w ciemnościach zimy świece i kwiaty do parku zamkowego, tak że wkrótce przypomina on miejsce wypadku. Spotka się z nim w maju. Jest spokojniejsza. Tyle trzeba uporządkować, o tylu rzeczach nie zapomnieć. Jest adwokat, przekazanie własności, podatek, są wydatki, ale przyjęli jej sztukę, inną tłumaczy, pisze wiadomości, redaguje magazyn „Tidsskrift”, da sobie radę. Robi to dla niego. Nie potrafi o nim zapomnieć. On się zjawi, kiedyś. Pisze do niego po raz pierwszy od dawna. Pisze spokojnie, jest innym człowiekiem, w innym miejscu. Pisze z daleka, jakby o przeszłości i widzi to wyraźnie, i w pewien sposób to prawda, pisze: Chcę skoczyć

z tobą na głęboką wodę.

On również odpowiada spokojnie, dla niego to już może sprawa z odległej przeszłości: Nie chcę skoczyć z tobą na głęboką wodę. Boję się tej głębokości.

To uczciwe, ona to rozumie, może udźwignąć jego lęk przed głębokością, może nad nim popracować. Ale w tym samym liście on pisze o czymś innym, podejrzewała to, ale miała nadzieję, że się myli, o czymś, z czym być może nie będzie potrafiła żyć. Pisze o damie z wyższych sfer i kundlu. Dama z wyższych sfer to ona, Ida. Kundel to on, Arnold Busk, profesor nadzwyczajny na uniwersytecie. Nie wie o niej wystarczająco dużo, to po pierwsze. Zgaduje. Wyczuwa takie rzeczy. To jej siła, którą niedługo posiada, której się domyśla. Nieustrasżoność, samodzielność, której nie posiada, ale którą wkrótce zdobędzie, której on się domyśla i z którą być może nie chce mieć do czynienia, bo jeśli nie mógłby być nauczycielem, to kim niby.

– Do czego ci jestem potrzebny? – spyta ją dużo później.

– Nie potrzebuję cię – odpowiada ona. – Kocham cię.

Dama z wyższych sfer? – pisze w odpowiedzi, wycina z książki wers wiersza Pära Lagerkvista

i wkleja go do listu: Ukochany! Zostaw mnie bez słów.

Ukochany! Zostaw mnie bez słów. Teraz nie będzie miała od niego znaku życia. To pożegnanie, ale spotka go w maju. Wtedy wszystko się wyjaśni. Szyje firanki i je rozwiesza. Maluje ściany. Skręca dziecinne łóżka, regały na książki i biurka. Myśli: On jeszcze to zobaczy. Pewnego razu się zjawi i wtedy wszystko ujrzy: żółty salon, niebieską kuchnię. On się zjawi, ona ma dość czasu, aż do maja.

Dzieci śpią u niej tej pierwszej nocy. Nie odchodzi od nich, śpią w swoich nowych pokojach w tę samą noc, gdy ona po raz pierwszy śpi w swoim domu. Nic nie mogło potoczyć się inaczej, a jednak pisanie o tym sprawia ból. Jest sobota. Ojciec odprowadza je, życzy dobrej nocy jej i dzieciom, przez chwilę siedzi w salonie razem z Idą, żeby dzieci zasnęły podczas ich rozmowy, słysząc ich głosy, głos matki i ojca. Potem odchodzi. Idzie samotnie drogą prowadzącą pod górę, do *swojego* domu i śpi tam, po raz pierwszy sam w wielkim łóżku. Kupił nowe łóżko, dopiero teraz ona zastanawia się, jak przeżył tę noc. Jak ona mogła. Jak ludzie mogą, a robią to cały czas. Gdyby nie musieli, nie daliby rady. One śpią. Dzieci śpią. Nie udają. Nie leżą bezsennie

w ciemnościach, nie tęsknią. Była u nich i słyszała ich spokojne oddechy. Widziała rozrzucone ramiona, otwarte usta, bladość powiek. Zasnęły w jej domu. To była długa droga. Nie wie, kiedy na nią wstąpiła. Ależ tu cicho. Jest sama, nie ma kogo zapytać, nikt nic nie wie. Ma butelkę musującego wina, być może nie wypada jej otwierać. Napuszcza wodę do wanny, kąpie się we własnej wannie i wypija butelkę do dna, więc następnego dnia lekko drży, w porządku.

On dzwoni na jej nowy numer i odkłada słuchawkę. Ona wie, że to on, a on wie, że ona wie. Nie może się z nią kontaktować, bo napisała: Zostaw mnie, ale bez słów. On dzwoni, ona podnosi słuchawkę i mówi: – Halo.

Po drugiej stronie nie ma głosu, tylko bliskość, potem on się rozłącza, a może ona robi to pierwsza. Zdarza się, że długo tak czekają, wstrzymując oddech. Napisała też „ukochany”. Ukochany! Zostaw mnie bez słów. Niewiele kobiet nazywało go ukochanym. Telefon dzwoni, ale po drugiej stronie nikt się nie odzywa, gdy podnosi słuchawkę.

– Halo! – mówi i myśli: Teraz słyszy mój głos, chce go usłyszeć. – Halo! – mówi znowu, miękko i z lekką chrypką, wtedy on odkłada słuchawkę. To znak. Zjawia się.

Otrzymuje sygnały, przywołuje je, kiedy dzieci są u ojca i zostaje sama, to jak szaleństwo. W „Adresseavisen”, jego gazecie, gazecie z Trondheim, w każdą sobotę ukazuje się horoskop. Jedzie do kiosku sieci Narvesen na stacji kolejowej w sobotnie przedpołudnie, żeby ją kupić i przeczytać jego horoskop, co jest napisane przy jego znaku, bo wie, że on go czyta, żeby dowiedzieć się, co go czeka. W sobotę przy jego znaku, Koziorożcu, jest napisane: Skocz na głęboką wodę! Czego się boisz? Masz przecież kamizelkę ratunkową.

Skocz na głęboką wodę, tak jest napisane. Po tym, jak napisał, że się nie odważy. Pisał, że boi się głębokości, ale teraz w gazecie jest napisane: Wskocz w nią! Skacz, Arnoldzie! Ona czeka przecież z otwartymi ramionami! Ale o co chodzi z tą kamizelką? Dzwoni do „Adresseavisen” i dowiaduje się, od kogo kupują horoskopy, wie już, że astrołożka nazywa się Wendy Manters, dzwoni do Wendy Manters do Londynu i pyta ją, o co chodzi tą z kamizelką ratunkową. Włącza radio w samochodzie, czekając na skrzyżowaniu na czerwonym świetle i słyszy wiersz: „Wiatr, błękitny marynarz” z dedykacją dla ukochanej kobiety od anonimowego słuchacza z Sarpsborg. To musi być Arnold, Arnold-marynarz, jest teraz

w Sarpsborg i nie potrafi myśleć o niczym poza Idą, ale prosiła go, żeby zostawił ją bez słów, jeśli będzie musiał ją zostawić. Nie może więc napisać, czego właściwie pragnie, ani zadzwonić, zamiast tego przesyła jej wiersz o marynarzu przez koncert życzeń w radiu. Co robi w Sarpsborg? Czy przejeżdżał po drodze przez Oslo? Z kim się spotkał? Już niedługo maj. Znajduje czterolistną koniczynkę w trawie i dziesięć øre na ulicy, to oznacza szczęście!

Noce są długie, a sny pełne lęku. Może już zawsze będzie samotna. Na oceanie szaleje sztorm, ona tonie, pojawia się łódź, ona do niej macha, ale łódź przepływa obok. Chociaż mężczyzna na pokładzie ją widzi, przepływa po prostu obok, pozwalając jej utonąć. Śni się jej, że mieszka w walących się domach, w ruinach. Umywalka jest rozbita, ubikacja jest rozbita. A jednak są tam goście, których musi obsługiwać, zabawiać. To oznacza, że zbyt wiele osób wpuszcza do swojej sypialni. Zbyt wiele osób dopuszcza do siebie, chociaż właściwie powinna być sama i sprzątać, naprawiać. Ubikacja jest zapchana, wszędzie pływa gówno. Ona krwawi z ramienia, z podbrzusza. Ma rany na ciele, pęcherze na twarzy. Tonie w gnijącej wodzie i ściekach. Nogi zapadają się w mule, próbuje utrzymać głowę nad

powierzchnią cuchnącej kloaki. Na skrawku ziemi, gdzie próbuje się dostać, stoi świątynia. Pomiędzy filarami pojawia się kobieca postać, Ida widzi ją od tyłu: wysoką, w greckiej tunice, z obnażonym ramieniem, kobieta zaraz odwróci się i pokaże swoją zniekształconą twarz. Tego tylko brakowało, żeby ta kobieta, od tyłu taka piękna i cudowna, obróciła się i pokazała Idzie swoją zdeformowaną, potworną twarz. Kobieta odwraca się, spogląda na Idę, twarz ma piękną, jaśniejącą. Mądre, dojrzałe oblicze, pełne niezmiernego zrozumienia. Patrzy na Idę turkusowymi oczami w kształcie migdałów. To pozdrowienie. Z miejsca, do którego zmierza.

W nocy czasem czuje nagły, paraliżujący ból i nienawiść do niego. Mógłby uśmierzyć jej cierpienie, jej tęsknotę. Mógłby napisać zwyczajny list, ale tego nie robi. Mógłby spytać: Jak się czujesz? – zamiast odkładać słuchawkę. Mógłby powiedzieć: Kocham cię. Ale jestem żonaty. Co pocniemy z naszą miłością?

Ale tego nie robi.

Zdarza się, że w nocy przychodzi do niej córka. Nie może zasnąć i chce poleżeć z mamą.

– Nie – odpowiada Ida, żeby nie weszło jej to w nawyk i nie stanowiło problemu, kiedy *on* się zjawi. Robi jej się nieprzyjemnie. Córka ma sześć

lat, zapłakana schodzi po schodach i chce położyć się obok matki, ale matka odmawia. Tak brutalnie, tak głupio. Odprowadza ją na górę, kładzie do łóżka i wychodzi, czując na sobie spojrzenie wielkich oczu. Potem nie robi nawet tego. Kręci tylko przecząco głową, gdy córka staje nocą w drzwiach. Mówi: – Nie! Idź na górę się położyć! A dziecko stoi w drzwiach i cichutko płacze.

– Idź się położyć – rozkazuje ostro i przez chwilę nasłuchuje na schodach kroczków ubranej w piżamę dziewczynki. Pewnego razu nie słyszy ich, wychodzi z pokoju i znajduje córkę na najniższym schodku, leżącą z otwartymi, ciemnymi, wilgotnymi oczami i kciukiem w buzi. Nieprzyjemnie o tym się myśli, ale jeśli nie będzie twarda, córka niczego się nie nauczy. Musi zrozumieć, że po przyjściu do niej w nocy zostanie wyproszona z pokoju. Staje w drzwiach albo przed drzwiami, Ida budzi się, czując jej bliskość, słysząc urywany od szlochu oddech, ale obraca się twarzą do ściany i udaje, że nic się nie dzieje. Biedna, biedna. Spytała ją dużo później, czy to pamięta, ale nie pamiętała, takie to było straszne.

– Byłam wtedy szalona – mówi Ida. – Z miłości.

Kiedy nie ma dzieci, pracuje i chodzi, chodzi.

Chodzi do sklepu, chodzi na basen, chodzi do biblioteki, chodzi do i z, wszędzie, rozmawiając ze sobą, układając mowę, którą wygłosi podczas ich ślubu. Jak wypowiedzieć to, czego wypowiedzieć się nie da, w taki sposób, by mogli zrozumieć to ludzie, którzy nie rozumieją. Nikogo nie ma, jest ciemno. Rozmawia sama ze sobą. Jedno słowo do, jedno od. Rzeczy, których on na pewno nie pamięta. Tego, że kiedy dawno temu zaliczała niemiecki, zasiadał w komisji egzaminacyjnej. Siedział przy stole przed drzwiami, gdy była w środku i zdawała ustny egzamin, poszło jej całkiem nieźle, wchodziła jako ostatnia, uznała go za przystojnego i chciała mu to powiedzieć, ale nie śmiała. Napomknie w przemowie, co sobie pomyślała, gdy spotkali się po raz pierwszy. Dla zabawy wspomni też epizod z soczewkami. Jak powiedział: – Żebyś tego nie wypięła! – w pierwszą noc, którą spędzili razem. A może opowie też, jak szukając pocieszenia albo zemsty poszła z jakimś mężczyzną do pokoju hotelowego w Trondheim, a on wypięł jej soczewki kontaktowe, bo nie chciała w takiej chwili powiedzieć: – Żebyś tego nie wypięł! – repliki z pierwszej nocy spędzonej z Arnoldem. Ale on mógłby pomyśleć, że robiła to często, że często zabierała mężczyzn do pokoi hotelowych, byłby zazdrosny i wściekły, i zrobiłby jej scenę

w dzień ślubu. Nie wolno mu zwątpić. Ani na moment. Bo pożądała wyłącznie jego. Kochała wyłącznie jego i tak już zostanie, będzie mu wierna, nigdy go nie opuści. Musi być przekonany, na sto procent, że jeśli się podda, jeśli jej się odda, to będzie bezpieczny, na zawsze. Ona sprawi, że tak się stanie.

A jeśli umarłby przed dwunastym maja? Modliła się do Boga, by dożył maja, dwunastego maja. Gdyby umarł przed dwunastym maja, ona zostałaby w tej samej, bezdusznej, niewyjaśnionej sytuacji, w jakiej tkwi teraz, tylko gorzej: nie znając jej końca. Czekaając, tęskniąc, podczas gdy jedyna osoba, która może ukoić tęsknotę, jest daleko, nie żyje. Strach, że on mógłby umrzeć, był silniejszy, gdy nie łączył ich żaden związek, niż wtedy, gdy byli razem, żyli razem, byli sobie najbliżsi. Wtedy czasem wyobrażała sobie jego śmierć, bo tylko ona uwolniłaby ją od niego i miłości do niego, która zajmowała tyle miejsca, pochłaniała tyle sił, była tak bolesna, czyniła ją tak podatną na zranienie, wystawiała ją na wszelkiego rodzaju próby, o których nigdy nie sądziła, że mogłaby je znieść i wytrzymać. Przyjaciółka ze Szwecji powiedziała kiedyś: – Powinno się być z mężczyzną, który sprawia, że czujesz się jak królowa! A Ida pomyślała: – Tak, to

prawda.

O nie, to nie takie proste.

– Dobry Boże. Nie pozwól mu umrzeć przed majem, przed dwunastym. Wrzuca monety do fontann i studni. Czy istnieje polityka zagraniczna, kryzysy rządowe, trzęsienia ziemi? Nie. Czy istnieje cokolwiek innego? Nie. Dzieci? Praca? Dobry Boże, pozwól mi normalnie oddychać, jak wcześniej, uspokój to bicie serca. Nie, nie odbieraj mi jedynej rzeczy, która coś znaczy, bo bez bicia serca, bez rozdzierającej tęsknoty jestem nikim, staję się jałowa, wszystko traci sens. O czym mam wtedy myśleć, na co czekać, co mogłoby mi to zastąpić. Dobry Boże, trochę mniej bicia serca, nie, nie wiem, co mówię, bredzę w malignie. Tak upływają dni do maja, wieczorami, nocami, gdy nie ma dzieci albo kiedy śpią, zdarza się, że zamiast nadziei i tęsknoty czuje głęboki smutek, ogarnia ją smutek, jest przepełniona albo zniszczona smutkiem. Zapada się w bólu, to tak, jakby upadać i zarazem obserwować upadek, to niekończący się ból, który doskwiera w tym samym czasie i równie mocno od zewnątrz i od środka.

Gdyby mogła to do czegoś porównać, to do pewnego razu w Kopenhadze. Wyjechała, żeby nie siedzieć w domu, gdy w radiu odbywała się

premiera jej pierwszej sztuki, żeby nie czytać recenzji następnego dnia, pojechała do przyjaciela swojego męża do Kopenhagi. Ponieważ mieszkała u przyjaciela męża, nie mogła wieczorami flirtować z mężczyznami na mieście. Ale pewnego wieczoru w barze stanęła obok kobiety, która nagle dotknęła jej ramienia, a Ida pozwoliła jej dotykać swego ramienia, kobieta pogładziła ją po policzku, a Ida pozwoliła gładzić się po policzku. Została pocałowana, odwzajemniła pocałunek i wyszła z tamtą do bocznego pomieszczenia, pozwoliła się dotykać i dotykała przypadkowej kobiety w Kopenhadze. Następnego dnia trzęsły się jej ręce na myśl o tym, dygotała, na myśl o tym czuła pożądanie. Podłoga kołysała się pod nią, miasto się kołysało, domy trzęsły się na bruku, działo się coś strasznego. Nadchodziło nieszczęście, ona je wyczuwała, było już w niej, mieszkało wewnątrz i czekało tylko, by objawić się w całej swojej grozie.

Mąż, były mąż, jak musi go teraz nazywać, chociaż na początku myli się i mówi o nim „mój mąż”, widzi, że mieszka w domu sama. Nie wprowadza się do niej żaden nowy mężczyzna. Nie ma żadnego skrywanego związku, który teraz może się rozwinąć i realizować publicznie. Nie został porzucony w taki sposób, na korzyść innego.

Dlatego łatwiej mu zachowywać się przyzwoicie. Dystans, to ważne. Jakże by inaczej. Jednej nocy śpią w tym samym łóżku i budzą się w tym samym łóżku. Każde pod swoją kołdrą, na swojej poduszce, ale na tym samym prześcieradle. Czy wyciera się ręcznikiem, który wisiał w tamtej łazience? Nie pamięta. Następnej nocy śpi sama, w innym domu i myśli, że on śpi sam w domu, z którego się wyprowadziła. Czy może zasnąć? Po czterech tygodniach były mąż znajduje sobie dziewczynę. Może Ida go kocha. Mogłoby się tak wydawać, kiedy słyszy o innej, nowej kobiecie. On dzwoni, kiedy ma do niej sprawę i czeka na zewnątrz, na schodach. Nie pyta: – Co robiłaś wczoraj? Dokąd idziesz? – jeśli nie zależy mu, żeby to wiedzieć. Odwiedza swojego przyjaciela w Kopenhadze, poznaje młodą kobietę i zostają parą. Dzwoni i egzaltowanym głosem pyta, czy dzieci mogą zostać u niej jeszcze przez kilka dni. Ona nie jest już obiektem. To nie jej przyniesie kawę do łóżka. Widzi to, śni o nim po nocach, śni się jej, że on ma na sobie ubranie ochronne, kiedy idzie do łóżka z tamtą, z nową, ma kask, maskę przeciwgazową i ogromne suspensorium. Może spotyka się z innymi, kiedy jest w Norwegii, a Dunka w Danii. Może spotyka się z nauczycielką dzieci, z kobietą z sąsiedniego domu. Może

spotyka się z jej przyjaciółkami w kawiarniach na mieście, gdy dzieci mieszkają u Idy. Wszystkie kobiety są prawdopodobne, dostępne dla niego, on jest przystojny i miły, a ona sama go porzuciła, dobrze jej tak. Może sypia z jej przyjaciółkami i opowiada im o rozwodzie. Może właśnie wyszły z jego łóżka, gdy Ida je spotyka, czy nie uśmiechają się dziwnie? Wiedzą coś, czego ona nie wie, a co mogłoby ją zranić, gdyby się dowiedziała. Czy znajduje u nich coś, czego jej zabrakło. Zauważa teraz, kiedy ma porównanie, że nie jest tak ciekawa, seksowna, interesująca, jak sobie wyobrażał. Spotyka inne, które sprawiają, że zmienia zdanie na jej temat, na temat małżeństwa z nią i dochodzi do wniosku, że to był błąd, że rozwód okazał się wybawieniem. Czy inne nagie kobiece ciała mogą sprawić, że zrozumie, że nigdy nie była dla niego tą właściwą, że zmieni zdanie o niej i ucieszy się z rozwodu? Co wtedy? Czy tak nie byłoby najlepiej? Czy chciałyby być tą właściwą dla mężczyzny, którego porzuciła? Ależ z ciebie egoistka, Ido. Nie wychodzi z domu, gdy jest u niego ta Dunka, żeby nie spotkać ich na ulicy, trzymających się za ręce. Czy może jednak go kocha, czy zrozumiała to teraz, kiedy go utraciła?

 Nie spotyka Dunki, ale gdyby ją spotkała,

podałaby jej rękę, przedstawiła się. Poznała jego kolejną partnerkę, pielęgniarkę, która potrafiła kaligrafować. To było w Boże Narodzenie. Wybierała się do Trondheim, żeby odwiedzić Erika Grøvera, siedziała w pociągu z dziećmi. Dzieci miały wysiąść w Røros, gdzie ich ojciec i kaligrafująca pielęgniarka mieli odebrać je ze stacji. Taka jest zdenerwowana, jak przed ustnym egzaminem. Pociąg zwalnia, ona raz za razem przelyka ślinę. Trzęsą się jej ręce, wiele razy wychodziła do toalety i przeglądała się w lustrze. Nie wyglądaj na zdenerwowaną albo przybitą. Nie wyglądaj na upokorzoną, samotną, nie zarozumiałą, nie przesadnie serdeczną. Pociąg hamuje. Dzieci siedzą w milczeniu, ubrane. Oto ojciec. Tak, to on, macha i biegnie za pociągiem, a za nim kobieta z długimi, ciemnymi włosami, ubrana w jego kurtkę. Dzieci stoją przy drzwiach, gotowe do wyjścia. Pociąg zatrzymuje się, Ida otwiera drzwi. Przed nimi staje jej były mąż, ojciec dzieci, a za nim, w jego kurtce, ciemnowłosa pielęgniarka, która zna się na kaligrafii.

– Hej – mówi Ida.

– Hej – odpowiada on.

Para z ust otacza ich na mrozie jak dym.

– Poznajmy się – mówi Ida i wyciąga rękę do pielęgniarki, która ściska ją, wita się i uśmiecha

ostrożnie. Zauważa, że pielęgniarka jest bardziej zdenerwowana, bardziej zdenerwowana od niej samej, ulżyło jej, że Ida nie jest zła, nie ma ostrego, odpychającego wyrazu twarzy, jaki mogłaby mieć. Dzieci stoją w śniegu. Ida głaszcze je po głowach, wchodzi do pociągu, pociąg rusza, a dwoje dużych i dwoje małych ludzi drepcze przez ośnieżony peron. Ida macha, dzieci machają i już jest po wszystkim. Opada na siedzenie. Już po wszystkim. Nie załamała się, nie straciła twarzy, dała radę.

Nadchodzi kwiecień. Nadchodzi koniec kwietnia. Nadchodzi maj. Pierwszy. Drugi. Trzeci maja. Niebo jest rozległe i niebieskie. Tulipany i narcyzy kwitną przed jej domem. Liście brzoź są drobne i lśniące. Przemyślała to tysiąc razy. Zaplanowała w szczegółach i zmieniała plany. W co się ubierze i jak przyjdzie na spotkanie, zdyszana i zaróżowiona, w ostatniej chwili, by myślał, że wcale się nie pojawi i poczuł rozczarowanie, a gdy ona jednak ukaże się w drzwiach, *uderzy* go miłość. Jak oświecenie, jak znak od Boga, tak jak ona to odczuła, jak przepłynęło to przez nią, gdy on zszedł schodami do Tostrupkjelleren, a z tyłu powiewała mu kurtka. Wtedy on poczuje tę samą siłę miłości i zniesie rozstanie. Zdoła powiedzieć: – Chcę

rozvodu. Oświadczyć dziecku: – Rozwiedzimy się, mama i ja. Liczyć łyżeczki, dzielić prezenty ślubne. Pytać: – Które chcesz?

Tak mało wiedziała. Taka była naiwna.

Kupiła nową bieliznę. Jest szósty maja, siódmy. Dziesiąty. Jedenastego wyjeżdża. Na liście uczestników, którą otrzymuje po przyjeździe do hotelu, ani w programie, który leży w teczce w jej pokoju, nie ma Arnolda Buska.

Jest ósma, nie może do niego zadzwonić, a *musi* wiedzieć. Próbuje do biura, ale tam go nie ma. To może być błąd. To na pewno tylko błąd. Jest pewna, że przyjdzie. Nie ma innej możliwości. Nie może zrezygnować. Czekala na to całe pół roku. Ubiera się, robi makijaż, przygotowuje się jak na jego przyjście. Ale rano w stołówce wpada na organizatora seminarium i pyta go tak spokojnie, jak tylko potrafi, chociaż drży jej głos. Arnold Busk poinformował, że się nie zjawi, nikt nie wie nic więcej. Musi wyjść i usiąść. Co teraz, co teraz począć. Musi do niego zadzwonić, biegnie na górę, do swojego pokoju i dzwoni do jego biura, ale nikt nie odbiera, na pewno przyjdzie później. Na każdej przerwie, gdy tylko ma okazję, przez cały dzień i następny wydzwania do niego, a on nie odbiera. Od czasu do czasu dzwoni na niedozwolony numer, przygotowana, by rzucić

słuchawką, gdy tylko ktoś odbierze, ale nikt nie odbiera. Nie przyjdzie, nie ma go. Jest gdzie indziej, właśnie teraz, gdy ona wyczerpana siedzi na hotelowym łóżku. Teraz, właśnie teraz, gdzie indziej, taki nierzeczywisty. Bo w tej historii, ich historii, jego na razie prawie nie ma, jest tylko zjawą, cieniem.

Czekała na maj i maj minął. Pada deszcz. Idzie w deszczu z Erikiem Grøverem i płacze. Może to teraz, razem z nim, po raz pierwszy pyta sama siebie, czy może chodzić o coś innego. Coś związanego z miłością, przeżywaniem odrzucenia, coś przywoływanego przez poczucie odrzucenia. Po zakończeniu seminarium wprowadza się do Erika. Śpią w jego obskurnym podwójnym łóżku pod krzywym sufitem, z którego zwisa uschnięta roślina, ale nie uprawiają seksu. On jest taki ciężki, jest skamieniały. Deszcz pada i pada. Ona dzwoni do gabinetu Arnolda Buska, on pewnego dnia odbiera telefon. Kiedy Ida się przedstawia, w jego głosie pojawia się cieplejszy ton, myślał o niej, myślał o seminarium. Jego ojciec skończył siedemdziesiąt lat, pojechał do niego z rodziną, mówi, dlatego nie było go na seminarium, dlatego musiał odwołać swój przyjazd. Opowiada o nieistotnych szczegółach. Mówi, że ojciec świętował siedemdziesiąte urodziny w hotelu Pers

w Geilo. Ona pyta, w nowy, spokojny sposób, czy może się z nim spotkać. Jej nowy sposób bycia go przeraża, ogarnia go strach i robi się surowszy. Ona chce całkiem zwyczajnie spotkać się z nim w ciągu dnia, w jego gabinecie. Nie flirtuje, to zbyt poważna sprawa. Mówi, że potrzebuje tego, by dowiedzieć się, czy to zakochanie, najmocniejsze, jakie kiedykolwiek przeżyła, dotyczy jego, Arnolda Buska, czy po prostu potrzebowała zakochania, siły, którą daje zakochanie, żeby podołać koniecznym rzeczom, przeprowadzić rozwód. Musi się tego dowiedzieć, by móc żyć dalej.

Czy Arnold może jej w tym pomóc?

On słucha jej w milczeniu po drugiej stronie linii. Nie odmawia, ale daje jej do zrozumienia, że domaga się czegoś, do czego nie ma prawa.

Pozwala jej przyjść do swego gabinetu następnego dnia o drugiej.

Idzie tam następnego dnia o drugiej. Udaje chłodną, jak mocno nie biłoby jej serce, byle nie myśleć, nie zatrzymywać się, doprowadzić rzecz do końca. Wejść na górę i nie dać sobą zawładnąć ciału, które krzyczy: Przestań, to boli, to niebezpieczne. Tego dnia nie pada. Tego dnia w Trondheim jest ciepło i świeci słońce. Nie widziała go od sześciu miesięcy, uprawiali wtedy seks, teraz jest rozwódką. Powiedział jej, które

piętro, które drzwi, ona puka, on zaprasza ją do środka. Siedzi tam, żywy. Ona stoi w drzwiach, on wskazuje ręką kanapę, ma w gabinecie kanapę, ale są zbyt blisko siebie. Czy sądził, że będą się całować, bzykać się na kanapie w gabinecie, że rzuci się na niego? Dopiero teraz, gdy już go poznała, przychodzi jej do głowy ta myśl. Pyta, czy mogą wyjść na zewnątrz.

– Chcesz wyjść? – pyta on z zaskoczeniem. Spogląda na zegarek. Ona chce tylko pięciu minut. On odpowiada, że ma godzinę. Wystarczy. Układa coś na biurku, wyłącza komputer. Jest zdenerwowany, ona już nie. Wychodzą, zachowują dystans, ona przysuwa się do ściany. Nic nie mówią, on wybiera ławkę przy drzwiach, by wszyscy mogli ich widzieć, siadają na przeciwnych jej końcach, to ona mówi. Jest szczerą. Opowiada jak jest. Nie wstydzi się, bo czego tu się wstydzić. To nic trudnego. Przez te wszystkie długie miesiące, aż do maja, przygotowywała się, chociaż na coś innego, oczekiwała czegoś innego, wypełnionej ludźmi sali konferencyjnej, kolacji na zakończenie, baru. Ale jej historia trzyma się kupy. Brakuje fundamentu, źródła, ale jest zrozumiała, ma sens. Tylko ona może wiedzieć, jakie to intensywne uczucie, jak bardzo bolało. On prawie na nią nie patrzy, bo kiedy na nią

spogląda, na jego twarzy maluje się miłość, zatraca się. Słucha, pali papierosa, zerka na nią od czasu do czasu, tylko po to, żeby się jej przyjrzeć i się zatraca.

Co on mówi. Mówi, że ma syna. Mówi, że jego żona ma trudną, wymagającą pracę. Mówi, że rozważają kolejne dziecko, ale on nie uważa tego za dobry pomysł. Mówi, że jego stary ojciec miał atak serca, że to dziedziczne. Spogląda na zegarek. Ona natychmiast wstaje, ale on mówi, że ma jeszcze pięć minut i Ida siada z powrotem. Teraz już się nie odzywa. Siedzą przez chwilę, po czym podnoszą się z miejsca. Mówią „cześć”, nie obejmują się, ona blednie. Nie obraca się, by na niego spojrzeć. Cieszy się, on ją kocha. Przez godzinę albo półtorej, może dwie, jest szczęśliwa. Biegnie do domu, do Erika i z podnieceniem opowiada mu o spotkaniu, kiedy powoli pojawia się myśl: I co teraz? Píše do niego list, podaje adres, wspomina, że będzie w mieście jeszcze przez kilka dni i daje mu numer telefonu Erika. Jeśli zechce, mogą się spotkać. Biegnie na pocztę główną i wysyła list. Może dostanie go już następnego dnia. *Musi* przyjść do biura następnego dnia. Ona jest w jego mieście, ale on nie dzwoni. Dzwoni i odkłada słuchawkę. Jest gorzej. Chodzi na nabrzeże, nad rzekę. Znowu

pada. Nie jest sama. Erik Grøver jest obok, ze wszystkimi swoimi problemami. Pragnie bić, szarpać i kąsać wszystkie kobiety. Biedak. Ona ma nadzieję. Aż do chwili, gdy wychodzi od Erika z walizką, wierzy, ma nadzieję, aż do chwili, gdy siedzi w samolocie powrotnym, ma nadzieję, że on przybiegnie za nią aż na lotnisko, wpadnie przez drzwi samolotu, ale tak się nie dzieje. Kończy się maj.

W domu nad morzem jest ciepło. Mewy na nabrzeżu. Róże rosnące wzdłuż drogi. Co teraz? Znaleźć innego? Gdy wszystko kręci się wokół niego. Skoro tylko on jest na świecie. Zapomnieć o nim. Pocałować innego. Próbuje żyć. Nie odmawia niczego. Tu, tam, wszystko, co może uśmierzyć, odsunąć. Pije. Upija się. Całuje innych. Sypia z innymi. Z lęku, kaca i wstydu dygocze o szarym świecie, dręczona nowym bólem, nie do wytrzymania. To trzęsienie ziemi. Spada na nią lawina. Teraz to następuje: wszystko, co stare, ulega zniszczeniu. To nie jej decyzja, to się po prostu dzieje. Jest tego częścią w niemy, lunatyczny sposób. Wolna od przeszłości, poza teraźniejszością, bez żadnego pomysłu na przyszłość, w przestrzeni unoszą się wszystkie możliwe uczucia.

Przedpołudniami, gdy dzieci bawią się

w ogrodzie, to czasem nadchodzi. Znienacka, tak że musi się położyć i nie może wstać. Dzieci bawią się na dworze i proszą o ciastka albo sok, ale nie jest w stanie im pomóc. Poczekajcie chwilę. Mama jest chora. Nie może się podnieść, nie może mówić. Trwa to pół godziny. Pożera ciało, przegryza się przez ciało, to właśnie się dzieje, przegryza się od środka i pożera, dziurawi ciało bez znieczulenia.

Za czwartym razem wie już, że to przejdzie. Że potrwa pół godziny, a potem powoli minie i będzie łatwiej niż wcześniej. Niektórzy mówią, że przeżywanie cierpienia to praca, i mają rację. Obserwuj kryzys, mówi książka. To dzięki niemu wiesz, że popełniasz błąd. Jeśli postrzegasz kryzys jako porażkę, która przypadkowo spada na ciebie nie wiadomo skąd, będzie cię tylko prześladował. Próbuje rozumować w ten sposób.

Za piątym razem powtarza sobie to samo, co przy drugim porodzie, można to porównać: teraz masz pracę do wykonania. Nie można sobie tego wyobrazić tak jak porodu, jeśli się go nie przechodziło, tak jak nie da się wyobrazić sobie głodu, gdy jest się sytym, pragnienia, kiedy się piło, wie się tylko, że istnieje taki ból, tkwi w ciele jako doświadczenie. Po piątym razie pyta siebie: co dzieje się tuż przed? Tuż przed zajmowała się pisanem. O czym pisała tuż przed? O sobie. Idzie

do komputera, zagląda do kalendarza i wyszukuje daty napadów bólu, zaznaczyła je czerwonymi gwiazdkami. Szuka stron z tymi datami, jest ich pięć, nigdy nie pisze więcej niż stronę dziennie, znajduje je. To jest to. Nóż. Kat naciska guzik. Skazany na śmierć stara się nie zemdleć ze strachu, żeby zachować godność. Nie krzyczy, nie próbuje uciekać, to zresztą niemożliwe, po prostu stoi i pozwala temu się dziać, bo co innego miałyby zrobić. To właśnie napisała, teraz jest kimś innym, tam stała się sobą, jeden wstrząs i oto Ida. To możliwe, od jednej chwili do drugiej. Ale może, myśli później, dużo później, kiedy przywykła już do siebie, to narastało powoli i nie spadło na nią tak niespodziewanie, jak sądziła. Czy nie to właśnie wprawiło w drżenie budynki w Kopenhadze tak dawno temu? Powoli, aż nadszedł czas, aż była w stanie to znieść, wkładało się w jej teksty i zdradzało swoją obecność.

Dzwoni zmartwiona do siostry. Nie zastanawia się, nie wolno jej się zastanawiać, została w to rzucona, walczy. Jeśli pojawi się ktoś przypadkowy, zadzwoni ktoś przypadkowy, będzie musiała to powiedzieć, bo nie istnieje nic innego, ale próbuje oddychać, być sama, dać sobie sama radę.

Odwraca się, ale to nie znika. Zamyka oczy, ale to nie znika. Czy to właśnie mi się przydarzyło, czy to dlatego? Kręci się w kółko, aż upadnie z zamroczenia, to tam jest. Nocą śni, a rano budzi się przepełniona snami i wygląda za okno, patrzy na kołyszące się gałęzie, to nadchodzi. Zjeżdża rowerem ze wzgórza, wiatr rozwiewa jej włosy, to tam jest. Pływie pod wodą, to nadchodzi, od wewnątrz, chociaż wydaje jej się, że otacza ją ze wszystkich stron jak ciśnienie, wpływa do niej i w nią, przez uszy, oczy, do ust i spływa gardłem, wciska się przez pory w skórze, do każdej komórki i pożera stare: inne.

Komu powiedzieć, że się zmieniłam. Nie jestem taka jak wcześniej. Komu powiedzieć, że stałam się kimś innym. Spotyka nauczyciela z podstawówki, który pyta, czy to nie Ida, ale ona kręci przecząco głową, bo nie.

Stopniowo, gdy nie wydaje się to już takie dramatyczne, próbuje opowiedzieć swoją nową historię komuś z rodziny. Nie wierzą jej. Uważają, że się myli. Nie widzicie tego? Patrzcie! – ma ochotę wykrzyknąć. W was też coś musiało ulec zniszczeniu, coś się w was rozpadło, bo człowiek nie ulega zniszczeniu samotnie. Mieszkaliśmy w tym samym domu, jadaliśmy przy tym samym stole, to nie mogło dotknąć tylko mnie, w taki czy

inny sposób dotknęło także i was. Coś przez cały czas było nie tak, a teraz ja znalazłam brakujący kawałek układanki!

– O czym ty gadasz? Opowiadasz głupoty. Zwariowałaś po prostu.

– Ale *jeśli* taka jest prawda, wyobraźcie sobie, że właśnie tak jest. Nie widzicie, że gdzieś tkwił błąd, gdzieś musiał tkwić błąd.

– Zwariowałaś. Weź się w garść.

– Ale pomyśl o tym tylko, poczuj to, no, po prostu spróbuj.

– Po co, po co to komu?

– Żeby zrozumieć.

– O czym ty gadasz? Nie wytrzymałaś rozwodu, nigdy nie powinnaś była tego robić, straciłaś rozum.

– Tylko przez chwilę! Wyobraź sobie, że to prawda i poczuj to przez chwilę. Nie widzicie, że coś jest z wami nie tak?

– Nie. Naprawdę nie.

Mniej więcej w ten sposób, chociaż nie dokładnie tak przebiegała ta rozmowa. Ponieważ nie była to rozmowa, ponieważ nie rozmawiali. Oszalała i chciała zarazić ich swoim szaleństwem. Zachorowała i chciała, by oni zapadli na tę samą chorobę. Zniszczyła swoje życie i chciała zniszczyć również ich życie, chciała ich zrujnować, bo sama

była zrujnowana. Ponieważ rozwiodła się z bezpieczeństwem, skrzywdziła siebie i swoich najbliższych, to chciała, by wszystkim stała się krzywda. Ponieważ nie dostała tego dziwnego Arnolda Buska z Trondheim, chciała wciągnąć wszystkich w swój wir.

– Nie jest sobą – mówią, gdy ktoś o nią pyta.

– To ten rozwód – mówią. – To nieszczęście, brzemię – mówią.

– A teraz uroiła sobie, że chodzi o dzieciństwo.

– Biedna – mówi rodzina, kiwają głowami, gdy o niej mowa. Gdyby zamknięto ją w szpitalu, byłoby im niemal łatwiej: patrzcie, jest nienormalna. Gdy spotykają kogoś, kto mówi: – Słyszałem jej ostatnią sztukę, była naprawdę dobra – czują wstyd, aż ich skręca, jakby usłyszeli złą wiadomość. Nie to, żeby jej nie kochali. Nie to, żeby nie było im przykro, że tracą kontakt, a ponieważ tracą, spotykają się coraz rzadziej, aż wreszcie już wcale, bo Ida zwariowała. To smutne, ale sama chciała tego szaleństwa i sama zdecydowała, by się z niego nie leczyć. Wręcz przeciwnie, kurczowo trzyma się tego szaleństwa, bez względu na cenę, na ich opinie, a co więcej, rozkoszuje się szalonymi wizjami ze sobą w roli głównej. Czy nie wystarczy, że zawsze zajmowała najwięcej miejsca, to jeszcze mają jej teraz

żałować?

To niemożliwe. To niemożliwe z jednej i drugiej strony, dla wszystkich. Nie mogą się spotykać, później nie mogą rozmawiać, patrzeć na siebie. Zapada milczenie. Tylko matka dzwoni z płaczem i prosi, by Ida wzięła się w garść. Dlaczego jest taka trudna? Czy nie mogą po prostu spędzać ze sobą czasu w zwyczajny sposób? Dlaczego wszystko musi być takie trudne? Wcześniej nie było takie trudne.

Jak wyjaśnić, że to nie ona wybrała, że to nie była jej decyzja, tak po prostu się sprawy mają, tak samo, jak *ma* się ciało.

Dwa rodzaje bólu. Paralizujący, jak podczas pięciu ataków. Cichy, który przechodzi niemal w śmierć, zbliżający do odpowiedzi, w pewien sposób święty, bez czasu. I ból kaca, niespokojny, pulsujący ucisk w piersi, kiedy była pijana, wygadywała głupoty, spotykała się z mężczyznami, traciła kontrolę. Budzi się sama z bijącym sercem, tak będzie się czuła przez cały dzień. Nie ma co żywić nadziei. Nie ma z kim porozmawiać. Nie ma z kim się podzielić, z kimś, kto czuje to samo, zawsze będzie samotna, jak to się potoczy, nie może znieść swojej własnej obecności, co ma ze sobą począć.

Gdy była malutka, serce potrafiło zabić jej

mocniej z samej radości życia. Teraz wydaje się to takie odległe, jak szaleństwo. W letni poranek, tak dziko szczęśliwa, że biegła przez pola z rozpostartymi rękami i szlochem dławiącym w gardle: To tak wiele! Nie mogę tego zatrzymać dla siebie! Muszę się z kimś podzielić! Przekonana, że nic nie może pójść źle, że nigdy nie będzie zawiedziona, tańcząca na polach, przepełniona błędnymi przeczuciami?

Jest teraz tak przesiąknięta bólem, że nigdy już nie poczuje radości. Gdy ból już nadszedł, nie można go schować ani też przez niego przejść, jest zbyt wielki. Gdy cierpisz, wykonujesz pracę, ale ta praca nie ma końca. Teraz dorastasz, Ido, powtarza sobie. Doprawdy? Każdy rozwój, mówi do siebie, zawiera ból. Doprawdy? Tracisz fragmenty samej siebie i wszystko, co było z nimi związane, wszystkie stosunki należy nawiązać na nowo, a niektórych się nie da, to po prostu dlatego.

Modli się do Boga, ale to nie pomaga. Sięga na półkę po Biblię, przegląda ją i pragnie się na nią otworzyć, ale bez skutku. Pisze do psychoanalityka, wołanie o pomoc, jak on to później określi. Jest zaskoczona, bo starała się być możliwie rzeczowa, możliwie sensowna, żeby nie wydać się niezrównoważoną, trudną, histeryczną i nie zostać odrzuconą. Czyta swoje słowa

wielokrotnie w ciągu nocy, samo ich spisanie pomaga. Drukuje list następnego dnia, z datą, imieniem, nazwiskiem i adresem, żeby nie sprawiać wrażenia impulsywnej, żeby nie wydawać się histeryczną, drażniącą, męczącą kobietą. Potrzebuję pomocy. Czy możesz mi pomóc? Wyciągnąć na powietrze, tam, gdzie można oddychać, bym mogła odrodzić się w powietrzu, z powietrza.

Wyjmuje albumy z fotografiami, przegląda je i spogląda na zdjęcia nowymi oczami. Wyciąga książki, które czytała jako dziecko i czyta je ponownie. Wyciąga książki, które czytała jako nastolatka, jako studentka, czyta je raz jeszcze, patrzy na własne podkreślenia i komentarze na marginesach. Znaki od tej, którą była, do tej, którą się stała. Z wielkim zakłopotaniem sięga po to, czego nie przeczytała, co odłożyła na bok, ominęła. Książki, które przerwała w połowie. Pocięte zdjęcia w albumie, z których wycięła siebie, bo uznała, że wygląda głupio albo brzydko. To właśnie te wycięte kawałki próbuje sobie przypomnieć, zrekonstruować usunięte zdjęcia, te, które zostały zmięte, wyrzucone i zniknęły. Sięga po najwcześniejsze wspomnienia, nieliczne wyraźne przebliski i próbuje przypomnieć sobie chwilę przed, chwilę po. Przypomina to

rekonstrukcję samolotu. Cywilizacja upada i jedyne, co po niej zostało, to wrak samolotu sprzed trzech tysięcy lat, który ich następcy próbują zrekonstruować. Sterta śrubek i długie, kolorowe przewody poukładane w rzędzie, a na samym środku miska sedesowa, z powodu okrągłego kształtu uznana za ołtarz.

Dzwoni psychoanalityk. Jasne przedpołudnie, słońce na dworze, dzieci są u niej, bawią się w ogródku. Musi jej tłumaczyć, o co chodzi, zupełnie zapomniała.

– Napisałaś do mnie list – mówi. List? Do kogo? Gdy sobie przypomina, pojawia się ciężar, słyszy go we własnym głosie, on również go wyczuwa. Idzie tam. Idzie do niego. On posyła ją do szpitala na test Rorschacha. Pokazują jej coś podobnego do zdjęć rentgenowskich i pytają, co widzi.

– Szkielety – odpowiada. – Wnętrznosci, płuca i żebra. Czaszki – odpowiada i zostaje zakwalifikowana na terapię u psychoanalityka, pięćset koron za wizytę, trzy razy w tygodniu, na koszt państwa. Jeśli nie przyjdzie, będzie musiała zapłacić z własnej kieszeni, bo powinna przychodzić, nie uciekać od bólu, gdy dotkną trudnych spraw, *oni*, terapeuta i ona, we dwoje, razem, żeby było jej lepiej.

– Ostrzegam cię – mówi człowiek od testu Rorschacha. – Ta analiza będzie miała ogromny wpływ na wszystkie stosunki w twoim życiu.

– Tak?

– Ogromny wpływ na twoje relacje z ludźmi.

– No i?

– Na twoje relacje z najbliższymi.

– Wszystko jest już zniszczone.

Kładzie się na kozetce i mówi. Ma być tak szczerą, jak tylko potrafi. Nie może wiedzieć, czy terapeuta jej słucha, nie widzi go. Może jej nie słucha, może pograżył się w rozmyślaniach, może się nudzi, może ziewa. Nie widzi go. On widzi ją, wie, że tam leży, ale nie widzi jej twarzy, nie ma sensu uśmiechać się ani poprawiać włosów. Są tylko słowa, tylko głos.

– Byłam ukochanym dzieckiem – mówi, tak rozpoczyna się książka o jej życiu, tak zawsze zaczyna. Słowa zawisają w powietrzu. Co ona powiedziała. Byłam ukochanym dzieckiem. Co ona wygaduje?

– Taaak... – mówi.

– Neeee... – mówi.

– To nieprawda – mówi. Nie jest w stanie nic powiedzieć. Teraz on się nudzi. Chodzi o to, żebyś mówiła, więc mów! Wszystkie słowa to kłamstwa, ranią uszy, to boli, Ida się wstydzi.

– Nie to miałam na myśli – mówi.
– Zapomnij o wszystkim – mówi.
– Chciałam powiedzieć, że... – mówi, ale nie wie, co chciała powiedzieć, co myśli, musi zacząć zupełnie od nowa.

– Nie byłam ukochanym dzieckiem – mówi, teraz lepiej, ale to boli, już zaczyna płakać.

Trzy razy w tygodniu przez dwa i pół roku, żeby wyciągnąć wnioski z porażek, tych z dawnych czasów i tych całkiem nowych, z utraty ukochanego Arnolda, ostatnie przypomniały o pierwszych, rozumie to, nowe poczucie porażki rozbudzone przez stare i uspięne. On jest sprawcą, rozumie to, ale kocha sprawcę. Próbuje niczego nie upiększać. Jest tak szczerą wobec siebie jak tylko potrafi, tak bezlitosną jak tylko może, w służbie dobrego, dla siebie samej, by może coś się później poprawiło.

Ale nie następuje to, co miało nastąpić. Nie zdarza się to, co powinno się zdarzyć, by terapia się powiodła. Nie ma żadnego przeniesienia. Nie wpuszcza go do środka. Arnold już tam jest, zajmując całą przestrzeń. Chce go tam mieć. Ida Heier, po dwóch i pół roku psychoanalizy wciąż jest zakochana w Arnoldzie Busku, a nie w swoim psychoterapeucie. Wpada do gabinetu nie patrząc na niego, kładzie się na kozetce, a kiedy on mówi,

że czas minął, wybiega na zewnątrz. On siedzi tam jako świadek, zmusza ją do opowiadania innej historii. Tylko dlatego, że siedzi tam i prawdopodobnie jej słucha, używa innych słów, postrzega to w inny sposób i opowiada o tym, co postrzega w nowy sposób, i coraz więcej rozumie. Tego właśnie pragnie. Ale to nie wystarczy. Dla psychoanalityka, dla analizy. Kluczyki do samochodu wysuwają się z kieszeni sukienki i zostają na kozetce. Wpada z powrotem do środka, gdy zauważa ich brak na parkingu na dole. Leżą już na jego biurku. Podszedł do kozetki i je zabrał.

– Wciąż u mnie czegoś zapominasz – mówi z naciskiem i patrzy na nią badawczo, po czym wyciąga rękę i podaje jej kluczyki. Co on sugeruje? Dlatego, że poprzedniego dnia zostawiła na kozetce spinkę. Wyślizgnęła się jej niepostrzeżenie z włosów, powiedział jej o tym, gdy stała w drzwiach, wskazując znacząco na kozetkę. Że wszystko jest działaniem podświadomości?

Czy marzy o mężczyźnie, który siedzi niewzruszenie i spokojnie w fotelu, podczas gdy ona toczy samotną walkę i wciąż musi przedzierać się przez tereny pełne przyczajonych snajperów, kryć się przed śmiercionośnymi kulami, czy od razu uznaje, że ten apatyczny mężczyzna na fotelu

to Arnold, chociaż psychoanalityk najwyraźniej wierzy, że ten siedzący w milczeniu mężczyzna to on sam. Co on sobie wyobraża, że Ida o nim marzy?

Nie podoba mu się, że Ida mówi o Arnoldzie. Wierci się w fotelu, gdy opowiada o ukochanym Arnoldzie z Trondheim, którego dawno nie widziała. Nudzi go to, trywialna historia miłosna, od której ona nie chce się uwolnić. Nie wierzy w jej miłość, nie wierzy, że kocha. Ona podejrzewa, że jego zdaniem Arnold jest przypadkowym obiektem dla jej silnych uczuć. Nieprzypadkowy jest jedynie fakt, że jest w związku, żonaty, że mieszka daleko, w innym mieście, w innym zakątku kraju, że na wszystkie możliwe sposoby jest poza zasięgiem, niedostępny. Dlatego go sobie wybrała, żeby poczuć porażkę i odrzucenie, to, co nigdy nie może zostać naprawione.

I kiedy psychoanalityk nie wierzy w moc, najpotężniejszą jaką kiedykolwiek poczuła, która wskazuje jedną drogę, która jest jednoznaczna, bez wątpienia, która pozwoliła jej zrozumieć poezję i dramat. I skoro tego fenomenu natury, który ona właśnie teraz przeżywa, tej MIŁOŚCI, pisanej wielkimi literami, nie ma w jego słowniku, czy on może jej pomóc? Trzy razy w tygodniu przez dwa i pół roku, i Ida wciąż upiera się, że kocha

Arnolda Buska. Stosunkowo pogodzona z nową opowieścią o sobie samej i równie mocno zakochana, kończy.

Arnold Busk został profesorem. Dowiedziała się o tym z gazety. Będzie uczestniczył w seminarium w Monachium, poświęconym Brechtowi, przy jego nazwisku znajduje się tytuł profesorski. Mówi o tym znajomym. Został profesorem. Wybiera się do Monachium i wygłosi wykład na seminarium o Brechcie. Mówi o nim ciągle, wszystkim, także gdy opowiada o innych rzeczach, mówi o nim albo o swojej miłości do niego. Omija tylko tych, którzy mogliby tej miłości zaszkodzić. Tych, którzy dobrze go znają albo znają jego żonę, do nich też mówi, ale inaczej, w wystudiowany sposób, by może się czegoś dowiedzieć. Ale swoim przyjaciołom opowiada otwarcie i bez przerwy o Arnoldzie Busku, zanudzając ich tymi opowieściami. Powtarza wciąż i wciąż co napisał, co powiedział, chociaż to, co napisał, napisał już dawno temu, a to, co powiedział, powiedział już dawno temu. Interpretuje jego zdania, słowo po słowie, na coraz to nowe sposoby. W dobre dni jako wyznania miłości i obietnice, w złe dni jako zdradę i odrzucenie. W jednej chwili twierdzi, że dobierał słowa z uwagą, w innej – że to sygnały z jego

podświadomości, zdradzające prawdę. Przechodzi przez nie raz za razem, zaangażowana tak samo albo i bardziej niż wtedy, gdy analizuje sztuki Ibsena w artykułach w „Tidsskrift”. Czasem ktoś zwraca jej uwagę na rzecz niepojętą – że większość ludzi nie jest zainteresowana profesorem z Trondheim tak mocno jak ona, wtedy się obraża. Dopiero później widzi bardzo wyraźnie, że wybierała towarzystwo ludzi, którzy go znali albo poznali, ludzi, którzy mogli dostarczyć jej o nim nowych informacji. Przyjaciół, znajomych albo przypadkowych ludzi, którzy z nim studiowali albo słuchali jego wykładu, albo współpracowali z nim w taki czy inny sposób. Tych, którzy nie stanowią ryzyka, pyta jak wyglądał, gdy go spotkali, co miał na sobie, co powiedział, co jadł, co pił, z kim przyszedł, a przede wszystkim z kim wyszedł. Jaki się wydawał. Smutny? Nieszczęśliwy? Taką ma nadzieję. Smutny i nieszczęśliwie zakochany. Chociaż rozmawia z kimś, kto widział go raz w życiu, wiele lat temu, zawsze ma nadzieję, że usłyszy, że Arnold wydawał się smutny i nieszczęśliwy, by mogła wyobrazić sobie, że jedyne szczęśliwe chwile w jego życiu do tej pory to chwile spędzone z nią, z Idą.

Gdy spotyka ludzi, którzy poznali jego żonę,

wypytuje ich, jak wyglądała, jaka się *wydawała*. Jeśli są to ludzie, których dobrze zna, pyta ich otwarcie, a jeśli ich nie zna, pyta w wystudiowany sposób i niby przypadkiem, ale zawsze o to samo: jak wygląda, jaka jest, jaka się *wydaje*. I zawsze ma nadzieję że usłyszy negatywną opinię, że jest szara, anonimowa, nieciekawa, albo lepiej: odpychająca, niesympatyczna. Ida tak intensywnie wpatruje się w swojego rozmówcę, tak płonie z oczekiwania, zadając to pytanie, że nawet najrzetelniejszy człowiek może wpaść w pułapkę i chcąc spełnić jej nieukrywane życzenia, opíše żonę Arnolda Buska, której prawie nie zna, słowami takimi jak mało interesująca i nudna.

Ida Heier potakuje z zapałem. Tak właśnie myślała.

Zdaje sobie sprawę, jak bardzo ich zamęcza, ale nie potrafi przestać. Tak samo jest z jego poprzednią żoną – jeśli wpadnie na kogoś, kto ją zna, błaga o jej bezlitosny opis. Ludzie wycofują się więc na jej widok. Tak samo jak rodzina, również inni zaczynają sądzić, że chodzi bardziej o zaburzenie niż o zakochanie. Dlatego stopniowo przestaje opowiadać otwarcie o swojej namiętności do Arnolda Buska, staje się on A., literą, którą wymawiać można tylko szeptem, przy nielicznych

wybrańcach i zapisywać w pamiętniku.

Wchodzi w nowe środowiska, które znają A. i jego pracę. Niby przypadkiem wspomina o sztuce, którą recenzował, o artykule, który napisał, o temacie, który niedawno poruszył w radiu i ma nadzieję, że rozmówca wymieni jego imię. Jeśli nie złapie przynęty, sama wspomina o tekście albo recenzji:

– Czytałam niedawno artykuł o jednej z wczesnych sztuk Brechta, napisał go ten... jak mu tam?

– Kto?

– No, ten facet od Brechta.

I nierzadko rozmówca wymienia jego, ukochanego, imię: – Arnold Busk?

– O, właśnie.

A jeśli tego nie zrobi, wspomni o nim sama. – Jakoś na A?... Arnold?...

– Busk! – prawdopodobnie odpowie rozmówca, a Ida przytaknie: – Tak, właśnie.

A jeśli nie, sama może dodać: – Chyba Busk. Arnold Busk, tak mi się wydaje – powie sceptycznie, jakby zupełnie nie zgadzała się z jego poglądami, żeby nie wzbudzać podejrzeń, oddech jej przyspiesza, gdy formuje słowa w ustach, jego imię, najpierw Arnold, a potem Busk, i gdy wypowiada je na głos, w przestrzeń, robi się jej

ciepło i czuje lekkie oszołomienie. Czasem odważa się być bardziej bezpośrednia i krytyczna: – Ten tam, Arnold Busk, który wiecznie lansuje się w mediach. Czy on nie wypadł już z obiegu?

Wiele osób kiwa potakująco głowami i zgadza się z Idą. Arnold Busk jest niemodny, passé, a Ida Heier nie gniewa się, że o jej tajemniczym ukochanym mówi się źle, po prostu cieszy się, że jest tematem rozmowy, że w danym momencie nie zajmuje się nim sama. Zdarza się, że jej replika wywołuje długą i agresywną tyradę atakującą Arnolda Buska, jego sposób pisania i myślenia, i Ida nie czuje się urażona, gdy jej ukochany i jego poglądy są opisywane w tak negatywny sposób, wręcz przeciwnie, dodaje mu to człowieczeństwa, przyziemności, ściąga z metafizycznych niebios i czyni bardziej dostępnym, osiągalnym.

Jeśli spotyka kogoś, kto nie zgadza się z jej negatywną opinią, kto broni Arnolda Buska i wylicza jego zalety, i jeśli jest to kobieta, natychmiast budzą się w niej podejrzenia. Kochanka, rywalka, tajemnica? A jeśli to mężczyzna, stara się do niego zbliżyć, żeby dowiedzieć się jak najwięcej, krytykuje Arnolda Buska zawzięcie i z uśmiechem, używając argumentów, których nauczyła się od jego przeciwników i przeciąga rozmowę, jakie to

słodkie uczucie, jak zemsta.

Nie interesują jej ludzie, którzy nie mogą nic jej powiedzieć o A., którzy w taki czy inny sposób nie stymulują w niej A. Po co miałyby wydawać im się interesująca i intrygująca? Mężczyźni, z którymi spędza jedną albo dwie noce, albo więcej, znają go. Inaczej nie zdołałaby pójść z nimi do łóżka, rozmawiać z nimi, gdyby mniej lub bardziej otwarcie nie mogła wspomnieć o A. Spotyka się z jego najlepszym przyjacielem i najbliższym współpracownikiem, dramaturgiem. Podszedł do niej podczas seminarium, w barze po obiedzie, a ona pozwoliła sobie na flirt z nim tylko dlatego, że jest najlepszym przyjacielem i współpracownikiem A., ponieważ flirtuje z nią w imieniu A., dotyka jej zamiast A. i na zlecenie A.

A. zwierzył się swojemu przyjacielowi, ponieważ nie może powstrzymać się od zwierzeń, tak samo jak ona nie może powstrzymać się od zwierzeń, zwierzył mu się w taki sposób, że wzbudziło to w jego przyjacielu, dramaturgu, pożądanie. Jego zaloty należy uważać za pozdrowienia od A. Duch A. unosi się nad łóżkiem i gdy Ida leży pod przyjacielem A., myśli tylko o nim i z nadzieją wyobraża sobie, jak przyjaciel wspomina A. o nocy spędzonej z Idą, jak w A.

budzi się zainteresowanie, jak zaczyna wypytywać, a przyjaciel uśmiecha się tajemniczo i mówi coś, czego nie da się źle zrozumieć, ale ku jego wielkiemu zaskoczeniu, ponieważ przyjaciel i dramaturg uważał stosunki łączące i A., i Idę za niewinną przygodę, romans, A. wychodzi z siebie ze złości i żąda prawdy. A kiedy ją usłyszy, wścieknie się z zazdrości i zrozumie, nareszcie i w jednej chwili, jak straszliwie i nieodwołalnie kocha ją, Idę Heier z Oslo. Uderzy go to tak, że nie zdoła usiedzieć na miejscu, będzie musiał zerwać się i ruszyć do drzwi, chwycić portfel i opuścić swój dom, swoją żonę, swoje dziecko, popędzić na lotnisko i złapać pierwszy, zbyt powolny samolot do Oslo, podniecony i zszokowany, chcąc wziąć ją, Idę, w ramiona, na zawsze, by to nigdy więcej się nie zdarzyło, by już żaden mężczyzna nie zbliżył się do niej, *jego* kobiety.

Wołanie tylko do niego. Jedyne człowiek na świecie. Pustka w jej ciele, zagłębienie waginy, stworzone tylko dla niego, ukochanego. Miejsce, w którym go brakuje, brakuje jego męskości.

Stawia kabałę, pyta kabałę, czy on ją kocha i nie przestaje układać kart, dopóki się nie poddadzą. Ida nie zazna spokoju, może siedzieć przez całą noc, by ujrzeć to, czego pragnie, dopiero wtedy może zasnąć, jest spokojna – może przez

cały następny dzień, może przez całą dobę.

Arnold Busk recenzuje nowości teatralne w programie radiowym „Na scenie”. Nadają go raz w tygodniu, w sobotnie południe o godzinie dwunastej. Jeśli nie co tydzień, to prawie co tydzień może usłyszeć głos Arnolda w radiu. Włącza radio w sobotnie przedpołudnie, o godzinie dwunastej, niespokojna, z bijącym sercem, żeby usłyszeć, jak spiker zapowiada wypowiedź Arnolda Buska. Staje się wtedy bardziej niespokojna, bardziej podniecona, gniewa się, gdy któreś z dzieci przychodzi, by o coś zapytać, czegoś *zaządać*. Na dźwięk jego głosu miękną jej nogi, to odpowiednie wyrażenie, chociaż siedzi z uchem zwróconym w stronę radia i jednym z dzieci na kolanach.

– Cicho. Posłuchaj – szepcze we włosy dziecka i kołszyje je. – Podoba ci się ten głos?

Córka odchyła główkę do tyłu i spogląda na nią, trzymając kciuk w buzi. Ida całuje ją w czoło i szepcze: – Ciii... Posłuchaj. Podoba ci się ten głos?

Córka kiwa ostrożnie głową. Słuchają i oddychają cichutko. Modulowany, w pewien sposób obcy głos. Ponieważ mówi w radiu, ponieważ to audycja na żywo. Ponieważ siedzi w studiu w Tyholt ze słuchawkami na uszach

i mówi do mikrofonu. Teraz jego głos sięga tam, gdzie powinien, to znaczy do Idy w Oslo. Pewny siebie, odległy, niemal zarozumiały głos. Niepodobny do nikogo, niepodobny do tego, który pewnego razu podczas szczytowania wyszeptał: – Kocham cię. Ona płonie z pożądania. Głos mówi o niemieckiej literaturze, przetłumaczonej i nie, współczesnej, klasycznej, tak wydaje się większości ludzi, kolegom i znajomych, jego żonie i synowi, którzy zasiadają razem z nim przy kuchennym stole z kawą i gazetami, gdy program jest nadawany o godzinie dwunastej w sobotnie południe. Tymczasem tak naprawdę on opowiada o swojej miłości. Swojej tęsknocie. O tym, jak to jest nie żyć z kimś, kogo się kocha. O nadziei. Dobrze zakamuflowany przed innymi, rozumie go tylko Ida. Ukryty za skomplikowaną analizą literacką, za długimi i ozdobnymi zdaniami pełnymi obco brzmiących słów, ale rozpoczyna zwrotką piosenki „My love, far away”, kończy prosto i lekko, a Ida słyszy czułe drzenie w jego głosie:

– Mimo tego na pozór pozbawionego znaczenia, na pozór niepowiązanego, przypadkowego działania, tak, na granicy surrealizmu albo absurdu, istnieje linia, ślad dla tych, którzy usłyszą go albo wyczują: utracona miłość. Miłość,

której nie można wypuścić w świat, która nie może się rozwinąć. A jednak nie wiemy, jak się to skończy, gdy opadnie kurtyna, że pozwolę sobie użyć takiego wyświechtanego określenia. Nie wiemy, czy tych dwoje, którzy pod koniec sztuki stoją obok siebie na scenie, wyciągając do siebie ramiona, pewnego dnia się do siebie zbliży, za kurtyną, zaraz po tym, jak kurtyna opadnie przed widownią, ponieważ zbliżenia miłosnego nie da się zrozumieć z zewnątrz, nie można go zobaczyć.

Ona jest w stanie pisać. To może robić. Sztukę o kobiecie, która oszalała z miłości. Pilnuje jednak, by wszystko dobrze się skończyło. By żyła dłużej od niego. Podstarzała Ofelia. Jej poprzednia sztuka została wyprodukowana. Niedługo będzie w radiu. W dniu emisji wybiera się na spacer. Była w radiu i słuchała jej, tak jak będzie jej słuchać z nielicznymi innymi ludźmi, którzy śledzą audycje teatralne w radiu, głównie staruszkami. Odsłuchuje automatyczną sekretarkę po powrocie do domu. Tego samego dnia w gazecie ukazał się artykuł z omówieniem sztuki i jej zdjęciem. Erik Grøver dzwoni, słyszał ją i mówi, że mu się podobało. Jej przyjaciółka słyszała i mówi, że jej się podobało. Ida się cieszy. Nie wie, czy słyszeli ją jej rodzice i rodzeństwo, to nic nie znaczy, napisała ją dawno temu, *wcześniej*.

Nie wie, czy słyssał ją Arnold Busk, ale nie wierzy, że nie. Miała ze sobą Arnolda-marynarza, tylko dla niego.

Dzwoni jeden z kolegów Arnolda Buska z instytutu germanistyki na Uniwersytecie w Trondheim i chce porozmawiać z nią o sztuce, o której napisała artykuł. Zgadza się. Zastanawia się, czy Arnold tam będzie, czy to jego sprawka. Znowu jest jesień, w Trondheim jest ciemno. Pada jak zwykle.

Przed spotkaniem umówiła się z jego kolegą, Leifem Asnesem, w kawiarni. On uśmiecha się, ona uznaje uśmiech za porozumiewawczy. Pyta o niemiecką sztukę i o jej własną. Ona myśli tylko o tym, czy Arnold tam będzie, czy idzie na spotkanie z nim po raz pierwszy od maja. Jest. Lokal pełen studentów, on siedzi za filarem wraz z innymi nauczycielami i udaje, że jej nie widzi. Arnold jest blisko, ale ona jest inną osobą, której on nie zna, tą, której udało się przeżyć. Przeszła przez ogień i wysłała nową sztukę poprzedniego dnia. Witają się wzrokiem, skinieniem głowy. Gdy ona mówi, on wpatruje się w ziemię. Nie potrafi na nią patrzeć, bo jeśli go na tym przyłapie, nie będzie mógł się ukryć, nie mając opuszczonej głowy. Może podnosi wzrok, gdy ona go spuszcza, szukając czegoś w papierach. Dopóki przebywają

w tym samym pomieszczeniu, ona jest odważniejsza.

Zaczyna się przerwa. On musi podejść i się przywitać, inaczej wyglądałoby to zbyt podejrzanie. Może wspomniał swoim kolegom, że ją zna. Może to on opowiedział im o jej artykule. Może to on na spotkaniu dotyczącym imprez organizowanych przez instytut zaproponował, żeby ją zaprosić. Musi do niej podejść. Ale być może widzi, że ona jest innym człowiekiem i boi się podwójnie, może zdradzić się przed nią, przed wszystkimi. Zbliża się z wahaniem w towarzystwie kolegi.

– Hej – mówi on.

– Hej – mówi ona.

– Jak się masz? – pyta on.

– Dobrze – odpowiada ona.

– Mam przerwę na uczelni – mówi on, ucieka wzrokiem w dół i w bok. – Piszę artykuł o Fauście – mówi. Cóż za nieistotne szczegóły.

Kolega chce wyjść i zapalić. Arnold próbuje go zatrzymać, wyciąga dłoń i łapie za rękaw kurtki, to odruch, żeby nie zostać z nią sam na sam, tego nie zniesie. Kolega spogląda na niego dziwnie, wyszarpuje rękaw i znika, teraz Arnold jest samotny i bezradny. Teraz, przez tę krótką chwilę wydaje się jej kompletnie niezrozumiałe, że

w innych sytuacjach, przez wszystkie pozostałe dni i noce, to ona boi się go i narzuca się mu ze swoimi uczuciami jak żebraczka. On i tylko on może obdarzyć ją łaską. A teraz nie ma odwagi spojrzeć jej w oczy. Pomaga mu, zagaduje. On z zaskoczeniem spostrzega jej obojętność, opanowanie, to jak nie musi się wysilać. Ona, autorka wszystkich desperackich listów, już go nie kocha.

Owszem, odpowiada wzrokiem. Owszem, wciąż cię kocham, po prostu jestem teraz w innym miejscu, jestem innym człowiekiem, mój drogi.

On mówi, że musi wyjść do toalety, obraca się i wychodzi, i dopiero gdy Ida widzi jego znikające w oddali plecy, czuje dobrze znany ból. Mógłby zostać, ale odchodzi, znika.

Po przerwie, po skończonym wykładzie, po dyskusji, w której on nie bierze udziału, instytut germanistyki proponuje swojemu gościowi piwo na mieście. Kolega Arnolda stoi obok niej i czeka, aż spakuje swoje rzeczy. Inni ruszyli już w deszczu do miejsca, gdzie zwykle spotykają się przy takich okazjach. Ona jest już gotowa do wyjścia, w płaszczu, z torbą na ramieniu, ale kolega, Leif Asnes, wciąż stoi w miejscu. Mówi, że czekają na Arnolda Buska, który poszedł na górę po swój płaszcz. Wychodzą na dwór, stają pod dachem

przy drzwiach wejściowych i czekają. Chwilę to trwa. Nie dlatego, że on nie jest w stanie, po prostu musi się opanować. Może popijał z butelki, przychodzi jej do głowy dużo później, gdy już zdążyła go dobrze poznać. W gabinecie trzyma butelkę, z której popija na wzmocnienie. Oto idzie on. Ta sama kurtka. Powiewa za nim tak samo jak ostatnim razem, którego Ida nigdy nie zapomni. Na dole jest ciemno, jest zimno, mży, trzymają ręce w kieszeniach i kulą ramiona.

– A więc wybierasz się do Rzymu? – pyta Arnold.

– Tak. Ida wybiera się do Rzymu. Dostarczyła nowy scenariusz i przyjaciel, który tymczasowo wynajmuje mieszkanie w Rzymie, zaprosił ją do siebie, a ona się zgodziła. Tak, wybiera się do Rzymu, jutro wyjeżdża, idealnie się składa. Wybierała się do miasta Arnolda Buska, być może miała spotkać się z nim, zapewne później pojawi się ból, jak zwykle, wtedy dobrze będzie wsiąść do samolotu i wyjechać daleko, do ciepła, i odwiedzić mężczyznę w Rzymie.

Sadzają ich razem. Nie wie, jak to się dzieje. Jakby bez słów wszyscy traktowali ich jak parę. Siedzą obok siebie, ale on rozmawia z gościem siedzącym po drugiej stronie. Nie szkodzi. Jego ciało i uwaga są zwrócone ku niej, ku Idzie,

nadstawia ku niej ucho. Młody mężczyzna pochyla się nad stołem w jej kierunku, komplementuje jakąś jej wypowiedź i chce podyskutować, ona robi mu miejsce po swojej drugiej stronie, wtedy Arnold Busk zrywa się gwałtownie, przewracając swoją szklankę i klnie, wyciera piwo ze spodni i oblewa się rumieńcem. Przechodzi pomiędzy stolikami do sąsiedniego stołu, pochyla się nad piękną, młodą kobietą, z zaskoczeniem przyglądającą się profesorowi, który właśnie teraz postanowił skomentować jej ostatnią pracę. Pięć minut później wraca, dopija swoje piwo i mówi, że musi już iść, przyjechał samochodem. Nie zwraca się do Idy, do nikogo właściwie, po prostu w przestrzeń. Idę *do domu*, mówi, porywa swój jasny płaszcz i znika. Teraz to nadchodzi. Jego plecy, ogolona głowa w drzwiach i już go nie ma,.

Ona dopija piwo. Zamawia kolejne. Próbuje się skupić, zająć tym, o czym rozmawiają ludzie, czymś innym. Pije szybko, zamawia jeszcze jedno piwo, wytrzymuje do końca spotkania, żeby nie być sama. Leif Asnes odwozi ją do hotelu. Wydaje się, że on też jest smutny, jakby czuł, że idzie obok kogoś, kto rozpada się na kawałki. Przed hotelem gładzi ją po policzku i mówi, że życzy jej wszystkiego dobrego, po czym odchodzi. Nie jest w stanie mu podziękować, gardło ma

ściśnięte. Na dworze jest ciemno i zimno. Wchodzi do pokoju nie zapalając światła, nie zasuwa zasłon, nie zdejmuje ubrania, kładzie się na łóżku, pod kołdrą, to chyba najgorszy moment, tak źle nie było już od dawna. Upada znowu, nie ma siły na kolejny upadek, ale nie może go powstrzymać, nie kontroluje tego, upada w ból i to jest nie do zniesienia. Jeśli tak to ma wyglądać, to nie wolno jej z nim się spotykać, nie wolno jej go oglądać. Jeśli takie są konsekwencje spotkań, należy ich unikać. Wydawało się jej, że wszystko pójdzie świetnie, cieszyła się na wyjazd do Rzymu, cieszyła się skończonym rękopisem, a teraz wszystko się zawaliło, nigdy już nie poczuje radości.

Przeżywała to już wcześniej. Rozsądek podpowiada, że to minie, że trzeba to przetrzymać, a przejdzie. Powtarza to sobie, ale nie wierzy w te słowa. Nigdy już się nie uśmiechnie.

Trwa to pół dnia. Pisze do niego w samolocie, popijając białe wino z małych butelek. Chce wyjaśnić mu, co się dzieje, jak działają na nią te spotkania, ponieważ być może to on stał za zaproszeniem, skoro się zjawił. Pisze, żeby podzielić się z nim świeżo nabytą wiedzą o sobie samej, żeby wyjaśnić mu, jakie to kruche, żeby więcej tego nie robił. W pewnym sensie jest to list

pożegnalny.

Kolega wychodzi po nią na lotnisko. W Rzymie jest ciepło. Zdejmuje ciężki płaszcz. W Rzymie jest jasno, świeci słońce. Zapach przypraw, brukowane uliczki. Jest gazowa kuchenka, czerwone wino i biały chleb. Podwójne łóżko. Są poranki i wieczory, i muzea pełne obrazów przedstawiających owoce, które trzeba prędko zjeść, żeby nie zgniły.

W domu znajduje w skrzynce odpowiedź.

Droga Ido. Chciałem się z tobą spotkać, kiedy byłem w Oslo, ale nie odważyłem się zadzwonić. Nie wiem, czy bałem się, że powiesz mi: spieprzaj, bezczelny gnojku. Bo nie chciałbym tego usłyszeć i nie chciałbym nim być. Chyba że chodziło o coś innego. Ale może moglibyśmy innym razem napić się czegoś i porozmawiać o najnowszych sztukach albo o pogodzie?

A propos Trondheim, mnie również nie wydało się przyjemne. A co się tyczy wielkich pytań, wciąż jeszcze nie wyszeptalem wiersza więcej niż trzem.

Poza tym nie mam szczęścia i myślę o innych rzeczach.

Wszystkiego dobrego,

Arnold

Myśli o innych rzeczach. O małych pytaniach. Jeśli chodzi o wielkie, takie jak miłość, nie

wyszeptał wiersza więcej niż trzem. Jakiego wiersza? Szeptaleś im wiersze. Czy to wiersze im szeptałeś? I nie więcej niż trzem. A ja jestem jedną z nich. Tysięczne dzięki, Arnoldzie.

Widzą się po raz pierwszy na seminarium pod koniec marca. Spędzają razem noc i pisują do siebie przez kilka miesięcy, spotykają się na początku czerwca, spędzają razem noc i popołudnie. Pisują, ale rzadziej, są letnie wakacje, sprawa robi się zbyt poważna, może wymyka się spod kontroli, ale nie potrafią przestać. Spotykają się kilkakrotnie jesienią, ale robi się tylko coraz groźniej, trudniej, trzeba to skończyć, rozstają się i nie spotykają aż do maja następnego roku, kiedy ona zmusza go do spotkania. Wtedy się rozwodzi i wyprowadza do własnego domu.

Potem spotykają się jesienią, ona zostaje zaproszona na uniwersytet w Trondheim i on tam jest, ona wciąż go kocha, ale on wraca do domu bez słowa, po prostu znika, a ona rozumie, że musi o nim zapomnieć. Pisze mu o tym i próbuje zapomnieć, uwolnić się, żeby nie żyć połową życia, żeby móc poznać kogoś innego, pokochać kogoś innego. Pisze do niego już nie po to, żeby go poruszyć, z tym dała sobie spokój, ale po to, żeby się opróżnić, ponieważ to pomaga, dobrze jej robi,

wyłącznie z własnego powodu. Zdarza się to coraz rzadziej.

Rozgląda się dookoła i kiedy wypije, przechodzi od razu do rzeczy. Zabiera ich ze sobą do domu albo idzie z nimi do ich domów, niektórzy później dzwonią, można czekać na inne telefony niż te głuche. Zapraszają ją na kolacje, a ona stroi się i czuje podekscytowanie, a pewnego wieczoru spotyka przyzwoitego, inteligentnego i zabawnego mężczyznę. Nocuje u niego, a rano, w drodze do domu jest podniecona, jedzie za szybko, po raz pierwszy od dawna czuje się radosna. On dzwoni. Przysyła książkę. Ona dziękuje. Piją piwo w pubie, ona spędza u niego noc, idą na spacer i on spędza u niej noc, rano robią śniadanie. Nie opowiada mu o Arnoldzie. Nie jest pewna, czy go to dotyczy. Spotkania z nim są jak zabawa. W jego starym mieszkaniu w śródmieściu, tramwaje stukają za oknem. Bez dzieci czuje się młoda jak on, bez zobowiązań jak on. Sterty książek na podłodze, stosy płyt na podłodze. Czerwone wino, krewetki smażone z czosnkiem, w nocy, na starej kuchence w wielkiej, niewyremontowanej kuchni, ona siedzi na krześle z pchłego targu, a on opowiada o swoim pobycie w Indiach. Ona tańczy nago w prawie pustych, wielkich pokojach. Uprawiają seks w kołyszącym się wodnym łóżku

i jest w stanie robić wszystko, czego wcześniej nie mogła, każda noc może być ostatnią. Nie pyta o plany na następny dzień. Na lato. Jedno z nich dzwoni i spotykają się, za każdym razem od nowa, za każdym razem jakby była to pierwsza wizyta, jakby się nie znali. On zaprasza ją na kolację, ona dzwoni do drzwi, oboje udają, że to ich pierwszy raz, jakby nigdy nie była u niego wcześniej, jakby nie uprawiali seksu, nigdy się nie pocałowali. Jak on to robi? Och, nie, nawet nie próbuj. Och tak, da sobie radę. Bierze ją do łóżka, ostrożnie, jakby to był pierwszy raz, brutalnie, jakby to był ostatni raz, tego nie wie nikt. Zimą, w ciemnościach, idą po lodzie na wyspę, gdzie gnieźdzą się ptaki. On marznie, pożyczka od niej wielki szal i obwiązuje nim głowę jak stara kobieta. Ona ma w torbie kawę i wódkę, on nic o tym nie wiedział, więc idą do domu, on rąbie na kawałki jej stare półki w garażu, żeby mieli opał na noc, ona w tym czasie zmienia pościel, a potem kładą się do łóżka i palą w kominku.

– Nazywam się Trond Hagfors! – mówi on, gdy dochodzi.

Gdy są u niej dzieci, on ma przyjaciół, projekty i pracę w wydawnictwie. Mieszka niedaleko gabinetu psychoanalityka, zdarza się, że czeka tam na nią, gdy dostrzeża jej samochód przed

budynkiem, ona wciąż tam chodzi. Nie spotyka się ze swoimi rodzicami, swoim rodzeństwem, starzy przyjaciele uważają, że nie jest już tą samą osobą, ale Trond stoi oparty o jej samochód, czeka i pali.

– No i?... – pyta.

Jest grudzień. Wieje wiatr. Dym rozwiewa się, zanim ona wyczuje go w powietrzu, ale zapach zostaje w jego brodzie, która łaskocze ją w szyję, między nogami, on obejmuje ją butelkowitzelonym rękawem kurtki, a jeśli trzeba, zabiera do domu i robi kawę.

– Jesteśmy parą?

Nie chce powiedzieć nie, ale nie może też odpowiedzieć, że tak. Kocha Arnolda. Gdy odbiera pocztę, wciąż ma nadzieję, że znajdzie od niego list, ale żaden nie przychodzi. Wciąż ma nadzieję, że zostawi jej wiadomość na automatycznej sekretarce, gdy ją odsłuchuje – nie ma żadnej – ale wciąż ma nadzieję i za każdym razem czuje się zawiedziona, rozczarowana, gdy niczego nie znajduje w skrzynce na listy, na sekretarce, żadnej wiadomości od mężczyzny, którego kocha. To trochę trwa, nie przechodzi od razu. Odpoczywa u Tronda i zapomina o tym u Tronda, na chwilę, dopóki trwa chwila, ale to nigdy nie przechodzi na dobre. Jeśli wypowiada życzenie, jeśli znajduje czterolistną koniczynkę albo dziesięć

øre, jeśli wrzuca monetę do fontanny, życzy sobie jego, Arnolda. W bibliotece wyszukuje jego nazwisko w gazetach i periodykach, i jeśli coś znajdzie, siada i czyta to uważnie z bijącym sercem, żeby się dowiedzieć, gdzie był, co robi, za każdym razem równie boleśnie, ponieważ z jego odpowiedzi na pytania, z jego opinii o nowym przekładzie Goethego nie wynika, by była częścią jego świata, a jednak nie potrafi przestać. Nie może być z Trondem.

Nie może iść przez miasto z Trondem, trzymając się za rękę. Nie może przedstawić Tronda innym, zabrać go do przyjaciół, znajomych, do kogokolwiek i powiedzieć: To jest Trond, mój nowy mężczyzna. To niemożliwe. Ale nie chce go też stracić, chce u niego bywać, sypiać z nim, przytulać go, a przede wszystkim być przytulaną.

– Leży obok mnie dziecko – mówi on. – Dziecko w trudnym wieku.

Śnią jej się dziwne rzeczy, więc on kupuje sennik, pewnego wieczoru przed zaśnięciem prosi sny o radę: Co się wydarzy? Co powinnam zrobić? Podświadomości, odpowiedz!

– Będziemy razem? – pyta on. Jest luty. Słońce nad miastem. Dym powoli unosi się w przejrzystym powietrzu. Idzie z nim do pracy przez szary park, on jest blady. – Chcesz ze mną

być?

Pochyla się ku niemu, jest wysoki, kryje twarz w zagłębieniu rękawa jego kurtki, gryzie go w szyję, przy uchu.

– To jest odpowiedź?

Odwracają się i idą z powrotem. On dzwoni i mówi, że nie przyjdzie. Cały dzień w miękkim, kołyszącym się łóżku, aż do wieczora. Wciąż Arnold, to się nigdy nie skończy. Nic nie jest całkiem dobre, całkiem prawdziwe, całkiem radosne, nic nie jest pełne, zawsze czegoś brakuje. Czy to się nigdy nie skończy. Wychodzą na miasto coś zjeść, picie pomaga, ale rano zawsze czegoś brakuje, coś utraciła, zawsze czuje jakby za chwilę miała się rozplakać, idą przez szary park do jego pracy, ona tylko szepcze.

– Czuję, że wszyscy widzą, że byłam wczoraj pijana.

– Czuję, że wszyscy widzą, że jestem zakochany.

– Nie ma się przecież czego wstydzić.

– A co, jeśli ktoś zobaczy nas razem.

On wynajmuje domek w górach i ją zaprasza. Dzieci są u swojego ojca, nie musi nikogo pytać, nikomu się meldować, jeśli zniknie, nikt nie będzie się zastanawiał, nikt nie będzie za nią tęsknił, poza Trondem. Trond jest samotny, jak

ona. Pakują rzeczy do samochodu: kurtki, ubrania, piżamy, ręczniki. Po drodze zatrzymują się na zakupy: śniadanie, lunch, kolacja, wino. On pobrząkuje kluczami: Jedziemy na wycieczkę.

Ona prowadzi, on pije piwo i czyta jej na głos Thomasa Bernharda, gdy zapada zmrok. Teraz wydaje się to niewiarygodne, dużo później to wciąż wydaje się niewiarygodne, jak blisko było się z człowiekiem, z którym się już nie widuje, którego zapach zdążyło się zapomnieć. Ta jazda samochodem wydaje się teraz taka nierzeczywista, dojazd na miejsce, niemożliwe, że razem przedzierali się przez śnieg. To, jak sprząтали, jak szli nieodśnieżonymi drogami i rozmawiali, nie do wiary. Ona opowiada o Arnoldzie. On zna Arnolda. Pracuje w jego wydawnictwie i ma regularny kontakt z Arnoldem Buskiem. Co on na to. Pali. Przyjemnie pachnie, ubrania ma przesiąknięte zapachem papierosów palonych w zimowym powietrzu, tak samo brodę. Pali w obcy, męski sposób. Unosi rękę do ust, ona ma wtedy ochotę być bliżej niego. Co on o tym sądzi. Nic nie odpowiada. Patrzy przed siebie. Marszczy brwi, ma surowe spojrzenie i patrzy przed siebie, nie na nią. Potem odwraca się, ona musi patrzeć przed siebie, na drogę. On kręci głową, patrzy przed siebie i milczy, spojrzenie

wciąż ma surowe. Czy potraktował to poważnie, czy nie. Arnold Busk ma żonę i dzieci, Arnold Busk mieszka w Trondheim. Trond siedzi obok niej, idzie obok niej pustą drogą przez płaskowyż, kładzie się obok niej w nocy, kładzie się na niej w nocy, w świeżo pościelonym łóżku, wkrótce docierają na miejsce, ścielą łóżko, piją czerwone wino przed kominkiem, rozmawiają, kładą się i rozmawiają dalej. Ona bierze go za ramię, trzyma go za ramię.

Czy to jest przyjemne. Czy to jest smutne. Później uznała, że wtedy nic nie było pewne, tamten czas rządził się własnymi prawami. Wtedy nie miała żadnej pewności, nie mogła nawet domyślać się, jak to będzie, jak skończy się to, co się wówczas zaczynało, co zapamiętała. Czy czas zatrzymuje się, gdy człowiek sam nie wie, co czuje, co się wydarzy, kiedy pyta poważnie i całkiem otwarcie.

Prowadzi coroczne spotkanie Związku Dramatopisarzy. Sekretarka podsuwa jej przez stół karteczkę ze słowami: Arnold teraz może.

Dzwonił? Sztywnieje. Jest teraz w Oslo? Właśnie teraz może? Siedzi w kawiarni i się nudzi, nie zdążył na samolot i teraz oczekuje, że ona rzuci wszystkie swoje sprawy i ucieknie od wszystkiego, żeby się z nim spotkać. Prowadzi

spotkanie, jest naprawdę zajęta, co on sobie wyobraża? Patrzy na sekretarkę, uśmiecha się w odpowiedzi. Dzwonił? – pyta szeptem. – Skąd wiesz? – Przyszedł – odpowiada ona i wskazuje głową salę. – Jest tutaj.

Siedzi tam poeta, który miał czytać wiersz na otwarciu, ale nie przyszedł, spóźnił się, Arnold André Olsen. Sama go zaprosiła, zadzwoniła, zapytała go i wysłała pisemne potwierdzenie zaproszenia, wypisała jego nazwisko na kopercie, ale ani przez chwilę nie myślała o nim jako o Arnoldzie, Arnold jest tylko jeden.

Czasem przychodzi jej do głowy: Teraz o nim nie myślałam! Wtedy się cieszy. Może jej przechodzi. Potem upada znowu. Na kacu albo z jakiegoś innego powodu.

Trond pyta: – Czego ode mnie chcesz?

Zdarza mu się zadzwonić do pracy i powiedzieć, że nie przyjdzie, leżą wtedy w łóżku cały dzień. Pilnuje tylko, żeby przeczytać to co powinien na poniedziałkowe spotkania, oczyścić na czas manuskrypty, za które jest odpowiedzialny. Czy słusznie postępuje, nie rozmawia z Arnoldem Buskiem tak często jak kiedyś.

Ona zaczyna wątpić, czy to się wydarzy. Ma wrażenie, że marnuje czas, dni, życie. Pragnie

zostawić to za sobą, przejść przez to, zacząć od nowa w innym miejscu, potrzebuje słowa „nie”.

Nie widzieli się od czasu spotkania w Trondheim jesienią. A wcześniej w maju, na ławce. Dwa razy w ciągu roku, łącznie dwie godziny i trzy kwadransy w ciągu roku. Bez dotykania, bez telefonów, to znaczy NIE, a jednak musi to usłyszeć. Być może to w ogóle nie pomoże, na nic się nie zda, a jednak musi spróbować.

Pisze list, po raz pierwszy od dawna, rzeczowy i zwięzły, bez narzucania się. Jedyne pytanie, jedyne życzenie, chodzi o moje życie. Powiedz „nie”. Napisz, że to niemożliwe. Odepchnij mnie.

Dostaje w odpowiedzi pocztówkę. Na awersie jest reprodukcja *Le monde perdu* Magritte'a. „Paysage, personnage perdant la memoire, corps de femme, cheval.” Nadana w Trondheim, ale kupiona w Sztokholmie poprzedniego dnia. Żeby jej powiedzieć, że bywał za granicą, w wielkim świecie?

Droga Ido. Dziękuję za list. Kupiłem tę pocztówkę wczoraj w Sztokholmie. Zasługujesz na lepszą odpowiedź. Plucha, topniejący śnieg od Arnolda.

Czy chciał, żeby poczuła się od tego poetycznie? Plucha, topniejący śnieg od Arnolda. Czy to dlatego, że jest wiosna i topnieje śnieg? Czy po to,

żeby się nad tym głowiła, żeby uznała, że to Arnold topnieje?

Idiota. Tchórz.

To lepsze niż „nie”. Głupsze niż „nie”.

Mężczyzna napisałby „nie”.

Czas łaski się skończył.

„Mała pasja” została przyjęta na konkurs dramaturgów radiowych w Amsterdamie, Ida dostała z tej okazji zaproszenie. Światło kwietnia po zimie. Śnieg stopniał, nie ma już pluchy. Ale jestem szczęśliwa, napisała w pamiętniku. I lekko przerażona. To możliwe.

Trond też się zjawi. Był tam już wcześniej. Ona siedzi w samolocie, w kwietniowym świetle, wysoko ponad wszystkim. Buty stukają na bruku w Amsterdamie. Idzie na wielką uroczystość samotnie. Czyżby aż do teraz nie była wolna? Nic się nie komplikuje. Idzie do hotelu z nowym poczuciem faktycznej wiosny, jakby przeżywanej po raz pierwszy. Pokój znajduje się na dziewiątym piętrze, zasiada przy wielkim oknie i spogląda na miasto. Z wysokości, zza szkła. Na dole migoczące światła, pod nią wszystko jest spokojne, świat cichy. Dzieci bezpieczne w domu swego ojca. Dom czeka cierpliwie. Zostaje wywołana na scenę, otrzymuje oprawiony dyplom. Jej słowa, z ciemności zamglonego umysłu, odczytywane są

w dziennym świetle, zostały wysłane, przetłumaczone, wypowiedziane obcymi głosami pełnymi powagi, jakby mówiącymi o sobie. Ona istnieje, wyśpiewuje się to, o czym nie wolno mówić.

Przedpołudnie. Puste ulice, słońce. Ma spotkać się z nim w recepcji Grand Hotelu Krasnapolsky. To jego propozycja, to on zna miasto. Kupiła mapę i nowe okulary przeciwsłoneczne, usiadła w kawiarni i popija kawę. Niedługo spotka się z Trondem, cieszy się, tęskni za nim. On chodzi teraz po tym mieście i o niej myśli. Czuje to, myśli o nim i o Arnoldzie. Ma na sobie skórzaną kurtkę, pachnącą skórą i papierosami. Gdy przychodzi, on się rozpromienia, nie może się powstrzymać. Ona ma buty, w których wygodnie się chodzi, które stukają o bruk, brzmi to prawie jak ćwierkanie ptaków. Jest śliczna, bo jest szczęśliwa, cieszy się, że on ją taką zobaczy. Znajduje miejsce na planie miasta. Jeszcze pół kilometra, jeszcze ćwierć, wreszcie się spotykają, czuje jego ramiona wokół siebie. Gdyby tylko Arnold mógł to zobaczyć. Jaka śliczna, jaka szczęśliwa siedzi w kawiarni. Jak jej dobrze bez niego. Jak cieszy się na spotkanie z innym mężczyzną, nie z nim. Gdyby ktoś mógł przechodzić obok, jakiś jego znajomy, i później mu o tym wspomnieć, żeby pożałował.

On siedzi za szklaną szybą w zimowym ogródku hotelowym, dobrze trafiła. Ma skórzaną kurtkę, papierosa i surowe spojrzenie. Teraz ona się cieszy. Nie może przestać. Próbuje nie stracić nad sobą kontroli, ale traci ją i tak. Całuje go, siada mu na kolanach, łaskocze go, zamawiają piwo, teraz mają wolne. On próbuje nie zachowywać się jak młody chłopak, ale jest młodym chłopakiem. Ona kupuje skórzaną kurtkę, podobną do jego kurtki, pachnącą jak jego kurtka, pali jak on. Kupuje szampana i staroświeckie kieliszki o szerokich czaszach, siadają wieczorem przy moście i wznoszą toast za „Małą pasję”, a on pyta:

– Będziemy parą?

– Tak – mówi ona, on spogląda na nią z zaskoczeniem.

– Naprawdę?

– Tak. Naprawdę.

– Czy coś się stanie, jeśli się dzisiaj upiję?

Jest maj. Ona stoi na Fornebu. Wybiera się w odwiedziny do Erika Grøvera w Trondheim. Niedawno oddała „Tidsskrift” do druku i jest szczęśliwa. Ma na sobie letnią sukienkę i dzinsową kurtkę, pachnącą dymem, bo pożyczyła ją od swojego chłopaka. On pali papierosy, kurtka nim pachnie. Niedawno skończyła się z nim

kochać. Przychodzi od niego. Zajrzała do niego w drodze na lotnisko, siedział na małym tarasie i czytał, kiedy weszła w letniej sukience. Ciepło, pierwszy dzień lata, uniósł jej sukienkę i kochali się na tarasie, szybko, żeby zdążyła na samolot, więc jeszcze nim pachnie. – Zabieram ją – powiedziała i zerwała kurtkę z wieszaka przy wyjściu, a on nic nie powiedział.

Rano spryskała się tymi perfumami, których użyła, gdy *ona i on* po raz pierwszy poszli ze sobą do łóżka. Z takiego czy innego powodu, pierwszy raz w tym roku, wyjęła *te* perfumy z szafki. Pod dzinsową kurtką swojego mężczyzny czuje zapach własnych perfum, których nie używała do czasu ostatniego spotkania z Arnoldem, przed prawie rokiem. Żeby zapach nie przyłgnał do innych wspomnień i innych przeżyć niż *tamte, z nim, wtedy*. Nie używała ich w innych sytuacjach, żeby ich nie zużyć i nie mieszać tych wspomnień z innymi. Również dlatego, że mogło to sprawić jej ból, zapach mógł przypomnieć jej o bólu. Ale teraz poczuła się bezpiecznie. I ból nie nadszedł, ból zastąpiła swoista melancholia, która może zająć miejsce podniecenia, optymizmu, jak tego dnia, jak teraz.

Ponieważ się kochała. Ponieważ kochała się z mężczyzną, który jest w niej zakochany, a kiedy

ktoś jest zakochany w kimś innym, jak Trond w niej, i jak ona w *nim*, w Arnoldzie, to zakochanie udziela się i Ida czuje się, nie równie mocno, ale zakochana. Tak Ida zakochała się w Trondzie, i tak Arnold musi być zakochany w Idzie, a pewnego razu zostaną parą. Ponieważ ma na ramionach kurtkę zakochanego mężczyzny, która nim pachnie. Stoi na Fornebu. Na dole przy bramkach, jak najdalej od hali odlotów, stoi w budce telefonicznej i rozmawia z Erikiem Grøverem, informując go, którym samolot przyleci. Ostatni samolot, jest późno, zapada wieczór, jasnoszare, wiosenne światło za oknami, jest ciepło. Pachnie wiosną. Pachnie wieczorem. Stoi w budce telefonicznej przed toaletami i rozmawia z Erikiem Grøverem, gdy nagle zauważa, że przy bramce 22 do Trondheim zaczyna się check-in i Arnold Busk podnosi się z siedzenia z teczką z dokumentami w jednej dłoni, i biletami na samolot w drugiej.

– Zgadnij, kogo teraz widzę? – mamrocze do słuchawki.

– Arnolda?

Przeszedł obok, idzie po asfaltowej płycie do samolotu, ona stoi przy budce telefonicznej i czeka. Nie widziała go od czasu spotkania w instytucie w listopadzie. Idzie do bramki, jest ostatnia. Pokazuje bilet i wychodzi na wieczór, wiosenne światło, zapach wiosny. Nie jest tak zdenerwowana, jak mogłaby się spodziewać, gdyby ktoś powiedział jej, że spotka go przypadkiem, w taki sposób. Może usiadł zupełnie z tyłu i nie zobaczy się z nim. Może usiąść na samym przedzie i nie zobaczyć się z nim, uśmiecha się, bo nie jest zdenerwowana, bo nie drży. Zrzuciła to z siebie, jest wolna. Nie jest już tą samą osobą. Gdy coś się zmienia, zmienia się wszystko. On siedzi zupełnie z przodu, ona domyśla się, że ją zauważył. Usiadł na samym przedzie, by na pewno się z nią spotkać, położył gazety na siedzeniu obok, jakby chciał je zająć, a kiedy Ida pojawia się w drzwiach, chce je zabrać, jakby to było coś oczywistego, że ona ma tam usiąść, jak gdyby nigdy nic, jakby byli starymi przyjaciółmi.

– Nie mam siły z tobą teraz rozmawiać – mówi i przechodzi obok, bo taka jest prawda. To zbyt nieoczekiwane, nie dałaby rady, siada daleko z tyłu, uśmiecha się i cieszy, że leci tym samym samolotem, co on. Najważniejszy człowiek w jej życiu, poza dziećmi, nie można tego porównać,

siedzi z przodu w na wpół pustym samolocie do Trondheim. Miesiącami, latami myślała o nim, przez cały czas. Myślała też o innych rzeczach, o innych ludziach, miała pracę, ale przez cały czas myślała o nim. On tam siedzi, ona liczy, piętnaście rzędów od niej, nie widzi jego głowy ani gazety. Podczas ich ostatnich spotkań, w maju, w listopadzie, była przygotowana. Nie może po prostu usiąść obok niego i zabawiać go rozmową aż do Trondheim. Z nim może rozmawiać tylko o wielkich pytaniach. Kochasz mnie? Przyjedziesz do mnie? Będziemy razem? Kiedy? Wszystko inne jest obojętne. Czy ma z nim dyskutować o artykułach w prasie? Miłość to poważna sprawa. Nie ma nic poważniejszego, poza śmiercią. On stoi na dole, przy taśmie bagażowej i na nią czeka. Nie ma bagażu, czeka na nią. Pyta, dokąd się wybiera. Ma samochód i mówi, że może ją podwieźć. Ona zgadza się, bo co ma innego do roboty. Wypiła w samolocie piwo i jest spokojniejsza. Wychodzą, w Trondheim jest chłodniej niż w domu. Od czasu, gdy wylecieli z Oslo, zdążył zapaść zmrok. Jest tak ciemno, jak może być w Trondheim w maju. Palą się latarnie uliczne. Ich blask nadaje światłu jasnoróżową barwę. On mówi, że wygłosił wykład o Brechcie w instytucie Goethego. Samochód jest biały, kładzie teczkę z dokumentami na

bagażniku, otwiera ją i szuka kluczyków. W teczce leży ozdobna papierośnica i jednorazowa zapalniczka. Trzy czarne długopisy i jeden czerwony. Maszynopis, blok w linie z notatkami. Otwarty list z jego nazwiskiem i adresem, napisanymi na kopercie kobiecym charakterem pisma. Wycinek z gazety złożony tak, że nie widzi nagłówka. Nosi srebrny, wąski zegarek, a na jednej ręce obrączkę, której wcześniej nie widziała. Trzy znaczki, korkociąg, teraz zamyka teczkę. Wsiadają do samochodu. On wsiada, wychyla się i otwiera jej drzwi. Samochód jest czysty. Na desce rozdzielczej leży paczka gum do żucia, to wszystko, fotelik dla dziecka z tyłu. Nic nie leży na podłodze, żadnych papierków po lodach ani ogryzków. Nie pamięta, o czym rozmawiali. Była podniecona, uśmiechnięta, w lekkiej euforii, to pamięta, tak, mówiła o wskakiwaniu na głęboką wodę, pod znakiem Koziorożca, gdy ma się kamizelkę ratunkową, o telefonie do „Adresseavisen” i telefonie do autorki horoskopów, astrolożki Wendy Manters z Londynu, i śmiała się sama z siebie, ale była szalona! Domyślała się, że on nie był zachwycony, ale ona się zmieniła.

Pyta, gdzie ma ją wysadzić, ona podaje mu adres. On wspomina, że kiedyś mieszkał

niedaleko. Syn chodził do przedszkola dwie przecznice dalej, takie dziwne szczegóły, które zupełnie jej nie interesują. Między nimi jest tylko jedna, jedyna sprawa, albo-albo. On chce wiedzieć, do kogo się wybiera, ale ona nic nie odpowiada. On wie o Trondzie. Z gazety. Trond w jednym artykule pochwalił jej sztukę i skrytykował jakąś powieść, i autor powieści napisał gniewny list, w którym zarzucił Trondowi Hagforsowi, że jest niewiarygodny w ocenie Idy Heier, ponieważ mieszkają razem. Trond dokupił jeszcze jedno krzesło na pchlim targu i Ida pomagała mu nieść je przez uliczki na Majorstua do jego mieszkania, wtedy zaczęły krążyć plotki. Trond napisał w swojej obronie, że nie jest partnerem Idy Heier, a obrażony autor powieści odpisał, że nawet jeśli nie zawarli konkubinatu, to na pewno są sobie dość bliscy, w każdym razie Trond nie jest wiarygodny i na to Trond już nie odpowiedział. Owszem, Arnold wie o Trondzie. Zastanawia się, kogo odwiedza w Trondheim, czy może jakiegoś mężczyznę. Ida nic nie mówi. Zbliżają się do ulicy, na której ma wysiąść. On niby przypadkiem wspomina o swoich planach na najbliższą przyszłość. Między innymi będzie za dwa tygodnie w Oslo, przejazdem w drodze do Niemiec, gdzie spędzi trochę czasu, tłumacząc nieznanne teksty

Brechta, które zostaną wydane po raz pierwszy. Ona nie korzysta z okazji. Nie mówi: możemy się wtedy spotkać. Albo: zadzwoń wtedy. Tego właśnie by chciał, ale ona nic nie mówi, jeśli on sam nie potrafi, to nic z tego.

– Ach, tak – odpowiada. Tylko tyle. On nie wpadnie na to, by jej dotknąć, ona jest nieprzystępna. Nie przyjdzie mu do głowy, by się ku niej pochylić, uścisnąć, pogłodzić ją po policzku, bo nie wie, w jakim ona jest teraz stanie. Nie potrafi, w porządku, tak musi być. Jest dla niego nową osobą. Musi na nowo odnaleźć do niej drogę i od nowa ją poznać. A jednak w samochodzie coś między nimi narasta. Patrzy na jej dekolt i mówi, że rozpoznaje perfumy. To właśnie mówi.

Nie wychodzi z domu, gdy on jest w Oslo, żeby nie ryzykować, że zadzwoni, gdy jej akurat nie będzie. Nie wychodzi też następnego dnia, gdyby przypadkiem miał zadzwonić, a jej akurat nie będzie. Dzwoni przyjaciółka z teatrologii i wspomina, że spotkała Arnolda w Herregårdskroa poprzedniego wieczoru, siedział samotnie przy stole, więc zaprosiła go do ich stolika, wypił z nimi kilka piw i dobrze się bawili.

– Spałaś z nim?

– Oczywiście, że nie.

– Spał z kimś innym?

– Nie. Nie sędzę. Nie wiem.

Teraz wszystko wróciło. On jest w mieście, ale nie dzwoni. Woli siedzieć samotnie w Herregårdskroa, niż do niej zadzwonić. Karze ją za Tronda. Nagle odzywa się dzwonek telefonu. Nigdy nie spytał jej o numer, zna go na pamięć. Po raz pierwszy nie odkłada słuchawki, gdy ona odbiera. Chce spotkać się z nią o ósmej, tego samego wieczoru, za dwie godziny. A gdyby jej nie było, gdyby nie odebrała telefonu, z kim wówczas zjadłby kolację? Wie, że ona tam jest, o to chodzi, wie, że ona czeka, że nie może przestać. Nie dotykali się od listopada półtora roku temu. Teraz to się wydarzy. On dzwoni, ona się zgadza, spotykają się w Herregårdskroa. Piją piwo. Idą dalej, do innej kawiarni, ona nie myśli o Trondzie, że mógłby się tutaj pojawić, przechodzić obok, to nieistotne. On teraz jest w stanie, wypił piwo, a ona przyszła, gdy do niej zadzwonił, nie odmówiła, wylądowali na ławce, ona nie pamięta, w jaki sposób, a on gładzi ją po policzku. Nie może powiedzieć, żeby się tego nie spodziewała. Wie przecież, czego chce, kiedy do niej dzwoni. A jednak jest zaskoczona, prawie zszokowana, gdy to się dzieje i patrzy na niego z takim zaskoczeniem, że on się uśmiecha. Czy jest dla

niego niczym młoda dziewczyna, ponieważ kocha niewinnie? On uśmiecha się i ją całuje, ona ulega, idą do hotelu i się kochają. Jeśli teraz się zjawił, to musi być na poważnie. Rano ona wychodzi wcześniej, ma spotkanie w „Tidsskrift”. Nie pyta, czy się spotkają, on będzie w Oslo jeszcze przez jeden dzień. Nie, nie pyta. On zadzwoni. Ida cieszy się, ponieważ on zadzwoni. Jeśli miałby wybierać pomiędzy jedzeniem, pić wina, spaniem samotnie albo z nią, wybierze to ostatnie, a ma wybór. Jedzie do domu natychmiast po spotkaniu w radiu, żeby być tam, kiedy on zadzwoni. Nadchodzi godzina trzecia, piąta. Jest już szósta, nie zadzwonił. Jest siódma, nie zadzwonił. Niedługo zwariuje, znowu w tym tkwi, nienawidzi siebie samej. On chce, żeby zadzwoniła, ale nie robi tego. Zawsze to coś, myśli: nie dzwonię! Jest ósma, nie zadzwonił. Kobiety umówione na randki już dawno stoją na przystankach. Świeci słońce, kawiarnie są pełne szczęśliwych ludzi. Dzieci są u ojca, ona może robić, co tylko chce, ale siedzi przy telefonie. Dzwonek. To Trond.

– Oddzwonię do ciebie – odpowiada i rzuca słuchawką, żeby nie zajmować linii. Wypija piwo, nie może się powstrzymać. Patrzy na telefon. Prowokuje ją. Podnosi słuchawkę, żeby upewnić się, że działa, że słyszczyć ciągle sygnał. Słyszczyć.

Wpatruje się w telefon, by zmusić go do zadzwonienia. Nie dzwoni. Nienawidzi go. Jest zły, wygląda niewinnie, ale jest zły, drwi z niej. Gdyby nie świadomość, że wtedy Arnold nie zadzwoniłby już na pewno, rzuciłaby nim o ziemię i zniszczyła. Gdyby tylko miał skórę, pokaleczyłaby ją. Jest dziewiąta, on nie zadzwonił. Daje sobie dziesięć minut, później wyjdzie. Daje sobie kwadrans, później wyjdzie. Po dwudziestu minutach dzwoni po taksówkę i ma nadzieję, że telefon odezwie się przed jej przybyciem, żeby mogła pojechać do Arnolda, do jego hotelu, ale telefon milczy. Wtedy dzwoni do Tronda i zapowiada, że przyjedzie. Aż do chwili, gdy zamyka drzwi wejściowe, tęsknie nasłuchuje dzwonek telefonu, w drodze do taksówki słucha przez zamknięte drzwi, czy w pokoju nie rozlega się dźwięk telefonu, trzyma w dłoni klucz, by móc wbiec do środka, otworzyć drzwi i dopaść go, zanim przestanie dzwonić, nie traci nadziei aż do chwili, gdy zatrząskują się drzwi i taksówka rusza.

Dzisiaj na pewno się upije.

Jedzie do Tronda, tuli się do niego w łóżku i pije szybko, żeby się uspokoić. Gdy on wychodzi do kuchni, gdy wychodzi do toalety, gdy wychodzi na korytarz, żeby coś przynieść, ona dzwoni na

swój numer i przesłuchuje automatyczną sekretarkę. Brak nowych wiadomości. Dziesięć po dziesiątej słyszy nową wiadomość, to od niego, mówi, że chciał się z nią spotkać, ale nie ma jej w domu, brzmi to jak oskarżenie, jest oskarżeniem. Powinna być w domu, dla niego. Zbiera się, woła w kierunku łazienki, że musi uciekać, że i tak chciała spać w domu, zbiega schodami w dół, na ulicę, łapie taksówkę. Nie chce dzwonić z budki ani jechać prosto do hotelu, ma dla niego zbyt wiele szacunku, bierze taksówkę do domu, ale samochód nie jedzie dość szybko. Dobry Boże, niech on tam będzie, gdy oddzwonię. Dobry Boże, nie pozwól mu odejść w swoją stronę, zadzwonić do innej. Wypada z taksówki, wbiega po schodach, otwiera drzwi i rzuca się do telefonu. – Jestem tu! Chcę się spotkać!

Teraz on sam już nie wie, czego chce. Śmieje się lekko. Teraz ona jest na miejscu, tam, gdzie powinna. Głos ma spokojny, jak na nagraniu, mówi powoli, jakby od niechcienia, jakby nie było to dla niego ważne, jakby chodziło o byle co. Ona łapie oddech. Zgódź się! Zgódź się!

– A więc chcesz mnie odwiedzić?

– Tak!

– A wiesz, gdzie mieszkam?

– Nie tam, gdzie wczoraj?

On się śmieje. To był żart. Żartuje!

– Myślę, że jest za późno – mówi.

– Nieważne. Wezmę taksówkę.

On to wykorzystuje. – Myślę, że jest za późno – powtarza.

Gdyby była w domu, mówi, kiedy on dzwonił, ale przecież jej nie było. Oto kara. Ona prosi, błaga, on odmawia, podjął już decyzję. Sprawiaj mi ból, sprawiaj mi ból, bym poczuła, kim jestem.

Dzwoni do Tronda i płacze, musi do niej przyjść. On przychodzi, nie może być sama, opowiada mu o wszystkim, nie wolno mu odejść. Jest kompletnie załamana. Dlaczego tak się stało? On tuli ją i słucha, kocha się z nią, gryzie ją w pierś. Musi zadzwonić do Arnolda, nie może dać sobie spokoju.

– Nie rób tego – mówi Trond.

– Nie mogę odpuścić – odpowiada ona.

– Nie rób tego – mówi Trond.

– Nie mogę odpuścić – mówi ona. – Nie odchodź!

Idzie na piętro i dzwoni do niego.

– Muszę się z tobą spotkać, zanim odjedziesz – mówi. – Muszę! Muszę ci powiedzieć, że cię kocham.

– Mówisz to właśnie.

– To się nie liczy. Muszę powiedzieć to

porządnie.

Jego samolot odlatuje o dziesiątej. Pozwala jej czekać na siebie o dziewiątej przy ruchomych schodach. Już lepiej. Schodzi na dół i opowiada o tym Trondowi. On leży na plecach, z ramieniem pod głową, pali papierosa i wydmuchuje dym.

– Ida – mówi.

– Co?

– Ida, Ida – mówi.

Budzik dzwoni, ale Ida od dawna już nie śpi. Wymyka się i przygotowuje do wyjścia, nie wiedząc, czy Trond śpi, czy śledzi jej ruchy. Jest jasno, niedługo będzie lato, zakłada białą sukienkę, wszystko pamięta. Jedzie na lotnisko, zjawia się przed czasem. On stoi w kolejce na poczcie i nie wie, że go widzi. Jaki on blady, łysy, w jasnożółtej koszulce, jaki chudy. Do kogo wysłała list? Spotyka się z nim przy ruchomych schodach, tak jak się umawiali.

– Kocham cię – mówi ona.

– Mówiłaś to wczoraj – mówi on.

To w zasadzie wszystko. Nie ma nic więcej do powiedzenia. Może już jechać.

Wręcza jej kopertę z listem, po czym odjeżdża ruchomymi schodami, jedzie do Niemiec.

Co jest napisane w liście? Nie będzie mnie tyle i tyle czasu, odezwę się po powrocie, wtedy

zastanowimy się, co począć z naszą miłością, z naszym życiem, czy to właśnie jest tam napisane?

Nie.

Z tego co pamięta, bo ten list już nie istnieje, wieczorem podarła go na kawałki i wyrzuciła z płaczem do morza, było w nim napisane coś takiego:

Droga Ido, kobieto na wietrze.

Nieczęsto piszę wiersze, ale teraz to zrobiłem.

A potem wiersz, cztery wersy o falach i cieniach, niezobowiązujące, niejasne. Co mu się wydaje, że kim on jest? Dość tego. Czy sądzi, że będzie wdzięczna za „wiersz”, za to, że go zainspirowała? Wyślij to studentce! On przechodzi przez kontrolę paszportową. Ona siedzi na ławce przy ruchomych schodach, z listem w dłoni. Nie może mu tego wykrzyczeć. To powraca po raz kolejny, rozdziera ją, rana otwiera się na nowo, za każdym razem głębsza. Sobota w lipcu, słońce w Oslo. Mogłaby równie dobrze umrzeć. Tylko Trond czeka na nią, gdy wraca do domu, tylko Trond czeka na nią, kiedy się pojawia. Czeka na jej powrót. Rzuca się na niego zapłakana i nie może się uspokoić.

– To tak bardzo boli?

Gładzi ją po głowie, odgarnia jej włosy z oczu,

wyciera spływający makijaż, ona trzęsie się od szlochu. Całuje jej policzki, głaszcze ją, rozbiera i kładzie pod kołdrą, tuli się do niej z tyłu i trzyma ją mocno, blisko, przytula ją, jakby chciał wycisnąć z niej płacz.

– To tak boli? – pyta znowu zdławionym głosem, odsuwa jej włosy z karku, całuje w szyję i gładzi po głowie.

– Moja kochana – szepcze. – Biedna Ida – szepcze. Dlaczego nie może go pokochać.

Czuje, że stoi twarzą w twarz z czymś niemożliwym. Jak przed odjazdem pociągu, odlotem samolotu, jakby rozstanie miało trwać wieczność. Jak zmierzyć się z ograniczeniami ciała. Jak oglądać płaczącą matkę. Chłód galaktyk, ich obojętność na nasz ból. Kto może to wytrzymać bez znieczulenia, bez alkoholu?

On dzwoni z Niemiec i nagrywa się na automatycznej sekretarce.

– Tu Arnold. Chciałem ci powiedzieć, że cię kocham.

I podaje swój numer telefonu.

Jest tak głupia, że kiedy on dzwoni i mówi, że jest w Bochum, ona słyszy „kocham”, myśli, że za nią tęskni, czuje miłość, zrozumiał to dopiero po odjeździe. Ale prędko dociera do niej, że miał na myśli Bochum, miasto Bochum w Niemczech

i czuje gniew. Oddzwania wściekła pod ten numer. Ponieważ raz jeszcze zrobił to, czego mu zabroniła. Przyszedł i odszedł znowu. Mówiła mu, że nie może tego znieść. Wręczył jej niezobowiązujący, zaszyfrowany list po tym, jak wyjaśniła mu, że robi się chora od niejasności, tajemniczości, że niejasność ją niszczy, gdy poprosiła o konkret, nawet ten najbardziej bolesny.

On milczy.

– To nie zabawa – mówi ona.

– Dziękuję za telefon – odpowiada on i odkłada słuchawkę.

Pięć pocztówek.

Wysłał już jedną, dostaje ją następnego dnia: Łaskawa Pani! Przesyłam pozdrowienia z za katedry w Bonn, gdzie my, tj. ja, pijemy plebejskie piwo. To w zamian za nieodpłacone. Metaforycznie od A.

I co to ma znaczyć? Odkłada to na bok. Nic z tego nie będzie.

Cztery dni później brunatna koperta: Zapomniałaś o tym (pocztówka, którą kupiła od głuchoniemego w Herregårds Kroa). Przepraszam za idiotyczną kartkę. Zrozumiałem, że wszystko poszło nie tak, gdy rozmawiałem z tobą przez telefon. Kulturalnie albo strukturalnie od Arnolda.

Kulturalnie albo strukturalnie, w porządku. Ale próbowała wszystkiego. Trond tam jest. Rani go. Jest szczerą, ale to boli mimo wszystko, a może właśnie dlatego. Gdy płacze, gdy wychodzi z siebie, jest sama na świecie, on jest obok. Ona czuje się sama na świecie, nie widuje swoich rodziców ani rodzeństwa. Gdy się upije i narobi głupot, on jest obok, na kacu. Latem wyjeżdżają daleko. Ona myśli, że jest w ciąży, czy jest w ciąży. Nie, to nie do pomyślenia. On jest taki młody, zostawi ją kiedyś, bo potrafi i chce kochać.

W październiku kartka z Hanoweru w Niemczech: Wasza łaskawość. Po czterdziestu czterech wykładach o estetyce pytam: Gdzie jest piękno. Weissen Sie es?

Tak, mogłaby odpowiedzieć. Tutaj. U mnie! Ale nie odpowiada, to nie ma sensu.

W grudniu kartka z Monachium: Do Idy. Kobiety na wietrze (dlaczego wciąż ten wiatr?), który rozwiewa mgłę (co chce przez to powiedzieć, wprowadzić ją w poetyczny nastrój?) Nie: powinienem powiedzieć po prostu: Hej! Rozkoszuję się słońcem i winem, i mam nadzieję, zupełnie nietajemniczo, że jest ci dobrze tam, gdzie jesteś. Kawa jest w porządku. Espresso lepsze. Może cappuccino? Kawowe pozdrowienia od Arnolda.

Ona cieszy się i odkłada kartkę. Nie spekuluje,

co ma oznaczać cappuccino w porównaniu ze zwykłą kawą albo espresso, zaprowadziłoby ją to donikąd.

W dzień przed Wigilią jeszcze jedna kawowa pocztówka z Niemiec: Słońce na zewnątrz, deszcz w środku. Tutaj wszystko dzieje się w kawiarniach. Wszystkie randki – na przykład Kjersti. Południowoniemiecka kultura kawy jest diametralnie odmienna od norweskiej: wszyscy piją kawę przez cały czas i ze wszystkimi. Kawowe pozdrowienia numer dwa od Arnolda z kawiarni. I ukosem na boku: Nikt tutaj nie wierzy w Liebe Świętego Mikołaja, miłość wielkanocnego zajączka, czy istnieje?

I jego adres w Monachium.

Biedny, bezradny człowiek.

Po świętach odwiedza Erika Grøvera. Erik Grøver z Trondheim, wciąż powracający myślami do przeszłości, cierpiący, bezradny, bez rodziny jak ona, zbyt mało jest takich ludzi na świecie, żeby nie trzymać się razem w Boże Narodzenie, w święta. Wychodzi po nią wieczorem na stację w czwarty dzień przerwy świątecznej i idą na miasto. Stearynowe świece płoną we wszystkich oknach, wielkie zasy py śnieżne, idą ulicami do kawiarni, by napić się piwa. Wtedy wchodzi Arnold z kolegą.

– Jesteś tutaj?

– Myślałam, że jesteś w Monachium. Niedawno dostałam od ciebie pocztówkę z Monachium.

Kawiarnia jest pełna, więc dosiadają się do ich stolika, Arnold Busk i Leif Asnes siadają z Idą i Erikiem, Arnold obok Idy, tak wychodzi. Erik idzie do ubikacji, a Leif Asnes po piwo. Arnold odwraca się do Idy i mówi, że powiedział o niej żonie: – Powiedziałem Kjersti o tobie.

Źle z nim. Widać po nim, że nie jest dobrze. Próbuje powiedzieć jej komplement. Sądzi, że powiedział jej komplement. Nie jest z nim dobrze. Żona go zdradza. Ida wyznała, że go kocha, czy rzeczywiście może być kochany przez kobietę, tę kobietę. Co ma jej odpowiedzieć. Mówi jej, że chyba była ważna, że to, co ich połączyło, było ważne, na tyle ważne, że Kjersti musiała się o tym dowiedzieć. Ale to nieprawda, Ida wie o tym, bo dostała pocztówkę z Monachium. Przyznał się, żeby sprawić przykrość tamtej, swojej żonie. Poświęcił historię Idy w ogniu małżeństwa, żeby się zemścić, żeby Kjersti zaczęła płonąć. Widzi, że ona to rozumie i żałuje, że o tym wspomniał.

– A więc ona mnie nienawidzi, a my nigdy nie zostaniemy parą – mówi Ida.

– Też tak sędzę – mówi on.

Kocha ją, kochają się nawzajem. Dlaczego nie

mogą wstać i razem wyjść. Erik wraca. Leif Asnes wraca. Gdy lokal się zamyka, idą dalej, do otwartego baru. Arnold i Ida na kanapie. On ją całuje. Ciało ostrzega: to zwykle sprawia ból. Przynosi ból nie do wytrzymania. Wyrывa się i biegnie przez ulice, do schodów prowadzących do domu Erika. Gdy on przychodzi chwilę później, mówi, że wyszli na schody i rozglądali się za nią, i Arnold stwierdził: – Może coś nie tak powiedziałem.

Czy czytanie jest tak samo bezcelowe jak pisanie? Pewnie nic się wkrótce nie wydarzy. Chodzi po ulicach Trondheim i jest szczęśliwa, bo wie, że jemu jest gorzej. Ona już przez to przeszła, on jest w trakcie. Przyjdzie do niej. Trzeba tylko poczekać.

Wspomina o tym niewielu osobom, z którymi o nim rozmawia: – Teraz do mnie przyjdzie!

Nie wierzą jej. Opętanie profesorem z Trondheim jest złe, prowadzi do nieszczęścia.

– Przyjdzie!

– Ido!

– Przyjdzie!

– Kiedy spotkałaś go po raz pierwszy?

– Trzy lata temu.

– Ile razy go przez ten czas widziałaś?

– Siedem.

- Ile razy to on zaproponował spotkanie?
- Dwa.
- Ile razy do ciebie zadzwonił?
- Wiele.
- Ile razy zadzwonił i coś *powiedział*?
- Trzy.
- Uważasz, że to dużo?
- Wystarczy.
- Ido!
- Tak?
- Czy był w Oslo na seminarium trzy tygodnie temu?
- No i?
- Napisałaś do niego i zaproponowałaś spotkanie?
- Tak.
- Zaproponowałaś, że wślizgniesz się przez okno w hotelu wieczorem, żeby nikt cię nie widział, jeśli tego właśnie się obawia?
- Tak.
- Odpowiedział na tę propozycję?
- Nie, ale tu chodziło o Tronda. Trond też był na tym seminarium. To dlatego. Zadzwonił i odłożył słuchawkę!
- Nie był z kimś innym na tym seminarium? Nie dowiedziałaś się, że był z inną?
- To nie gra roli. On mnie kocha. Przyjdzie.

Jak mogła w to wierzyć. Wierzyła w to. Wczoraj wydawało mi się, że dałam sobie spokój z AB, zapisała w pamiętniku. Płakałam i odpuściłam, nagle telefon zadzwonił dwa razy i nikt się nie odezwał, wtedy wszystko wróciło. Tak się ucieszyłam, słysząc milczenie w słuchawce.

Dzwoni do niego w styczniu, już wygrała, po prostu to wie. On mówi, że przeszedł załamanie. Nic dziwnego, skoro Ida wyrwała mu się i uciekła, gdy próbował ją pocałować. Oddzwania do niej wieczorem. Za czwartym razem nie odkłada słuchawki.

Niedługo Wielkanoc, za kilka miesięcy zacznie się dla nich nowa rachuba czasu. Arnold wybiera się na seminarium do Kopenhagi. Dzwoni i pyta, czy może przenocować u niej po drodze. Tak jak mówiła, przychodzi. Drobnymi kroczkami, ale przychodzi.

– W Håndverkeren w piątek o szóstej?

– Tak! W ten sam weekend odbywa się coroczne spotkanie Związku Dramatopisarzy, zebranie zarządu, w piątek, ale to nic nie szkodzi, odwoła je. Gdy przychodzi, on już tam siedzi, jedzą, piją, on zakłada skórzaną czapkę i skórzany płaszcz, wygląda jak z gejowskiego filmu porno, biorą taksówkę do jej domu.

– Chciałbym zobaczyć, jak mieszkasz – mówi, jakby brała udział w konkursie, a może tak właśnie jest. Może wygrać, ponieważ podoba mu się miejsce, w którym mieszka. Wygra, ponieważ okazała się tak bardzo zdeterminowana, ponieważ on zaczyna wierzyć, że go kocha. Nie jest tym, który kocha, który wybiera, został wybrany, dla niego najważniejsze jest być kochanym. Ona rozpala ogień w kominku, a on chodzi dookoła i ogląda jej mieszkanie, potem znowu piją, potem się kochają, jak zwykle, może kochają się raz jeszcze przed snem, ona nic nie pamięta, takich rzeczy nigdy nie pamięta się już po wszystkim. Piją i się kochają, i jeszcze raz, tak musiało być. Być może przytulają się przez sen, tak jak będą to robić w przyszłości, a może nie. Rano ona musi wyjść wcześniej, przed nim, na coroczne spotkanie, które będzie prowadzić. Być może on leży półprzytomny i zauważa jej wyjście, a może nie. Być może cieszy się, że Ida wyjdzie i zostawi go samego, i będzie mógł spokojnie kręcić się po domu, studiując otoczenie. Nic nie ustalają, nigdy tego nie robią. Ona idzie na spotkanie i jest szczęśliwa, szczęśliwsza niż rok wcześniej, dokładnie rok temu dostała kartkę ze słowami „Arnold teraz może”. Teraz on leży w jej łóżku. Nie, teraz już wyszedł. Czy zostawił klucz pod

wycieraczką, jak go prosiła. Czy kręcił się po domu, otwierał szuflady i zaglądał do środka, czy nie. Teraz jest na seminarium w Kopenhadze. Zostawił coś dla niej? Pozdrowienia? Czy nie.

Czy nie. Nic. Ani karteczki. Łóżko jest niepościelone, kieliszki stoją tak jak stały, gdy kładli się spać. Robi się jej przykro, że ich nie uprzątnął, nie wstawił do zlewu. Nie pościelił łóżka, nie obawia się jej, tego, co może sobie pomyśleć, nie na tyle przynajmniej, żeby nie zostawiać po sobie niepościelonego łóżka, na wpół opróżnionych kieliszków po winie na nocnym stoliku, nie chce zrobić dobrego wrażenia, sprzedać się, ale przecież nie musi. Za to przy telefonie leży długopis, który do niej nie należy. Jeden z tych, którymi on zwykle pisze, z logo uniwersytetu w Trondheim. Jest szczęśliwa, całuje go.

Nie wie, jak długo trwa seminarium. Nie umawiają się, nie pytała, on nie pytał. Ona się nie narzuca, a on nic nie mówi, pozwalając jej się domyślać. Czy będzie przejeżdżał przez Oslo w drodze powrotnej. Czy zadzwoni. Ryzykuje wielomiesięczne milczenie, jak zwykle. Nie dzwoni. Nie dostaje żadnej pocztówki z Danii. Jest wtorek, wyjechał w sobotę rano. Udaje mu się to za każdym razem. Z każdą godziną jest coraz

bardziej zdesperowana i nieszczęśliwa. Modli się do Boga, próbuje go wyczarować. Dzieci bawią się w ogrodzie, słońce świeci jak zwykle w marcu, pachnie mokra ziemia i kwiaty, które niedługo zakwitną, jasnozielona miękkość, przeciskająca się naprzód i w górę. Dzieci proszą o sok, ale nie ma siły wstać. Trzeba to teraz skończyć. On nie jest tego wart. Jest niereformowalny. Ten ból jest nowy, powolny jak gęsta ciecz. Traci wiarę.

Wtedy on dzwoni. Wiedziała, że tak będzie. – Halo? – dzwoni z budki, nagle połączenie zostaje przerwane. Odezwie się znowu. Musi znaleźć inną budkę i zadzwoni. Siedzi przy telefonie, dzwonek, to on.

– Halo? Dzwonię z Kastrup. Jego samolot odlatuje za dziesięć minut, będzie w Oslo o wpół do jedenastej, czy Ida po niego przyjedzie. Tak. Dzwoni po nianię, która może zostać na noc, bierze prysznic i się stroi, śpiewa, cieszy się, jedzie po niego na lotnisko, zawozi do hotelu. On idzie do łazienki wziąć prysznic, ona czeka na łóżku, on wychodzi i ubiera się, staje przed lustrem w nowej koszuli i pyta, czy pasuje do kurtki, zachowuje się, jakby to było coś nieskomplikowanego, zwyczajnego. Nie pasuje, ale Ida nie mówi mu tego, nie śmie. Schodzą do baru i piją. On opowiada o seminarium, a potem idą na górę i się

kochają, raz albo kilka razy, zasypiają, potem się obudzą i będzie jak zawsze, on odjedzie. On przyznaje, że boi się Wielkanocy, świąt z teściami. Co ona na to. Nie mówi, że ma kłopoty w małżeństwie. Nie wspomina, że rozważa rozwód. Nie mówi, że kocha Idę i uważa sytuację za trudną. Nie mówi: Co to z nami będzie. A ona nie pyta. Jeszcze by tego brakowało, żeby zapytała. A może chciałby, żeby zapytała, może zwierza się po to, żeby zapytała: A co z nami, Arnoldzie. Co będzie z nami? Samolot odlatuje o jedenastej, ale on dzwoni i przekłada lot na późniejszy, nie chce mu się wstawać z łóżka. Muszą opuścić pokój o dwunastej, ale on nie chce wychodzić na lotnisko, zostają w hotelowej restauracji, on pije piwo, ona prowadzi, odwozi go, a gdy wychodzą z samochodu, on wyciąga opakowanie perfum z jednej z toreb ze sklepu wolnocłowego i jej wręcza.

– To dla mnie? – pyta, naprawdę zaskoczona. On ucieka wzrokiem w bok, patrzy w ziemię, ma wyrzuty sumienia, perfumy z lotniska mają zapach wyrzutów sumienia, na pewno kupił je dla żony. Jeszcze nie zdążył odjechać, a ona już czuje rozstanie. Przywykła, chociaż ją to męczy, dla niego to może być pierwszy raz, jeden z pierwszych.

Nie ma od niego wieści. Nie szkodzi. To on się miota. Wielkanoc nadchodzi i mija. Spędza dzień czy dwa u Tronda, ale ucieka też od niego, do przyjaciółki w górach. Jeździ na nartach w ostrym, białym świetle, w jedną i drugą stronę po płaskowyżu, aż do wieczora. Nie ma wiatru, słońce zachodzi i światło pada tak dziwnie. To się dzieje, ale nie musi się wydarzyć, jest zupełnie spokojna.

Jeden z redaktorów chce jej coś powiedzieć. Siadają na ławce w parku, on ma poważny wyraz twarzy. Kilka tygodni temu był w Kopenhadze na seminarium, z Arnoldem. Arnold pojawił się tam z inną kobietą. Jest tego pewien, bo z nią rozmawiał. Agnete Tveit, związana z Instytutem Goethego. Arnold wyszedł od niej w środku nocy, więc trochę się wściekła. Ida dzwoni do niego następnego dnia i pyta, czy nie ma dla niej szacunku. On nic nie odpowiada. Nie odzywa się. Nie jest zła, bo ma świadomość, że kiedyś usłyszy, że to pójdzie do łóżka z inną kobietą skłoniło go do zatelefonowania do niej z Kastrup, że wtedy właśnie zrozumiał, że chodzi mu o Idę. Jest tego pewna.

Kilka miesięcy przed tym, gdy zostaną parą, kilka miesięcy przed nową rachubą czasu, on mówi, że pomimo rozwodu nie ma pewności, czy

będzie z Idą.

– Jest tyle kobiet – mówi. Co najmniej sześć:

Tone, która jeździła z nim do Bergen i Stavanger. Ida wiedziała o niej wcześniej.

Kobieta, z którą pojechał na seminarium, na którym był również Trond, a Ida zaoferowała się, że wślizgnie się do niego w nocy przez okno, nauczycielka z kolegium, zamężna i chuda, wiedziała o niej wcześniej.

Agnete Tveit z seminarium w Kopenhadze, związana z Instytutem Goethego, wiedziała o niej wcześniej.

Kobieta z mężem chorym na raka, nie wiedziała o niej, dowie się tej nocy, gdy wyznają sobie wszystko.

Przyjaciółka z czasów studenckich, w jego wieku, zamężna, ale z niewiernym mężem. Seksowna na parkiecie, ale nie w łóżku, dowie się w noc wyznań.

Studentka z wyprawy do Berlina, którą zorganizował studentom, rudowłosa, na górze i na dole.

– Masz nową żonę, Arnoldzie? – spytała sekretarka z instytutu, która była tam wraz z nimi.

– Rozwodzę się – odparł wtedy, to było w maju, dowie się tej nocy, gdy wyznają sobie wszystko.

– Dorosła kobieta nie mogłaby znieść, że uganiam się za młodymi studentkami – dodał.

Na początku mówił ostrożnie, aż zrozumiał, że ona nie rozgniewa się ani nie wykorzysta tego przeciwko niemu, wtedy poczuł się bezpiecznie i zaczął wymieniać niemal ochoczo, prawie z podnieceniem: rude, brunetki, blondynki, studentki, szwedzka poetka. I oto ten wielki kochanek, ten prawdziwy Don Juan, zdecydował się nareszcie, w końcu, spośród tych wszystkich chętnych kobiet, oddać się właśnie Idzie!

Dziękuję.

Kiedy do niego dzwoni, czasem wydaje się bliski, a czasem odległy. Niczego nie obiecuje. Sugeruje, że jego małżeństwo kuleje, ale to tylko sugestie. Krótco przed tym, jak to się wydarzy. Tuż przed tym, jak do niej przyjdzie.

W dzienniku:

Piątek, siódmego. Zmęczona, zmęczona tym wszystkim. To musi się skończyć. Smutna, wielki smutek we mnie, jestem na krawędzi, muszę się odwrócić, nie mogę w tym dłużej tkwić, to mnie niszczy.

Czwartek, trzynastego. Pięć po wpół do dwunastej. Powiedział, że zadzwoni, nie zadzwonił. Jak zwykle. To, na co czekam, nie wydarzy się nigdy. Męczące rozczarowanie. Jeśli

to nie stanie się teraz, pozostawię to za sobą. Wypiłam czerwone wino, ale niewiele, taka jestem zmęczona, on zużył resztkę mojej energii, której potrzebuję, żeby się udało.

Poniedziałek, dwudziestego czwartego. Jestem taka wściekła, nie mogę się uspokoić, bo znowu czekam, czekam, czekam, nie minął nawet tydzień, ale ja wiem, że nie zadzwoni, nie napisze, nigdy nie nabiorę do niego zaufania, jak miałabym to zrobić, tyle we mnie agresji, kurwa, chcę pozbyć się go z systemu, zacząć proces kasowania, nie wytrzymam jeszcze tygodnia oczekiwania, chciałabym móc teraz mu to powiedzieć, potrzebuję wyjaśnienia, tak bardzo potrzebuję wyjaśnienia. Muszę je mieć! W obecnej sytuacji zaczynam wstydzić się, że pozwoliłam mu poczuć, jaki jest dla mnie ważny, to przykre, przykre, on nie jest tego wart. Już mi lżej. Pisanie pomaga. Mam już lepszy humor.

Wtorek, pierwszego. Taka jestem zła, taka wściekła, chcę to z siebie wyrzucić, pozostawić wszystko za sobą. Trzeba zadzwonić i powiedzieć mu, że nie musi przyjeżdżać. Że nie musi się rozwodzić. To nigdy się nie uda, taka jestem wściekła.

Czwartek, szesnastego. Znowu zmuszona do czekania. Półtora tygodnia temu poprosił, żebym

dała mu tydzień. Nie zadzwonił. Nie napisał. Potrafi skupić całą moją uwagę, pytanie nie brzmi już, czy potrafię z nim żyć, mieć go w swoim domu. Nadzieja zwrócona jest w stronę telefonu, skrzynki pocztowej.

Niedziela, dziewiętnastego. Zadzwonił. Nie mam siły streszczać. Nie ma nic do powiedzenia. Nic z tego nie będzie.

Teraz, tuż zanim to się wydarzy, nie krzyczy na niego. Uczucia zostały opanowane, jeśli nie przezwyciężone. Nie wierzy, nie ma nadziei. A jednak i tak dzwoni, żeby zapytać, co u niego słychać. On odpowiada, że nie mieszka już z żoną. Ona nie wie, co czuje. On oddzwania do niej wieczorem i mówi:

– Powiem ci trzy rzeczy. Po pierwsze: nie wiem, jak to będzie. Po drugie: jeśli się rozwiode, nie jest jeszcze pewne, że będziemy parą. Są inne kobiety. Po trzecie: chętnie bym się z tobą spotkał.

To przełom. Po raz pierwszy wyklada karty na stół, szczerze, otwarcie. Ona sprząta dom. Zmienia pościel. Kupuje wino. Wzdryga się, gdy dzwoni telefon, to może być on, chcąc odwołać spotkanie. On dzwoni tego samego dnia i prosi, by pamiętała o winie. Tak, tak, wszystko gotowe. Cztery butelki? Tak, tak. Pojadą na wycieczkę. Tak zdecydowała. Następnego ranka wyjeżdża na

Słowację ze Związkiem Dramatopisarzy, on wybiera się do Niemiec. Odbiera go z lotniska. Przywiózł jej prezent, płytę CD. Pyta, czy widzi, jak się wystroił. Biała koszula i krawat.

Jadą na wycieczkę. Zabrała ze sobą koszyk z winem i kieliszki. Siadają na nabrzeżu, ona otwiera wino. On jest nerwowy, pije szybko. Teraz mówi to, czego się spodziewała, że w Kopenhadze, po seminarium, w łóżku z inną kobietą zrozumiał, że chodzi mu o Idę. Właściwie od Idy wszystko się zaczęło, dodaje. Kłamie, ale to nieważne. Ma na sobie czarne dżinsy, białą koszulę, czarne buty i czarne okulary przeciwsłoneczne, chociaż nie świeci słońce. Boi się jej otwartego spojrzenia. W oczach Idy jest szczerłość. Wracają do domu, kładą się do łóżka, kochają, on płacze, gdy dochodzi. To robi wrażenie na wszystkich kobietach. Gdy przechodzi od jednej do drugiej, opłakuje poprzednią u nowej i ta nowa sądzi, że to ona wywołuje u niego łzy, że to dla niego zbyt silne przeżycie. Ida gładzi go po głowie i wilgotnych plecach, on ocieka potem, który kapie mu z głowy na jej twarz. Dochodzi, krzycząc głośno, a potem zaczyna płakać. Zасыpiają objęci, ona czuje radość, gdy budzi się i to zauważa, przyciska się do niego. Nastawiła budzik, wychodzi pierwsza. Wstaje i szykuje się do

wyjścia, dzwoni po taksówkę. Całuje go na pożegnanie, ale gdy taksówka już czeka, wchodzi do środka i całuje go raz jeszcze, mocno.

– Tego pocałunku nigdy nie zapomnę – powie on, dużo później.

Promienieje. Nosi w sobie radość. Wszystko się zmieni, rozpoczęła się nowa rachuba czasu. W domu na komódce leży kartka. „Cudownie było, prawda?” I chociaż ze znakiem zapytania, to jednak karteczkę zostawił. Kieliszki stoją w zlewie i łóżko nosi ślady ścielenia. Teraz już nie zawróci. Ona wygrywa. On dzwoni wieczorem po powrocie do domu i pyta, czy flirtowała z innymi.

– Nie – odpowiada, chociaż nie jest to do końca prawda.

Pyta, czy chce pojechać z nim do Danii.

– Tak – odpowiada.

Będzie tłumaczył Brechta, a ona może pisać sztukę do radia.

– Tak – odpowiada.

Nie uwierzy, zanim się nie przekona. Za dwa tygodnie. On mieszka w Trondheim. W domu, którego nigdy nie widziała. Tak niewiele wie o tym, jak mieszka, jak urządza swoje życie. Wspomina o tym przez telefon, ale czy ją to właściwie w ogóle interesuje. Czy ma pomóc mu przez to przejść. Ona musiała dać sobie radę

sama. „Przyjedź do mnie” jest istotne, a nie praktyczne szczegóły. Wyjeżdża za tydzień do Danii, tylko to się liczy. Prowadzi kurs pisarski w Røros. On zajmuje się dzieckiem w Trondheim, niedaleko stąd, wydaje się to takie nierzeczywiste. Istnieje, oddycha, przyjedzie. Ona zakłada coś lekkiego i białego, na szczęście nie jest już taka chuda. Włosy są gęste i lśniące, powietrze przejrzyste. Teraz to się dzieje. Właśnie teraz, tej wiosny. Tak jak prosiła Boga. Zadzwoń do niego za godzinę. Pod zakazany numer. Tak, to się dzieje. Jest zdenerwowana. Może zbyt dużo jest do naprawienia. Może wydarzyło się zbyt wiele, może za dużo wie. A jednak nie potrafi przestać. Nie ma wyboru. Ale czy ma wiarę? Zwalczała go w sobie od dawna. Nie wykonała decydującego kroku, jeszcze może się wycofać. Nie wolno mu rozwieść się ze względu na nią! Czy obiecała, że z nim będzie? Nie ona jest przyczyną, to wydarzyłoby się tak czy inaczej. Ma możliwość odwrotu, przechadza się między starymi, pachnącymi smołą domami i próbuje poczuć się wolna, na tyle, na ile to możliwe. Dzwoni, tak jak się umawiali, między dwiema pełnymi godzinami. Kursanci stoją na dworze i palą, ona z bijącym sercem biegnie do budki telefonicznej. On odbiera, lekki i radosny, jakby nie istniały zmartwienia, wita ją numerem

referencyjnym jej biletu i żartem.

W dzienniku zapisała: Czwartek, siódmego. Nie zapominaj, że wszystko, co złe, trzeba naprawić.

Ubrała się w najładniejsze rzeczy. Wylatuje z Oslo, on przylatuje z Trondheim ostatnim samolotem, spotykają się na Kastrup. Przytulają się, oboje pili alkohol. Biorą taksówkę do hotelu, gdzie zamówił pokój, następnego dnia zwolni się mieszkanie, w którym będą mieszkać. Piją, nie pamięta, czy uprawiali seks. Budzą się każde w swoim łóżku, puste, małe butelki są porozrzucane na dywanie w ciemnym, małym pokoju.

Na dworze jest jasno. Na dworze świeci słońce. Stoją razem w recepcji i dzielą rachunek. Idą chodnikiem, każde ze swoją walizką. Spędzą razem tydzień. Spacerują szerokimi kopenhaskimi ulicami. W parku znajduje się kawiarnia.

– Napijemy się kawy?

Tak, to dobry pomysł. Siadają, zamawiają kawę, a gdy kelnerka wciąż jeszcze stoi przy stoliku z notatnikiem w dłoni, on pyta ostrożnie, umykając wzrokiem w bok:

– I piwo?

– Tak, piwo.

– To dwa piwa.

Będzie dobrze. Spotkanie przy piwie to ludzka rzecz, mówią plakaty rozwieszone na mieście. Słońce w parku. Piwo. Jest wół do pierwszej, to nic, jest pierwsza, druga, trzecia. Więcej piwa, jest dobrze, to pomaga, jest potrzebne.

Sypialnia z pojedynczymi łózkami, łazienka z prysznicem, salonik z biurkiem, on może go używać, ona będzie siedzieć na kanapie. Wspólna kuchnia na korytarzu, ale na ich piętrze nikt poza nimi nie mieszka. On bierze prysznic. Ona spogląda na biurko, na którym rozłożył swoje rzeczy. Laptop, stosik książek, trzy długopisy ułożone jeden obok drugiego, jego zegarek, ozdobna papierośnica, w środku znajduje osiem brązowych cygaretek, woda w łazience wciąż płynie, papierośnicę dostał w prezencie od siostry żony, gdy obronił doktorat. Z tej samej okazji żona podarowała mu obrączkę, nosi ją jeszcze, będzie ją nosił jeszcze przez rok, aż dostanie obrączkę od niej, od Idy. Świeżo wykąpani i przebrani wychodzą na miasto. Nie będą dzisiaj pracować, o nie, dzisiaj nie będą pracować. On sięga po jej dłoń i idą przez miasto, trzymając się za ręce. Zawsze już będą tak chodzić. On patrzy na nią i się uśmiecha, ona uśmiecha się do niego, zawsze już będą tak chodzić, trzymając się za ręce albo obejmując. Ona łaskocze go w wierzch dłoni, co

oznacza: czy będziemy się kochać. On potakuje, zawsze ma ochotę. Kochają się w parkach, w krzakach, za przystankiem autobusowym.

– Czy nie jest wspaniały? – pyta on i z dumą spogląda w dół.

Kochają się, robili to już wcześniej. Piją, robili to już wcześniej. Pracują, tego jeszcze nie robili. W tym samym pokoju. On przekłada niedawno wydane erotyki Brechta. Gdy brakuje mu słowa rymującego się z „dziwka”, ona podpowiada: śliwka, pozytywka, rozrywka. Zerka na nią przez obłoki dymu. Ona poprawia jednoaktówkę o jasnowidzącej kobiecie, która niszczy swoją miłość, bo zna jej zakończenie. On, w beżowych letnich spodniach, siedzi przy biurku. Więcej wygląda przez okno i myśli, niż pisze. Pochyla się czasem nad komputerem, ze wzrokiem wciąż wbitym w przestrzeń, pisząc, wygląda za okno, musiał chodzić na kurs maszynopisania. Od czasu do czasu otwiera papierošnicę, wyciąga cygaretkę i w zamyśleniu liże ją, po czym wkłada do ust i zapala, czy robi to specjalnie, ze względu na nią? Trzyma papierosa w ustach podczas pisania, wypuszcza małe obłoczki dymu z kącika ust, mruży powieki, by dym nie dostał się do oczu, przymrużone oczy, lekko pochylony. Bierze papierosa prawą ręką i stuka w niego

wskazującym palcem nad popielniczką, uśmiecha się z zadowoleniem z tego, co wymyślił. Pyta, czy Ida chce ziołowej wódki. Nie chce. Podchodzi do regału, na którym postawił do połowy opróżnioną butelkę kupioną na lotnisku i sięga po wódkę. Zdejmuje z półki kieliszek, stawia go obok butelki i napełnia. Zakręca butelkę i odstawia ją z powrotem na regał, po czym siada, zapala kolejną cygaretkę i pije, na tyle powoli, że wygląda to zdrowo. Tam, w tym samym pokoju, to niewiarygodne. Po południu wychodzą, ona nie pamięta, o czym rozmawiali, wie tylko, że nie mieli żadnych trudności, że się śmiali, że było jak w książkach o szczęśliwym zakochaniu: wszystko niezwykle proste, euforyczne, napady śmiechu, żadnego niebezpieczeństwa. Każdy, kto ich widzi, myśli: to idzie zakochana para.

Na kanapie w gabinecie, na łóżku, na biurku, kochają się i całują, przytulają i przyciskają do siebie, kołyszają, ocierają. Potem jedno z nich idzie nago do kuchni i przynosi z zamrażalnika piwo, które prawie zamarzło na lód. Drugie, które nie idzie po piwo, sięga po poduszkę, kołdrę, ozdobną papierośnicę. On leży na plecach i wypuszcza chmurki dymu w stronę sufitu. Ona leży na boku i wpatruje się w niego. On cytuje po niemiecku fragment z Brechta, z którym sobie nie może

poradzić. Ona podpowiada mu właściwe słowo, on nie dowierza, czy może jeszcze nie wie, kim ona jest, nie wie, że jest do niego podobna. Może nie jest w stanie. Ona nie potrafi go spytać, nie wie, jak to powiedzieć. Wychodzą po południu, trzymając się za ręce, na popołudniowe słońce. Ludzie, którzy do nich się zwracają, traktują ich jak parę, jakby byli ze sobą od dawna, jakby przy barze znali upodobania tej drugiej osoby.

– Co jej nalać? – pyta Bogdo.

– Co chcesz? – pyta Arnold.

– A co ty bierzesz? – pyta Ida.

– Może białe wino.

– Może białe wino.

– Jaką masz słodką żonę – mówi Bogdo do Arnolda i obaj zaczynają się śmiać.

– Piękna para – dodaje Bogdo i znowu wybuchają śmiechem.

– Prawda? – pyta Arnold, przyciąga ją do siebie, nikt nie jest szczęśliwszy od niej. Tylko poczekaj.

Bogdo zaprasza ich do siebie na kolację, przyjmują zaproszenie. Następnego dnia o piątej idą przez obce, wyludnione w niedzielę ulice nieznanym dzielnicy, trzymając się za ręce. Stół jest nakryty dla trojga, on jest samotny, poza światem, jak oni. Jedzą niezdarnie, nigdy nie byli

razem z wizytą. Ona tęskni za Arnoldem. Jest tak daleko, po przeciwnej stronie stołu. Tak więc wygląda? Nie potrafi spojrzeć mu w oczy ponad melonem. Jak ma im się udać?

– Kiedy się urodziłaś? – pyta Bogdo. – W takim razie jesteś dzikiem.

– Dzikiem, właśnie! – mówi Arnold. – Wiedziałem.

Gdy wraca do domu, znajduje w skrzynce list od niego. Musiał napisać go ukradkiem, któregoś dnia w Kopenhadze, chyba trzeciego i wysłać go w tajemnicy, tak że nic nie zauważyła.

I trzeciego dnia nowej rachuby czasu, ku swemu wielkiemu zaskoczeniu dowiedział się, że pokochał dzika! Świniopas Bogdo, mężczyzna z nieznaney krainy, uświadomił mu rzecz, z której wcześniej nie zdawał sobie sprawy, tak samo jak ona nie miała pojęcia, że jest kochana przez skalnego kozła. Masz dłonie jak deszcz, odezwał się do niej słowami wiersza: deszcz w deszczu!

Pięć rzeczy. Pięć maleńkich rzeczy:

Pierwszy raz, w kawiarni. Zgasił cygaretkę i kręci niedopałkiem w popielniczce.

– Teraz Kjersti powiedziałyby... – rzekł zamyślony, z zagadkowym uśmiechem. – Teraz Kjersti powiedziałyby: Patrzcie, Arnold sprząta w popielniczce. Ida zagląda do popielniczki,

niedopałki leżą na jednej kupce, popiół na drugiej.

– Kjersti *ma oko* – mówi Arnold.

Nic w tym dziwnego, tak po prostu bywa, normalna sprawa. Ale to Ida ma oko. Jeśli ktoś ma tu oko, to jest to Ida, on po prostu jeszcze jej nie zna.

Kjersti myśli, że jest w Kopenhadze sam. Nieważne, w porządku.

Drugi raz, w kawiarni wieczorem. Wskazuje na kobietę i mówi: – Podobna do Kjersti.

Ładna, jasnowłosa kobieta. Mogłaby to być interesująca informacja, gdyby zapytała: jak wygląda twoja żona. Nie tak po prostu, bez powodu, dając jej do zrozumienia, że była żona, Kjersti, wciąż tkwi w jego głowie, chociaż ona, Ida, siedzi obok niego na kanapie. Nic w tym dziwnego, tak po prostu bywa, normalna sprawa, ale czy rozumie, patrząc na jej twarz, że sprawia jej ból, nie odsuwając od siebie wizji Kjersti, tylko trzymając się jej jakby z dumą, mierząc Idę badawczym spojrzeniem. Nie wierzy mu. Rozpytywała się o Kjersti, która nie jest podobna do tej ładnej, jasnowłosej kobiety.

Trzeci raz. Ma zadzwonić do domu. Nic w tym dziwnego, tak po prostu bywa, normalna sprawa. Ona też dzwoni do ojca swoich dzieci, żeby powiedzieć co u niej słyhać i spytać, czy wszystko

w porządku. Stoi w oknie i obserwuje, jak on przechodzi przez plac, przez ulicę do budki telefonicznej na rogu, siedem pięter niżej, jego charakterystyczny krok budzi w niej drżenie, takim samym krokiem zszedł schodami do Tostrupkjelleren, z powiewającą na plecach jasną kurtką, chciałaby wchłonąć w siebie ten krok, pogryźć go i przełknąć, gdyby to było możliwe. Studiuje jego krok, kiedy się oddala, idąc do ubikacji w kawiarni albo po gazetę na drugą stronę ulicy, i czuje pożądanie, którego brak, gdy idą razem, mocno do siebie przyciśnięci, gdy *czuje* ten krok, jego biodro przy swoim, to coś innego, inaczej się to ogląda. Przez ulicę na róg i do budki telefonicznej, bierze słuchawkę i przykładą ją do ucha. Unosi drugą rękę, wrzuca monety do otworu, wybiera numer i czeka. Teraz rozmawia, kiwa głową. Co mówi. Czy można mu ufać. Czy mówi, że za nią tęskni. Zniknęło poczucie bezpieczeństwa, które ma, gdy on jest w pokoju, gdy go obejmuje. Potem wraca z powrotem przez ulicę, przez plac, do drzwi, przechodzi przez drzwi, jazda windą trwa chwilę. Mówi, że rozmawiał tylko z synem. Kjersti była na spotkaniu. Na jakim spotkaniu, pyta sam siebie. Ciekawe, co to za spotkanie, zastanawia się. Wreszcie uznaje, że na pewno chodzi o psychologa i uspokaja się, czuje

ulgę, że nie było to spotkanie innego rodzaju, randka.

Nic w tym dziwnego, tak po prostu bywa, normalna sprawa. Tylko Ida nie traktowała historii Kjersti poważnie, dopiero teraz to rozumie, dużo później, nic w tym dziwnego, tak po prostu jest, to naturalne.

Czwarty raz. Kiedy ona wybiega i dzwoni po taksówkę. Z własnej inicjatywy, tak, wybiega pędem. Gdy wybiega i robi zakupy na śniadanie, z własnej inicjatywy, tak, wybiega pędem. Robi kawę, z własnej inicjatywy, przynosi mu ją z mlekiem, w kubku, na tacy, a później zmywa naczynia.

– Ja to zrobię – mówi i robi to, a on jej pozwala i dziękuje, że to robi. Mówi, że nie przywykł do takiego zachowania u kobiet, że czuje się miło zaskoczony i że się cieszy. Jeśli on zapomni kurtki, ona biegnie siedem pięter na górę i przynosi mu ją z szafy, korzystając z okazji, by przyjrzeć się jego ubraniu, tak różnym od ubrań innych mężczyzn. Myśli raz, dwa albo więcej razy: tak nie może być zawsze.

Nie jest tak zawsze. To dlatego, że grunt pali mu się pod nogami, ona nie może o tym wiedzieć, skoro on tego nie okazuje. Nigdy nie pij wódki na pusty żołądek, radzą plakaty w barach, wypij

najpierw kilka piw. W jakiej wyjątkowej sytuacji się znajduje, trwa rozstanie, z którym sobie nie radzi, jakie to dla niego chaotyczne. Może jeszcze się ludzi, że to możliwe, że wszystko będzie dobrze. Biedny Arnold.

Czy zakochał się w niej wtedy, w Kopenhadze? Pozbył się jej skutecznie z systemu dawno temu i nie wiedział, co czuje, poczuł to dopiero w Kopenhadze. Można mieć wrażenie, że to zakochanie, bo jest lekkie, a jednak to nie bajka, nie romans, powaga wisi w powietrzu: czy będziemy parą.

– Do czego ci jestem potrzebny? – pyta on.

– Nie potrzebuję cię. Kocham cię.

Piąty raz, ostatniego dnia, po siedmiu wspólnie spędzonych, dwadzieścia cztery godziny na dobę, eksperyment przeprowadzony i zaczyna się robić poważnie. Wtedy to się wydarza, właściwie nie do końca niespodziewanie, w ostatni wieczór. Wyszli na miasto potańczyć. Jego ręce odskakują od ciała, rytmicznie, ale gwałtownie i bezładnie, przypominając marionetkę. Znika urzekający krok, sposób, w jaki pali, w jaki mówi, tak cicho, że trzeba się skupić, żeby usłyszeć. Sposób, w jaki odwraca głowę, powoli, znika przeciągłe spojrzenie, wszystko, co uważała za esencję jego charakteru, dystans, jest tylko częścią, która teraz

zniknęła, okazała się wystudiowana. Nagle pojawia się zupełnie inny on, podczas tańca, skacze dookoła, wymachując rękami i nogami. A także w łóżku, pod koniec, w momencie orgazmu, kiedy krzyczy albo dziwacznie jęczy i wybucha płaczem, który przechodzi w śmiech.

W taksówce do domu on zaczyna płakać. Są pijani, ona nie pamięta, jak to się zaczęło, jakie padły słowa, ale w pewnym momencie on zaczyna płakać. Jest późna noc, byli na mieście i tańczyli, ostatnia noc, on jest pijany i zaczyna płakać, nigdy wcześniej tego nie robił. Teraz płacze i szlocha: – Nigdy mi nie wybaczysz. Byłem diabłem. Byłem taki podły. Nigdy mi nie wybaczysz. Szlocha, wyje: – Byłem potworem. Nienawidzisz mnie, nie wybaczysz mi.

Rozstrzygające pytanie, ostatni wieczór, są pijani. Absolutnie rozstrzygające pytanie, na które ona jeszcze nie potrafi odpowiedzieć, jeśli miałyby być zupełnie szczerą, bardzo by chciała, ale nie ma takiej możliwości, bo tego trzeba spróbować, nie ma zabezpieczenia, ale też żadnej drogi powrotnej, chociaż odpowiada: – Tak, tak, kochany.

Jeśli mają być razem na poważnie, związać się ze sobą, powinna mu wybaczyć, ale czy jest w stanie. Nie pozornie, powierzchownie, ale głęboko, na dobre, żeby móc obdarzyć go

w przyszłości zaufaniem. Nie wie. Ma taką nadzieję.

– W porządku, kochany – mówi, pomaga mu wysiąść z taksówki, on przewraca się na chodniku. Podnosi go i wsuwa mu rękę pod ramię, prowadzi do drzwi, do windy i na górę.

– Dobrze, dobrze, kochany. Nie myśl o tym. Będzie dobrze.

Zdejmuje mu buty, kurtkę, koszulę. Tak, tak. Proszę. Kocham cię. Nie, nie zostawię cię. Nie, nigdy, nie bój się. Zaufaj mi, kłamie i chociaż cieszy się, że zadał to rozstrzygające pytanie, że rozumie wagę tego pytania, myśli: Kiedy to ja będę noszona, pocieszana.

Leży w łóżku nagi, prawie nieprzytomny, a ona może studiować go, nie będąc obserwowaną. Patrzy na niego i patrzy. Czy to jego kocha. To obce ciało. Tak inne od ciał, które poznała wcześniej. Czy to naprawdę on, przed nią na łóżku, nagle dostępny dla wszystkich jej zmysłów, ten od tak dawna zakazany owoc teraz bezbronny na łóżku, pełen pieprzyków. W tym tygodniu, szczególnie późno w nocy, gdy pili, miała ochotę opowiedzieć mu, nie oskarżycielskim tonem, o nie, nie robiąc mu wyrzutów, o nie, po prostu jasno, rzeczowo, a chwilami może nawet dowcipnie, jak czuła się przez te lata wyczekiwania. Opowiedzieć

mu, jak było, jak zaprzętał jej myśli w najbardziej szalony sposób. Dała sobie jednak spokój, żeby jej źle nie zrozumiał, nie uznał tego za oskarżenie albo wyrzut, jakby w takim czy innym momencie w przyszłości musiał ponieść odpowiedzialność, za groźbę przyszłej kary.

Teraz rozumie, że prawdopodobnie czekał na tę opowieść, na oskarżenie, żeby mógł zadać to rozstrzygające pytanie:

– Czy możesz mi wybaczyć?

A gdy opowieść nie nadeszła, i tak zadał to pytanie, ostatniego wieczoru, po pijanemu, w inny sposób: – Nie możesz mi wybaczyć! Tak, by odpowiedziała, że muszą zacząć nową opowieść. Musi zapomnieć o starym Arnoldzie. Tutaj leży on, nowy Arnold. Witaj, przyjaciółko, oto ja. Taki nagi, bezbronny i zdławiony płaczem. Wszystko zaczyna się teraz, odtąd. Tak musi być. Rozbiera się i przytula do niego, wacha jego szyję, wdycha zapach, czy jest już znajomy? Nie pachnie Trondem, pachnie Arnoldem? Pamięta jego zapach, czy można mu ufać, czy się zmienia? Z roku na rok, z tygodnia na tydzień, z kobiety na kobietę, zmienia się jak jego włosy, ta resztką, która mu pozostała, przy ich pierwszym spotkaniu miał włosy jasne jak włosy jego żony, Kjersti, ściemniały jednak od czasu, gdy zaczął spotykać

się z Idą, są coraz ciemniejsze, jak włosy Idy, może teraz są rude. Nie pachnie tak samo. Zmienia zapach, jest nie do rozpoznania.

Naciąga na nich kołdrę, rozpościera ją nad nimi, nad nim i sobą samą, mały Arnoldzie, mój kochany, ukochany. A jednocześnie, gdzieś z tyłu głowy: Czy tak już będzie zawsze. Czy on okaże się dzieckiem.

Piją przez cały tydzień. Od popołudnia, od lunchu, żeby schłodzić przegrzane głowy, uspokoić napięte zmysły, żeby przeżyć, nie osłabnąć, nie zniknąć, żeby nie pamiętać o niemożliwym. Upatrują sobie jeden bar, jedną kawiarnię, jeden sklep, w którym kupują mleko, kawę, sok pomarańczowy i piwo, mają jedną drogę do tych jedynych miejsc, rysują swoją świętą mapę świata. W tydzień tworzą swój własny język, swoje własne świętości. Sklep, w którym kochają się w przymierzalni. Sklep, w którym kupują dla niej spódnicę z zamkiem błyskawicznym na całej długości, można go rozpiąć jednym pociągnięciem. Sklep, w którym kupują dla niego pudełko cygar, później zawsze tam zagląдают.

– Pamiętasz?

Żebyś tego nie wypięła, pierwsze zdanie. Potem jak gdyby nigdy nic i znowu dzwonki nicości. I marynarz, Arnold-marynarz i dzik Bogda. Da się

zrobić wieszak, jeśli znajdzie się w lesie odpowiedni materiał, czubek małego drzewka z gałęziami wyrastającymi na wszystkie strony, trzeba obciąć je siedem do dwudziestu centymetrów od pnia, a następnie wypolerować cieńsze i grubsze gałązki. Zanim powiesi się go na ścianie, na kapelusze i szaliki, można go wypróbować, prawda, czy chcesz być moim wieszakiem?

Nie da się tego zrozumieć, jeśli cię to nie dotyczy, rozumieją tylko ci, którzy kochają i są kochani. Mogą to tylko wyrazić w nowym języku ich dwojga, należącym tylko do nich.

– Jestem elektryczna – mówi ona, gdy szczytowała już wiele razy i nie wolno mu do niej podchodzić.

– Jestem elektroniczny – odpowiada on.

Kochana, relatywnie stylowa dzika świni! Chciałem w sobotę zrobić ci niespodziankę tym ogłoszeniem w „Dagbladet”, ale w sumie rozumiem gazetę: wieszaki, kapelusze i dzikie świni niełatwo przełknąć.

Wysłał anons do Møteplassen w „Dagbladet”, ale został on odrzucony z powodu treści, jak wynika z czerwonej pieczętki przy tekście ogłoszenia: Wieszak w kapeluszu poszukuje relatywnie stylowej dzikiej świni. Po pijaku. Kod

ogłoszenia... Przyjdź jakby nigdy nic.

Dni-piwa-do-śniadania. Pierwszy dzień-piwa-do-śniadania w Røros. Zameldowali się na tydzień w hotelu koło dworca kolejowego, żeby popracować. Nadeszła późna jesień, wszystko jest czerwone i jaskrawożółte. On przyjeżdża pociągiem z Trondheim, ona z Oslo, spotykają się w recepcji hotelowej i przytulają. Poza sezonem prawie nie ma tu ludzi, ale w sobotę odbędzie się ślub. Dowiadują się o tym rano, z pociągu wychodzą ludzie ubrani po miejsku, w kozakach, i przedzierają się z walizami przez śnieg. Stoją w oknie i ich obserwują. Za każdym razem, gdy przyjeżdża pociąg, a jest ich w ciągu dnia sześć albo siedem, podchodzą do okna i obserwują peron, czy ktoś wysiądzie, co rzadko, ale się zdarza. W ten sobotni poranek, ich przedostatni dzień w górach, z porannego i przedpołudniowego pociągu wysiada mnóstwo ludzi w miejskich ubraniach i butach. Szybko zapada zmrok. Już koło czwartej. Stoją w oknie i spoglądają na odśnieżony peron. Śnieg piętrzy się w kredowobiałych zaspach we wszystkich kątach. W piętnastu domach po drugiej stronie linii kolejowej palą się światła, żółty odbłask w szybach, żółte lampki przed drzwiami, nad schodami, zabarwiają na żółto tańczące płatki

śniegu, które nie opadają, tylko wirują, tańczą. Śnieg, śnieg. Od czasu do czasu przez śnieżycę przedziera się jakiś człowiek, krępy, w puchowej kurtce albo kombinezonie, pies ujada, gdy zmrok nadchodzi jakby od dołu. Ludzie wychodzą koło czwartej, w strojach ludowych, z nartami na nogach i pochodniami w dłoniach, ślub odbędzie się na dworze, na jednej z pokrytych śniegiem żuźlowych hałd. W pelerynach, kurtkach i futrach narzuconych na ramiona ustawiają się na odśnieżonym peronie, trzymając w jednej ręce płonące pochodnie, a w drugiej laski. Arnold i Ida nie mogą dojrzeć ceremonii z okna, ale stoją tam przez cały czas, z nosami przyciśniętymi do szyby. Dopóki ludzie nie przyjdą z powrotem, szybciej niż w tamtą stronę, radośniejsi, lekko chwiejni, jakby już dostali szampana.

Para młoda jedzie na końcu w psim zaprzęgu, objadają dookoła białe od śniegu miasto. Będą sami ze sobą, zanim zaczną się przyjęcie. Powiedzieli sobie „tak”, przy świadkach, teraz zostaną sami, psy powiozą ich przez miasto, tylko we dwoje w ciemnościach, otuleni w skóry, z kieliszkami zimnego szampana przyciśniętymi do warg, zamyśleni, pod gwiazdami, które przyjemnie wyglądają tego wieczoru w Røros, wydają się bliżej niż gdziekolwiek indziej na Ziemi.

Ida i Arnold ubierają się i schodzą na dół, nęci ich okazja, emocje, jest poza sezonem, prawie nie ma gości, tylko Ida, Arnold i weselnicy stojący w recepcji z kieliszkami szampana. Czekają na parę młodą, która jedzie saniami, widzą ich przez wielkie okna wychodzące na tory kolejowe. Głęboko w śniegu, między szynami, osiem pędzących psów. Czy są szczęśliwi? Przed chwilą powiedzieli, patrząc sobie prosto w oczy, w obecności świadków: Tak! Na dobre i na złe, dopóki śmierć nas nie rozłączy. Zawsze będziesz ty i tylko ty. Czy to jest szczęście. Czy to jest łaska. Siadają na uboczu z piwem i obserwują. Oto świadek z goździkiem w butonierce przegląda swoje papiery. Oto matka, z czerwonymi plamami na twarzy z podniecenia, przyjmuje prezenty i komenderuje młodszą kobietą, córką albo siostrą, by je rozpakowała i nie zapomniała o kartach! Nie można się pomylić, kto co dał, to ważne. Oto przyjaciele, którzy znali się już wcześniej, szybko piją i dużo się śmieją. Stary wujek, babka, kilkoro dzieci biega dookoła i chwyta się przypadkowych nóg w spodniach, gdy tracą równowagę. Ida i Arnold siedzą z boku za filarem.

Pojawia się młoda para. Mają zaczerwienione policzki, uśmiechają się po szampanie, po tym wszystkim. Czy to jednak łaska i szczęście.

Przyjaciele unoszą kieliszki i wznoszą toast. Coś takiego warto świętować. Miłość pomiędzy dwojgiem ludzi, parą, która mówi sobie „tak”, to coś niezwykłego, godnego zazdrości, nic nie prowokuje bardziej niż naprawdę zakochana para. Na dole, przy nakrytym stole kręci się brat albo szwagier, wkładając pod talerzyki czerwone i zielone karteczki z tekstami piosenek. W kącie stoi starszy człowiek i mamrocze coś pod nosem, ściskając w dłoni zwinięty kawałek papieru, to pewnie ojciec, teść albo ukochany wujek. Ida i Arnold wślizgują się w ślad za gośćmi i siadają tak blisko otwartych drzwi do jadalni, jak się da, nie wzbudzając zainteresowania.

Ojciec pana młodego przemawia, wita wszystkich zgromadzonych, nikt nie usłyszy, co powiedziałby ojciec Arnolda. Przemawia pan młody, Ida nigdy nie dowie się, co powiedziałby Arnold. Chciałbym wygłosić mowę! – rzekłby Arnold. Czy kiedyś to usłyszy? Nie. Śnieg lśni na dworze, z ziemi sączy się ciemność, ale zaspasy śnieżne jaśnieją, chmura odpływa i gwiazdy zaczynają świecić mocniej. Mowa Idy do Arnolda z bliźną nigdy nie zostanie wysłuchana. Nie ta pierwsza, doskonale przygotowana, którą wymyślała na ulicach podczas swoich długich, samotnych wieczornych spacerów owej pierwszej,

nieszczęśliwej, pełnej nadziei zimy. Ani żadna inna, nigdy.

– Chcesz wyjść za mnie za mąż?

– Tak – odpowiada ona za każdym razem, ale nie biorą ślubu.

– Kochamy się – mówi on. – Taka jest prawda.

– Racja, tak właśnie jest.

– Zdrowie raz jeszcze.

Aby móc wycofać się z tego, zanim będzie za późno, wycofać się z potencjalnego bólu, szuka znaków: on mnie nie kocha. Nie będzie kochał mnie w przyszłości. Tam! I tam! Nigdy nie wezmą ślubu. Czy to by coś zmieniło? Pewnego razu pomyśleli, że powinni wziąć ślub, skoro mają być razem aż do śmierci. Że ich rodzice, jego i jej, dopóki jeszcze żyją, powinni się kiedyś spotkać, tak samo ich rodzeństwo wraz ze swoimi partnerami, kuzyni i kuzynki, ten jeden, jedyny raz. Ona rzadko widuje się z rodziną, on tak samo, czy nie powinni ich ze sobą zapoznać, skoro mają być razem aż do śmierci. Ojciec Arnolda poznałby ojca Idy, stara matka Arnolda – matkę Idy, bracia Arnolda poznaliby brata i siostry Idy, zobaczyliby swoje twarze, skrzyżowali spojrzenia, wyciągnęli dłonie i przywitani się, ten jeden, jedyny raz.

Słuchają ułożonych przez rodzinę piosenek weselnych i zastanawiają się, co oni sami

napisałiby dla siebie nawzajem, co napisaliby ich świadkowie, do jakich melodii, coś tylko dla nich, coś niezwykłego, ponieważ ich związek nie jest zwykły, jest do niczego niepodobny. Przyłączają się przy refrenie, żeby było głośniejsze. Wznoszą toasty za młodą parę i za wszystkie miłe słowa, które padają. Oby nigdy słońce nie zaszło nad waszym gniewem. Zawsze pogódźcie się, zanim zaśniecie. Jedno drugiemu brzemiona noście. Klaszczą i przyłączają się przy refrenie, atmosfera w jadalni jest tak miła, że goście uśmiechają się do Idy i Arnolda, unoszą w ich kierunku kieliszki, a gdy zabawa się rozkręci, Ida uderza w szkło i opowiada wszystkim dowcip. O małżeństwie, które świętuje dwudziestą piątą rocznicę ślubu. Żona wybiera lokal, listę gości i menu, łososia na przystawkę, antrykot jagnięcy jako danie główne, mrożony krem na deser, wybiera wina i ciasta, kompozycje kwiatowe i coś jeszcze, kiedy małżonek cicho proponuje, by uczcili ten dzień dwuminutowym milczeniem. Tak, tak! Gdyby naprawdę mnie kochał, ożeniłby się z inną! Ha, ha! Śmieją się, ona siada. Nie przesadzaj teraz. Wszystko z umiarem. Ale gdyby to było ich wesele, czy pokazałiby wszystko, wyciągnęliby wszystko na wierzch? Muszą to kiedyś zrobić, pokazać światu. Powiedzieć „tak”, gdy wszyscy słuchają.

Kiedy rozpoczynają się tańce, tańczą. Kiedy młoda para tańczy walca, tańczą.

– Musimy to zrobić. Jeśli ktoś w ogóle powinien wziąć ślub, to właśnie my. Tacy, co kochają jak my, tacy ludzie powinni brać ślub.

W niedzielę budzą się koło jedenastej. On zawsze śpi na boku, by nie udusić się przez sen, ona leży za nim, na łyżeczkę, tuli go, otacza ramieniem. Następnego dnia, w poniedziałek, wrócą do domu, każde do swojego, on do Trondheim, ona do Oslo. Ona budzi się pierwsza, chce jej się pić, ostrożnie rozsuwa zasłony, żeby sprawdzić pogodę. Nad miastem niebo jest ciemne, ale nie pada śnieg. Arnold śpi zwinięty w kłębek, spod kołdry wystaje tylko czubek łysej głowy. Ona idzie po coś do picia. W minibarze nie ma nic, żadnego soku, żadnej oranżady. Tylko piwo, masa butelek piwa i białego wina. Wyjmuje dwa piwa, otwiera je i nalewa do szklanek, podchodzi do niego, rozsuwa zasłony i podaje mu jedno, on pije, nie otwierając oczu.

– Piwo? – pyta później.

– Only there is.

Wypija je z czystego pragnienia i siedzi z pustą butelką w dłoni. Można uciec na jeden dzień, to potrzebne. Nie robić nic przez jeden dzień, leżeć w łóżku. Zrezygnować ze wszystkich planów,

wszystkich zamierzeń, nikt nie wie, że tutaj są. Nikomu nic nie obiecywali. Ona przynosi kolejne piwo. Mogą siedzieć przez cały dzień w łóżku i wyglądać przez okno. Patrzyć na zmieniającą się pogodę, na niebo, które zmienia kolor. Na przepływające chmury. I rozmawiać, o czym tylko zechcą, długo, o ślubie, o powiedzeniu „tak”. Jak dać sobie radę, kto daje sobie radę, co ich czeka, co robią ludzie, którzy dają radę, co jest najważniejsze. Uczciwość. Nie upokarzać drugiej osoby. Traktować się poważnie. Interesować się pracą drugiej osoby, rozumieć tę pracę, pasję. Uprawiać seks. Kolejne piwo, rozluźniają się, trzeba się rozluźnić. Pozwolić temu odejść i odsunąć, jeśli wróci. Ramię przy ramieniu, ale samotni w świecie. Nikt o tym nie wiedział, aż do teraz. Nie ma żadnego wcześniej. Udo przy udzie, ręka przy ręce i twarz przy twarzy. Tylko kiedy muszą wyjść do ubikacji albo po kolejne piwo czy wino, oddalają się od siebie i tęsknią.

– Dokąd idziesz?

– Tylko zrobię siusiu.

– Wracaj szybko!

A gdy ona wraca: – Tęskniłem.

– Ja też.

Tydzień w Kopenhadze się skończył. Miasto, miejsce prawdziwego początku miłości, zostaje za

nimi, zalane słońcem. Spakowali się i jadą na lotnisko. Jego samolot odlatuje pierwszy, ale razem wchodzi do budynku. Jedzą lunch i piją piwo, zawsze to samo, w restauracji, która tym razem znajduje się na pierwszym piętrze, można więc z niej obserwować tłum ludzi w hali odlotów. On schodzi na dół, żeby zadzwonić do Kjersti i długo nie wraca. Także teraz ona przygląda mu się z restauracji, w której siedzi sama, spokojna, ponad ludźmi. Słuchawka przy uchu, teraz rozmawia. Wypowiada dźwięki, słowa, do niej, jego żony, która zna go lepiej od Idy, która pierze swoje ubrania razem z jego ubraniami, po tym, jak leżały razem w jednym koszu na brudną bieliznę, wymieszane, z nią był w sklepie meblowym i wybierał meble, z nią ma dziecko. Co do niej mówi? Do kobiety, której powiedział „tak” w urzędzie w Trondheim nie tak dawno temu, dla której wygłosił mowę na weselu. Na pewno wszystkim się podobało. Co teraz mówi? Wraca powoli. Mówi, że żonie jest smutno. Kjersti jest smutna i zmartwiona, i jemu, Arnoldowi, również sprawia to przykrość. To naturalne, tak po prostu jest. Wspomina, że Kjersti zastanawia się, czy może jednak go kocha. Wtedy dokuczają mu wyrzuty sumienia.

– Bo teraz było nam przecież tak cudownie.

Rozumiesz?

– Ja nie mam męża. Nikogo nie zdradzam.

Nie. Taka jest prawda. Teraz muszą iść. Arnold musi iść. Zajrzy do sklepu wolnoćowego, kupi Kjersti balsam do ciała, czy Ida może zaproponować jakąś markę. Nie. To błąd. On to rozumie.

– To był błąd – mówi.

Idą razem do bramki, tak daleko, jak tylko można. Samolotem do Trondheim latają mieszkańcy miasta, koledzy, studenci albo rodzina Kjersti. On zatrzymuje się i obraca do niej. Wystarczy. Dotąd.

– Trzymaj się – mówi i prędko całuje ją w usta, patrzy na nią, a ona odwzajemnia pocałunek, spogląda na niego i odpowiada: – Trzymaj się. Odchodzi.

Stoi i spogląda w ślad za nim, wreszcie on odwraca się i znika jej z oczu, wtedy wraca do hali odlotów, znajduje telefon i dzwoni do kogoś. Jest taka przepełniona, wciąż znajdują się w tym samym budynku. Tak piękna jak teraz nie była nigdy wcześniej, jest przekonana, że pachnie, ludzie odwracają się za nią.

Teraz bramka zamyka się. Teraz on siedzi w samolocie, w fotelu, z zapiętymi pasami. Czyta gazetę. Czy o niej myśli? Musi! Myśli o Kjersti. Co

wtedy? Teraz jest już w powietrzu, świecące litery zgasły.

Może pojechać do Tronda. By przywrócić jej przytomność. By wreszcie mieć orgazm. By być w stanie, by krzyżeć. Dotknij mnie tam, a to rozejdzie się po moim ciele jak echo. Trond przyjmuje ją. Domyśla się, ale nie pyta, widzi tylko, że nosi coś w sobie. Widzi ją lepiej, zna ją lepiej niż Arnold. Ona nie wie, na ile jest szczerą, czym jest szczerłość. To też jest nie do zniesienia. Jak powrót z imprezy, która trwała zbyt długo, do pustego domu, do samotności, powrót z imprezy, którą należało opuścić wcześniej, zanim wydarzyło się to, co nigdy nie powinno było się wydarzyć, czego nie zniesie nikt. To niesie ze sobą wstyd i lęk, dopóki nie wrócą dzieci, nie nastanie dzień i nie wstanie świt. A wraz ze świtem dzwoni do niego i mówi: – Kocham cię!

Musi! To jak zaklęcie, jak modlitwa. By mogła żyć. On planuje dla nich wyjazd do Londynu.

– Tak!

Może więc żyć.

Z każdym dniem bliżej. Dwa tygodnie, tydzień. Pięć dni, cztery dni, trzy, dwa, jeden jedyny i wreszcie ten dzień.

Zaczęła się szkoła, jest wczesna jesień. Wybiera się do Londynu z ukochanym. Nosi ze

sobą nieotwarty podarunek. Syn będzie brał udział w meczu piłki nożnej w lesie. Wędruje z dziećmi przez łąki do lasu, zbierają kwiaty, kamyki, korzenie. Mama jest taka szczęśliwa. Mama śpiewa. Mama tuli je i gładzi po głowie. Mama przebiega przez drogę z uniesionymi rękami i wydaje jej się, że słońce świeci niemal za mocno.

– Czy to nie cudowne? Czy to nie fantastyczne!

Mama łaskocze ich pod pachami i kolanami, i turla się po trawie. Jaka ona dziwna. Maliny dojrzały. Są jeszcze poziomki, tam, gdzie było chłodno, za wielkimi kamieniami, gdzie wysokie drzewa rzucały cień. Wszystko jest wyraźne. Wszystko widać. Nie ma sobie czego więcej życzyć. Gdyby tylko mogła im o tym powiedzieć. Największe, co można przeżyć na świecie, to łaska. A wiecie, co zrobię, gdy odwiozę was do taty? Spotkam się z moim ukochanym na Fornebu i polecimy do Londynu! Czy jest ktoś szczęśliwszy ode mnie?

– Hej, Trym! Tutaj, Trym! Dajesz, Trym! Do rogu!

Z powrotem do domu przez ciemny las. Wczesny wieczór, początek jesieni, półmrok. Niesie jedno z dzieci na ramionach. Zapach lasu, syn i córka. Drży. A jeśli. Nie potrafi stać

spokojnie, oddychać normalnie, przestać się uśmiechać. Zawiozła dzieci z rzeczami do ojca, pozbyła się ich z domu, bierze prysznic, szykuje się, wypija samotnie kieliszek wina. Nie da się być szczęśliwszym niż Ida teraz. Taksówka na lotnisko. Dzięki Ci, Boże! Niedługo on się pojawia, staje przed nią, nie jest zdenerwowana jak ostatnio, w Kopenhadze, teraz wie, że im się uda. Oto on.

Musujące wino na czas oczekiwania. Żeby to uczcić. Że spotkali się i zaszli tak daleko, aż tutaj, są w drodze do Londynu. Cały tydzień, tylko oni, nic poza tym. Wszyscy wierzą, że są świeżo poślubioną parą. Więcej wina! Angielskie stewardesy myślą, że piją ze strachu przed lataniem. Pewnie boją się latać, patrzcie, jak drżą i tulą się do siebie. Dostają wiele małych butelek.

– Miesiąc miodowy?

– Tak, miesiąc miodowy! Więcej dodatkowych buteleczek i zaproszenie do kokpitu podczas lotu. Ida dziękuje i się zgadza. Przychodzą po nią po starcie.

– Zapraszamy z nami.

Właśnie tak. Wznoszą się wysoko w powietrze. Całkiem wolni, całkiem nieważcy, w niebie.

Całują się i całują. Nie znają jeszcze ubrań tej drugiej osoby, bielizny, rzeczy w teczkach

i torbach, to przygoda, na którą czekają, białe plamy na mapie, podróże, odkrycia.

Jeśli czegoś jeszcze sobie nie powiedzieli, mogą zrobić to teraz. To, co powiedzieli, mogą opowiedzieć w ten sam sposób albo w zupełnie nowy. Rodzeństwo urodzone z tej samej kobiety, w kilkuletnim odstępie, z tego samego ojca, wyrastali razem, w jednym domu, dzielili pokoje, dzieciństwo, młodość. Jak mogło dojść do tego, że jedno, dwadzieścia lat później, nie wie nic o życiu drugiego. Oni, którzy nocą wślizgiwali się sobie nawzajem do łóżek, którzy siedzieli obok siebie na tylnym siedzeniu samochodu, przez długie godziny, przez całe doby, przejeżdżając przez całe kraje, latem i zimą. Zasypiali spleceni rękami i nogami, jak dowodzą zdjęcia, a teraz stracili kontakt. Bawili się razem, znali swoje zapachy i rzeczy, dzielili przyjaciół, zabawy i posiłki do dnia wyprowadzki z domu, i jeszcze później, ale w którymś momencie, którego nie da się wskazać, to się zaczęło, stopniowo oddalili się od siebie i teraz już się nie znają. Kiedy to było, dlaczego i czy ma to jakieś znaczenie. Nie znają swoich myśli i nie chcą ich też poznać, nie ma sensu próbować tego tłumaczyć, i tak nie zostanie to zrozumiane. Ona pyta sama siebie, a on próbuje odpowiedzieć. Odpowiedzieć na nowo, obszerniej.

On pyta: Dlaczego mój brat tak nisko upadł, czego nie mógł znieść. Kiedy to się zaczęło. I dlaczego. Czy mogło się potoczyć inaczej. Czy mógł coś zaradzić. Tak daleko w przeszłości, której prawie nie da się przywołać, ale ostatecznie, skoro chcesz. Kontakt z czasem się rozluźnił, oddalili się, wszystko się rozmyło, rozmowy zmieniły w nic nie znaczące anegdotki, ale spróbuję. Jak to się zaczęło, jaki ruch przywiódł ich tutaj, zmienił ich tak, że teraz pasują do siebie jak specjalny klucz do specjalnego zamka, jak cud.

Ostatniego dnia on zatrzymuje ją nagle na środku ulicy:

– Ale co z nami będzie?

– Co masz na myśli?

– Pracuję w Trondheim. Ty mieszkasz w Oslo. Mam dzieci. Ty masz dzieci.

– Będzie dobrze – odpowiada, nie martwi się. Będzie dobrze, powtarza. Jestem elastyczna. Nie myśl o tym, mówi. Czas nam sprzyja.

Czekała tak długo i teraz przyszedł. To łaska. Nie wolno mu znowu odejść! Zrobi wszystko, wszystko!

Gdy poznała swojego pierwszego męża jako dziewiętnastolatka, zimą, po dość krótkim czasie spytał ją, czy jeździ slalomem na nartach. Rozmawiali o wypadzie w góry w weekend, żeby

pojeździć na nartach.

– Tak – odpowiedziała. Skłamała, nie jeździła slalomem, nigdy tego nie robiła. Nie mogła więc pojechać w góry. Musiała wymyślić jakąś wymówkę. Coś z kolanem. Albo z brzuchem, nagły atak bólu brzucha. Żeby nie mogła z nim już być. Bo kłamstwo wyjdzie na jaw prędzej czy później, on dowie się, jaka jest naprawdę, i będzie po wszystkim. Przez wiele lat obawiała się tego kłamstwa. Źle sypiała nocami z powodu tego kłamstwa. Dręczyły ją lęki na skutek głupiego kłamstwa o slalomie. Jakie to dziwne, gdy teraz o tym pomyśli, dużo później. Jak kłamiemy, a potem żyjemy w nieprawdzie, do której zdążyliśmy przywyknąć i jak obawiamy się zdemaskowania, katastrofy.

Ida z Arnoldem siedzą w pubie w Londynie. On wspomina, że zdał egzamin z filozofii na najwyższą ocenę. Nie da się dostać lepszego stopnia z tego egzaminu. Arnold Busk nie słyszał jeszcze o nikim, kto dostałby taką ocenę z filozofii, prawdopodobnie jest jedyny.

– Ja też dostałam najwyższą ocenę z filozofii – mówi Ida Heier, chociaż nie jest to prawda, tylko tak mówi. Wznoszą toast za to, że prawdopodobnie jedyne osoby w Norwegii z taką oceną z tego przedmiotu się odnalazły. Wiele razy w ciągu

wieczoru Arnold Busk powraca do fascynującego faktu, że nie tylko on, ale i Ida, kobieta, z którą siedzi w Londynie, zaliczyła filozofię na tę niewiarygodną najwyższą ocenę. Gdyż nie podejrzewa, że go okłamała, to pewnego rodzaju komplement. Ona widzi jednak, że nie jest tak zadowolony, jakiego stara się udawać. Nieco rozczarowany, że nie jest już jedyną osobą z najwyższą oceną z filozofii i lekko zaskoczony, że nie może zaimponować jej w swój normalny sposób, do którego przywykł i na który liczył. – No, ale zdrowie! – mówi i Ida unosi szklanę, ona też musi w ciągu tego wieczoru raz za razem przypominać o tym szczęśliwym zbiegu okoliczności, żeby nie wzbudzić podejrzeń, że nie jest tym równie zainteresowana.

Ida Heier dostała z filozofii ocenę nieco niższą, więc skłamała, ale nie czuje się, jakby skłamała. Właściwie nie skłamała, a przynajmniej nie bardzo, takie ma wrażenie, bo uczyła się sama, chodząc na kurs językowy w Hiszpanii, nie była na ani jednym wykładzie, uczyła się sama wieczorami, z nikim nie rozmawiała, nie oddawała prac, a jednak poszło jej nieźle. To nieźle, biorąc pod uwagę okoliczności, a jak dobrze mogłaby wypaść, ucząc się tyle, co Arnold Busk, wyobraziła go sobie nad książkami. Wykrzyknik za

wykrzyknikiem na marginesach i podkreślenie za podkreśleniem, ambitnie i intensywnie, zdanie za zdaniem, strona za stroną. W zasadzie dostała ocenę taką jak Arnold, bo nie jest głupsza od niego, o to właśnie chodzi, to należy wyjaśnić!

Ale ostrożnie, ostrożnie! Skradaj się na paluszkach, nie zrań go, nie groź mu.

Rano, po wytrzeźwieniu, żałuje. Nie swojego toku myślenia z poprzedniego wieczoru, nie konkluzji, decydującego punktu, który musi pozostać jasny: nie jest od niej lepszy. Ale boi się zdemaskowania, bo jeśli kłamstwo zostanie odkryte, wyjdzie na śmieszną, żalospną, wtedy on zyska nad nią rzeczywistą przewagę. Wyobraża sobie, jak Arnold Busk przedstawia ją przyjaciołom i kolegom: – Oto Ida Heier. Dostała najlepszą ocenę z filozofii, tak jak ja!

A przyjaciel czy kolega zechce przyjrzeć się tej sprawie bliżej i wyda się, że Ida Heier dodała sobie jeden cały stopień do swojej oceny z filozofii, żeby zrobić wrażenie na Arnoldzie Busku, a czegoś głupszego nie da się zrobić. To śmierć.

Myśli o tym przez cały następny dzień. Teraz zniszczyła wszystko, zanim jeszcze na dobre się zaczęło. Niszczy, sabotuje, nie chce być szczęśliwa. Tym razem miała żyć w prawdzie, takie było założenie, taki był projekt. Prawda, miłość,

uczciwość, żadnego udawania, takie było założenie, i dokąd zaszła, po sześciu dniach w Londynie. Musi powiedzieć mu prawdę, zanim on wygada się komuś, zanim to wyjdzie na jaw i będzie za późno. Poddać się, śmiać się z siebie samej i powstrzymać dalsze zniszczenia.

– Muszę ci coś powiedzieć – mówi następnego dnia, on rozumie, że chodzi o coś poważnego i błednie.

– Co? – pyta ze strachem.

– Napisałam to – odpowiada, napisała na kartce i włożyła do koperty, którą trzyma w kieszeni. Wyciąga ją i mu podaje, on błednie jeszcze bardziej. Ona wstaje i wychodzi z pokoju, żeby nie być obok, gdy będzie to czytał. Teraz czyta. Ona wstydzi się i kuli. Jak teraz spojrzę mu w oczy. Co on teraz pomyśli. Boi się. Dziwnie wspomina się teraz, dużo później, jak bardzo się bała. Bo co niby mógł jej zrobić. Zniszczyć ją, tego się obawiała. Tego, że wszystko będzie jak wcześniej, czekanie nie do wytrzymania. Nie sądziła, że przyjmie to z zadowoleniem, teraz znowu będzie jedyny, wyjątkowy. Śmieje się do rozpuku, gdy ona wchodzi z powrotem, taka jest szczęśliwa, czuje taką ulgę. Całuje ją namiętnie.

– Mała Ida – mówi.

Jego żona nic o nich nie wie. Żona nie wie

o Idzie. Jeden tydzień spędza w domu z dzieckiem, a drugi w mieszkaniu, które będą wynajmować jeszcze przez miesiąc. Nie jest więc niewierny, nie robi nic nielegalnego. Nie musi przyznawać się żonie, sprawiłby jej dodatkowy ból, to bez sensu. Żona nie wie, że jest w Londynie z Idą. Mówi, że do niej zadzwoni i Ida wychodzi z pokoju. Nic dziwnego, że chce być sam, kiedy dzwoni, to naturalne. Ale o czym z nią rozmawia? Powietrze jest przejrzyste, na drzewach są jeszcze zielone liście.

– Przykro jej – mówi, kiedy ona wraca do pokoju. – Powiedziała, że może mnie kocha.

To prawda, takich rzeczy się nie czuje, dopóki ich się nie straci.

– A co ty myślisz? – pyta Ida.

On gładzi się po tyle głowy, od gorąca pokrytej małymi kropelkami potu.

– Wolę ją taką – odpowiada.

Życie jest dziwne. Ludzie, którzy nigdy się nie spotkali, mają największe znaczenie dla naszego życia, dla naszych możliwości.

– Chcesz z nią być?

– Nie – odpowiada on i namyśla się przez chwilę. – Chcę być z tobą.

Gdzie są dzieci? Czy pojedzie z nimi na wakacje? Tak, jedzie z nimi na wakacje do

Trondheim. Lecieć samolotem do Trondheim, jakie to fajne, mieszkać w hotelu z basenem, ale zabawa, czego więcej chcieć. Żona Arnolda wyjechała z synkiem, a dzieci Idy leżą w pokoju hotelowym, przed telewizorem o wielu kanałach, z siatkami słodczy i komiksami z Kaczorem Donaldem. Arnold przyjeżdża po nią samochodem. Tym białym, w którym raz już siedziała. Teraz zobaczy jego dom. Jest normalny, jak to możliwe, że ten dziwaczny mężczyzna, ten niesamowity i zupełnie niezwykły mężczyzna ma taki zwyczajny dom, sosnowe krzesła z jasnoczerwonym obiciem w jadalni, kanapę z Ikei, że obrazy na ścianach, świeczniki w oknie, wszystko jest takie zwyczajne.

On wskazuje na plakat na ścianie salonu.

– To gust Kjersti – wyjaśnia, podchodzi do zasłony w salonie i unosi ją:

– A to... – mówi o złocistej, lekkiej zasłonce. – To gust Kjersti.

– Ach, tak. Do czego jej potrzebna ta wiedza.

Pokazuje jej sypialnię, starannie pościelone małżeńskie łóżko i reprodukcję słoneczników van Gogha na ścianie, kilka starych książek, drewnianą rzeźbę, którą dostał od surrealistycznego artysty, widok z gabinetu, a potem mówi: – Teraz nie mam ci już nic więcej

do pokazania.

Jaki on dziwny. Przygotował jedzenie i tłumaczy, jak je przyrządzał, coś z szalwią, gotowane w winie przez ponad godzinę, wdaje się w szczegóły. Ona ma na końcu języka wielkie pytania. On wspomina, że nauczył się tego we Włoszech. Piją wino. Tak, widok na fiord jest piękny. Gdyby nie fiord, nie wiedziałyby, gdzie się znajduje, w jakiejś dziurze daleko za miastem. W domu unosi się zapach obcej rodziny, w łazience, na ręcznikach; wacha czyste ręczniki leżące w szafce. Potem pojedą do miasta i będą się kochać w mieszkaniu wynajętym od kolegi, który wyjechał, bo ona nie chce kochać się w małżeńskim łożu, gdzie sypia jego żona, kiedy jest u siebie, *w domu*. Kiedy to zrobili, kiedy skończyli kochać się na skórzanej kanapie kolegi, w mieszkaniu kolegi, w mieście, gdy ubrali się i wypili więcej, wracają do jej hotelu, on odprowadza ją, zanim weźmie taksówkę do domu, ona nie mówi żadnej z tych rzeczy, które zamierzała koniecznie powiedzieć. Których nie odważyła się powiedzieć, których obawiała się powiedzieć, których teraz też praktycznie nie jest w stanie powiedzieć. Że też on nigdy nie zapyta jej o nic, co nie dotyczy jego samego. Czy to, co może zdarzyć się teraz, jest dla niej trudne.

– Czujesz się czasem samotna na świecie? Nigdy o to nie zapytał.

– Nie jest ci przykro, że tak rzadko widzisz się z rodziną? Nigdy nie zapytał, albo:

– Czy chcesz opowiedzieć mi o tym, co się wydarzyło, tym, co było trudne?

– Myślałaś, żeby coś z tym zrobić? Nigdy nie spytał, albo: – Jak poszła terapia, chcesz się tym ze mną podzielić, porozmawiać o tym ze mną?

Ma dość swoich spraw. W jego głowie kryje się dużo więcej, niż mówi, niż ona wie. Tego wieczoru w Trondheim ona przyznaje mu się, że ma wrażenie, że nigdy nie rozmawiają o jej sprawach. Tylko o jego sprawach, o rozwodzie. Mówi, że jeśli płacze i jest jej smutno, jeśli czuje się niespokojna, bezradna, nie dzwoni do Arnolda, żeby nie obarczać go jeszcze bardziej, nie dodawać mu ciężaru. Dzwoni raczej do Tronda, mówi, bo tak się zdarzyło.

Nie powinna była się przyznawać, on nie może tego znieść, teraz płacze, wyje i szlocha, wychodzi z siebie i pada w jej objęcia przed hotelem. Ona musi iść do dzieci, dzwoniła do nich z mieszkania i nie spały. Ale Arnold nie przestaje płakać.

– Nie chciałam, Arnoldzie. Nie płacz, Arnoldzie. Kocham tylko ciebie, Arnoldzie. Nigdy nie kochałam innego, Arnoldzie. Tylko ciebie,

Arnoldzie. Zawsze będę przy tobie. Już, już.

Dzwoni do niej z domu po powrocie i znowu płacze. Ona chowa się z telefonem pod kołdrą, żeby dzieci nie słyszały.

– Nie płacz, Arnoldzie. Nie chciałam. Zapomnij. Źle mnie zrozumiałeś.

– Jestem dupkiem.

– Nie, nie, Arnoldzie. Nie mów tak. Kocham cię.

To było dawno temu, od tego czasu nauczyła się brutalności. Nie chodzi o to, że tych dwoje nie będzie razem, tylko że będzie razem.

Potem wraca do domu, jedno z nich zawsze musi wyjeżdżać, to taki ból i taka ulga. Nareszcie wolna, ale czuje, jakby krwawiła, z łona i z serca.

Idzie na imprezę i wypija za dużo, żeby zapełnić pustkę, dziurę. Mieszkanie, które Arnold z żoną wynajęli od jakichś znajomych, w którym na zmianę mieszkali, nie jest już wolne. Muszą mieszkać razem w szeregowcu, gdzie Ida jadła włoską potrawę Arnolda. Każde w swoim pokoju, zapewnia Arnold i Ida mu wierzy, ponieważ kocha. Nie dzwoni na niedozwolony numer, bo żona może odebrać telefon, a żonę należy chronić przed Idą. Żeby jej nie zranić, nie osłabić, żeby nie rozgniewała się i nie zaczęła robić trudności. Ida idzie na imprezę z ludźmi, którzy znają Arnolda

i wypija za dużo. Bo to tajemnica, a nie może nosić w sobie tajemnicy, chce ją wykrzyczeć, ale musi utrzymać ją w środku. Dziwna sprawa z tą wielką miłością, wszystko chce się wystawić na widok publiczny, jakby wszystkie poczynania tych dwojga szczęśliwych ludzi wymagały uwagi całego świata. Byliśmy w Londynie! Byliśmy w Kopenhadze! Jest spięta, nadwrażliwa, nerwowa, pije za dużo, mówi za dużo, po imprezie idzie do domu z mężczyzną, a rano ma napad lęku na myśl, że Arnold dowie się o tym i zmieni zdanie. A jeśli nie przyjedzie. Musi przyjechać. Inaczej umrze. Zabije go. Jak może być tak głupia, ryzykować tuż przed, to szaleństwo.

Przez telefon jego głos brzmi normalnie. Dzięki Ci, Boże. O niczym nie wie!

– Kocham cię. Tęsknię za tobą. Nie mogę bez ciebie żyć. Kiedy przyjedziesz, kiedy będę mogła cię zobaczyć, muszę cię zobaczyć.

Podoba mu się to, głos nabiera cieplejszego brzmienia.

– Ja też cię kocham – odpowiada. – Tęsknię za tobą – mówi. – Tęsknię za twoim ciałem – mówi.

– Ja też tęsknię za twoim ciałem – płacze ona. – Musisz przyjechać, muszę cię zobaczyć.

W przyszłym tygodniu on ma wykład w Stavanger, Ida może przyjechać i zamieszkać

z nim w hotelu. Tak! Oto umowa, zawarli umowę, spotkają się, teraz ona może żyć dalej, do tego czasu. Jedzie do Stavanger. On czeka z białym winem, kochają się, wprowadzają się, tylko to coś znaczy, teraz, tutaj, z nim w sobie, przez jedną, jedyną chwilę jest zupełnie sobą. Wypełniona nim, tym, czego jej brakowało. Obserwuje go, jak mówi, leżąc na plecach i wpatrując się w sufit, ona tuli się do jego ramienia i węża jego pachę. Czy on czuje to samo, co ona. Czy rozumie, jakie to niezwykle. Ma za sobą tak wiele spotkań w hotelu, w którym zwykle zatrzymuje się w Stavanger, że zlewają się w jedno. Czy to takie samo białe wino, ten sam pokój, popadł w rutynę, w pewnym momencie zrozumie, że to coś zupełnie innego, zupełnie wyjątkowego, ale czy już to rozumie? Ona wie, wiedziała to przez cały czas.

– Czy nie cieszysz się, że się nie poddałam. Teraz sam widzisz, jak do siebie pasujemy. Czy to nie było jak jasnowidzenie, że nie zostawiłam cię w spokoju, cieszysz się?

Zdarza się, że zakochanie kończy się źle. Człowiek się zakochuje, ale kiedy dochodzi już do czegoś, nic nie wychodzi. Czytała o tym.

– Tak, cieszę się – odpowiada. Ale czy już to rozumie? Mówi dziwne rzeczy. Sama jest niemal zaskoczona, że zakochanie nie skończyło się źle.

Arnold mówi, że mieszka z żoną w jednym domu, ale nie w jednym pokoju. Ida dzwoni do niego do biura, z redakcji „Tidsskrift” albo ze Związku Dramatopisarzy, z domu, z budek telefonicznych w całym mieście, żeby powiedzieć: Kocham cię. Przyjedź i wejdź we mnie, daj mi ukojenie, odpędź niepokój, przyjeżdżaj!

Jakie to teraz nierzeczywiste. Czas ma zapach, czuje go, gdy o tym pomyśli. Pachnie na zewnątrz i wewnątrz: Arnold niedługo przyjedzie, już prawie tu jest.

W Oslo odbywa się seminarium, on przyjeżdża. Oficjalnie zameldował się w hotelu, ze względu na żonę, żeby nie robiła trudności, ale mieszka u Idy, dzieci nie ma, są u ojca. Tak cudownie zwyczajnie, jakby byli małżeństwem, jakby byli parą. On spędza dni na seminarium, pożycza od niej samochód, całuje ją rano na pożegnanie i wychodzi, wraca do domu o piątej, ona w tym czasie zdążyła przygotować kolację, wino, kupić kwiaty, zaplanować romantyczny wieczór, pościelić łóżko, wziąć prysznic, natrzeć się balsamem i ubrać, gejsza stoi w drzwiach i czeka. Piją, jedzą, kochają się i piją, rozmawiają o seminarium, kto co powiedział, ona zna wszystkich gości. Rozmawiają o tym, co robiła Ida. On wychodzi na kolację kończącą seminarium

w piątkowy wieczór. Ale spotkają się po zakończeniu, o dziesiątej. Jest już późna jesień i zrobiło się chłodno. Żółte i brązowe liście opadają z drzew, wirują w powietrzu, lądują na ulicy i we włosach. Skoro wie, równie dobrze może to być tajemnica: Spotkam go wieczorem. Mogą być daleko, skoro wie: widzimy się wieczorem, o dziesiątej. Jest piękna, zakochanie czyni pięknym, oczekiwanie czyni pięknym, jeszcze tylko godzina. Siada tam, gdzie mają spotkać się przy piwie. Czy kiedyś jeszcze będzie to przeżywać. Ukochany! Nadchodzi chodnikiem, oto on. Potem upijają się, biorą taksówkę do domu i zasypiają w swoich objęciach, jutro i pojutrze obudzą się rano w tym samym łóżku.

Tym razem pojawiają się dzieci. Przyjeżdżają na rowerach, na głowach mają krzywo założone kaski. Jest sobota, mają wolne. Ida widzi je z okna, dostrzegły jej samochód i wiedzą, że jest w domu, stoją na podwórku i zastanawiają się, jakby coś przeczuwały. Że ten mężczyzna, ten niebezpieczny, o którym mama wspomina, kiedy pytają, jest tutaj. Ida pyta Arnolda o zgodę, on kiwa lękliwie głową, więc otwiera okno i zaprasza je do środka.

– Możecie przywitać się z Arnoldem – mówi.

Czy chcą? Spoglądają na siebie. Zsiadają

z rowerów, kładą je ostrożnie na ziemi i z wahaniem podchodzą do drzwi wejściowych, biedactwa. Arnold pociera dłonie i obejmuje dzieci.

– To jest Trym, to jest Helga – mówi ona.

– Hej – mówi Arnold i na moment podnosi wzrok, po czym spuszcza go z powrotem na swój zawstydzony, słodki sposób, który Ida tak kocha.

– Przywitacie się z nim?

Czy muszą? Arnold podnosi się niepewnie, odsuwa i wyciąga dłoń, a one kolejno ją ściskają, spoglądając na nią przez cały czas.

– Arnold – mówi Arnold.

Trym nie mówi „Trym”, ani Helga nie mówi „Helga”, przecież już to wie. Teraz ładnie się przywitani. Czy mogą już sobie iść? Ida pyta, czy mają ochotę na coś dobrego, no jasne, ale w domu nic nie ma. Otwiera wszystkie szuflady, ale nie znajduje nawet rodzyнки. Później, po ich wyjściu, jest dziwnie, jakby zrobiła coś złego. Nie chce tego łączyć, ale nie może też utrzymać tego podziału. Gdyby to było możliwe, rozdzieliłaby te dwa kompletnie rozłączne światy, ponieważ nie pasują do siebie, nie współbrzmia, ale to niemożliwe. To już się dzieje, tak jak się modliła i prosiła. Krzyczy na nią ze wszystkich stron, takie to skomplikowane. Tylko kiedy są sami pod kołdrą, usta przy ustach, wszystko jest proste, jeśli

akurat nie jest to dzień jego wyjazdu. Jedno z nich zawsze musi wyjeżdżać. Gdy on wyjeżdża, ona wypuszcza powietrze z płuc.

Kiedy są daleko, wieczorami, kiedy dzwonią, żeby życzyć sobie dobrej nocy, kochają się przez telefon, ona wsuwa palce głęboko w siebie i zamyka oczy, trzymając słuchawkę. On dochodzi z tym samym jękiem, co zwykle.

– Czy wyjedziemy razem – pyta on.

– Tak! Planuje dla nich podróż, za granicę, tylko we dwoje, z dala od wszystkiego. Trzy tygodnie w Atenach. Darmowy pobyt w Instytucie Norweskim. On może tłumaczyć Brechta, a ona – pisać dramaty do radia. Trzy tygodnie. To będzie test.

Wtedy po raz pierwszy zdarza się to, co będzie zdarzać się często, do czego w końcu przywyknie, aż w końcu nie będzie wiedziała, że można cieszyć się spokojem dłużej niż przez tydzień wspólnego pobytu. Dramaty, sceny, kłótnie i rozkoszne pojednanie. Płacz, krzyk, tłuczenie przedmiotów i bójki, dziki szloch i gorący seks. Pijaństwo i widowisko, a potem wyznania i bolesne dzieciństwo. Wywlekanie wszystkich brudów, wstyd napotyka wstyd i kocha coraz mocniej. Wyrwani na zbyt mocne, białe światło świata następnego przedpołudnia, w każdą pogodę noszą

okulary przeciwsłoneczne, kryją w się najciemniejszych barach, knajpach, w najgłębszych kątach i piją piwo, aż ręce przestaną drżeć. Aż zaczną śmiać się z siebie i z tego, co się wydarzyło, jakby było się z czego śmiać: Jesteśmy szaleni! Nikt nie ma tak jak my, nikt tego nie zrozumie. Miłość między nimi jest nie do wyjaśnienia.

Rozpakowują się w tym samym pokoju. W starym domu, zamieszkanym przez skandynawskich naukowców i studentów. Okno na podwórze, pranie na wietrze, koty na kamieniach. Jego walizka w jednym kącie, jej – w drugim. Jego kosmetyki po jednej stronie półki w łazience, jej – po przeciwnej. Jego budzik podróżny na jednym nocnym stoliku, na drugim – jej pamiętnik. Nie pisze w nim dopóki on jest obok, nigdy nie jest sama. Słońce w zenicie. Mają dużo czasu. Wychodzą do miasta, do kawiarni albo do sosnowego lasu. Półmrok, sękate drzewa osłaniają ich jak dach. Latarki i głosy dzieci, które jeszcze nie śpią, biegają. Ona dokończy sztukę o trudnej miłości jasnowidzącej kobiety, on będzie tłumaczył poezję. Dwa piwa. Tak to będzie. A jak było wcześniej? Wieczorem idą zakurzoną drogą do instytutu, ramię w ramię, z butelką białego wina, żeby popracować przy komputerach, gdy nie

ma już innych ludzi, gdy jest na wpół ciemno, pusto i cicho. Udaje im się to. Praca w jednym pokoju. W jednym pomieszczeniu, każde przy swoim pulpicie w pustej czytelni, twarzą w twarz. Zajmują się swoimi sprawami, od czasu do czasu podnoszą głowy i napotykalają swoje spojrzenia, i uśmiechają się na wpół przytomnie, pogrążeni w pracy i jednocześnie w porozumieniu: jesteście w tym samym miejscu, dosłownie i w przenośni. Jeśli jedno musi wyjść do toalety albo do kuchni, po kolejne wino albo coś innego, i przechodzi obok drugiego, ręka wyciąga się i gładzi głowę, włosy. Teraz jest dobrze.

Później siedzą na tarasie w ciemnościach, z wyłączonymi komputerami. Oświetlony Akropol prosto przed nimi. Ruch uliczny na dole, jak słaby, uspokajający szum. Opowiadają sobie, co robili. Rozumieją się nawzajem i komentują. Słowa przywołują słowa, myśli przywołują myśli, idą do środka po swoje notatniki. Są pogrążeni w sprawach swoich i tej drugiej osoby zarazem, to nieczęste. Przestrzeń powiększa się, rozumieją się coraz bardziej. Gdy jedno się śmieje, drugie też musi. Gdy jedno się śmieje, drugie ma dobry humor. Nawzajem pomagają sobie wzrastać, rodzą się nawzajem. Gdy jedno z nich upada, drugie je łapie. Gdy jedno czuje gniew, drugie go przejmuje.

Gdy ona przychodzi z płaczem, on jest ojcem, gdy on przychodzi z płaczem, ona staje się matką. Droga do domu, późny wieczór, ostatni kieliszek, ostatni bar. Ona coś opowiada, wymienia imię.

– Spałaś z nim?

Uśmiecha się. Dobrze mu tak. Czy on myśli, że po prostu czekała. Przez prawie trzy lata. Że była mu wierna, in absentia, że był tylko Trond. O, nie. Wierna niewiernemu Arnoldowi, nie tylko myślą, ale i uczynkiem. O, nie, uśmiecha się. Teraz on nie może rzucić słuchawką, odpowiedzieć milczeniem ciągnącym się przez całe tygodnie. Teraz siedzi tutaj, ubrany na czarno i czarnooki, po przeciwnej stronie stołu.

– Mówiłaś, że był tylko Trond. Zapewniałaś mnie, że był tylko Trond. Ten idiota. Powiedziałaś mi, że łączyła cię tylko przyjaźń, platoniczna znajomość z Haakonem, z Toralfem, z Espenem. Teraz pojawia się inna historia. Czy jest ich więcej. Czy jest więcej idiotów. Czy jest więcej kłamstw.

Są pijani, nie przestają. Jest zła. Pozwala temu się dziać. Ponieważ taka jest prawda, tłumaczy sobie w głębi otumanionego alkoholem umysłu. Wtedy on wstaje:

– Teraz, kurwa, wychodzę! Mam dość!

I pędzi w stronę miasta, z powrotem na

starówkę, w kierunku przeciwnym do ich mieszkania, ale ona nie biegnie za nim, nie woła, odchodzi w drugą stronę, do domu, do domu, w którym mieszkają, tego wieczoru odbywa się w nim impreza, jest piątek, na tyłach siedzą Islandczycy, Duńczycy, Szwedzi, a także kilkoro Norwegów na ławkach, schodkach, piją wino i śpiewają. Niech mu będzie, i tak musi tu wrócić. Przyłącza się do śpiewów, pije, gdy on wraca, ona siedzi u Norwega na kolanach, on zauważa to i zawraca w drzwiach, ale teraz Ida biegnie za nim.

– To nie tak, Arnoldzie!

Teraz go woła. Teraz go łapie.

– Arnoldzie! Kocham cię.

Odpycha ją. Ona przyciska się do niego.

– Arnold! Arnoldzie! Kochany!

On płacze i szlocha, ona bierze go pod rękę, obejmuje ramieniem, prowadzi do domu i pomaga mu się rozebrać, kładą się do łóżka, przyciska się do niego i trzyma mocno. – Arnoldzie, Arnoldzie!

On płacze i szlocha. Nigdy nie widziała, żeby ktoś tak celebrował swój płacz, rozkoszował się płaczem jak on.

– Tylko ty, Arnoldzie. Nigdy nie kochałam nikogo innego. Nigdy. I nigdy nie pokocham. Przysięgam!

On płacze również rano, zanim zaczną się kochać. To załamanie, zrozumie Ida dużo później. On przeżywa załamanie. Rozpada się wewnątrz, on, nie ona, ona przyciska się do niego i śpiewa swoje pieśni. Może myślał o swojej żonie, może tęsknił za żoną, myśli Ida teraz, dużo później. Ona myślała tylko o nim, nie było nikogo innego, i nie potrafiła sobie wyobrazić, że on mógł czuć się inaczej. Miał wyrzuty sumienia, myśli teraz, dużo później. Czy tęsknił za dzieckiem, nie wiedział, co będzie z domem, z pieniędzmi, ze wszystkim. U niej wszystko było w porządku, wszystko wyjaśnione i nie potrafiła sobie wyobrazić żadnych trudności, teraz, gdy wreszcie byli razem, będą razem, jeszcze przez dwa tygodnie w Atenach. Arnoldzie, mój przyjacielu. Arnoldzie-marynarzu.

Wciąż go głaszczcie. Śpiewa mu swoje pieśni prosto w szyję, kiedy on drży. Głaszczcie, ma czas, nigdzie się nie spieszy. Szepcze mu wiersze. Idź na plażę ze swoim zmartwieniem, weź kamień i rzuć go w wodę, a potem kolejny. Później kochają się i krzyczą, gdy dochodzą, tak by wszyscy w domu to usłyszeli, a jeśli ktoś widział, jak wczoraj kłócili się i bili, teraz zrozumie, że już się pogodzili.

Wstają o zmierzchu. Kąpią się, ubierają i wychodzą mocno przytuleni, jeszcze mocniej, to naprawdę możliwe. To dlatego, że się kochamy,

mówią. To dlatego, że to dla nas zbyt gwałtowne. To moc miłości nas opętała.

– Nigdy z nikim tak się nie czułem.

– Ani ja.

– Pocałuj mnie.

– Nie odchodź ode mnie, nigdy!

– Jeśli mnie zostawisz, zastrzelę cię!

To szaleństwo i pasja, jak w klasyce literatury. To niepoohamowane pożądanie, o którym czytali, marzenie o totalnym zjednoczeniu, doświadczają opętania, o którym tyle napisano, a które niesie ze sobą też strach i lęk, to swoista śmierć.

Jedzą tylko jedną ręką, ponieważ bez przerwy ściskają swoje dłonie. Zmieniają miejsca, żeby na przemian jeść, pić i pisać prawą ręką. Chcą pokazać swoją miłość wszem i wobec, bo zasługuje na pokazanie, w Norwegii to niemożliwe, tutaj owszem. Wciąż podróżują. Chcą być sami, ale miłość należy zmanifestować światu, pokazać, miłość rośnie, gdy jest pokazywana, gdy chodzą ulicami ciasno objęci, całują się na ławkach, przyciskają się do siebie w sklepach, przed obrazami w muzeach, wymieniają pocałunki w kawiarniach. Patrzcie na nas, jak się kochamy, coraz bardziej razem, coraz bardziej we dwoje. Kopenhaga, Londyn, Ateny to dopiero początek. Scena w Atenach to dopiero początek, jedna

z nieskończonej ilości scen. Gdy on biegnie w gniewie w swoją stronę, w przyszłości tysiące razy będzie uciekał od niej w gniewie. A ona będzie uciekała od niego, w wielkich miastach i w domu w Oslo, w Trondheim, z szeregowca do jednego z hoteli w centrum, myśląc:

– Tak się dłużej nie da, to musi się skończyć, nie wytrzymam tego!

Z jednego hotelu do drugiego w wielkich miastach za granicą, przed pojednaniem następnego dnia. Może było to konieczne na początku, żeby oczyścić, wydobyć, zakończyć. Przyznać się, żeby uleczyć, naprawić. Wypić na odwagę i zabrać się za to, co zaplątane, przedrzeć się przez to ku wybaczeniu i pojednaniu. Drżący, szlochający, kompletnie wyczerpani rzucają się sobie w objęcia i przysięgają wierność aż do śmierci. Wiedzą, po raz kolejny przekonali się, że nie potrafią żyć bez drugiej osoby. To niezbędne, nie do uniknięcia na początku, ale nigdy się nie kończy. Trwa, jest kultywowane, staje się ich drogą. Bo oni nie są jak inni ludzie. Nie są normalni, jak reszta. Może wydają się podobni do innych zakochanych par, ale to złudzenie. U nich chodzi o śmierć i życie, i nie może być inaczej. Nie da się tego wyjaśnić ludziom, którzy sami tego nie doświadczyli.

Po dwóch tygodniach w Atenach on chce napisać list do żony. List o Idzie. Żeby dowiedziała się od niego, nie od innych. Pracują w norweskim instytucie i mieszkają w domu z Norwegami. Ateny są pełne turystów, nie wiadomo, kto mógł ich zobaczyć.

Nie musi. Rozwodzą się. Wyprowadzili się. W zasadzie mieszkają osobno. Ale żeby wszystko odbyło się porządnie, przyzwoicie. Żeby nie dowiedziała się ostatnia. Żeby mieć kontrolę nad słowami, sformułować to tak, by jak najmniej przypominało zdradę, by sprawić jej jak najmniejszą przykrość, by nie robiła trudności. Wolałby tego uniknąć.

Siedzą w restauracji pod drzewami, każde ze swoim piwem, każde przy swoim stoliku. Ida głębiej, bliżej lasu, słyszy odgłosy ptaków i koników polnych, może na niego patrzeć. Jest przedpołudnie, w cieniu też jest ciepło. Ona próbuje pracować, wymyślić coś, on pisze list. Spogląda na niego, żeby zobaczyć, jak wygląda, czy pisanie do Kjersti go zmienia, gdy ma w głowie adresatkę, tę, która będzie to czytać. Otworzy kopertę, rozłoży arkusz i przeczyta list. Słowa o Idzie. Idzie Heier, o której dowiedziała się już w Monachium, prawie rok temu, gdy chciał się zemścić, ponieważ ona, Kjersti, zdradziła go

z Niemcem, Ida wyobrażała to sobie. Teraz są razem, Arnold i Ida, on pisze list, trochę oddalony, a nad tym wszystkim niebo, święto i ból. Jakby powiedzieli to na głos wszystkim. Jakby to miało się urzeczywistnić, dopiero teraz. Zamanifestować światu, dopiero teraz, oficjalnie. Patrzy na niego, on wpatruje się w przestrzeń, myśli. Może mu się nie uda. Myśli, głównie myśli, przez prawie dwie godziny. Patrzy przed siebie i waży słowa. Nie czyta jej wszystkiego, tylko fragment jej dotyczący. Napisał, że Ida jest z nim w Atenach. Nic więcej, ani mniej, ani więcej. To jasne. Sądziła, że napisze, jak bardzo ją kocha. Ona go kocha. Przytula się do niego. Trzeba natychmiast to wysłać. On mówi, że nie ma znaczką. Ida przynosi znaczek. Znajdują pocztę i koperta z adresem, chyba poprawnie napisanym, zsuwa się do skrzynki.

Potem do domu, do dzieci, zobowiązań, do Kjersti, która być może dostała list i przeczytała go, do codzienności w swoich miastach. Przedłużają ten moment, po wylądowaniu siadają w barze na Fornebu, by to przeciągnąć i się znieczulić. Czy Kjersti dostała list? On odlatuje ostatnim samolotem. Jeszcze godzina, na szczęście, jak szybko czas leci. Już tylko pół godziny i niedługo powinien zacząć się boarding.

Czas leci i leci, nie mogą go zatrzymać, bramka się otwiera. Nie idź! Jeszcze nie! Boarding trwa już od dziesięciu minut i w każdej chwili może się skończyć, teraz musi już iść, teraz idzie. Przechodzi przez bramkę. Teraz ona została sama. Jakie to dziwne uczucie. Jakie niesamowite. Bierze taksówkę.

– Jadę, już jestem w drodze!

Pojawiają się dzieci. Dzwoniły i czekały na jej przyjazd. Kupiła im prezenty, kręci się jej w głowie. Zanim zapaliła światła i zdążyła się rozpakować, już tu są. Wpadają przez drzwi wejściowe z plecakami, torbami i pytaniami. Jakby była tą samą osobą, co kiedyś. Jakby nic się nie stało, jakby nie istniała przez te trzy tygodnie. Kleją się do niej, wskakują na nią, dotykają jej, jakby nie należała do Arnolda. Czy nie pachnie Arnoldem, ich symbiozą? Potrzebują jej, bez zażenowania, bezwstydnie domagają się jej uwagi, jak zawsze, jakby interesowały ją mecze hokeja na lodzie i oceny z religii, jakby nie była wypełniona po brzegi. Nie może zadzwonić do niego i spytać, czy Kjersti dostała list, bo on mieszka z Kjersti w jednym domu i być może to ona odbierze go z lotniska. Podejrzewa, że Kjersti odbierze go z lotniska i że nie dostała listu. Ten wieczór trzeba po prostu przetrwać. Przez te godziny po prostu

trzeba przejść. Aż nadejdzie dzień pracy, czas wyjścia do pracy, gdzie profesorowie uniwersyteccy siedzą za swoimi biurkami, z własnymi telefonami, których nie używa nikt inny.

Następnego dnia dzwoni do niego do biura, gdy dzieci są w szkole, a w domu panuje cisza i może zebrać myśli. Nie, Kjersti nie dostała listu. Ale była w dobrym humorze, gdy Arnold przyjechał i powiedziała, że przeprowadzi się do swoich rodziców, żeby nie musieli już mieszkać w jednym domu. Jak się okaże, poznała mężczyznę, gdy Arnold był z Idą w Atenach, Kjersti poznała mężczyznę, i co on na to. Tak więc wkrótce Ida będzie mogła dzwonić na niedozwolony numer.

Po kilku dniach dostaje pocztówkę napisaną w Atenach, gdy była w toalecie albo wyszła coś załatwić: Kochana Ido. Piję w Atenach ze swoją nową dziewczyną. Pokazałem jej Parnas! Kocham ją bardzo! Chociaż życie w porze deszczowej jest wilgotne! Albo: przygotowiam życie miłosnymi sprzeczkami. Dzwon, kiedy zechcesz. Ukochany=telefon? Uściski z świątyni w Delfach.

Arnold Busk został poproszony o wygłoszenie wykładu na seminarium Związku Dramatopisarzy o nowym dramacie europejskim. Przyjeżdża w nowym garniturze i jest niespokojny, to Idy

środowisko, nie zna go. Ona też jest spięta, nie tak bardzo jak on, ale spięta. Jak to będzie, kiedy Ida Heier, która zawsze zjawia się sama, której nikt nie widział z mężczyzną, która zawsze uśmiecha się do wszystkich i tańczy ze wszystkimi, nagle pojawi się w objęciach Arnolda. Nie uda im się. Jego męskość nie pasuje do jej kobiecości albo odwrotnie, razem wyglądają dziwnie, robią się niezdarni, nie pasują do siebie, nikt nie rozumie, dlaczego są razem. Są dobrzy w byciu we dwoje, tylko we dwoje. Ich miłość jest asocjalna, antysocjalna, nie funkcjonuje w towarzystwie innych, towarzystwo ludzi jest piekłem. Z powrotem w domu, nareszcie z powrotem w domu, tylko we dwoje przed kominkiem, ona wręcza mu pierścionek. Zdjął obrączkę, którą dostał od Kjersti, palec jest wolny. Ona zbiega do małej, ciemnej garderoby w sypialni, gdzie trzyma biżuterię i przynosi staroświecki sygnet, który dostała od swojego dziadka, gdy zadebiutowała wiele lat temu, by nosić go na łańcuszku na szyi, męski, fenicki pierścień. On zakłada go na palec, jest lekko za duży, ale piękny. Będzie egzaminował w Bergen, Ida przyjeżdża do niego w grudniowej ciemności, w zimowym płaszczu, do hotelu Norge, on czeka w barze z szampanem. Ona pod zimowym płaszczem ma wydekoltowaną

wieczorową suknię bez pleców, poleciała samolotem, żeby spotkać się z nim na ten jeden wieczór, tę noc miłości. Jak w filmie zrzuca z siebie zimowy płaszcz z futrzanym kołnierzem na szeroki, skórzany fotel, na wargach ma ciemnoczerwoną szminkę. On wsuwa rękę do wewnętrznej kieszeni, jak mężczyzna z filmu, wyciąga małe pudełeczko i podaje je z tajemniczym spojrzeniem, jak mężczyzna kobiecie. Pierścionek. Nieco za mały, ale śliczny. Nieszczęsne te kobiety, które nie mają ukochanego.

Przed południem on idzie na uniwersytet, ona zostaje w pokoju hotelowym i pisze, po jego powrocie kochają się, wypijają na spólkę butelkę wina i wychodzą na miasto, jedzą, kładą się, kochają, nigdy nie mają dość, robią to wciąż i wciąż, i wciąż.

– Co podać? – pyta stewardesa w drodze powrotnej do Trondheim.

– Cztery piwa – odpowiada Arnold. – Dla każdego.

Do Trondheim, do szeregowca. Syn jest u matki, Ida go nie poznała. Są sami, tak jest najlepiej. Tylko we dwoje. W szeregowcu, jeszcze pamięta jego zapach, taki obcy. Jak pachnie pościel, jak pachnie w szafkach, w łazience, zapach rodziny. W domu są rzeczy Kjersti, zabrała do przyjaciółki, u której mieszka, tylko te najważniejsze, potrzebne na co dzień. Przybory toaletowe zniknęły, większość z nich, brakuje większości ubrań, ale suknia, którą miała na sobie w dniu ślubu, wisi w szafie. Tyle jeszcze zostało, wisi, stoi i leży, że w domu pachnie rodziną, a nie Arnoldem. Gdy on jest w biurze, ona przegląda rzeczy Kjersti. Próbuje być przyzwoita. Wstydzi się. Otwiera tylko szuflady i zagląda do środka, niczego nie dotyka, niczego nie przewraca. Odsuwa szufladę i zagląda do środka. No dobrze, podnosi stare świadectwo i przygląda się fotografii. Kartki z notatkami, gazety, nieotwarte butelki perfum, biżuteria, jakieś listy, listy od Arnolda. Umarłe przedmioty, jak nazywa je Arnold. Jej kurtki w korytarzu, stare swetry w szafie, książki na półce, z jej podpisem na stronie tytułowej, albumy ze zdjęciami. Pomędzy tymi przedmiotami mieszka, obok nieopróżnionej nocnej szafki przy łóżku, podwójnym łóżu,

w którym śpi po tej samej stronie, po której spała ona, Kjersti. Teraz co drugi tydzień śpi tam Ida.

Czyta kilka znalezionych listów od Arnolda, bada, jak bardzo jest do siebie podobny. Może przekonać się, jak się ukrywał, wiedząc trochę o tym, jak żył, kiedy je pisał. Przegląda albumy z fotografiami, żeby poznać kobietę, z którą mieszkał przez ostatnie lata, jej ciało, z którym musiał uprawiać seks, być blisko. Bada, jak wyglądali razem, jak Arnold wyglądał z żoną i dzieckiem podczas wieczerzy wigilijnej, na nartach, na szczycie góry.

Gdy nie ma u siebie dzieci, jeździ do Trondheim. Chce być razem z nim, ponieważ go kocha, ale coś niejasnego jej w tym przeszkadza, czuje ciężar, zajeżdżając taksówką przed szeregowiec, ma kluchę w gardle. Pewnego razu spotyka na lotnisku znajomego, który też leci do Trondheim. Samolot jest opóźniony i piją piwo, czekając. Jest prawie tak samo jak kiedyś, gdy nie miała dzieci i mogła robić wszystko, na co miała ochotę. Siadają razem w samolocie, wypijają więcej piwa i gawędzą wesoło, śmieją się i jadą razem autobusem, a gdy zajeżdżają przed hotel, w którym on się zatrzyma, ma ochotę zostać z nim dłużej, iść do hotelowego baru, wyjść na miasto i się zabawić, zamiast jechać do domu Arnolda za

miasto, gdzie posepny Arnold siedzi na kanapie i czeka na nią. Przeżywa załamanie, jest mu ciężko. Rano wychodzi na uniwersytet, a Ida próbuje pisać. Siedzi przy sosnowym stole w salonie i spogląda na las zamiast na kuchnię, gdzie przez okno widać niepracujące matki, siedzące na ławkach przy placu zabaw i popijające kawę z termosów, podczas gdy ich dzieci bawią się w piaskownicy. In the middle of nowhere. Niedaleko rodzinnego domu byłej żony Arnolda, to dlatego. W dziurze pod Trondheim. Ależ jest paskudna. Ale taka jest cena, kocha go. Przyjeżdża wieczorem z walizkami, on siedzi na kanapie w niebieskim swetrze, który teściowa zrobiła mu na drutach, jest załamany. Był zrujnowany, dopiero teraz to rozumie, dużo później, pogrążał się w ruinie, taka jest prawda. On jest zamknięty i ona jest zamknięta, w nim, gdy nie podróżują, są zamknięci na wiele, na zbyt wiele. Kochają się w podwójnym łóżku obok nocnej szafki, rano Arnold wychodzi do biura, a Ida robi kawę i raz jeszcze przegląda albumy, zdjęcia szeregowca, zanim rodzina się do niego wprowadziła. Pierwsze lato, murowanie ogrodu, robienie trawnika. Kjersti sadi krzak róży na kawałku ziemi przed domem, w ogrodniczych rękawicach, włosy ma spięte

w koński ogon. Sadzą drzewo w ogrodzie za domem. Kjersti siedzi na leżaku na trawie i czyta. To Arnold zrobił to zdjęcie. Zobaczył, jak tam siedzi i nabrał ochoty, by zrobić jej zdjęcie, więc poszedł do domu po aparat, zrobił zbliżenie i sfotografował ją, łatwo poznać, że nie wiedziała, że robi jej zdjęcie. Tylu rzeczy Ida nie wie.

Gdy Arnold wraca z biura, wychodzi mu na spotkanie świeżo wykąpana, w jedwabnej bieliźnie koloru czekolady i natychmiast zaczynają się kochać.

– Każdy facet powinien tak mieć – mówi Arnold. Potem piją wino, które kupił.

Pewnego dnia na mieście wpadają na starego przyjaciela Arnolda, Steina. Tego, który pomagał mu murować ogrodzenie szeregowca. Nie planowali tego, najchętniej zostaliby sami, ale idą z nim na piwo. On zachowuje się tak, jakby widok Arnolda z Idą był czymś naturalnym. Udaje, że to coś zupełnie zwyczajnego, oczywistego, ale przygląda im się badawczo, próbując zrozumieć. Dzień przed powrotem jego syna ona wraca do domu. Swojego własnego, do swoich własnych dzieci. Do meczów koszykówki, hokeja na lodzie, wywiadówek, obiadów, koszyków na zakupy. Rozmawiają przez telefon każdego dnia, kochają się przez telefon wieczorami i planują wyjazd.

Wreszcie nadchodzi ten dzień. Wszystko wysprzątane i czyste, dzieci odwiezione, w walizce świeżo wyprasowane ubrania, jest godzina dwunasta, przez okna wpada zimowe światło, przedpołudnie na Fornebu. Teraz zaczyna się wszystko. Życie. Nie widziała go od tygodnia. Ubrała się w najlepsze rzeczy. Oto on. Wreszcie. Znowu być całością, gdy było się tylko połową. Obok jedyne go naprawdę ważnego człowieka. Tylko on, nikt inny, kto mógłby im przeszkodzić, wyjeżdżają do Berlina, żeby świętować Nowy Rok i pracować.

– Szampan!

Za ten dzień, mój przyjacielu! Zdrowie, kochanie! Bąbelki unoszą się z szyjki butelki i łaskoczą w nos, pienią się w kieliszku, tysiące maleńkich perełek kłują w wargi, głowa jest lekka, a niebo wysokie: nadchodzimy!

On był tam już wcześniej i pokazuje jej miasto. Przed południem siadają w kawiarni i piszą. Obok siebie, przy tym samym stoliku, w miejscu, gdzie w lokalu znajdują się gniazdka. Razem przez cały czas. Co piszesz. Ile już napisałaś. Dobrze im idzie. On stwierdza, że podobają mu się Niemki. Spogląda na kelnerki z aprobatą. Ona nie czuje się zazdrosna, kocha.

Pewnego dnia zamawiają śniadanie

z szampanem. Dlaczego nie. Pomyśl, jak się wieszcie wszystkim innym. Biedni inni. Zdrowie! Na drogę powoli opadają wielkie płatki, jak w szklanej kuli. Warstwa białego, pięknego śniegu pokrywa wszystko, samochody, chodnik, ulicę, latarnie, sklepy. Wewnątrz jest ciepło. Brunatne drewniane ściany i stearynowe świece. Piękne, powolne kelnerki w białych, długich fartuszkach wokół bioder. Z upiętymi włosami i drobnymi kędziorkami na szyi. Szybko się ściemnia, już zapadł zmrok. Nikt ich nie powstrzymuje. Jeśli tylko mają pieniądze, mogą robić, co im się podoba. Nie rozmawiają o pieniądzach. Tam czy tam, co tylko chcesz. Nie potrzebują niczego poza sobą, niczego sobie nie życzą. Domu, by się w nim kochać i z niego wychodzić, żeby znaleźć stolik, podpiąć się do prądu i pisać. Z pisania są pieniądze. Znowu do domu, znowu się kochać, podłączyć komputery do ładowania i znowu wyjść, zjeść obiad, wypić wino, iść do baru albo tawerny i się upić. Każdego wieczoru, gdy kładą się spać, są pijani.

Sylwester w Berlinie. Dobrze, że nie są w Norwegii. Zdrowie! Wyszli coś zjeść, jest już dawno po północy, wypili za Nowy Rok z gośćmi siedzącymi przy sąsiednich stolikach w restauracji. Padają jakieś słowa, coś z tego

wynika, coś trzeba powiedzieć, co nie może pozostać bez riposty, a potem już tylko mgła. Ucieka od niego w drodze do domu. Teraz już dość. Dla mnie to, kurwa, koniec. Nie wie, gdzie jest, nie wie, gdzie mieszkają, to on rezerwował pokój w pensjonacie. Przechodzący mężczyzna ostrzega, że nie powinna chodzić nocą samotnie po tej części miasta, opanowuje się i znajduje drogę z powrotem do restauracji, i do miejsca, w którym mieszkają. Arnold zwymiotował na podłogę, leży w łóżku i płacze.

Pierwszy dzień nowego roku i białe, zimowe światło w pokoju. Sprzątają, wycierają, otwierają okna, kąpią się i ubierają. Profesor Arnold siedzi świeżo wykąpany i pięknie ubrany w fotelu przed telewizorem. Trwa noworoczny konkurs skoków narciarskich, Niebieskie niebo i świecące słońce na ekranie. Na małym stoliczku stoi przygotowany telefon i mała butelka piwa. Teraz będzie się relaksował, zadzwoni do syna i zapyta, czy on też ogląda skoki, jak to mają w zwyczaju, zawsze oglądali je razem pierwszego stycznia, aż do teraz, to pierwszy Nowy Rok, którego nie spędzają wspólnie.

– Hej, mówi tata.

Ona siedzi na łóżku i patrzy na niego. Oto on, tam, wrócił już do siebie. Jakby nie dało się nim

naprawdę wstrząsnąć. Nie do głębi. Szybko wraca do siebie, w to samo miejsce. Ponieważ jest od niej zdrowszy albo bardziej zniszczony. Albo zniszczony w inny sposób, oto spotkało się dwoje zniszczonych ludzi, którzy splatają się ze sobą i nie wiedzą, co czynią, ale muszą. Gdyby ktoś powiedział jej wtedy, co się wydarzy, nie uwierzyłaby mu. Czternaście piw i szesnaście kieliszków wódki na ich ostatnim rachunku z restauracji.

Rozbierze się tylko dla niego. Będzie piękna tylko dla niego. Odsłoni dekolt tylko, tylko dla niego. Gdy jest u przyjaciółki, on dzwoni. Gdy jest u swojej siostry, on dzwoni. Gdy nie ma jej w domu, on dzwoni i dzwoni.

– Gdzie byłaś? Dlaczego tak długo? Dlaczego, z kim? Kocham cię. Czy to nic nie znaczy.

– Owszem, wszystko.

– Tęsknię za tobą, kocham cię. Jeśli mnie zostawisz, zastrzelę cię.

– Arnoldzie!

– Mówię poważnie.

Gdy bierze udział w konferencji Związku Dramatopisarzy, on chce jej towarzyszyć. Jeśli nie może z nią być, bo siedzi w Trondheim ze swoim synem, dzwoni do niej i chce rozmawiać długo w noc, tak by nie wychodziła z pokoju hotelowego.

Kiedy tłumaczy, że musi zejść na dół, do reszty gości, on pyta, czy są od niego ważniejsi. Była z nimi przez cały dzień, czy koniecznie musi spędzić z nimi też wieczór, czy nie może znaleźć czasu dla swego ukochanego, który siedzi całkiem samotnie w Trondheim i nie ma do kogo się odezwać. Czy nie tęskni za nim tak mocno, jak on za nią. Nie wydaje mu się, by tęskniła za nim tak mocno, jak on za nią.

– Tęsknię za tobą, myślałem o tobie przez cały dzień, ale nie wydaje mi się, żebyś ty myślała o mnie. Kiedy tylko zadzwonię, ty już chcesz już biec na dół, z powrotem do reszty. Byłaś z nimi przez cały dzień, a teraz spędzisz z nimi też wieczór.

Gdy nie ma jej w pokoju hotelowym, dzwoni do baru i barman podchodzi, mówiąc, że jest do niej telefon. Wtedy rozmawia z nim w barze, ale nie chce, by inni słyszeli jej rozmowę, by słyszeli, o czym mówi i jak długo, więc odpowiada, że pójdzie do pokoju, żeby do niego zadzwonić, idzie na górę i oddzwania.

Kiedy tylko mogą, rzucają się sobie na szyję, padają w objęcia. Znają swoje ciała, ale tyle jeszcze zostało do poznania, do wypróbowania. Czy spróbujemy w ten sposób? Co tylko chcesz! Albo w taki. Co tylko chcesz. Myślałaś o tym! Co

tylko chcesz. Jeszcze zmęczeni po poprzednim razie, wciąż jeszcze podnieceni, to cudowne, męczące pożądanie. Chyba nie będziemy mieli dziecka. To chyba nie najlepszy pomysł. Nie weźmiemy ślubu? Jeśli chcesz.

– Czy to oznacza tak?

– To oznacza tak.

Idą na miasto i świętują, pijąc szampana.

– Wzięliśmy dzisiaj ślub! Wszędzie traktują ich wyjątkowo. Biorą ślub w Stambule, w Casablance, w Paryżu, w Monachium. Dostają szampana w kubekach z lodem. W Stambule do szampana jedzą homara, w Galacie, na nabrzeżu, z widokiem na Azję. W Paryżu popijają szampanem łososia. W barze hotelu Hyatt w Casablance, miejscu miłości Bogarta i Bergman, jest drogo, więc tylko orzeszki.

– Wzięliśmy dzisiaj ślub, szampana!

Pojawia się szampan w kubekach z lodem i obsługa robi im zdjęcie.

– Play it again, Sam!

I gra muzyka, i całują się raz jeszcze, i raz jeszcze przysięgają, że nigdy z nikim tak się nie czuli. Inni zatrzymują się w pewnym momencie, oni nie. Więcej! Więcej! Żyją. Jesienią biorą ślub w Paryżu, nad Sekwaną, na wiosnę biorą ślub w Sztokholmie i kochają się na ziemi

w Djurgården, i tańczą walca na szerokich podestach wraz z innymi, starszymi małżeństwami, i kłócą się nocami, ponieważ zdaniem Arnolda Ida flirtowała z tym czy z tamtym. Być może flirtowała, to możliwe. On jedzie na lotnisko, ale wraca do hotelu po jej błaganiach, płaczą i jest im smutno, i nie wiedzą, jak to będzie, dopóki znów się nie pogodzą. Szampana!

Do domu, do dzieci, każde do swojego miasta. Spotykają się tydzień później w Trondheim i wędrują po mieście od kawiarni do kawiarni, kłócąc się nocami, ona odchodzi od niego i melduje się w hotelu, opróżnia minibar, bierze kąpiel w jacuzzi i tańczy nago, świeżo wykąpana, w pokoju, nareszcie wolna. Ale rano dławi ją strach, ból nie do wytrzymania, dzwoni do niego i prosi o wybaczenie, on milczy po drugiej stronie, a ona płacze, żebrze.

– Wybacz, wybacz mi, żałuję, żałuję, nie mogę bez ciebie żyć. Pozwala jej więc przyjść, ona cieszy się że go spotka; gdy tylko go zobaczy, przytuli się do niego, wszystko przejdzie i znowu będzie dobrze.

Czasem on prosi ją przed wyjściem: – Nie idź! Wtedy może zostanie, ale zwykle nie prosi, by została, bo wie, że wróci, a kiedy wraca, jest dla

niego taka słodka, taka miła. Kochają się i śmieją z siebie samych, z tej nietypowej miłości, która przyprawia ich o szaleństwo, której nie wszystkim jest dane zaznać.

– Gdzie byłaś?

– U Mari.

– Dlaczego.

– To moja przyjaciółka.

– O czym rozmawialiście. O czym można przegadać cały wieczór. Siedzę tu sam i czekam na telefon od swojej ukochanej. Co jest takie ważne, że rozmawiasz o tym z Mari?

– Nic specjalnego, takie tam sprawy.

– Czyli jakie.

– Plotki, o rodzinie i znajomych.

– Nie znoszę plotek, nie potrafię słuchać plotek, nie rozumiem, jak możesz zmarnować cały wieczór na plotki.

– Znam ją od zawsze.

– Powiedziałaś, że wpadniesz do niej na chwilę, a nie było cię pięć godzin. Powiedziałaś, że zajrzysz do niej tylko z krótką wizytą, a ja siedzę tutaj i czekam, mogłaś zadzwonić, siedziałem tutaj i się martwiłem, martwiłem się o swoją kobietę, zastanawiałem się, czy nic ci się nie stało, mogłaś zadzwonić do swojego mężczyzny. Kiedy cię nie ma, to jakby mnie nie było.

- Teraz jestem tutaj, rozmawiamy.
- Kiedy cię nie ma, to jakby mnie nie było.
- Nie mów tak. Myślę o tobie cały czas.
- Dlaczego więc nie dzwonisz?
- Dzwonię teraz.
- Dzwoniłem dwanaście razy. Wychodziłem z siebie. Nie mogłem wiedzieć, gdzie jesteś.
- Mówiłam, że idę do Mari.
- Powiedziałaś, że idziesz na chwilę, a nie było cię pięć godzin.
- Mogłeś przecież zadzwonić do niej.
- Nie znam jej numeru.
- Dawałam ci go już, dzwoniłeś do niej wcześniej.
- No to go zgubiłem.
- Arnoldzie!
- Tak?
- Ty!
- Co?
- Nie gniewaj się.
- Wydaje mi się, że powinnaś pomyśleć też o mnie. Siedzę tutaj sam na kanapie. Z nikim nie rozmawiam. Nie mam z kim porozmawiać. Czekałem na ciebie, cieszyłem się na naszą rozmowę, bo chciałem powiedzieć ci coś ważnego.
- Co?
- Teraz to już nieważne. Nie mam ochoty.

– Arnoldzie!

– Nie mam ochoty, powiedziałem. Naprawdę się cieszyłem, że ci to powiem, to właściwie dotyczy również ciebie, ale teraz jest mi już wszystko jedno.

– Arnoldzie.

On odkłada słuchawkę. Ona dzwoni raz jeszcze. On odbiera.

– Arnoldzie! – mówi ona, wtedy on się rozłącza. Dzwoni po raz kolejny. On odbiera. – Arnoldzie! – mówi ona, on się rozłącza. Pięć razy, aż wreszcie on nie odkłada słuchawki:

– Tak, czego chcesz?

– Nie gniewaj się. Myślałam o tobie przez cały czas. Opowiadałam o tym Mari. Rozmawiałyśmy o związkach. Zwierzałam się jej, jak bardzo za tobą tęsknię. Mówiłam, jak nam cudownie razem, jak bardzo się kochamy. Ona zazdrości nam tego szczęścia, tego, że ze sobą jesteśmy, Arnoldzie, że się odnaleźliśmy. Nie gniewaj się, Arnoldzie, kochany, tęsknię za tobą tak bardzo, chciałabym, żebyś tu był.

– Ja też.

– Chciałeś powiedzieć mi coś, co mnie dotyczy, prawda?

Kocha go, chociaż jest słaby i niepewny. Przejrzała go, jest słaby i niepewny. Nie może

powiedzieć mu, że zauważyła, jaki jest słaby i niepewny, chociaż kocha go mimo to, równie mocno, bo on nie chce, żeby to zauważyła. Dlatego ukrywa swoją wiedzę o nim, żeby go chronić. Dlatego nie może powiedzieć mu tego, co by chciała, żeby mieli jasność i może byłoby im lżej:

– Kocham cię, chociaż jesteś słaby i niepewny, chociaż z takiego czy innego powodu czujesz się upokorzony.

On może powiedzieć albo napisać to sam: Jestem nędznym człowiekiem.

Tak, to się zdarza, czasem pisze: Wiem, że bywam niemożliwy, ale... Słowa zapisane na papierze wyglądają poważnie, jakby to zrozumiał, jakby to opanował.

Ona robi kawę i przynosi mu filiżankę.

– Może być za mocna – mówi.

– Mocna kawa – mówi on, a ona myśli, że dokończy: „...dla mocnego faceta”.

– Mocna kawa – mówi Arnold i się uśmiecha. – Dla słabego faceta.

Tak łatwo jest myśleć o tym, co bolało, co było trudne, dniami i nocami, od razu zacząć tworzyć opowieść o trudnościach, jako wyjaśnienie, by móc to znieść.

On pierwszy raz idzie do łóżka z inną.

Latem Ida wybiera się na festiwal teatralny do

Trondheim z ramienia „Adresseavisen”. Przez połowę tego czasu musi opiekować się dziećmi, ale może zabrać je ze sobą. Arnold wyjeżdża na seminarium do Danii, mogą zamieszkać w jego domu. Spotkali Arnolda. Przyjechali, okna były otwarte, usłyszeli, jak gra na akordeonie i zajrzeli do środka, by zobaczyć dziwny instrument.

Wiezie dzieci do Trondheim, gdy Arnold jest w Danii. Pożycza samochód i dom od Arnolda, zabiera maluchy wieczorami na przedstawienia i pisze nocami, wyklada przedpołudniami, a w niedzielę odprowadza dzieci na samolot i zostaje sama. Przenosi się do hotelu, w którym miała mieszkać przez cały czas, z innymi uczestnikami, w którym gazeta wynajęła dla niej pokój. W centrum, bliżej wszystkich teatrów, wszystkich wydarzeń i bliżej redakcji. Arnold dzwoni do niej, gdy się pakuje. Świetnie mu poszło, mówi, wykład okazał się wielkim sukcesem. Nasłuchał się komplementów. Wspomina, że wypił piwo i jest taki zadowolony. Ona słyszy w tle szmer głosów uczestników seminarium daleko na południu, w Danii. On pyta, co u niej słychać.

Odpowiada, że wszystko w porządku. Że dzieci siedzą w samolocie, a ona przeprowadza się do Hotelu Britannia.

– Dlaczego?

– Bo jest bliżej wszystkiego. Nie będę musiała dojeżdżać do domu, szczególnie wieczorami, będę mogła wypić kieliszek wina. Wszyscy tu mieszkają.

– Więc teraz będziesz się z nimi zabawiać przez całą noc.

– Nie, tego nie powiedziałam.

– Tak się stanie. Będziesz się z nimi zabawiać przez całą noc, wiem o tym. Dlaczego nie możesz zostać u mnie, dlaczego koniecznie musisz imprezować i włączyć się do rana z twoimi napalonymi kolegami. Po co się tam wyprowadzasz, co właściwie masz zamiar tam robić, czy możesz mi to wyjaśnić! Imprezować całą noc! Dlaczego musisz się tak włączyć, dlaczego nie możesz się uspokoić!

Melduje się w hotelu. Już wie, domyśliła się tego już podczas rozmowy przez telefon: teraz coś się wydarzy. Teraz on coś zrobi. Ma już świadomość, zanim jeszcze to się stanie. Może już spostrzegł taką możliwość i teraz podejmuje decyzję o zemście, ponieważ go nie posłuchała i nie pozostała na miejscu. Ponieważ zrobiła to, czego chciała, zamiast zrobić to, czego chciał on. Skoro zrobiła coś, co mu się nie spodobało, poniesie karę. Widać to po nim, gdy się zjawia,

połączenie pewności siebie w mowie ciała i nieśmiałości w spojrzeniu, nieszczerłość wypisana na twarzy. I nie jest już dłużej zły, to jest najbardziej podejrzane, nie gniewa się już, że przeprowadziła się z szeregowca do hotelu Britannia. Mówi, że się uśmiecha, bo dobrze się bawił. Dostał, czego chciał, mówi. Co może mieć na myśli? Nie, już się nie gniewa. Ona już wie. Ale jeszcze nie pyta. Czeka na moment, gdy on być może zdobędzie się na szczerłość. Kiedy wypiją, pójdą do łóżka i Ida zrobi wszystko, o co ją poprosi. Wypijają więcej, zadaje to pytanie. On zaprzecza, ale ona tylko widzi wszystko wyraźniej. Mija doba, on wciąż się wypiera, kłamie, więc pyta w odpowiedni sposób, we właściwym momencie, gdy wypili dokładnie tyle, ile trzeba, wtedy on się przyznaje, owszem, to prawda, spał z inną:

– Zrozumiałem, że ty i tak wiesz. Ale to tylko jedna noc – mówi. – Nie związek – dodaje.

Czy zdrady podczas seminarium były związkami? Z jedną kobietą przez kolejne noce, razem, śniadania co rano. Jadał z nią lunch i chodził z nią na spacer do parku podczas przerw. Siadał obok niej w sali konferencyjnej i przy kolacji wieczorem, i wychodził z nią później do baru. Czy powinna być wdzięczna, że to była tylko jedna noc, ta ostatnia. Wiedziała o wszystkim,

zanim jeszcze się przyznał, ale gdy te słowa już padły, robi się gorzej. Boli nie do wytrzymania, ale nie wie, co począć z tym bólem, co powinna odpowiedzieć, więc milczy. Nie potrafi spać z nim w jednym łóżku, więc wstaje i kładzie się na kanapie w salonie, co tu zrobić. Nie może go zostawić, bo to się dopiero zaczęło, czekała na niego latami i wreszcie go dostała, nie może go teraz zostawić, to niemożliwe, nie jest w stanie, nie potrafi się nawet złościć. Nie potrafi nawet mówić. Staje się niema. Jedzą śniadanie w milczeniu. Pyta, próbuje spytać go, czy chce więcej kawy, po czym milknie znowu. Przy małym, kuchennym stole, w małej kuchni z widokiem na mały plac zabaw, gdzie matki siedzą na ławkach z kawą w termosach i patrzą na bawiące się w piaskownicy dzieci. Co za życie. Od teraz już zawsze będzie mogła mu to wytknąć. Że skłamał. Że do tamtej chwili robiła wszystko, o co prosił.

Telefon od byłej żony przyprawia go o załamanie. Kjersti chce wyłącznej opieki nad dzieckiem, żeby sobie nie myślał, powiedziała. Następnego dnia mają się spotkać u mediatora. Biedny Arnold, to dla niego zbyt wiele. Wchodzi pod prysznic, staje pod strumieniem wody i płacze. Biedny Arnold, co z nim teraz będzie. Ida wyciąga do niego rękę, by go dotknąć i pocieszyć, ale on ją

odpycha. Nie może zaznać od niej pociechy, skoro potraktował ją tak strasznie, mówi później i ona go rozumie, ale kiedy to się dzieje, nie rozumie nic, taka była bezwolna, taka była samotna, tak dawno temu.

Kiedy nie ma go w pobliżu, ona nie może się powstrzymać i grzebie w jego teczkach z dokumentami. Znajduje karteczki z imionami i adresami. Dzwoni i słyszy głos Dunki, egzotyczny i obcy, z daleka, wyobraża sobie pokoje, w których stali, łóżka, w których leżeli, wyobraża sobie ich orgazmy, ją pod nim. Przeszukuje kieszenie marynarki, notatniki, szuka w papierach kompromitujących rachunków za podwójne pokoje w hotelach, za obiady dla dwojga i czuje zażenowanie, ale nie może się powstrzymać, zaczęło się. Dobrze wie, do czego jest zdolny.

Mam w sobie płacz, zapisała w dzienniku, ale on chyba tego nie widzi. Płaczę, ponieważ staję się słaba.

Nie rozczulaj się tak nad sobą! Nie bądź taka świętobliwa. Z kim byłaś tamtego wieczoru, tamtej nocy w hotelu podczas seminarium i rano, przed i po śniadaniu, śniadaniu dla dwojga do łóżka, kiedy dopilnowałaś, żeby nikt się nie dowiedział i spaliłaś paragon?

To co innego! Bo wiedziałam, że on to zrobi! Bo nie potrafi się powstrzymać! Bo dla niego to konieczne! Nie dla mnie! On tego potrzebuje, dla niego to coś dobrego, dla mnie przeciwnie, to boli! Sprawia mi ból, a potem ja sama sprawiam sobie dodatkowy ból! Dla niego to konieczne, w ten sposób dorasta. Ale może też z tego powodu pójść na dno.

Wspomina o tym koledze z zarządu Związku Dramatopisarzy. Są już po spotkaniu, jedzą obiad na mieście, piją piwo i Ida musi kogoś o to zapytać, dorosłego mężczyznę. On potem przysyła jej list. Pisze, że nie potrafi żyć bez odpowiedzi. Nie potrafi żyć w niejasności. On sam zawsze szuka wyjaśnienia. Nie odpowiadają mu wątpliwości i refleksje. Może znieść, gdy coś go zaniepokoi, ale nie zniesie, jeśli coś go niepokoi.

Zdarza się, że Arnold niszczy swoje rzeczy ze złości na Idę. Jeśli jest sam w Trondheim i martwi się, bo był z żoną na spotkaniu u mediatora i nie dogadali się w sprawie dziecka, ma mało pieniędzy, a Idy nie ma w domu. Ida nie ma u siebie dzieci i jest w Oslo. Była na spotkaniu zarządu Związku Dramatopisarzy, a wieczorem je obiad z członkami zarządu, bo dlaczego miałyby nie jeść z nimi obiadu po spotkaniu, w cudowny letni dzień w Oslo, w piątek, skoro nie musi

siedzieć w domu z dziećmi. Czy powinna iść do domu i warować przy telefonie, by być osiągalna dla Arnolda? Wyszła z resztą zarządu i dobrze się bawi w Herregårdskroa. Dlaczego ma spieszyć się do domu, skoro nikt jej tam nie potrzebuje, chociaż raz. Bo Arnold może zadzwonić?

Piekło rozpętuje się, kiedy wraca do domu w nocy, późno w nocy, no dobrze, może o świcie. Trzydzieści dwie wiadomości od Arnolda Buska na automatycznej sekretarce, pełne histerycznej wściekłości. Dzwonek telefonu, gdy wchodzi do domu, odbiera, on jest wściekły i kiedy ona zaczyna mówić, on rzuca słuchawką, po czym dzwoni znowu, ona odbiera, a on krzyczy i rzuca słuchawką, dzwoni znowu, ona odbiera, jak długo to jeszcze potrwa, jest zmęczona, chce spać. Ale boi się go stracić i on o tym wie. Próbuje się tłumaczyć, ale on jest tak wściekły, tak pijany, bo siedział i pił, czekając na nią. Mówi, że potłukł serwis, ponieważ Ida nie wróciła na noc. Szłocha, że zniszczył jeden z telefonów, ponieważ Ida nie wróciła na noc. Stłukł kieliszek, rozmawiając z nią, żeby słyszała dźwięk tłuczonego szkła i nie da się z nim rozmawiać, ponieważ Ida nie wróciła na noc.

Następnego dnia przed południem nie jest już wściekły, tylko smutny, płacze i szłocha, to

wszystko dlatego, że ją kocha. Nigdy wcześniej tak się nie zachowywał. To Ida jest przyczyną, dlaczego musiała wyjść na noc. Czy nie może siedzieć we własnym domu, spokojnie, jak Arnold. Arnold siedzi spokojnie we własnym domu, dlaczego Ida tak nie potrafi. Zawodzi i szlocha, dusi się. Nigdy taki nie był, nigdy się tak nie zachowywał, dopiero teraz, z Idą. Nie jest w stanie się podnieść. Jest samotny na świecie. Nie zniesie już więcej. Pragnie umrzeć.

Ida wsiada w samolot. Leci do Trondheim i sprząta okruchy szkła. Arnold leży w łóżku i szlocha. Książki leżą w stertach na podłodze. Wazony, kubki i szklanki zostały wyciągnięte z szafek i roztrzaskane o ścianę, rozbijając obrazki, lustra i ceramiczne świeczniki, lampy leżą potłuczone na podłodze. Gdy tłukł, opowiada z płaczem, przez cały czas powtarzał stary numer telefonu swoich rodziców. Trzydzieści dwa, osiemnaście, czternaście; trzydzieści dwa, osiemnaście, czternaście; trzydzieści dwa, osiemnaście, czternaście.

– To bardzo ciekawe – odpowiada Ida, poklepując go po głowie.

– To ma związek z dzieciństwem – mówi Ida, gładzi po głowie i pieści się z nim, a gdy skończą już się kochać, gdy posprząta, pozamiata

i powyrzuca, powstawia książki z powrotem na półki, gdy kupi wino i naleje mu kieliszek, będą mogli przeanalizować dzieciństwo Arnolda Buska, żeby dowiedzieć się, dlaczego powtarzał stary numer swoich rodziców, trzydzieści dwa, osiemnaście, czternaście, tłukąc szkło.

Arnold i Kjersti nie mogą dogadać się w sprawie opieki nad dzieckiem. Nie zgadzają się w kwestii pieniędzy. Kłócą się. Krzyczą na siebie przez telefon. Arnold się martwi. Ma mało pieniędzy, ma długi, panuje chaos. Ida wybiera się ze Związkiem Dramatopisarzy do Chin. Będzie ciekawie. Arnold nie chce, żeby wyjeżdżała, ona wyczuwa to, opowiadając mu o swoich planach, nie jest zachwycony. Boi się powiedzieć mu, że wyjeżdża, bo domyśla się, że nie będzie zadowolony i rzeczywiście nie jest. Gdy wspomina o wyjeździe, gdy pojawia się temat wyjazdu, widzi jego niezadowolenie, więc unika tematu, nie mówi mu, że cieszy się na tę podróż. On uważa, że ucieka od *niego*. Uważa, że zostawia go samego ze wszystkim. Telefonuje do niej do hotelu w Chinach, niełatwo się dodzwonić, ale udaje mu się połączyć w środku nocy, siedzi i pije. W Chinach jest ranek. Ona siedzi w pokoju kierownika i przygotowuje spotkania na ten dzień. Arnold dzwonił do pokoju Idy, ale jej tam nie było,

dzwoni więc do pokoju kierownika i Ida odbiera telefon. On rzuca słuchawką i dzwoni raz jeszcze. Wścieka się i rzuca słuchawką, gdy ona próbuje powiedzieć:

– Ależ, Arnoldzie!

Dzwoni raz jeszcze i rzuca słuchawką, dzwoni znowu i mówi, że rozbił telewizor.

– Rozbiłem telewizor!

Teraz te słowa brzmią zabawnie, jak żart. Ale wtedy nie były zabawne, wydawały się straszne, była cała roztrzęsiona, wyszła z siebie. Jeśli ją teraz zostawi, umrze. Myśli, że spała w pokoju kierownika i nie pozwala jej się wytłumaczyć. Ona dzwoni, ale nie może się połączyć, biega z jednego hotelu dla gości z Zachodu do drugiego, żeby znaleźć działający telefon, ale nie może się dodzwonić. Pisze list za listem, pisze, że go kocha, żeby zachował spokój i się namyślił, i nie opuszczał jej w gniewie. Na ulicach Pekinu myśli tylko o Arnoldzie, czuje ból w brzuchu wyłącznie z powodu Arnolda. Krąży niespokojnie po Placu Niebiańskiego Spokoju i boi się Arnolda. Dobry Boże! Wyjaśnij mu prawdę! Gdy wreszcie udaje jej się z nim skontaktować, dwa upiorne dni później, Arnold jest na zwolnieniu lekarskim.

Powtarza jej słowa swojego przyjaciela Steina, który usłyszał o zwolnieniu i wyjeździe Idy do

Chin, i uznał, że Ida nie powinna tyle podróżować.

Pewnego razu jest u niej, w Oslo, pewnego razu siedzą wieczorem z jej znajomymi i piją, pewnego razu kłócą się, ponieważ on uznaje, że siedziała za blisko innego mężczyzny, kolegi, zostawia ją i wraca zagniewany do domu. Ona zostaje, żeby nie był górá. Gdy przychodzi godzinę po nim, zastaje mieszkanie pełne zniszczonych rzeczy. Rzucił jej pięknym kieliszkiem do czerwonego wina w obraz, niszcząc i obraz, i szkło, a karafkę zrzucił na ziemię. Nic więcej, to wystarczy. Ona po przyjsciu nie odzywa się, on jest pijany i nie da się z nim rozmawiać, ale coś trzeba powiedzieć. Następnego dnia ma spotkania w radiu i nie będzie jej całe przedpołudnie. Ale powie mu coś po powrocie do domu. Gdy wraca, on wciąż leży w łóżku i jest przybity. Tuli się do niego i mówi: – Arnoldzie.

On nie odpowiada. Ma depresję. Ma migrenę.

– Gdy niszczysz moje rzeczy, sprawiasz mi ból, to prawie tak, jakbyś mnie uderzył. Wydaje mi się, że nie masz dla mnie szacunku. Ranisz mnie.

On potakuje bez słowa.

– Rozumiesz?

On kiwa głową.

Kochają się. Więcej się to nie zdarza.

On wybiera się na seminarium do Danii, ona

się niepokoi. Pod jego nieobecność grzebie w jego papierach, szukając nazwisk. Ma swoje sekrety, to ją przyciąga, chce je odkryć, musi je odkryć, to przyciąga kobiety, tajemnica Arnolda Buska. Ida szaleje z miłości, szaleje z pożądania, zazdrość ogarnia ją jak szaleństwo. Notuje podejrzone nazwiska, o których przypadkiem wspomniał albo które pojawiły się w papierach, dzwoni na informację, dowiadując się o numery ich telefonów, dzwoni i wypytuje, gdy on jest w Danii, słysząc w odpowiedzi:

– Nie, ona jest teraz w Danii.

No i? Co z tym pocznie? Nie da się tego sprawdzić. Jeśli będzie miał możliwość, skorzysta z niej, bo to taki typ, który nie potrafi odmawiać. No i?

On jest w Danii. Ona siedzi przy telefonie w Oslo.

– Nie, jest w Danii – odpowiada dziecko.

No i? Co z tym pocznie, nic nie osiągnęła, poza tym, że teraz się wstydzi. Na dworze świeci słońce, dlaczego nie porobi czegoś konstruktywnego, zdrowego, mogłaby pójść na spacer, poczytać książkę, popracować. Skoro on jest głupi, ona też będzie głupia. Jeśli ją zdradza, niech ją zdradza, pewnego dnia to się wyda, wtedy będzie miała go w garści. Jeśli on jest idiotą, ona nie musi być

taką samą idiotką. A jednak nie wyciąga wniosków, nie może go powstrzymać, może za to powstrzymać sama siebie przed głupotą, przed poniżeniem. Ido! Popatrz na siebie! Na dworze świeci słońce, niebo jest niebieskie, a ty siedzisz przy telefonie, pogrążona w rozmyślaniach o Arnoldzie w objęciach innej kobiety. A gdybyś leżała na łożu śmierci, Ido, i przed oczami przepływałoby ci całe twoje życie, co pomyślałabyś o godzinach, które spędzasz teraz przy telefonie, wydzwanając do nieznajomych i zadając bezsensowne pytania, które ściągają cię tylko głębiej w poczucie bezsensu. Uzależniona, bezwolnie poddana, sparaliżowana. Marnujesz czas, Ido, wstydz się! Wyjdź na świat i zrób coś, żyj, nie tak, byś wstydziła się tego przed śmiercią.

Czy on może się zmienić?

Jest wczesna jesień. Siedzą w Herregårdskroa. Afera z Danii z początku lata została niemal zupełnie zapomniana. Arnold wybiera się na przyjęcie organizowane przez wydawnictwo, które wydrukuje erotyki Brechta po norwesku. Cieszy się i pije piwo w słońcu. Ida pije wodę mineralną. Musi odwieźć dzieci na trening koszykówki, zrobić obiad, położyć je spać. On jest wolny, z wizytą w stolicy, widać to po nim.

– Nie zabawiaj się z żadną inną – mówi.

On się uśmiecha.

Teraz będzie mogła się zastanawiać. Nie uderza pięścią w stół. Nie przychodzi jej to do głowy. Nie jest w stanie. Po prostu ogarnia ją niepewność i smutek. Wraca do domu z lękiem. Robi wszystko tylko na pół gwizdka, boi się przez resztę dnia i nie może spać. On zjawia się o wpół do szóstej rano i płacze, coś musi być na rzeczy.

– O co chodzi, Arnoldzie?

Nie odpowiada, w taki sposób, że ona domyśla się, że coś się stało.

– Co się dzieje, Arnoldzie?

Nie odpowiada, w taki sposób, że ona rozumie, że coś się stało.

– Co się dzieje? Uprawiałeś z kimś seks?

Przytłaczające poczucie bezradności, nie wie, co powiedzieć. On mówi, że to po prostu się stało. Jest pijany i chce spać, zasypia. Ona wstaje pół godziny później i wyprawia dzieci do szkoły. Będzie prowadziła kurs w radiu i wychodzi zaraz po nich. Uczyła przez cały tydzień, zdążyła już poznać się z ósemką uczestników, tak to jest, kiedy się rozmawia, wymienia spostrzeżenia o tekście. Nie może utrzymać tego w sobie, widzą jej bezbronność, jakby była naga.

– Czy nie jesteś wściekła? – pytają.

Nie, jest jak jest. Kręci głową. Jakby krew

wypłynęła jej z żył, jest po prostu bezsilna. On też by tego nie zniósł, jeśli ona się wścieknie, on po prostu odejdzie, a tego nie potrafiłaby wytrzymać, wtedy by umarła.

– Może on się zmieni? – pyta.

Uśmiechają się i wymieniają spojrzenia.

– Ile ma lat?

– Czterdzieści dwa.

– Wierzysz, że może się zmienić?

Właściwa odpowiedź – on nigdy się nie zmieni – zawisa w powietrzu. Ale nie może tego powiedzieć. To niemożliwe. Wierzy w miłość, musi w nią wierzyć, nie ma nic innego, w co mogłaby uwierzyć.

Wychodzą na szkiery. Arnold i Ida. Dziś wieczorem nie ma przyjęcia. Dziś wieczorem zostaną w domu. Następnego dnia nie będzie prowadziła zajęć. Następnego dnia będą mogli rano długo leżeć w łóżku. Kiedy dzieci będą w szkole. Spacerują w innym rytmie, nie spieszy im się. Kupili dobre jedzenie, wino się chłodzi. Jest wczesna jesień. Za późno na pływanie, ale wystarczająco ciepło, by siedzieć bez kurtek pod nasłonecznioną ścianą starej szopy, która pachnie wysuszonym na słońcu drewnem.

Może wie, o czym ona myśli. Może domyśla się, że słowa „on nigdy się nie zmieni”, dźwięczą jej

w głowie. Może domyśla się, że dyskutuje sama ze sobą, że wewnętrzny głos powtarza jej: Ido! On się nigdy nie zmieni! I domaga się wysłuchania.

Może widzi, że jest spokojna. Nie niema jak ostatnio, nie sparaliżowana jak ostatnio. Nie taka, jak ostatnio, ale znacznie bardziej zmęczona. Może dlatego, gdy tak siedzą, na słońcu pod starą komórką, pachnącą drewnem i późnymi różami, mówi nagle: – Ida!

– Tak?

On czeka. Czeka, aż ona też zacznie czekać, wyczekiwać.

Potem odzywa się powoli, zawsze mówi powoli, gdy uważa, że mówi o czymś ważnym, teraz spływa na nią łaska:

– Jeśli mamy być razem. Jeśli mamy być parą na poważnie. Przestanę robić takie rzeczy.

Czy powinna teraz odpowiedzieć.

Potakuje ruchem głowy.

On też kiwa głową, uśmiecha się: proszę!

Czy powinna mu dziękować.

Są razem od prawie dwóch lat.

Dostała od Związku Dramatopisarzy zaproszenie do Japonii, ale nie wie, czy pojedzie. Ma ochotę, ale nie jest pewna, czy podoła. Będzie z tego tylko awantura, same nieprzyjemności. Ale ma ochotę. Nie wspomina mu o tym. W Związku

mówi, że jedzie.

– Tak, jadę – odpowiada, ale nie wspomina o tym Arnoldowi, odwleka powiedzenie mu o tym. Dzieci nie mogą być w pobliżu, kiedy mu to powie, nie może być pijany. Muszą właśnie skończyć się kochać, musi mieć cały dzień wolny i żadnych naglących spraw.

– Arnoldzie?

– Tak?

– Wiesz, dokąd zostałam zaproszona ze Związkiem Dramatopisarzy?

– Znowu? Wy chyba nic innego nie robicie, tylko jeździcie. Coś z tego wynika? Po co to komu właściwie? Nie lubię tego waszego prezesa. Pieprzony samiec alfa. Czy ty wiesz, co on kiedyś powiedział, czy ty wiesz, co on wyrabiał? Ale ty jesteś dla niego milutka, uśmiechasz się i szczebioczesz.

Odwleka i odwleka, bilety już zapłacone, już przyszły, jedzie do Japonii, teraz musi mu to powiedzieć. Przez telefon, wtedy ominie ją najgorsze, prawie nie znajduje sił.

– Wiesz, zostałam zaproszona do Japonii ze Związkiem Dramatopisarzy.

– Tak?

– Prezes i ja, i jeszcze kilkoro członków, żeby założyć międzynarodowy związek.

- Kiedy?
- Niedługo, już za trzy tygodnie.
- Wybierasz się?

Padło pytanie. Czy się wybiera. Czy pojedzie? Bilety leżą w tajemnej szufladzie, musi się przyznać.

- Myślałam o tym. Mam ochotę.
- Cisza, cisza po drugiej stronie.

– Jesteś tam?

– Arnoldzie, jesteś tam?

Cisza, cisza, więc tylko szepcze.

– Arnoldzie?

Nic. Nic.

– Arnoldzie?

Po chwili: – Tak.

Wie, co się kryje za tym „tak”.

– Arnoldzie!

– Czyli chciałaś pojechać?

Teraz to ona milczy przez chwilę.

– W sumie mam ochotę.

– Co to znaczy?

– Że to ważne. Światowa organizacja. To interesujące, chciałabym to zrobić, żeby nam się udało, to ważne. Sam pomyśl.

Cisza.

– Czyli jedziesz?

– Jeszcze nie zdecydowałam.

– Nie wydaje mi się.

– Co to znaczy?

– Zdecydowałaś. Jedziesz. Podjęłaś decyzję już dawno temu. Dopiero teraz mi o tym mówisz.

Ma rację. Podjęła decyzję, jedzie. Ma rację, ma zupełną rację.

– Arnoldzie!

– Tylko prezes i ty? Tylko wy dwoje?

– Nie, na pewno jedzie z nami więcej osób, to jeszcze nic pewnego.

– Ach. Ja już wiem.

– Arnoldzie!

Następnego dnia dzwoni do niej ze swojego biura w Trondheim i mówi, że chce pojechać z nią. Chce towarzyszyć jej w podróży do Japonii, bo nigdy wcześniej tam nie był. Ida była z Arnoldem, gdy zasiadał w komisjach egzaminacyjnych w Bergen, w Stavanger, była z nim, gdy wygłaszał wykłady w Niemczech, w Szwecji. Arnold zawsze chce mieć Idę przy sobie, tego by tylko brakowało, żeby Arnold nie pojechał z Idą do Japonii.

– Może być z tym kłopot – odpowiada. Nie chce zabierać go do Japonii. Wtedy nie będzie mogła zachowywać się tak jak zwykle zachowuje się w obecności członków związku, nie będzie mogła normalnie z nimi rozmawiać. Nie będzie mogła dzielić z nimi czasu, jak to ma w zwyczaju. Arnold

będzie krytykował ją za sposób, w jaki z nimi rozmawia, w jaki na nich patrzy, jak jest blisko, za to, że jest bezpośrednia, otwarta, za to, że opowiada im rzeczy, które powinna zachować wyłącznie dla niego, dla Arnolda. A wieczorem, gdy pójdą do pokoju, pokłóćą się o to, będzie na nią wrzeszczał co wieczór i następnego dnia nie będzie mogła być sobą, będzie siedzieć jak na szpilkach z powodu Arnolda. Arnold będzie blisko, trzymając ją za rękę, rozmawiając tylko z Idą, jedząc z Idą sam na sam, zamiast ze wszystkimi. Ida będzie ubezwłasnowolniona, uwięziona w pułapce, to nie wyjdzie, to się nie uda, nie da się jednocześnie być Idą ze Związku Dramatopisarzy i Idą Arnolda.

– Może być z tym kłopot – powtarza.

– Dlaczego? – pyta on.

– Praktyczne sprawy – odpowiada. – Bilety, hotel, wszystko jest przygotowane – mówi.

– Sądziłem, że jeszcze nie podjęłaś decyzji, nie mogliście przecież zamówić biletów, skoro nie wiesz jeszcze, czy pojedziesz. Zakładając, oczywiście, że mówiłaś prawdę?

– To nie wakacje, Arnoldzie. Spotkania będą ciągnąć się całymi dniami – odpowiada. – Bez sensu, żebyś wydawał tyle pieniędzy na podróż, skoro przez cały dzień będziesz sam.

– Nie chcesz zabrać mnie ze sobą!

– Nie o to chodzi, Arnoldzie. To po prostu nie jest taki wyjazd.

– Dlaczego. Czy nie byłaś ze mną w wielu miejscach?

– No tak.

– Ale?

– Spotkania przez cały dzień, kolacje będące przedłużeniem spotkań, rozmowy tylko o związkowych sprawach.

– Nie chcesz zabrać mnie ze sobą!

Owszem, taka jest prawda. Będzie czuła presję ze wszystkich stron. Wypowiedzianą ze strony Arnolda i niewypowiedzianą, ale zauważalną ze strony delegacji. Będą wymieniać spojrzenia za jej plecami.

– Popatrz na Idę. Zobacz, jaką on ma nad nią władzę.

Żadnego odpoczynku po spotkaniach nad drinkiem w barze, jak to zwykle bywa podczas wyjazdów. Wspólne zajęcia, analizy podczas wieczornych posiłków i planowanie następnego dnia. Arnold trącający ją w bok, kopiący w kostkę, a gdy już znajdują się sami w pokoju, krytykujący ją za flirt, przesadną wesołość, napraszanie się, krytykujący innych za bycie zbyt blisko niej, nierespektowanie ich związku, brak szacunku dla

niego, Arnolda. Nie, nie chce zabierać go ze sobą, chce być sama, ale nie ma odwagi mu tego powiedzieć.

Czy on naprawdę tak uważa. Czy tak to wygląda z jego punktu widzenia. Że ona flirtuje, naprasza się. A może po prostu chce mieć ją tylko dla siebie, pod kontrolą, bo nie może znieść braku kontroli nad nią. Czy kierują nim nie dające się opanować uczucia, dlatego nie próbuje ich przeanalizować, zamiast im się poddawać, tak jak analizuje wszystko inne, ekspert od analizy tekstu, teorii. A może naprawdę tak to wygląda w jego oczach. Jakby się napraszała, jakby każdy mógł ją mieć. Kłóć się o to przez następne lata.

– Nie chciałaś zabrać mnie do Japonii! – usłyszysz wiele razy, gdy on będzie się wściekał, przez kolejne lata. I setki razy powtórzy, że to była delegacja, wyjazd służbowy.

Ale pewnego razu odpowie: – Tak! Masz rację! Nie chciałam cię mieć przy sobie! Tak, to prawda, masz rację, chciałam pojechać sama! Bez ciebie! Tak!

Kłóć się o to każdego dnia przez trzy tygodnie poprzedzające jej wyjazd. On nie jedzie z nią do Japonii. Wybiera się do Danii na seminarium. Zdradza ją podczas jej pobytu w Japonii, oto kara. Pragnie, by o tym wiedziała, bo to jest kara, dowie

się tego, gdy wróci z Japonii do Trondheim, leci z Japonii prosto do Trondheim. On wychodzi po nią na lotnisko i potwierdza, gdy Ida pyta go o to w nocy, kiedy właśnie skończyli się kochać. Zdradził ją z tą samą kobietą, co ostatnio. Ida ubiera się i wybiega na deszcz, znowu ból, ból, ale nie tak nieznośny jak poprzednim razem, nie, nie boli tak jak poprzednim razem, boli, ale nie aż tak, za każdym razem mniej, jak się okaże, chociaż tyle dobrego. Wraca o świcie i oświadcza, że chce jechać do domu. Jego syn wychodzi do szkoły, ona upiera się, że chce do domu.

Tego nie oczekiwał. Ida pakuje swoje rzeczy. Pakuje się i mówi, że chce wyjechać. Chce dzwonić po taksówkę. Czy mówi poważnie. Tak, sięga po telefon, żeby wezwać taksówkę. On zabiera jej telefon. Nie może mówić poważnie, on ją kocha, kochają się nawzajem. Ona chce dzwonić po taksówkę, nie dostaje telefonu, wychodzi więc na ulicę, dostrzega jedną i idzie w jej kierunku. On mówi, że może ją odwieźć, skoro ostatecznie chce zareagować tak przesadnie i wyjechać. Ona znosi swoją walizkę do samochodu, on ją odwozi, ale powoli, grożąc, że się zabije, jeśli ona teraz wyjedzie.

– Naprawdę. Jeśli teraz pojedziesz, zabiję się.
Ida spogląda na niego.

– Mówię poważnie. Jeśli teraz pojedziesz, to się zabiję.

Czy to zrobi. Tak mówi, ale czy naprawdę to zrobi.

– Jeśli pojedziesz teraz do domu, zabiję się – mówi, zatrzymując się przed halą odlotów na lotnisku, spogląda na nią i powtarza: – Jeśli teraz pojedziesz, ja się zabiję.

Wbiega do środka bez walizki. Musi z kimś porozmawiać. Dzwoni do przyjaciółki, płacze i ją wypytuje.

– Arnold Busk się nie zabije – słyszy w odpowiedzi. A jeśli nawet to zrobi, nie będzie to wina Idy. Ida musi być twarda i chociaż raz usłuchać swojego silnego impulsu, więc Ida zbroi się i słucha swojego silnego impulsu. Wraca do samochodu, bierze walizkę i wsiada do samolotu do Oslo. Kupuje wino, zmienia pościel, idzie na basen, do solarium, na miasto, do miejsca, w którym zawsze spotyka znajomych. Idzie do domu dawnego kochanka, śpi u niego, spędza tam również przedpołudnie, umawia się na obiad i rozmowę z przyjaciółką na mieście, wychodzi też następnego wieczora i nie wraca na noc, żeby nie wracać samotnie do własnego domu, żeby Arnold jej tam nie dopadł.

Arnold nagrany na automatycznej sekretarce

mówi, że zrozumiał, że kocha Idę. Żałuje, taka jest prawda i rozumie już, że kocha Idę. Godzą się więc. On przyjeżdża po raz kolejny. Potem znowu razem piją wino w łóżku i znowu rozmawiają o trudnych sprawach i swojej wielkiej miłości. Jest ciężiej. Pojawił się ciężar. Są sprawy, które nie znikają, chociaż odsuwasz się od nich. Idą na basen. Siedzą w jej samochodzie w drodze na basen. Zaczęła go wypytywać, nie potrafiła się powstrzymać. Czy był zakochany w Duncie.

– Może troszkę – odpowiada Arnold i to wyznanie sprawia jej wielki ból. O czym rozmawiał z Dunką. Wszystkie jego odpowiedzi sprawiają ból, a jednak nie może przestać pytać. O czym Dunka pisze magisterkę. Im bardziej rzeczywista się staje, tym jest gorzej. Ida wypytuje, nie może przestać się upokarzać. Ale gdy pływają, on powoli i z głową nad powierzchnią wody, ona szybciej i pod wodą, wyciąga wnioski. Czy wie, co on o tym sądzi. Jak ona powinna się do tego ustosunkować. Gdy się przebrali, każde osobno, i stoją już na zewnątrz z mokrymi włosami przy samochodzie, ona mówi:

– Teraz wiem, co chcę ci na ten temat powiedzieć. Jedną, jedyną rzecz i nigdy już do tego nie wracajmy: Jeśli zrobisz to jeszcze raz, nie chcę cię więcej widzieć.

Zdarza się to raz jeszcze, jeden raz, o którym wie, prawdopodobnie było ich więcej, ale o jednym razie wie i od niego nie odchodzi. Nie zostawia go z powodu okoliczności łagodzących, ponieważ tym razem nie było to działanie zaplanowane, z premedytacją, tym razem nie była to kara, tylko potknięcie, po imprezie, nie zostawia więc go, tylko mu wybacza. Ale to kolejna przykrość, która nie znika, chociaż od niej uciekają.

W instytucie germanistyki jest impreza. Następnego ranka Arnold ma wsiąść do samolotu do Oslo. Miał wylądować w Oslo w południe, ale dzwoni z Trondheim o dwunastej i mówi, że zasnął. Ida słyszy to w jego głosie, już wie. Odbiera go z lotniska kilka godzin później, czuć od niego zapach piwa i kaca, pił w samolocie. W samochodzie siedzi jej młodsze dziecko, któremu musi kupić nowe buty w drodze powrotnej. Widzi po nim wszystko, widzi trzęsące się ręce, czuje oddech, jest nieprzyjemnie, bo na zewnątrz świeci słońce, a ona ma ze sobą córeczkę. Wszystko było normalne, jasne, bezpieczne, a teraz on się zjawia, przywożąc to ze sobą. Teraz Ida wpatruje się w niego, a on się boi. Pyta go o tamten wieczór, gdy leżą już w łóżku, gdy wszystko zostało już zrobione, kolacja, odrabianie lekcji, gdy dzieci już śpią. Wtedy zadaje pytanie.

On kręci przecząco głową. Ale to i tak tkwi pomiędzy ciałami, niewypowiedziane, jest tam, w ciele grzesznika i w podświadomości, i zaczynają się nienawidzić. Kłócą się o Japonię, kłócą się w Trondheim tydzień później i Ida wychodzi na ulicę jak wiele razy wcześniej, a kiedy wraca, on siedzi przy telefonie z kartką papieru na stoliku przed sobą, z inicjałami i numerem.

– Czyj to numer? – pyta ona.

Jędza, nią właśnie się stała.

– Nie mam pojęcia – odpowiada on.

– Nie masz pojęcia?

– To nie moje pismo.

– Nie twoje pismo? Ha, ha! Czyje więc, jeśli mogę spytać?

– Skąd mam wiedzieć.

– Boże, Arnoldzie!

– Przypomina pismo Leifa Asnesa.

– Leifa Asnesa?

– Na przykład.

– Boże, Arnoldzie!

Jaki on głupi. Jak wszystko niszczy. Dla godzinnego potwierdzenia, dla przelotnego seksu, jak ma zachować dla niego szacunek. Czy mężczyźni są tacy? Nie, nie są tacy. On nie ma odwagi się przyznać. Nic dziwnego. Ona wie, ale

on nie może tego wykrztusić. Ponieważ, gdy stali przed basenem, powiedziała: Jeśli zrobisz to jeszcze raz, nie chcę cię więcej widzieć. Jadą do Hiszpanii. Chce mu pokazać północną Hiszpanię, bo nigdy tam nie był. Cieszyła się na tę podróż, cieszyła się, że poczuje zapachy północnej Hiszpanii, wczesnowiosenne zapachy północnej Hiszpanii. Tymianek, rozmaryn i suchy kurz na drogach. Zapachy targowisk, starych ubrań, bursztynu i kwiatów, ognistych, pomarańczowych róż. Chciała pokazać mu ocean i klify nad wodą, port i białe góry, i ścieżki pnące się w górę, pachnące tymiankiem, rozmarynem i suchym pyłem. Wyjeżdżają. Ona już nie pyta, niedługo i tak się dowie. Dojeżdżają do Kopenhagi, ale już nie dalej. Jest mgła, siedzą na Kastrup, godzinę, dwie, trzy godziny, czekają i piją, mogą o tym teraz porozmawiać, zniszczenie już się dokonało.

Tak, to prawda. Studentka na imprezie w instytucie. Arnold poszedł bawić się dalej, a rano obudził się nagi, ze ściągniętymi spodniami, jej już nie było. Ale nie udało się, mówi, prawie nic nie pamięta, dodaje. Poszła rano, on obudził się bez spodni, nie wydaje mu się, żeby dał radę, nie ma się więc o co gniewać.

– Wiedziałam. Wiedziałam o tym, gdy zadzwoniłeś. Wiedziałam o tym, gdy cię

zobaczyłam.

– Dlatego przecież to mówię. Ale czułem się jak idiota, dlatego nic nie mówiłem, czuję się jak idiota.

Czy powinna go teraz zostawić? Siedzą w Kopenhadze, w drodze do Hiszpanii, ale nie pojedą dalej, meldują się w pokoju hotelowym, mogą poprosić o dwa osobne, jakby nie podróżowali razem. Ona prosi o własny pokój. Przez całą noc leży i analizuje sytuację. Nie jest tak źle, jak kiedyś, nie tak paraliżująco, jak za pierwszym albo drugim razem, zahartowała się. Nowe przeświadczenie: to się nie skończy. Zawsze już tak będzie, bo on nie potrafi odmawiać. Zostawić go? Teraz? W drodze do północnej Hiszpanii, z biletami w torebce. Dobry Boże, czy powinnam teraz odejść, to się nigdy nie skończy, to będzie się działo wciąż, to notoryczne.

Zaczął się proces oddalania. Tutaj, w samotności pokoju hotelowego w Kopenhadze. Dociera to do niej w drodze do północnej Hiszpanii, gdy zatrzymuje ich mgła w Kopenhadze. Zaczynają oddalać się od siebie i nie da się odwrócić biegu spraw. Może weszła na tę ścieżkę już dawno temu i dopiero teraz to zauważyła. Traci wiarę. Nigdy nie będzie lepiej. A ona nie może tak żyć, nie może tak się

zestarzeć. W pewnym momencie to się skończy i poczuje ulgę. Nie może ciągle być tak źle, nie można ciągle obawiać się tego bólu. Skoro już to wie i nabiera pewności, że kiedyś go zostawi, może ciągnąć to jeszcze długo, gdy jest tylko jedno wyjście, skończyć to wszystko.

On puka do niej rano, ona go wpuszcza. Płaczą, kochają się i płaczą. Nie ma siły zapytać, czy był zakochany w studentce, czym się studentka zajmuje, ile ma lat, jak wygląda.

– To nic, zupełnie bzdurna sprawa – mówi Arnold.

Tak, tak, wierzę ci. Biedny Arnold. Zapomnijmy o tym. Jedziemy do Hiszpanii.

Blisko siebie w samolocie. Blisko w terminalu, zanim wyjdą na świeże powietrze. Blisko, blisko gdy idą przez ulice, do kawiarni, restauracji. Bliżej niż kiedyś, czy widzisz, że rośniemy? Jesteśmy coraz bliżej, ciaśniej, jeśli to możliwe, może on w to wierzy? Nie ma takiego zła, z którego nie byłoby jakiegoś pożytku. Pary, które potrafią ze sobą wytrzymać, na dobre i na złe, to takie, które opowiadają sobie nawzajem wszystko, przebaczą i znoszą. Patrzcie teraz! Jeszcze bardziej zaprzyjaźnieni niż wcześniej. Czy skok w bok powinien mieć takie znaczenie, niszczyć to, co najcenniejsze. Od dzisiaj będą mówić sobie

wszystko. Będzie dobrze. Zdrowie, Ida!

Ona nie mówi wszystkiego. Nie przyszłoby jej do głowy powiedzenie wszystkiego. To niemożliwe. Już i tak jest wystarczająco źle, nie powie wszystkiego.

Kupuje nowe ciemne okulary. W domu jest jesień, tutaj mogą jeszcze przesiadywać na dworze. Kupują piwo, jak zwykle. Piwo pomaga. Siadają nad wolno przepływającą rzeką. Kaczki płyną po rzece. Kaczki to kaczki. Rzeka to rzeka, Arnold to Arnold. Hiszpania to Hiszpania. Kupują pocztówki i wysyłają pozdrowienia do domów: Patrzcie, znowu podróżujemy. Dobrze nam. Ida i Arnold.

On zмага się ze sobą. Próbuje się zmienić. Uspokaja się, przez dłuższy czas jest znacznie lepszy. W książkach od niego znajduje dedykacje: Dla mojej ukochanej. Jedynej przyjaciółki i kobiety. Mojej dziewczyny, najlepszej na świecie.

Drobne upominki, kalendarz w grudniu, podarunki każdego ranka, małe butelki szampana, pudełeczka spinaczy i serduszka z czekolady. A jednak to nigdy ich nie opuszcza, bo ona jest już świadoma. On się zmienia, staje się opiekuńczy, gdy wszystko idzie dobrze, gdy ona jest miła, a on silny i skoncentrowany. Ale drugi on wciąż kryje się w głębi, jeśli na chwilę się

rozluźni, to tamten nagle wraca, zaczyna wątpić, wścieka się na nią albo pije, to dzieje się przez cały czas. Więc ona również odpuszcza, mniej jej zależy, bo wszystko i tak się rozsypie. Nie teraz, jeszcze nie teraz, ale się rozsypie, po co budować, rozumieć, poddawać się jego życzeniom. Wygrywa ten, który niszczy i podkopuje, widzi to dopiero teraz, później. On narzeka, ale ona nie przejmuje się narzekaniem jak kiedyś, nie traktuje go tak poważnie. Nie wypełnia nakazów jak dawniej. Czy ma ustępować mu we wszystkim, a niby dlaczego. A gdzie podziękowanie. Czy jemu się wydaje, że ona pragnie go tak samo mocno jak kiedyś.

Wyjeżdżając, zostawia jej karteczki, czekające w niespodziewanych miejscach. W szkatułce z biżuterią, w pudełku na toaletce, w szufladzie ze stearynowymi świeczkami: Witaj, Ido! Pomyśl troszkę o Arnoldzie, który cię kocha. Dziękuję za noc! Data i godzina. Małe figurki, które jego zdaniem są do niej podobne, zapakowane w serwetki albo folię, troll, ponieważ uważa, że rano jest podobna do leśnego trolla. Najdziwniejsze rzeczy na świecie. Małe przedmioty, które przypominają o czymś, co przeżyli, albo o miejscach, które odwiedzili. Spokojne, zimowe poranki pod kołdrą. Dzieci poszły do szkoły, oni palą w kominku w sypialni,

czytają gazety, kochają się, rozmawiają i piją kawę. On zaparza kawę i ją przynosi. Poszedł po drewno i rozpałił ogień. Gotuje pyszne posiłki, które jedzą przed południem i wieczorem.

– Jak dobrze być u ciebie – mówi.

– Jaka ty piękna – mówi.

– Przytul się do mnie – mówi.

– Rozbierz się – mówi. – Chcę poczuć twoje ciało. Tak przyjemnie się go dotyka.

Może mówi tak do wszystkich. Może wie po prostu, jak to na nie działa. A jednak dziękuje. Może kocha. Dziękuje mimo wszystko. Używa naprawdę wielkich słów, dziękuje za to. Nie może żałować, że je wypowiedział. Nauczyła się ich od niego. Dziękuje.

Sztuka do radia, którą pisała w Londynie i Atenach, jest już gotowa. Rozmawiała z nim o niej, trochę, ostrożnie. Nie czytał jej przed wysłaniem. Jednocześnie wysyła ją i wręcza mu manuskrypt. Podekscytowana czeka na jego opinię. Nie jest zdenerwowana, wie, co robi, ale z napięciem czeka, jakich użyje słów. Nie słyszał ani nie czytał żadnego z jej wcześniejszych dramatów przed emisją. Ten napisała przy nim, w tym samym pokoju, gdy on tłumaczył erotyki Brechta, ona pisała sztukę.

Dzwoni i mówi, że przeczytał ją w drodze do

domu i że mu się podoba. Czekala na ten telefon.

– Popłakałem się – mówi, zawsze to powtarza, od kiedy zaczął czytać jej teksty, płacze bez powodu. Poza tym nie ma żadnych przemyśleń, żadnych komentarzy.

Teraz będzie premiera. Siadają razem przy odbiorniku, żeby posłuchać. Ida się denerwuje. To jak się rozbierać. Jak być ubieraną przez kogoś obcego. Jej słowa wypowiedane ustami nieznanym ludzi, ich głosami. Siedzą sami w Trondheim. Arnold przygotował jedzenie, zjedli pieczeń, smażone ziemniaki i napili się czerwonego wina. Piją dalej, czekając. Jest zdenerwowana, ale jednocześnie się cieszy. Zwykle idzie dobrze. Nie, to za słabe określenie. Czuje radość, to jak zbawienie, usłyszeć, jak słowa stają się głosami, dźwiękiem. Może Arnold to zauważy, może Arnold to poczuje. On milczy, żeby jej nie przeszkadzać. Pierwszy raz od dawna jest cicho, żeby nie przeszkadzać, jeśli chce być z tym sama. W lodówce schował szampana. Ona siedzi jeszcze przy stole. Arnold napełnia kieliszki i siada na kanapie. Wyłącza wentylator. Zaczyna się. „Widzieć zbyt wiele”, autorstwa Idy Heier. Po raz pierwszy on słucha jej tekstu. Patrzy na nią, kiwa głową. Jest bardziej podenerwowany od niej, dlatego właściwie. Ponieważ wątpi. Ida nie.

Ponieważ boi się, że pójdzie źle i na jego twarzy będzie widać, że jego zdaniem źle poszło i wtedy koniec, wie o tym. To byłoby nie do naprawienia. Nie lubić, nie szanować tego, co ona robi, co tworzy. Nie ma nic głupszego od głupiego tekstu, od głupiego teatru, nic bardziej dokuczliwego, głupiego niż przepełniony patosem głos aktora, gdy słowa są nie na poziomie. To nie może się wydarzyć. Nie wie, czy ją kocha? Teraz to się liczy. Czy słowa będą odpowiednie. Arnold boi się słów, które mogą wszystko zniszczyć, słów budzących zaufanie na papierze, które mogą zmienić się w wydumane filozofowanie o życiu, o oceanie, co okaże się nieznośne i ludzie przy radiodbiornikach, w samochodach, w drodze z pracy do domu, będą rumienić się za Idę Heier, z którą Arnold Busk jest w związku.

Nie pyta go o zdanie. Poszło dobrze. Cieszy się. Wyłącza radio, przynosi szampana i idzie do niego na kanapę. Wznoszą toast. Uśmiechają się i stukają kieliszkami: – Jesteś artystką, Ido – mówi. Nie wiedział o tym.

Arnold jest po stronie Idy. Jej wrogowie są jego wrogami i uważa, że powinna mieć ich więcej niż ma, a ona zwykle pozostaje obojętna wobec wrogów, przeciwników. On zbiera dla niej nowych wrogów i przeciwników, i nigdy nie zapomina, co

napisali albo zrobili. Zdarza się, że Ida zapomina się i uśmiecha się na mieście do dawnego przeciwnika, a wtedy Arnold spogląda na nią surowo i przypomina jej, że właśnie minęli wroga.

Nie marudzi, żeby Ida posprzątała w ogrodzie. Nie marudzi, żeby umyła samochód. Nie marudzi, żeby naprawiła stosunki z rodziną. Pasuje mu obecna sytuacja, pasuje mu, że Ida prawie nigdy się z nimi nie widuje. Nie lubi normalnych, rodzinnych form towarzyskich. Nie lubi normalnych rodzin. To dobrze. Nie lubi rodzinnych obiadów, rodzinnych świąt Bożego Narodzenia i niedzielnych spacerów, nie lubi rodzin z małymi dziećmi, które jeżdżą na ferie wielkanocne załadowanymi po brzegi samochodami, z wrzeszczącymi dzieciakami na tylnym siedzeniu i nartami na dachu. Nie lubi ludzi umiarkowanych i ostrożnych, drobnomieszczańskich, wymuskanych i konwencjonalnych, ludzi, którzy pracują w bankach i towarzystwach ubezpieczeniowych.

Lubi abnegatów i buntowników, alkoholików i samobójców. Tych, którzy szokują mieszczaństwo, tych, którzy są wyrzucani poza nawias, a także studentki. Lubi biedaków i rewolucjonistów, niepokornych, bojówkarzy, komunistów, ekstremistów i tych, których nie ma

wielu.

Ale gdy jej matka świętuje okrągłą rocznicę urodzin i wyprawia przyjęcie, idzie z nią, ponieważ ona nie ma siły iść bez niego. Dzieci muszą spotkać się z babcią, to oczywiste, w Boże Narodzenie były mąż zabrał je na wieczerzę wigilijną. Ale teraz Ida ma Arnolda, i jeśli Arnold zechce jej towarzyszyć, być może odważy się pójść na urodziny własnej matki i spotkać się z ojcem i rodzeństwem, którego nie widziała od prawie trzech lat. Arnold chętnie z nią pójdzie. Arnold rozumie problem i trzyma stronę Idy. Dzieci siedzą na tylnym siedzeniu i się denerwują. Wyczuwają zdenerwowanie Idy, nerwowy samochód zbliża się do restauracji, w której odbędzie się przyjęcie. Dzieci nie widziały dziadków, wujków, cioć, kuzynów i kuzynek od czasu Bożego Narodzenia w zeszłym roku. Nie znają ich, nie cieszą się i najchętniej wcale by tam nie szły, porobiły coś innego, ale Ida naciska: wszyscy idą i będą dookoła niej, Arnoldowi nie wolno oddalić się ani na sekundę. Arnold prowadzi. Ida nie jest w stanie. Powoli wchodzi do środka i się wita, Arnold idzie tuż za nią. Trzyma ją pod rękę, za rękę, siada obok niej. Dziękuję, Arnoldzie. Zgadza się z nią, gdy dyskutują o referendum unijnym, które niedługo się

odbędzie. We dwoje przeciwko całej reszcie, Ida daje radę i po przyjęciu, gdy odwieźli już dzieci do ojca, wychodzą na miasto, na wielką demonstrację Nie dla Unii Europejskiej, cały Youngstorget jest wypełniony ludźmi, ulice dookoła wypełnione są ludźmi. Piją piwo w Stortorvets Gjestgiveri razem ze wszystkimi, którzy mają na ten temat taką samą opinię, wznoszą toasty z nimi i ze sobą nawzajem.

– Nie wiesz, kim jesteś – mówi Arnold. – Nie mają pojęcia, kim jesteś. Twój rodzice, rodzeństwo, oni cię nie znają.

Arnold wie. Arnold ją widzi. Arnold dokładnie wie, co ma robić.

Stortorvets Gjestgiveri w ten wielki wieczór protestu, w mieście, po rodzinnym spotkaniu, przetrwanym z pomocą Arnolda-marynarza, Ida go kocha. W jesiennej ciemności, z innymi, równie podnieconymi ludźmi o wspólnych poglądach. Dzielą to. W noc referendum, w lokalach przeciwników Unii Europejskiej śledzą liczenie głosów na tym samym dużym ekranie. Czują się tak samo, to samo napięcie w ciałach, ta sama radość, gdy zostają ogłoszone wyniki. Nie prawie ta sama radość, ale dokładnie ta sama. Nie są częściowo zgodni, tylko całkiem zgodni. Nie dzielą tego trochę, tylko całkiem. Ściskają się za ręce

i dokładnie tak samo trzymają kciuki za każdą kolejną gminę. Rzucają się sobie na szyję, gdy wyniki są już znane. Są nawzajem swoim świętem, ale szczęśliwi są ci dwoje.

Pierwsza podróż do Maroka. Jej nowa sztuka, „Tajemnicze miejsce – Norwegia jesienią” została sfilmowana i ukaże się w telewizji. Ona się boi, bo to telewizja. Nie ukryje się, jak w radiu, słuchana tylko przez szczególnie zainteresowanych, tych nielicznych ludzi, którzy wciąż jeszcze zasiadają z filiżanką kawy i słuchają teatru radiowego. Nie tylko głosy, ale i twarze, ciała poruszające się w przestrzeni. Czy jej rodzina domyśli się, że pisała o nich. Krytycy prasowi. Wszelkiego rodzaju ludzie, którzy przypadkiem nacisną guzik na pilocie i wpadną na jej sztukę w połowie aktu. Ludzie, którzy nie wiedzą nic o teatrze, nie znają scenariusza, a jednak będą mieli na jej temat swoje zdanie, tak jak wszyscy mają swoje zdanie na temat każdego programu w telewizji i czują się uprawnieni do wyrażania opinii. Sprzedawczynie w sklepach, mężczyźni w bankach, rodzice szkolnych kolegów dzieci: Czy to tym zajmuje się ta Ida Heier.

Wyjeżdżają więc do Agadiru w Maroku. Tani, czarterowy wyjazd poza sezonem, w lutym. Jest ciepło, w ciągu dnia chodzą w letnich ubraniach.

Po zmroku w ogródkach kawiarnianych na stołach rozkładane są koce, przypomina to Wielkanoc albo wyjazd na narty.

Wieczorem, gdy sztuka emitowana jest w telewizji, siedzą na dworze, owinięci kawiarnianymi kocami i piją czerwone wino na zimnie, które nadchodzi wraz z mrokiem. Wznoszą toast, teraz zaczęła się emisja. To dziwne. Wiedzieć, że ten i tamten mogli to zobaczyć, a może i rodzina. Ona nie dzwoni do domu. Były mąż dzwoni następnego ranka do hotelu i mówi, że recenzje w gazetach były dobre. Jaki on miły. Ona się cieszy. Arnold kupuje szampana i piją go do śniadania na tarasie, otwierają drzwi i promienie słońca padają na łóżko, na którym kładą się i piją. Poszło dobrze, są razem, jest szampan, czego więcej chcieć, spokój w ciele, które otwiera się na rozkosz, tę najbardziej intensywną i powolną. Tym razem się nie kłócą. Nie urządzają awantur. Owszem. On się o coś złości. Niszczy stolik, który kupił, zawsze znajdzie się powód do gniewu. Otoczenie, Ida, coś, co powiedziała albo zrobiła, może to być przeszłość, pieniądze, może to być on sam, nazywa siebie idiotą, cholernym dupkiem, kurwa mać, cholerny dupek! Ale przeważnie jest łagodny, powolny, idzie dwa kroki za nią, gdy się spieszą. To ona zamawia, biega, zrywa się,

rozmawia. Arnold podąża dwa kroki za nią z półuśmiechem na twarzy. RzUCA jedno spojrzenie i podejmuje decyzję w milczeniu. To Ida wypożycza samochód, prowadzi, to ona mówi: Tak! Wskazuje na Marrakesz i recytuje, prowadzi ich do arabskiego hotelu z zabudowaną wanną, obłożoną kafelkami w tysiącu kolorów, to ona się targuje. W restauracji, gdzie są jedynymi gośćmi, odbywa się pokaz tańca brzucha. Kobiety wciągają Arnolda do zabawy, nie widać po nim, że jest profesorem. Niski, zamknięty w sobie, z gładką, bladą czaszką. Cienkie nogi w szortach. Niemy i pozbawiony swojej męskości. Kładą go na podłodze i tańczą wokół niego. Potrząsają piersiami nad nieruchomą twarzą Arnolda, otwierają usta i oblizują się, patrząc na niego, wprawiają brzuchy, pupy i piersi w drżenie tuż nad coraz bledszym nosem Arnolda, on nie porusza nawet palcem. Ida nigdy się tak nie uśmieiała, kocha go.

Jeden, jedyny samochód, żółty 2CV bez dachu, jadą przez czerwone góry. Ida za kierownicą, z wiatrem we włosach. Arnold z mapą, piwem i chusteczką z trzema supłami na głowie, chroniącą przed słońcem. Niebieskie niebo, nikt nie wie gdzie są, dokąd jadą. Ida też pije piwo, niedługo zobaczą ocean.

– Moja dziewczynka – mówi Arnold.

Tylko we dwoje, jak Jane i Paul przez pustynię, gdyby mieli pieniądze jak oni, nie mieli dzieci jak oni, przeprowadziliby się na pustynię na dobre, do północnoafrykańskiej, powolnej rachuby czasu i żyli tak jak oni, Jane i Paul Bowles, na marihuanie, haszyszu i słodyczach nimi zaprawionych, i szampanie, pisząc.

– Tak jak my – mówi Arnold, on tłumaczy teorie dramatu Brechta, Ida pisze sztukę. Już na zawsze zostać w żółtym 2CV w drodze na nabrzeże. Dojeżdżają z Imintanoute na brzeg i nagle ich oczom ukazuje się ocean. Robi przejmujące wrażenie. Zajmuje całe pole widzenia. Wygina się w łuk, jakby mógł przelać się przez sklepienie Ziemi. Nieskończona we wszystkich kierunkach, wszechogarniająca, ciemnoniebieska, pienia się masa.

Wprowadzają się do hotelu przy plaży w Essaoira i wychodzą na miasto. Znajdują w księgarni autobiografię Paula Bowlesa po niemiecku, Arnold czyta ją na głos, gdy siedzą w kawiarniach pod kocami i piją czerwone wino.

Lesbijka Jane i homoseksualista Paul Bowles poznają się w Greenwich Village, w Nowym Jorku, w 1939 roku. Biorą ślub, żeby uciec, wyjeżdżają, żeby przeżyć, pod wielką,

północnoafrykańską bielą w dzień i czerwonym niebem pod wieczór, zakochują się w sobie. Kochają się z innymi, ale kochają siebie nawzajem, to możliwe. Paul z młodymi arabskimi mężczyznami, Jane ze starymi arabskimi kobietami, których Paul się boi, ponieważ potrafią rzucać czary. Ale są razem, we dwoje pracują w tym samym pomieszczeniu, ich wspólnota losu trwa przez całe życie.

– Zdrowie! – mówi Arnold.

– Zdrowie, Arnoldzie – mówi Ida.

Paul jest silny i konstruktywny, Jane – chorowita i destruktywna. Paul pali marihuanę i je majoun, ciasteczka z oszałamiającą marmoladą, która w odpowiedniej dawce pozwala mocno się skoncentrować przez dłuższy czas; Jane pije wódkę. Paul odnosi sukcesy, staje się sławny i dużo pisze. Książki Jane spotykają się ze złym przyjęciem, pisze coraz mniej. A jednak kochają się, żyją blisko siebie, aż ona zaczyna chorować, idzie do szpitala i umiera w wieku pięćdziesięciu sześciu lat. Paul dożywa dziewięćdziesiątki.

– Zdrowie! – mówi Arnold.

– Zdrowie, Arnoldzie! – mówi Ida. – Pewnego dnia my też wyjedziemy. Na dobre.

Wpadli w dobry rytm. Jest lato. Dzieci wyjechały, gazety są cienkie, domy sąsiadów

puste. Telefon nie dzwoni. W kawiarni nie ma nikogo. Wiatr w drzewach na dworze, kiedy się budzą. Zapach drzew i kwiatów za oknem. Kochają się rano, Arnold robi kawę, piją ją w łóżku i powoli wstają. Arnold robi śniadanie, jedzą i pracują, on nad swoim, ona nad swoim, do późna, potem wybierają się pobiegać. Jadą nad jezioro i biegają dookoła, licząc napotkane po drodze gatunki zwierząt, psy, konie, woły piźmowe, kozy, owce, krowy, kot. Pływają w jeziorze, ona jest naga, on zostaje w majtkach, gatkach, jak na nie mówi, unosząc wysoko nogi, żeby nie dotykać długiego sitowia i rozmaitych wodorostów, które rosną w słodkiej wodzie. Wdrapują się na kamienie, Arnold stąpa ostrożnie, bo ma cienką skórę na podszewkach stóp. W samochodzie leżą szlafroki i zimne piwo dla tego, kto nie będzie prowadził. Arnold prowadzi, jest miły. Ida pije piwo. W domu Arnold robi obiad. Ida siedzi na tarasie, Arnold podaje campari. Jedzą na tarasie, siedzą tam aż do zachodu słońca, do dziesiątej albo dłużej, a gdy wypili już za dużo, by skupić się na swojej pracy, ale wciąż mają zapas energii, Busk przynosi komputer i tworzą plik o nazwie Kvist.

Skoro rozmawiają ze sobą w ten sposób, skoro myśli jednej osoby stają się przedłużeniem myśli

drugiej, skoro mają tak podobne opinie o tym, co przeczytali albo usłyszeli, na pewno mogą wspólnie pisać. Sztukę. Spróbować. Sztukę o nieszczęśliwym profesorze Kwiście, który wykłada grecką tragedię na uniwersytecie i którego życie z biegiem czasu bardziej zaczyna przypominać grecką tragedię, niż by sobie życzył. Komedie w pięciu aktach, dla zabawy.

Tak muszą czuć się ludzie, którzy wymyślają skecze do telewizji. To musi być właśnie tak. Jeden i jeden to nie dwa, ale o wiele więcej. Rodzą profesora Kvista. W języku, który nie należy do Arnolda ani do Idy. Jest dziesiąta wieczorem, gdy wchodzi w ten język, wychodzą z własnych i wchodzi do trzeciego, który wyrasta pomiędzy ich głowami z nacisku ciepłych palców na klawiaturę. Rozmawiają i piszą na przemian, nieważne, kto co robi, mówią tym samym głosem, ten sam rytm, ten sam puls, tak robią ci, którzy piszą skecze do radia, tak to musi wyglądać, jak się śmiali, wciąż się śmieją, wewnątrz, ze śmiechu rodzą się repliki i myśli, które rodzą myśli, to długi, wyzwalający, seryjny poród.

Rano, gdy wstają i rozsuwają zasłony, świeci słońce. Kochają się w słońcu na łóżku. Kochają się na słońcu w lesie, zawsze są sami. Pachnie ziemią i zgniatanymi, miażdżonymi roślinami. Pachnie

seksem, na dworze bardziej świeżo, to jasne, że z tego zapachu biorą się ludzie. Pracują, piszą. Ida dla teatru, na scenę. Myśli o Teatrze Narodowym, ale nie mówi o tym głośno nawet Arnoldowi. Chce posłać tam swoją sztukę, dopnie swego, jest szczęśliwa, będzie doskonale. Lato. Arnold przekłada teorię dramatu Brechta, trudne, niemieckie terminy, dla których brakuje norweskich odpowiedników. Pracują cały dzień, potem biegają, pływają, jedzą posiłki Arnolda i piją białe wino albo wychodzą wieczorem do kawiarnianego ogródka z komputerem Arnolda i pracują nad dramatem o profesorze Kwiście, który otrzymał roboczy tytuł „Nieszczęśliwy człowiek”.

Profesorowi Kvistowi nie poszło w życiu tak, jak sobie wymarzył. W młodości, od chwili, gdy przeczytał greckie tragedie i dał się porwać ich wielkości, miał nadzieję, że jego życie również będzie wielkie. Że znajdą się w nim wielkie uczucia i wielkie wyzwania, w miłości i w pracy. Że będzie ważnym, tak, najważniejszym przykładem dla swoich dzieci, wzorem. Że jego starzy rodzice będą z niego dumni. Że na jego drodze życiowej pojawią się nieprzewidziane wyzwania, tak jak to się dzieje u większości ludzi, a on stawi im czoła z godnością. Tak jak Edyp

stawił czoła wielkiemu kryzysowi swojego życia, niepojętemu upadkowi, z godnością. Owszem, profesor Kvist miał nadzieję, że jeśli jego życie stanie się w tak wielki sposób nieszczęśliwe jak życie Edypa, będzie miał odwagę wykluć sobie oczy, oślepić się jak Edyp.

Ale, jak już wspomniano, życie profesora Kvista nie ułożyło się tak, jak sobie wymarzył. Rzeczywiście został profesorem. Wielu uzna, że na stanowisko profesora na norweskim uniwersytecie nie można narzekać. Teatrologia nie jest może najbardziej popularnym kierunkiem, ale... Mimo wszystko profesor Kvist opiekuje się naszym skarbem kulturowym, kolebką naszej cywilizacji! Klasyką, przede wszystkim grecką. Rzeczywiście, nominacja profesorska była wielkim momentem. Ale to było już wiele lat temu. Zdarzało mu się jeszcze napisać artykuł, który drukowano w krajowym periodyku, ale nic się z tym nie wiązało. Zdarzało się jeszcze, że zapraszano go na seminaria, nie tylko w innych miastach, ale też za granicą, i wyjeżdżał zawsze, gdy miał taką możliwość. Ale już od jakiegoś czasu nie był za granicą. Większość czasu profesor Kvist spędzał w swoim małym, zakurczonym gabinecie, w półmroku bocznego korytarza przydzielonego teatrolologii, albo w jednym z dwóch małych

audytoriów, które nigdy nie zapełniały się do końca.

Kvist obawiał się, że niedługo rozwiedzie się po raz trzeci. Przesuwał się, niemal niezauważalnie, od jednego małżeństwa do drugiego, a kobiety prawie tak samo niezauważalnie odsuwały się od niego, jedna po drugiej. Myślał sobie, opierając stroskaną głowę na rękach, że najsilniejszym uczuciem, jakie profesor Kvist mógł wywołać w swoich kobietach, był gniew. Obie jego poprzednie żony i ta obecna były na niego wściekłe. Kłótnie, kłótnie, o pieniądze, o dzieci, które jak zawsze wybrały mieszkanie ze swoją matką na drugim końcu kraju i z którymi profesor rzadko się widywał. Kvist leżał, takie miał wrażenie i taka była prawda. A teraz obawiał się, jak już wspomnieliśmy, że zbliża się rozwód numer trzy. Żona, dwadzieścia lat młodsza od niego – tak, był jej promotorem – od dawna pragnęła mieć dziecko. I chociaż Kvist nie chciał kolejnych, poddał się presji i przestał używać prezerwatyw. Ale Solvei nie zaszła w ciążę. Jakość nasienia profesora Kvista nie była już taka jak kiedyś, zobaczył to teraz czarno na białym. Solvei wyglądała dziwnie, gdy pokazał jej wyniki badań zaledwie kilka dni temu. A wczoraj wieczorem, gdy jak zwykle zaczęła na niego wrzeszczeć,

awantura skończyła się tym, że wściekła poszła sobie i nie wróciła do domu na noc.

Czy to dziwne, że profesor Kvist czuł się beznadziejnie. Niedługo skończy pięćdziesiąt lat, ale kto zorganizuje mu przyjęcie urodzinowe i kogo miałby na nie zaprosić. Jego życie coraz bardziej przypomina grecką tragedię bez akcji. Z drżącym podbródkiem wyjmuje butelkę koniaku, którą postawił za dziełami zebranymi Ibsena na regale, pociąga łyk, otwiera zniszczony egzemplarz Medei i czyta na głos, łamiącym się głosem:

Lecz wy, kobiety, już takie jesteście:
jeśli życie w porządku – to dobrze,
a gdy przypadek jakiś dotknie łoża,
to co najlepsze i co najpiękniejsze
już wam najbardziej wrogie. Ludzie winni
dzieci mieć jakoś inaczej, bez kobiet,
wtedy by żadnych nie zaznali nieszczęść.^[1]

Potem zaczyna śpiewać:

Być profesorem łatwo nie jest.
Starać się, trudzić z całych sił.
A jaką podziękę ma za swój trud,
który przywiódł go tu? (Kvist wymachuje
rękami w swoim malutkim gabinecie)
Wohin soll ich mich wenden?
Żona już go nie rozumie,

studentek coraz mniej,
coraz trudniej je poderwać,
co ma począć profesor?

Wohin soll ich mich wenden?

O istotności czytania greckich tragedii pisał,
i artykuły o przydatności teatrologii.

Ale cóż mu to dało.

Nie ma nawet daczy.

Wohin soll ich mich wenden?

Przez moment widzimy, jak profesor Kvist we wszystkich trudnych i decydujących momentach w życiu czerpał z literackiej mądrości. Tylko to, co utracone, pozostaje wieczne, mówi, gdy opuszcza go pierwsza żona. Najsilniejsi są najbardziej samotni, powtarza sobie, gdy szwankuje małżeństwo numer trzy, ale czy to pomaga? Znajomość mądrych słów niekoniecznie czyni mądrym. Profesor Kvist dużo wie, dużo czytał o wielkich życiowych pytaniach, ale w jakim stopniu potrafi przełożyć swoją wiedzę na praktykę, oto jest pytanie. Ile właściwie profesor Kvist zrozumiał i w jakim stopniu ten literacki balast może pomóc mu w jego własnym życiu. Profesor Kvist wraca do domu o zmroku i na kuchennym blacie znajduje list pożegnalny od swojej żony numer trzy. Pisze, że wyprowadziła się do mamy.

Profesor zaczyna płakać. Już jako szesnastolatek chlubił się, że przeczytał wielką czwórkę.^[2] – Przeczytaj wielką czwórkę! – mawiał do siostry, która chodziła do klasy o profilu gospodarstwa domowego i uczyła się, że wielką czwórkę stanowią cebula, czosnek, ziemniaki i marchew. Dopiero teraz prawie pięćdziesięcioletni profesor Kvist zaczyna wątpić. Może rzeczywiście cebula, czosnek, ziemniaki i marchew są przydatniejsze niż Kielland i spółka, chciałby zapytać, ale powstrzymuje się. W jaki sposób Garman i Worse^[3] mogliby pomóc profesorowi Kvistowi w tej pełnej powagi chwili? Sam już nie wie, czy liczy na cud.

Kvist wyciąga rękę po nóż do chleba, ale zanim wbije go sobie w pierś, dzwoni do studentki, z którą kiedyś się spotykał. A jednak telefon odbiera mężczyzna. Kvist odkłada słuchawkę, chciałby odebrać sobie życie, wychodzi się upić. Włóczy się od knajpy do knajpy, po czym pijany i smutny idzie do matki Solvei i błaga żonę, siedzącą w otoczeniu rodziny, żeby do niego wróciła. Jest zupełnie niegroźny, stojąc tam i opierając się o framugę drzwi, a jednak kobiety z krzykiem zbijają się w gromadkę w kącie, a muskularny szwagier hydraulik osłania je rycersko szeroką pierśią, która sprawia wrażenie

szczególnie okazałej przy wątlym profesorze. Solvei rzuca się do telefonu i dzwoni na policję, szlocha i zachowuje się jak ofiara, ale nie ma wątpliwości, że to ona kontroluje sytuację.

Policja zabiera Kvista, w scenie końcowej widzimy go w celi więziennej. Stoi z głową odchylną do tyłu i patrzy na niebo przez małe okienko, pręty krat rzucają cienie na jego twarz. – Daj mi słońca – mówi. – Słońca!

Czy Ida i Arnold szydzą z profesora Kvista? Czy go obnażają? Tak. Nie. Pokazują go, pytają: – Jak żyć, jeśli nie chce się umrzeć? Czy jesteśmy winni pomyślanych myśli? Profesor Kvist narzeka, że społeczeństwo potraktowało go niesprawiedliwie, ale czy działa przeciw niemu? Czy wręcz przeciwnie: stara się żyć tak, by nie wejść w konflikt ze społeczeństwem, chociaż umniejsza przez to swoją osobowość, swoje potrzeby. Akceptuje w milczeniu reguły, które go więżą i miażdżą.

„Nieszczęśliwy człowiek” zadaje pytania, tak jak sam profesor Kvist, gdy odrzucają jego wniosek o kredyt w banku.

Kvist: Ale dlaczego nie?

Pracownik banku: Ponieważ nie jest pan człowiekiem sukcesu.

Kvist: Co?

Pracownik banku: Jest pan człowiekiem żądy.

Kvist (namyśla się): Tak, chyba można tak powiedzieć.

Pracownik banku: A człowiek żądy nie odnosi sukcesu.

Kvist (pyta publiczność): Ale czy w żądy nie tkwi również jakiś rodzaj sukcesu?

Tak Arnold i Ida wymyślają latem profesora Kvista. Co wieczór, gdy skończą swoją własną pracę, wymyślają go dalej, od sytuacji do sytuacji, pozwalając mu odpierać coraz smutniejszą rzeczywistość replikami z teatru i śmiejąc się z niego coraz łagodniej, rozpoznając w nim siebie, swoich kolegów i rywali, i swoich eks-partnerów, sportretowanych precyzyjnie i z miłością jako żony profesora Kvista, były i obecne, jako kolegów Kvista z uniwersytetu. Arnold zna historię teatru, Ida może pisać repliki. Udaje im się. W ostatni tydzień lata odkładają na bok własne zajęcia i oddają się pisaniu o Kwiście. Są w tym razem, rano, w dzień, po południu, wieczorem, w nocy, we śnie. Stworzyli go, żyje w nich, jednakowy w obojgu. Żadne z nich nie przeżyło tego wcześniej. I już nie przeżyje, to niemożliwe. Dzielić szął tworzenia, gdy dzieło jest prawie skończone, brakuje tylko ostatnich cegiełek i tylko ten jest w stanie ułożyć je w odpowiednim miejscu,

kto towarzyszył budowie od początku, cegła po cegle, rozumem i sercem.

Przez ostatni tydzień siedzą po nocach, zanim przyjadą dzieci, zanim się rozjadą, wyrwani z życia Kvista, zanim zejdą na ziemię, do przyziemnych spraw, dzieci, obiadów. Spędzają noce przed komputerem, chodząc w kółko po dywanie w salonie i rozmyślając nad ostatnią, ostatnią cegiełką.

Odwiedzają dyrektora teatru radiowego osobiście, kładą tekst na jego biurku, potem idą do Theatercaféen, piją szampana i wznoszą toast. Nie za jedno z nich. Nie za nowe tłumaczenie Arnolda. Nie za nową sztukę Idy. Za ich dzieło. Dzielą się nim po równo. Nie żyją tym wraz z drugą osobą, żyją tym razem. Mają taką samą nadzieję. Czekają w równie wielkim napięciu. Arnold ze swoim synem w Trondheim. Ida w Oslo z dziećmi. Budzi je rano i posyła do szkoły. Pracuje nad swoimi rzeczami. Rozmawia z Arnoldem wiele razy dziennie.

– Masz jakieś wieści?

– Nie.

– Jak myślisz, kiedy się czegoś dowiemy?

– Za tydzień, dwa.

– Co robisz?

– Pracuję. Wożę dzieci. Robię zakupy. Myję.

Sprzątam.

I wieczorem:

– Co robisz?

– Czytam.

– Co.

– Takie tam. A ty?

– Czytam. Takie tam. Prace egzaminacyjne.

Nie zawsze jest tyle do powiedzenia. Ale potrzebują głosu w słuchawce, jedno bardziej od drugiego. Jedno samotniejsze od drugiego. A jednak jedno jest dalej od drugiego niż odwrotnie. Zdarza się, że Ida czuje się zmęczona i mówi, że się kładzie, i życzy mu dobrej nocy, żeby mieć spokój.

– Jesteś pewna, że się teraz kładziesz? – pyta on podejrzliwie, zastanawiając się, jak jest naprawdę i jest niezadowolony.

Dzwoni telefon. Dyrektor teatru radiowego chętnie wystawi „Nieszczęśliwego człowieka” już jesienią. Określił sztukę mianem satyry, zna się na tym. Mówi, że pasuje idealnie, ponieważ jest lekka, a większość jesiennego programu jest trudna, sami klasycy. Arnold i Ida znowu idą do Theatercaféen i znowu świętują, znowu wznoszą toasty. Nikt nie może wiedzieć, jakie to uczucie, bo jest wyjątkowe. Kiedy sztuka jest już wyprodukowana, zaledwie cztery miesiące później,

w listopadzie, idą do budynku radia, żeby jej wysłuchać. Arnold wchodzi do gabinetów, do których Ida zwykle chodzi sama, to dziwne uczucie. Czegoś nie można dzielić, coś musi pozostać osobne, nie wspólne, to konieczne. Siedzą razem w studiu i słuchają, tam, gdzie Ida zwykle siedzi sama i słucha swoich sztuk po raz pierwszy, gdy właśnie skończyli, z tym samym, prawie tym samym mrowieniem, ale tym razem z uśmiechem, uśmiechają się do siebie w słuchawkach. Patrzą na siebie i śmieją się, wzruszeni, śmieją się czule z profesora Kvista, którego zrodzili i którego teraz posyłają w świat. Poszło świetnie. Dla Arnolda to pierwszy raz, idą objęci ramionami, ciasno przytuleni, z budynku radia do kawiarni, znowu piją szampana i znowu wznoszą toasty, i pytają siebie nawzajem jak pójdzie. Jak sztuka zostanie przyjęta. Co pomyślą ludzie. Koledzy, środowisko teatralne, uniwersyteckie. Sądzą, że wszyscy się uśmieją, ale tak strasznie się mylą.

Wieczorem siadają razem przed radioodbiornikiem. Jest już grudzień. To dobrze, profesor Kvist włączy się po mokrych od deszczu ulicach Trondheim i drży z zimna. Najedli się, otworzyli szampana, czekają, słuchają. Wyłączyli telewizor. W uszach mają tylko „Nieszczęśliwego człowieka”.

Słuchali tej sztuki już wcześniej, a jednak tym razem jest inaczej. Jakby została wysłana w przestrzeń świata.

– Nic nowego pod sukienką – mamrocze do siebie profesor Kvist po obmacaniu kolejnej studentki.

– Zdrowie! – mówi Arnold.

W nocy śpią niespokojnie. Wczesnie rano Arnold wychodzi po gazety. Większość recenzentów, tym razem pochodzących głównie ze środowisk uniwersyteckich, jest otwarcie obrażona i rozgniewana, i zamierza pokazać Arnoldowi i Idzie, gdzie ich miejsce. Co im się właściwie wydaje, że kim niby są? Szydzą z całej tradycji klasycznej, jakby sytuacja humanistyki nie było już wystarczająco trudna, oceniana pod kątem prestiżu, pieniędzy, pod każdym względem, a tu pojawia się nagle taki na wpół wykształcony profesor Arnold Busk, pragnąc ich dobić, żeby zyskać nieco uwagi, żeby sprowokować, jak to ma w zwyczaju, czymkolwiek, dla samej prowokacji. Teraz razem z tą nedorobioną paniusią od sztuk z radia, Bóg jeden wie, czym się zajmującą, ale na pewno bez żadnego stopnia naukowego godnego uwagi.

Siedzą oniemiały w łóżku. Dziesięć minut upływa, zanim odzyskają głos. Spali niespokojnie,

ale właściwie się cieszyli, no przyznaj, mieli nadzieję i cieszyli się na kolejne pochwały. Nawet jeśli tylko za nietypowy projekt, za oryginalność. Ale tak się nie stało. Ani jednego dobrego słowa, skądkolwiek. Wszystkie są negatywne, tak, agresywne, atakujące. Powoli budzi się instynkt obronny, rozczarowanie i zawód rodzą chęć do walki. Tak, to jest jak zdrada. Nadeszła niespodziewanie, z zaskoczenia. Wierzyli, że wybierają się na świętowanie urodzin, a weszli na pole walki. Przygotowali się na przyjęcie, a tu wojna. Ale jak wojna, to wojna i Ida z Arnoldem nie będą szczędzić prochu. We dwoje przeciwko tłumowi, tak od teraz będzie. Trzymają się za ręce. Odkładają na bok inne rzeczy i nakręcają się wzajemnie, bębnią w kołdrę, nie potrafią pisać tak szybko jak mówią, jak myślą. Jedno słowo wchodzi w drugie, słowo jednej osoby w słowo drugiej, tylko poczekajcie. Łatwo się walczy, gdy są w jednej drużynie, nad komputerami, pełni wściekłości i euforii, a w miarę pojawiania się tekstów na ekranie wściekłość opada, rośnie euforia, pod koniec piszą z ochotą, szczęśliwi i podekscytowani na myśl o wysłaniu odpowiedzi, o ukazaniu się tych słów w druku, muszą wyjść na miasto i się napić, żeby wytrzeźwieć po tym oszalamiającym doświadczeniu.

– Zdrowie!

We dwoje przeciwko całej reszcie, otoczeni przez wrogów, razem są silni. Na dobre i na złe. W najciemniejszych kawiarniach, żeby nie spotkać ludzi, którzy czytają gazety, słuchają teatru radiowego, żeby odpocząć, wśród bezrobotnych, rencistów, rozwiedzionych, bezdzietnych, samotnych, z dala od wykształconych i kulturalnych, którzy ich znienawidzili, których nienawidzą w odwecie.

– Zdrowie!

Temu przymierzmu nikt nie zagrozi. Tego coraz silniejszego połączenia nikt poza nimi nie zdoła zerwać. Piekło to inni, fuck them, skurwysyny, zero dystansu, patetyczni, formalni, salonowa kultura, ludzie, których tak łatwo zszokować, którzy nie potrafią śmiać się z siebie, którzy nigdy się nie upijają.

– Zdrowie.

Oni tacy nie są. Podobni do siebie nawzajem, do nikogo innego. Że też na świecie istnieją dwa takie egzemplarze i że się odnalazły. Tak więc nie muszą cierpieć każde w swoim kącie, jak by to miało miejsce w innym przypadku. Dziękuję za ciebie, Ido. Dziękuję za ciebie, Arnoldzie.

Przez całą jesień wyklócają się w gazetach. Wrogowie stają się coraz liczniejsi, przyjaciół

ubywa, nikt nie przychodzi im z pomocą, ale mają siebie nawzajem i profesora Kvista, którego bronią własną krwią.

Rezerwują weekendowy wyjazd do północnej Hiszpanii, żeby dojść do siebie. Arnold spóźnia się na samolot do Oslo i Ida słyszy powód w jego głosie,. On zaprzecza, ale gdy samolot do Hiszpanii zatrzymuje mgła w Kopenhadze, gdy siedzą na Kastrup i piją, jej obawy potwierdzają się i myśli: to się nie zmieni. Skoro potrafi to zrobić po wspólnej walce w tej wojnie. Skoro potrafi zrobić to *teraz*.

Czy nie zastanawiał się, co ona pomyśli, skoro ryzykował wszystko dla bzyknięcia studentki. A może, co jest bardziej prawdopodobne, zastanawiał się, co ona pomyśli i co więcej, był tak pewien wyjątkowości ich związku, czuł się tak bezpiecznie, że nie widział żadnego ryzyka, nie wierzył, że wszystko może się rozsypać.

Sucha, hiszpańska ziemia. „Przez równinę, poprzez wicher. Czarny koń, czerwony księżyc. Ach, już czeka na nas śmierć, nim dotrzemy do Kordoby!”^[4] Ludzie jedzą, śpią, wymieniają pocałunki. Oni kłócą się, godzą, próbują popełnić samobójstwo. Od czasu do czasu ogarnia ich tkliwość, czasem odchodzą, zawracają, czasem rozmawiają o czymś innym, nie płaczą przez cały

czas.

Ida jest lżejsza od Arnolda, jak światło w Hiszpanii, ma jaśniejszy umysł od Arnolda, jeśli można to tak określić. Ida jest niefrasobliwa. Ida jest czerwcem, jest szybka, chwilami za szybka. Arnold jest powolny. Arnold jest myślicielem, Arnold jest listopadem. Tak to może wyglądać.

Nie mają takiej samej potrzeby bliskości. To ważne, by mieć taką samą potrzebę bliskości albo dystansu. On chce być bliżej niż ona. Uważa, że bardziej kocha ten, kto chce być jak najbliżej, najciaśniej, ona się nie zgadza, ale nie potrafi tego uzasadnić. Może być tak blisko niego, jak to tylko możliwe, bez przejścia na drugą stronę, bez zatracenia, więzi nie do rozerwania, uzależnienia, czuje pokusę uzależnienia. Ale potem musi się odsunąć. On pragnie symbiozy, ona czuje pragnienie symbiozy, ale potem musi wycofać się do innych ludzi. Potrzebuje innych. Kocha go, ale cieszy się na wyjazd z innymi ludźmi, bez niego. Przyjemniej przebywa się jej z innymi, kiedy ma świadomość, że posiada, nosi w sercu ukochanego, który czeka, że może wracać do niego do domu, być w oddali ze świadomością, że on jest tam, w domu i czeka na jej powrót. Może wyjechać na inny kontynent i czuć swoją miłość do niego, radość powrotu do domu, do niego, by opowiedzieć

mu, co się działo, w jego objęciach. Musi wyjechać, być daleko, żeby móc wrócić z powrotem do domu.

– Chcę mieć ciebie zawsze obok – mówi on. – W każdej podróży. Wszędzie – dodaje oskarżycielskim tonem, jakby to czyniło go lepszym od niej, jego miłość większą od jej miłości.

– No, ale – odpowiada ona.

– A więc uważasz, że nie powinienem był wtedy zabierać cię do Szwecji, do Danii, do Niemiec? – pyta on.

– Nie zrozum mnie źle, Arnoldzie! To nie tak, Arnoldzie. Cieszyłam się, że mogę być z tobą. Cudownie było móc pojechać z tobą, towarzyszyć ci w twoich podróżach. Dziękuję za to, Arnoldzie! Nie zrozum mnie źle, mówi, ale nie potrafi mu tego wyjaśnić. Są razem od wielu lat. Ona nie czuje, że musi wskoczyć do pociągu, do samolotu, gdy tylko dzieci opuszczą dom, żeby do niego pojechać, i tak go kocha. Tak samo nie uważa, że on musi wskoczyć do pociągu albo samolotu od razu, gdy tylko pojawi się taka możliwość, żeby do niej przyjechać, za każdą cenę, i tak są przecież parą. Równie dobrze mógłby zostać w Trondheim przez dzień albo dwa, dla siebie, zająć się swoimi sprawami, posprzątać w spiżarni, gdy ona jest u siebie, w Oslo i robi porządki na strychu. Kiedy są razem, nigdy tego nie robią, ponieważ uważają

czas spędzany razem za tak cenny, chociaż mija już siódma rocznica ich związku, że nie wpadliby na pomysł sprzątania na strychu albo pracy w ogródku, czyszczenia rynien albo prasowania, kiedy Arnold jest u niej, chociaż od siedmiu lat są razem.

Arnoldowi nie spodobałoby się, że prasuje ubrania w jeden z wieczorów, gdy on u niej gości, albo że zaczęła sprzątać strych, gdy wreszcie przyjechał, po tygodniu spędzonym samotnie z synem w Trondheim i niedługo znowu wyjeżdża, za zaledwie trzy dni. Ida nie może więc zacząć grabić w ogrodzie, co wtedy będzie robił Arnold, skoro tyle zapłacił, by do niej przyjechać, czy ma siedzieć na kanapie i czekać?

– To mam przyjechać?

– Tak.

– Tak?

– A nie tak się umawialiśmy?

– No.

– I?

– Będzie ciężko. Dużo nerwów.

– Możesz poczekać.

– Co masz na myśli?

– Że nie musisz stresować się z mojego powodu.

– Co masz na myśli?

– Nie. Tylko tyle, że musisz zarezerwować

sobie tyle czasu, ile potrzebujesz, nie denerwować się z mojego powodu, jeśli to dla ciebie powód do stresu. Możesz robić to, na co masz ochotę, co uznasz za najlepsze.

– Hm. (Pauza) Czym się teraz zajmujesz?

– Ja?

– Tak.

– Myję. Sprzątam.

– A więc nie chcesz, żebym przyjeżdżał? Może masz inne plany?

– Oczywiście, że nie. Pewnie, że chcę, żebyś przyjechał.

– Nie wydaje mi się.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Jesteś przecież zajęta innymi sprawami.

– Mówię tylko, że nie musisz się stresować. Sam powiedziałeś, że strasznie ciężko będzie ci zdążyć na ten pociąg, jeśli miałbyś nim pojechać.

– A co będziesz robić wieczorem, jeśli nie przyjadę.

– Co?

– Wyjdiesz z kolegami i nie będzie cię przez całą noc.

– Oczywiście, że nie.

– Znam cię. Tak właśnie będzie.

– Co chcesz powiedzieć?

– Znajdziesz kogoś, z kim wyjdiesz i nie

będzie cię przez całą noc, ja cię znam.

Tak, ma coraz większą ochotę znaleźć kogoś i wyjść z nim na noc, nie wrócić na noc do domu, uciec, czuje to coraz mocniej, im dłużej trwa ta rozmowa, tak jest już od dawna.

– Arnoldzie!

– No, to co będziesz robić?

– Sprzątać, powiedziałam. Może posprzątam w garażu. Ale czy nie mógłbyś przyjechać? Bardzo bym chciała.

– Jesteś tego pewna?

– Tak, włożę wtedy szampana do zamrażalnika. I zrobię dobre jedzenie.

– Naprawdę?

– Oczywiście, że naprawdę.

– To mam spróbować przyjechać?

– Tak! Zacznę chłodzić szampana. Przyjedź, Arnoldzie!

– Powinienem?

– Tak! Cieszę się, że cię zobaczę!

On przyjeżdża. Odbiera go ze stacji. Przyjeżdża, jest u niej, tak intensywnie, że nigdy nie przyszłoby jej do głowy sprzątać na strychu, prasować, pójść do innego pokoju i poczytać książkę. Może to nie jego wina, może ich dwojga, może tak już między nimi jest. Może on za to nie odpowiada, może po prostu jest przewrażliwiona

na punkcie jego bliskości. Krępuje się iść do pralni i wstawić pranie, robi to tylko wtedy, gdy on rozmawia przez telefon, gotuje albo jest zajęty czymś innym, a on zaraz woła: – Ida! Gdzie jesteś?

Gdy nie jest tuż obok niego, przy nim, serce podchodzi jej do gardła.

Nie zasiada do swoich własnych papierów, jeśli on nie siada ze swoimi papierami obok niej na kanapie. Nie bierze książki, jeśli on nie siada ze swoimi książkami obok niej, przy niej, na kanapie. Ma wrażenie, że on czyści jej umysł, wysysa z niej energię, ściąga na siebie całą jej uwagę, tak że bez przerwy zwraca się do niego, chodzi dookoła niego, wpatrzona w niego, przewrażliwiona na punkcie jego bliskości, być może on o tym nie wie, nie jest w stanie nic na to poradzić, to prawdopodobnie jej wina, to z nią jest coś nie tak, ma jakiś feler. To nie jego zachowanie jest przyczyną, tak po prostu jest. Jeśli nie rozmawiają o swoich sprawach, jeśli siedzą w milczeniu, myśli nie mogą szybować swobodnie. Jeśli nie szybują wraz z jego myślami, w tym samym kierunku, to nie szybują w ogóle, nie mają skrzydeł, kiedy on jest w pobliżu.

– O czym myślisz? – pyta on. A ona odpowiada:
– O tobie! I mówi prawdę.

– Gdzie jesteś? – pyta, a ona spieszy się, by być blisko niego, to nie on ją zmusza, taka po prostu

jest. Nawet w samochodzie nie może pograć się w marzeniach, szczególnie w samochodzie to dostrzega i tam najbardziej za tym tęskni, chociaż jadą długo z Oslo do Trondheim, z Trondheim do Oslo, razem, i nie rozmawiają, siedzą w milczeniu, ale jej myśli nie mogą ulecieć. Nie wznoszą się. Kiedy on siedzi obok, staje się to niemożliwe, jakby potrafił chwycić jej myśli, zanim jeszcze się pojawią, jakby okleił jej głowę lepem na muchy. Nie stuka palcami w kolana ani deskę rozdzielczą, bez względu na melodię płynącą z radia, bo nie potrafi oddać się muzyce z taką samą radością jak wcześniej, bo sama nie jest taka jak wcześniej, pełna, teraz jest częścią „my”.

Gdy rano siedzą razem w łóżku i piją kawę, powtarzają sobie, że żal im zwyczajnych ludzi, którzy muszą codziennie chodzić do pracy, codziennie jeździć samochodem do pracy, stać w kolejce do bramki na autostradzie, w garniturze i wyprasowanej koszuli albo w garsonce, rajstopach i wypastowanych butach. Oni nie muszą, ale z nich szczęściarze. Nie jest zadowolona, jeśli ktoś do niej zadzwoni, gdy siedzą w łóżku i pracują. Widzi, że mu to przeszkadza i chociaż rozmawia najciszej jak potrafi, mówi najmniej jak się da, to czuje, że niszczy atmosferę, która panowała między nimi, gdy siedzieli we

dwoje na łóżku. Wyczuwa jego opór. Wyczuwa jego opór tak silnie, że mówi prędko, by zakończyć rozmowę i odłożyć słuchawkę. Osoba, z którą rozmawia, słyszy jej nerwowość i robi się niepewna, zmienia ton głosu, i kończy rozmowę szybciej niż zamierzała, zwłaszcza jeśli jest to mężczyzna; gdy Ida rozmawia z mężczyzną, wyczuwa opór Arnolda, staje się oschła i chłodna, a mężczyzna, z którym rozmawia, wyczuwa to i kończy rozmowę szybko, przed czasem, zanim zdąży przedstawić swoją sprawę i uczy się dzwonić do Idy, gdy nie ma u niej Arnolda. Ona czuje obawę, gdy dzwoni telefon, czuje lęk, gdy dzwoni telefon, boi się, że będzie musiała być oschła wobec kogoś, wobec kogo nie chce być oschła, odprawić kogoś, kogo nie chce odprawiać, ale zdaniem Arnolda powinna: prezesa Związku Dramatopisarzy albo innych ludzi, których on uważa za wrogów. Jeszcze zanim telefon zadzwoni, ona obawia się, że zadzwoni i Arnold zmrozi ją swoim chłodem, zamilknie i będzie karał ją swoim milczeniem przez całe godziny albo zacznie narzekać, że tyle osób wiecznie wydzwania po nic. Telefon nie przestaje dzwonić, kiedy są w Oslo, mówi, u Idy zawsze rozlega się dzwonek telefonu. Przyznaje, że nienawidzi tego, że dzwoniący zawsze czuje się uprawniony.

Telefonuje i zaczyna gadać, jakby to było zupełnie w porządku, nie myśląc o sytuacji, w jakiej zastał osobę odbierającą telefon.

– Do mnie nikt nigdy nie dzwoni – mówi, jakby to było coś dobrego. Zdarza się, że demonstracyjnie odrzuca kołdrę na bok, wstaje i się ubiera, żeby pokazać jej, jak zniszczyła ich poranne godziny niepotrzebnymi rozmowami telefonicznymi, ma swoje zdanie o tym, jak potrzebne są jej rozmowy telefoniczne, ile powinny trwać.

– Czy to konieczne? – pyta.

– Przecież tylko ona gada – mówi.

– Rozmawiacie tylko o pierdołach – mówi. – Przecież to same plotki – dodaje.

Zdarza się, że mierzy czas: – Dwadzieścia minut – mówi, spoglądając na zegarek. – Dwadzieścia minut rozmawialiście o pierdołach!

Gdy się kochają, znowu jest dobrze. Jeśli nie ubrał się, nie poszedł na górę i nie siedzi wściekły na krześle, mogą iść do łóżka i wtedy znowu jest dobrze. Także jeśli się ubrał, poszedł na górę i siedzi wściekły na krześle, znowu może być dobrze, jeśli pójdą do łóżka. Trwa to tylko dłużej. Musi skradać się i przybliżyć do niego, rozebrać go i rozgrzać, rozśmieszyć i podniecić, ściągnąć z powrotem do łóżka i kochać się z nim, wtedy

z reguły znowu jest dobrze.

Gdy biega sama, biega z walkmanem. Gdy biega z Arnoldem, nie zakłada go, bo go to złości. Chociaż nie rozmawiają podczas joggingu, nie może mieć go ze sobą, żeby nie przebywać w innym miejscu niż on, nie zanurzyć się w czymś, czego on nie może usłyszeć, i nie oddalić się od niego. On wybiega daleko naprzód, żeby pokazać jej, co o tym sądzi, a ona wyłącza muzykę, pędzi za nim i zatrzymuje go:

– Nie jest włączony! Patrz, Arnoldzie! – woła, pokazując mu zwisające luźno słuchawki. Milcząco, w niezrozumiały sposób niezadowolony. Jakieś myśli, jakieś myśli w Idzie.

Odchodzi ze stanowiska zastępcy kierownika Związku Dramatopisarzy i organizuje w domu przyjęcie pożegnalne dla zarządu. Arnold przygotowuje jedzenie, kiedy ona jest na zebraniu, gotuje w domu, a potem wychodzi na miasto z przyjacielem. Gdy przychodzą ze spotkania, jedzenie stoi gotowe w kuchni, udźce jagnięce w piecu i domowej roboty mus z ziemniaków z rozmarynem w garnku na kuchence. Arnold pojechał do miasta z przyjacielem i przyjedzie później, gdy impreza się skończy, koło północy. Następnego dnia wyjeżdżają do Stambułu, żeby znowu wziąć ślub.

Jedzenie jest smaczne. Członkowie zarządu je chwala. Ida przyznaje, że to Arnold je przygotował. Zapada cisza. Mają do Arnolda ambiwalentny stosunek. Ida nie jest taka, jak przed Arnoldem i nieważne, czyja to wina. Gdy Arnold wraca koło północy, większość gości już wyszła. Tych dwóch, którzy pozostali, jest pijanych. Arnold też pił. Spotkanie kończy się bójką. Nie pamięta szczegółów, kto co powiedział, kto zaczął, kto pierwszy podniósł rękę, na kogo, ale zaczynają się bić, tarzają się po podłodze. Ida biegnie do garażu i chowa się tam, dopóki awantura się nie skończy, aż wyjdą, zajeżdża taksówką i Arnold wyrzuca w ślad za gośćmi ich kurtki i parasole.

– Wynocha do domu! Chuje!

– Jesteś nienormalny! Co ci odbiło?!

– Chuje! Skurwysyny!

– Kurwa! Zabiję cię!

– Dupek!

Taka jest tym zmęczona. Taka zmęczona. Wstają o piątej rano, pamiętała, żeby nastawić budzik, chociaż tyle. Arnold spał na kanapie na górze, siedział w salonie i pił, był wściekły. Budzi ich alarm, wstają i próbują doprowadzić się do porządku, pieniądze, paszport, bilety, komputery, nie rozmawiając, bez słowa. Zamawiają taksówkę

i dojeżdżają na czas, nie rozmawiają. Czuć od nich alkohol, półdrzemią w drodze z Oslo do Monachium, bez słowa, nic nie mówią. Taka jest zmęczona. Znajdują kawiarnię, gdzie mogą poczekać, w Monachium mają godzinę, jest dziesiąta, zamawiają piwo, gdy tylko on się napije, będzie lepiej.

– Arnoldzie!

– Tak?

– Arnoldzie!

– Tak?

– Zdrowie, Arnoldzie.

On unosi szklanke, pije i odstawia ją z powrotem.

– Arnoldzie!

Teraz się uśmiecha, na szczęście, dziękuję, Arnoldzie, ona też się uśmiecha.

– Nie będziemy się z tego śmiali?

– Śmiali? Wiesz przecież, co mówili! Kurwa mać!

– Nie rozmawiajmy o tym. Zapomnijmy. Ma być miło. Piwo jest smaczne, prawda, Arnoldzie?

– Wiesz, co powiedzieli? Słyszałaś, co mówili?

– Co?

– Słyszałaś? Słyszałaś, co mówili. Słyszałaś?

– Co, Arnoldzie?

– Słyszałaś, jak cię nazwali?

– Mnie?

– Siedzieli z rękami na twoich piersiach, kiedy wszedłem.

– Nieprawda, Arnoldzie.

– Siedzieli, kurwa, z rękami na twoich piersiach, głęboko w twoim staniku, kiedy wszedłem.

– Nie, Arnoldzie.

– Nie? Nie? Nie?

– Nie pamiętam tego.

– Byłaś nawalona, jak zwykle.

– Nie byłam.

– No, to jeszcze gorzej. Kurwa.

On pije. Po prostu musi wypić i dostać kolejną szklankę.

– Czy nie możemy o tym po prostu zapomnieć. To przecież nic nie znaczy.

– Kurwa. Cholerne świry. I z takimi ludźmi pracujesz.

– Już nie. Nie będę z nimi więcej pracować, to już skończone.

– Wielkie dzięki!

– Możemy za to wypić.

– Tak, możemy za to wypić.

Piją za to. Kupują kolejne piwo i wznoszą toast raz jeszcze. Całują się z tej okazji, gładzą się po ramionach i głowach. Teraz jest już po wszystkim.

Teraz znowu są tylko oni. Na szczęście. Za granicą. Nikt nie może im przeszkodzić. Nikt ich nie zna, nikt się do nich nie odzywa. Na szczęście są tylko we dwoje. Wędrują przez ulice Stambułu, idą na nabrzeże w Galacie, z widokiem na zatokę Bosforu, gdzie zamawiają szampana i mówią, że wzięli ślub. Kelnerzy przynoszą kwiaty, a fotograf robi im zdjęcie, mają je do tej pory. Mają na sobie okulary przeciwsłoneczne, uśmiechają się, przytulają do siebie, splatają dłonie, dmuchają sobie we włosy, za uszy. Na stole stoi szampan i kieliszki do szampana, bukiet kwiatów, leżą książki, które czytają i mały pamiętnik, który wówczas miała, może do niego zajrzeć. Napisała w nim: Kocham go przecież, chociaż jest trochę szalony. Ja też jestem trochę szalona, a razem na pewno jesteśmy szaleni. Teraz siedzimy w kawiarni. Będziemy pracować. Miałam wiele orgazmów. Arnold prosi mnie, żebym to napisała, więc to robię. Owulacja.

Ale kilka dni wcześniej, przed wyjazdem, przed przyjęciem dla zarządu, które skończyło się bójką, pewnego wieczoru, kiedy siedziała sama, gdy on był w Trondheim, rozmyślała o tym, co robił w Danii, co robił przed wyjazdem do Hiszpanii i napisała: Nie mogę go zmusić, by był tylko ze mną. Wiem, że to mnie pragnie. Dlaczego tyle

ryzykuje? Może myśli o nich teraz, w erotyczny albo romantyczny sposób, czego by nie robił, gdyby porządnie je wypróbował, ale nie mogę przecież powiedzieć: zrób to po prostu! Taka jestem wściekła. W pewien sposób się kończę. Czuję, że nie mam w nim oparcia. Muszę konkurować, górować nad nim, raz za razem, ustanawiać dystans, który sprawia, że ja też staję się tylko wyobrażeniem. Pragnę w życiu czegoś innego. Wierzę w pewien sposób w trzecią drogę. Może istnieje trzecia droga, partnerska i owocna?

Manuskrypty leżą na stole, oni pracują, chociaż właśnie wzięli ślub, pracują w dniu ślubu. On pisze esej o swojej pracy translatorskiej, który zostanie wydrukowany razem z przekładem. Ona pisze swoją sztukę, będzie musiała ją skończyć, kiedy wróci do domu, żeby otrzymać zaliczkę. Kartki pocztowe i znaczki leżą na stoliku. Piszą pocztówki do znajomych i podpisują się sobie nawzajem na pocztówkach, tak że wszyscy dostają pozdrowienia od Arnolda i Idy. Na polecenie Idy Arnold pisze pocztówkę do Związku Dramatopisarzy: W Turcji aresztuje się zbyt wielu dramaturgów. W Norwegii – zbyt niewielu.

Gdy on jest u niej i dzieci są u niej, kiedy ma ich u siebie wszystkich naraz, czasem bywa dobrze, a czasem źle. Gdy wszystko się układa,

gdy są tylko we dwoje, jest dobrze, chodzą na spacer, robią zakupy, jeżdżą na nartach albo pływają, a potem piją piwo, ale to nic nie szkodzi, kiedy są spokojni, on robi dobre jedzenie i w domu ładnie pachnie, dzieci cieszą się, że przyjdą do domu i zjedzą coś ciepłego. Ciepłe jedzenie co wieczór, gdy Arnold u niej mieszka, panuje spokój, w domu jest czysto, na kominku pali się ogień, zimą pachnie dymem z paleniska, dym unosi się z komina, gdy przedzierają się przez głęboki śnieg na podjeździe, jak do letniego domku na Wielkanoc.

Ale gdy mają umówione spotkania na mieście, rzadko, gdy są zaproszeni na przyjęcie, albo na jakieś wydarzenie kulturalne, gdzie są inni ludzie, którzy mogą z nią flirtować, z którymi ona może flirtować, on wpada we wściekłość i kłóć się, czasem nie mogą przestać się kłócić, kontynuują po powrocie do domu i on nie może się opanować, krzyczy, że ona go upokarza i ośmiesza.

– Nie możesz mnie tak traktować – krzyczy, wrzeszczy na nią i ją popycha, łapie za ramiona i potrząsa, jest nawalony i nie wie, co robi. Rzucił ją o ścianę, aż dzieci budzą się i schodzą po schodach, boją się, gniewają się na niego, zdarzyło się, że jej dzieci wypchnęły go za drzwi, zamknęły je i zapowiedziały, że więcej nie wpuszczą go do

środku. Położyły się do jej łóżka i zasnęły wreszcie, ale ona nie może spać. Co on teraz robi, może kręci się po ogrodzie?

Zdarzało się, że wyjeżdżał z własnej woli.

– Jadę! Kurwa, nie wytrzymam już tutaj! Kurwa! Ostatni raz mnie widzisz! Łapał swoją walizkę i plecak, brał laptopa pod pachę i zbiegał po podjeździe, sypały się za nim skarpetki, majtki i żyletki do golenia, na śnieg albo trawę, wszędzie dookoła. Zdarzało się, że dzieci wypychały go na zewnątrz, zamykały drzwi i dzwoniły po taksówkę, czasem do niej wsiadał, a czasem nie i wtedy nie miała pojęcia, gdzie jest i co może mu przyjść do głowy. Zdarzyło się, że jej dzieci, które już trochę podrosły, zadzwoniły po policję, ponieważ Arnold popchnął Idę na ścianę, policja przyjechała i go zabrała, i dzieci położyły się do niej do łóżka i spały z nią, ale Ida nie mogła zasnąć przez poczucie winy, z powodu dzieci, Arnolda, wszystkiego.

Przez krótki czas nie chce zgodzić się na jego wizytę. Dzieci powiedziały, że nie chcą go już więcej oglądać, że go nienawidzą. Najpierw sytuacja musi się uspokoić, musi zapanować spokój. On to rozumie, nie jest głupi, zdaje sobie sprawę, że postąpił idiotycznie.

Gdy przyjeżdża do Oslo w sprawach

służbowych, mieszka w hotelu, a ona mówi dzieciom, że wybiera się do przyjaciółki i spotyka się z nim w sekrecie, jest tak samo, jak na początku. Zakazane i podniecające, w świeżo zaścielonych i czystych hotelowych łóżkach. On spotyka się z nią w recepcji, ubrany w garnitur, piją drinka w barze, po czym idą na górę i będą się kochać, ona dzwoni do dzieci i mówi, że nocuje u przyjaciółki, pyta, czy zjadły kolację i czy wszystko jest w porządku. Jeśli jest, a zwykle jest, znowu mogą się kochać i zwierzać, następnego ranka on pójdzie załatwiać swoje sprawy przed powrotem do Trondheim, ale już niedługo ona pojedzie do niego, gdy dzieci przeniosą się do ojca. Są razem od dawna, ale wciąż dzieje się coś nowego i innego, ponieważ nie żyją tak jak inni ludzie, to pewne. Ida skończyła sztukę, wręcza mu ją, on czyta i dyskutuje z nią o tym, co ona uważa za trudne, o punkcie kulminacyjnym. On czyta artykuły, które ona pisze dla „Tidsskrift”, rozmawia z nią o nich i pomaga jej wymyślać tytuły, bo nie jest w tym zbyt dobra. A ona czyta jego tłumaczenia, potrafi pomóc mu przy trudnych słowach, czyta esej o pracy tłumacza i nanosi ołówkiem poprawki na manuskrypcie, tak jak on poprawia i stawia znaki zapytania na jej tekstach. Po profesorze Kviście wiedzą, do czego nadają się

najlepiej, znają swoje mocne strony i jaka jest między nimi różnica: różnica mniejsza niż podobieństwo, w tym się zgadzają, zgadzają się w większości rzeczy i ufają sobie. Gdy jedno otrzyma pochwałę, drugie się cieszy, chociaż najlepiej jest zbierać pochwały jednocześnie. Pewnego razu zdarza się tak, że oboje zostają pochwaleni w tym samym czasie, tak jest najlepiej. Gdy jedno zostanie skrytykowane, drugie wpada we wściekłość, czuje się atakowane, jak gdyby krytyka była wymierzona także w niego, nie tylko w tę drugą osobę. Ponieważ są parą, nie mogą przyjść sobie oficjalnie na odsiecz, nie mogą wspominać o sobie nawzajem, wyciągać tej drugiej osoby na światło dzienne, oficjalnie, w piśmie ani w mowie, ale w domu, pod kołdrą, wymyślają jedna mowę obrończą za drugą: co moje to i twoje, i na odwrót, i niech no tylko spadnie ci z głowy chociaż jeden włos.

Tłumaczenie ukazało się wraz z wprowadzającym esejem o pracy translatorskiej. Wyjeżdżają, żeby nie być na miejscu w dzień ukazania się recenzji, kolejna podróż do Maroka. Siedzą obok siebie w taksówce na lotnisko. Trzymając się za ręce, wchodzą do lotniskowej restauracji, kupują piwo i powoli dochodzą do siebie. Paszport jest, pieniądze są, rachunki

popłacone, listy wysłane, domy pozamykane. Kochasz mnie? Tak. Wyjeżdżają daleko od wszystkiego. Zdrowie. Obok siebie w taksówce z lotniska do hotelu. Dwadzieścia cztery godziny na dobę w tym samym pokoju, czasem jedno musi wyjść do toalety, to wszystko. Teorie dramatu Brechta ze wstępem Arnolda ukazały się drukiem. Wyjeżdżają, by nie być na miejscu, kiedy odezwą się krytycy. Air Maroc z Kopenhagi, żeby jak najszybciej uciec od dźwięku nordyckich języków, do miejsca, w którym czują się wolni, wyobcowani, jak Jane i Paul Bowles, na północnoafrykańską pustynię. Byli tam już wcześniej. On stoi na hotelowym tarasie i patrzy, jak ona przechodzi przez wielki, zakurzony plac, przez tłum ludzi, do budki telefonicznej. Dzwoni do wydawnictwa, żeby zapytać, jak poszło, on został na tarasie. Nie chce robić tego sam. Ida nie boi się dzwonić, pytać. Dobrze, że ma Idę. Dziękuję, Ido.

Poszło nieźle. Nieźle to wystarczająco dobrze. Po jesieni profesora Kvista nigdy nie mogą mieć pewności, w ojczystym kraju mają licznych wrogów. Arnold zrobił listę, która liczy więcej niż pół setki nazwisk. Północna Afryka to miejsce, do którego kiedyś się przeprowadzą; gdy dzieci dorosną i nie będą ich już dłużej potrzebować, przeprowadzą się jak Paul i Jane, żeby jeść

słodycze z haszyszem, które w odpowiedniej ilości zapewniają koncentrację przez długi okres czasu, żeby pracować pod parasolami, a wieczorem, po zachodzie słońca, pić gin z tonikiem na piasku nad oceanem i pisać kolejne sztuki do radia.

– Umowa stoi?

– Stoi.

Nowa podróż, nowy projekt, zawsze element zaskoczenia, element odkrywania, by podtrzymać zakochanie. Zwrócić się nagle w innym kierunku i spoglądać w zupełnie inną stronę, zawsze element szansy, element niepewności: trzymaj mnie za rękę, albo się nie odważę! Element objawienia: Popatrzcie na nas teraz! Dajemy radę!

Żadnego wielkiego odzewu w prasie, ale poszło dobrze, odpowiada wydawnictwo. Kupują z tej okazji szampana. Zdrowie. Po zakończeniu pracy siedzą wieczorem na tarasie i spoglądają na medynę. Dzieci biegają po ulicach do północy, zapalono już nieliczne, żółtawe latarnie. Wszędzie ludzie, stoją w ciemnych uliczkach i palą. Widać, jak ogniki oddychają razem ze swoimi właścicielami. Mężczyźni wchodzą do ukrytych barów, gdzie sprzedaje się alkohol. Na ulicy można kupić w budce wielkie, złociste kurczaki z obracającego się bez przerwy różna. Jednego wieczoru kupują sobie takiego. Mają czerwone

wino i chleb, a teraz Arnold zejdzie na ulicę pomiędzy Arabów, kupić jednego ze złocistych, obracających się kurczaków. Ida siedzi na tarasie. Teraz trzaskają drzwi. Teraz jest sama. Półtorej minuty, zanim zobaczy go na dole, jak przechodzi przez ulicę. Jej mężczyzna. W białej koszuli i jasnych szortach khaki, lekko zdenerwowany, bo otoczony obcymi Arabami, w ciemnościach, ale będzie dobrze. Teraz stoi w budce, teraz bierze kurczaka, teraz odwraca się, teraz wraca, pełen ulgi po wykonaniu zadania. Arnold! W białej koszuli i pogniecionych szortach, w których zacerowała tak wiele dziur. Czy jeszcze je ma. Czy jeszcze je nosi. Czy o tym myśli.

Jedzą w ciemności na tarasie. Żółte światła latarni nadają medynie złocisty, prawie czerwony odcień. Niedojedzone resztki lądują za balustradą, na pewno ktoś na dole je weźmie. Latają jaskółki. Czarna, zmienna chmura, które wydaje dźwięki podobne do odgłosów wiatru. Nie piszą. Jest za ciemno, gniazdko są za daleko od tarasu, za dużo wypili. Przed południem schodzą nad wodę, bo na ocean dobrze się patrzy, jest im to potrzebne. Nie na port, ale na ocean, bezkresny, trzymając się za ręce w słońcu, w upale, szukając miejsca, z którego będą mogli obserwować ocean, na dworze, gdy pracują. Woda wygina się w łuk,

tak że widzą, że Ziemia jest okrągła, widzą, jak wyrastają statki, najpierw komin, najpierw maszty, jak siła przyciągania utrzymuje wodę w miejscu. Po chwili zawsze stykają się głowami i stają się jedną głową. Pochylone każde nad swoją pracą, przez chwilę ramię przy ramieniu, przy oceanie, na którym zatrzymali wzrok, myśląc, za kilka godzin razem się położą, dotykając się głowami. Wszystko zostało opowiedziane już dawno temu, teraz po prostu przeżywają to samo. Zamawiają to samo, piją i jedzą to samo, nie czują niezaspokojenia, żadnego głodu. Kiedy się rozstają, po przyjeździe do domu ona zawsze wymiotuje, żeby pozbyć się z ciała tego nagłego niepokoju oddalenia.

Czy to moje ciało czy twoje, twoja noga czy moja. Gdzie kończy się twoje, a zaczyna moje ciało i jak mogę cię pożądać, skoro stapiasz się ze mną w jedno. Ocieram się o ciebie czy o siebie, dotykam ciebie czy siebie, które palce są czyje i jaka jest między nimi różnica, twój pot, mój, twój zapach, mój czy nasz, czyj orgazm, teraz widzieliśmy już wszystko. Zaszli już tak daleko jak tylko się da, nie ma już czego badać. Gazety, filmy z pomysłami na coś więcej. Coś więcej w sypialni, w pokoju hotelowym, które mogą rosnąć. Na początku trochę boli. Potem jest lepiej. Gdy o tym myśli,

nabiera ochoty, jakby na kacu. Może to chore, może to szkodliwe. Ale oni nie są tacy jak inni. Przekraczają granice, odcinają się od wszystkiego. Klub? Piszą o nim w gazecie. Kto powie „nie”? Ida nie powie „nie”. Słowo „nie” nigdy nie przejdzie przez usta Idy. Zapomina o tym. On nie. Pewnego razu odwiedzają miasto, w którym znajduje się klub, za granicą, on nagle o tym wspomina, czy ona ma ochotę. Jeśli chcesz. Ona się nie boi. Czy jest się czego bać. Nie umrzesz, nauczysz się czegoś. Nic, co ludzkie, nie jest mi obce, i tak dalej, ale czuje otępienie w ciele.

– Nie wiemy, gdzie to jest – odpowiada, ale on wie.

– Nie mamy przecież adresu – mówi, ale on ma adres. Zabrał ze sobą gazetę. Pomyślał o wszystkim. Mówi poważnie. Coś się dzieje, czy on tego nie dostrzega? Coś się dzieje, ale on tego nie widzi albo nie chce widzieć. Ona ma nadzieję, że nie znajdą tego miejsca, ale znajdują. Taksówka wiezie ich do przecznicy położonej kawałek dalej, łatwo je znaleźć. Na szczęście klub jest zamknięty, ale otworzy się za godzinę, wystarczy tylko poczekać. Arnold jest podniecony. Ida przygaszona. Dlaczego nie, skoro koniecznie chcesz. Ida nie jest pruderyjna. Kieliszek wina dobrze by im zrobił podczas oczekiwania, siadają

w najbliższej knajpie i piją. Ona pije bez przerwy. Kobiety wchodzą za darmo. Mężczyźni muszą zapłacić. Światła w recepcji są czerwone jak w małym hoteliku, za ladą stoi naga kobieta, prezerwatywy leżą wszędzie, we wszystkich pokojach. Muszą się rozebrać, dostają kluczyki z numerami, wszyscy muszą rozebrać się do naga. Zamykają swoje ubrania w małych szafkach jak na dworcu. Słabo oświetlone, czerwone pokoje, w których mężczyźni stoją albo krążą wokół materaca, gdzie uprawia seks jakaś para. W każdym pokoju wielkie materace, na nich jakaś para leży i uprawia seks, jedna albo kilka, uprawia seks albo się pieści, a wokół materaców stoją mężczyźni i się masturbują, na wpeł zwiędłe penisy w dłoniach, rutynowe, zmęczone ruchy prawej dłoni, tam i z powrotem, co mieliby tam robić. Kładą się na materacu i uprawiają seks obok innej pary, która robi to samo, wyciągają dłonie, by dotknąć innych ciał. Sala przypominająca kinową, w której siadają i oglądają film pornograficzny, za nimi siedzą samotni mężczyźni i masturbują się, patrząc na ekran, gdzie odbywa się orgia, wszyscy ze wszystkimi, we wszystkie dziurki, zerkają, żeby wpaść w rytm, tam i z powrotem, poruszają dłońmi tam i z powrotem, w dobrze znanym,

starym rytmie, przez moment nieco szybciej, po czym zatrzymują się na chwilę z jękiem i wracają do tego samego, starego, dobrze znanego rytmu, dalej, dalej. Rozłożone nogi, cipy owłosione albo bezwłose, różowe i ciemnoczerwone, prawie sine, suche cipy, niewyretuszowane, pryszczate tyłki i wargi otaczające sztywne, sinoczerwone kutasy, zęby z ciemnymi wypełnieniami i biżuteria z kolorowych szkiełek, kolczyki w uszach, sutkach, wargach sromowych, po zębach można poznać, że goście pochodzą z Europy Wschodniej. Mężczyźni masturbują się. Arnold ma kobietę, której może dotykać, dotyka Idę, Ida jest dotykana i dotyka Arnolda, podczas gdy mężczyźni się masturbują, skoro już tutaj jesteśmy, ale podaj mi drinka. Uprawiają seks na materacu obok innych ludzi i wyciągają ręce w stronę innych ciał. Arnold dotyka innej. Arnold pieści kobietą pierś, pierś kobiety leżącej obok niego, po drugiej stronie, pieści w ten sam sposób, co pierś Idy, w dokładnie identyczny sposób, tą samą dłonią. Dotyka krocza drugiej kobiety, kobiety leżącej po drugiej stronie, tą samą ręką, którą zwykle dotyka Idy, w ten sam sposób, w jaki zwykle dotyka Idy, decyduje się teraz dotykać tamtą, inną, zamiast Idy, dla urozmaicenia, ale w ten sam sposób, co jest w tym najgorsze, po to tutaj przyszli, żeby dotykać, być

dotykanym przez innych. Ona nie może tego znieść, zapada się, nic nie mówi, ale zapada się w sobie. To zaczyna się tutaj. Jeśli nie zaczęło się wcześniej, to zaczyna się właśnie tutaj. On dotyka piersi innej kobiety, cipę innej kobiety, tak jak dotyka Idę, piersi Idy, Idy cipkę, Ida jest tutaj, ale on dotyka innej kobiety w ten sam sposób, to jest w tym wszystkim najgorsze. Miłość może istnieć tylko tam, gdzie jest niewinność, mała część niewinności, odrobina wiary. Wiary w to, że nie da się ich zastąpić, że nie są wymienni, że nie mogą być tacy sami jak reszta, że dłonie nie dotykają ukochanej osoby w taki sam sposób jak kogoś obcego, że nie mogą dotykać obcego, tak jak tego dobrze znanego i ukochanego, że ręce, gdyby pozwolić im wybrać, zawsze wybrałyby ukochanego. Milczą w taksówce do domu. Czują podniecenie. Uprawiają seks przez całą noc i rano są podnieceni, ale i chorzy od tego, nie mogą iść na seminarium, na które się wybierali. Arnold może, Ida nie, nie potrafi podnieść się z łóżka, Ida jest chora, muszą zadzwonić i powiedzieć: Ida jest chora, bo taka jest prawda, nie jest w stanie wstać. On jest napalony, przez całą noc, być może sądzi, że są w tym razem, ale ona jest sama.

Próbują to zrozumieć. Później, na lotnisku, w drodze do domu. Odwołują udział

w seminarium, jadą do domu i próbują zrozumieć, dlaczego Ida jest taka odizolowana. Arnoldowi jest przykro, że Ida jest taka odizolowana. Nie jest taka znowu nie do zastąpienia, żeby on nie martwił się i nie niepokoił, próbując o tym porozmawiać, przemyśleć. Pierś Idy i pierś innej kobiety są takie same i jednocześnie kompletnie odmienne. On może dojść w każdej kobiecie i będzie to całkiem podobne uczucie, ona przecież ma tego świadomość. Wszyscy tak mają, ona przecież o tym wie. Ida nie wie, ale nie mówi tego głośno. Nikt nie musi wiedzieć, jak się czuje. On nie musi wiedzieć, jaka jest samotna. Piją. To pomaga. Wkrótce śmieją się z tego. Uczymy się, dorastamy, mówią do siebie. Nie ma dla nas granic, mierzymy się z mrokiem i uczymy, dorastamy, mówią do siebie samych, do siebie nawzajem, cały czas szukamy nowych rzeczy. Ten się boi, kto nie ma odwagi zdrzeć, mawiają. Oni mają odwagę, więc siedzą i dygoczą.

Czujesz się wolniejszy? Nie. Bliższy? Może to skleci ich razem. Zszyje ze sobą jak ostra igła. Lepiej nauczą się swoich ciał, popędów i reakcji. Zobaczą tę drugą osobę, nauczą się jej głębiej, najgłębiej jak się da, widząc tę drugą osobę także z innymi, w coraz to nowych sytuacjach, jakie tylko można sobie wyobrazić. Czy nie jest to dobra

rzecz? Jego dłoń zamknęła się na piersi innej kobiety. Tak jak zamykała się na piersiach niezliczonych kobiet, także wtedy, gdy byli razem. To po prostu rzeczywistość. Takie są realia.

Ona nie jest w stanie się podnieść. Staje się od tego chora. A zarazem podnieca ją to. Uprawiają seks raz za razem. Nie ma nigdy dość, nigdy nie czuje się zaspokojona, nigdy nie dość zadowolona, nigdy nie dość wypełniona. Jest wstrząśnięta, ale gdyby mogli zacząć od nowa, zrobiliby to samo. Czy człowiek ma jakiś wybór? Nigdy nie powinno się żałować swoich czynów. Gdy pijani wracają do domu, on dzwoni do redaktora gazety i pyta, czy tutaj też są takie kluby, które mogłyby tak na nią wpłynąć.

Unikać kaca, utrzymywać poziom alkoholu na stałym poziomie. Znowu to robią. Rozszerzają swój pozbawiony granic świat. Nie da się tego do końca zrozumieć. Prawda zawsze jest błędna, chociaż w stu procentach prawdziwa. Kupują czasopisma i próbują tego, co jest w nich opisane. Czytają je podczas seksu. Wpatrują się w obce kutasy, zaglądną w obce cipy, usta i tyłki, nowe podniety, nowe stymulanty. Odwiedzają klub raz jeszcze. Rozbierają się wśród obcych, w czerwonym świetle. Dotykają obcych i są dotykani, w czerwonym świetle. Wsuwają palce pomiędzy

obce pośladki, są dotykani przez obcych, rzadko są całkiem przytomni, chociaż rzadko śpią. Nic nie jest wystarczająco nowe. Trwa krótko. Zawsze rozglądają się dookoła w poszukiwaniu czegoś innego. Może to niemądre. Nie rozmawiają o tym. Żadne z nich nie mówi tego głośno, chociaż rozmawiają o wszystkim.

Aby wszystkiego spróbować, mówi ona do siebie. Aby poznać wszystkie rodzaje uczuć. Aby sprawdzić, jak to na nią wpłynie, sprawdzić, jak to wpłynie na niego, czy coś się wydarzy, czy przeżyją i może też po to, by doprowadzić do rozstania. Mówi sama do siebie. Aby wyczuć to, zanim jeszcze się zdarzy, żeby nie zaskoczył jej niespodziewanie, zza pleców, prąd, którego nie wyczuła, na który nie jest przygotowana i który może ją zatopić. Oto on uprawia seks z inną kobietą. Patrzcie!

Wypracowali strukturę. Przez tydzień Ida jest sama ze swoimi dziećmi w Oslo, następny tydzień Arnold spędza w Oslo z Idą i jej dziećmi, tydzień później Ida jest w Trondheim z Arnoldem i jego synem, a w ostatnim tygodniu, czwartym, zostają sami i wyjeżdżają, jeśli tylko mogą, podróżują, niełatwo wyjaśnić to innym. Nie istnieją w statystykach. Nie figurują w oficjalnych rejestrach, nigdzie nie jest napisane, że są parą,

że się kochają. Gdy są osobno, załatwiają wszystkie praktyczne sprawy na zapas, żeby nic nie pozostawić na czas spotkania i bycia razem, przechodzą przez te nie-tygodnie jak na autopilocie, myśląc połową mózgu, tylko połowicznie na miejscu, by zrobić wszystko i spotkać się, i być razem.

Mają strukturę. Na nartach w Nordmarka, w ciemnościach, na oświetlonej trasie. W najciemniejszym miejscu po zjeździe, w kompletnej ciszy. Tylko we dwoje. Potem do najbliższej restauracji z koncesją na alkohol, chińskiej, dwa piwa i nielegalny powrót samochodem do domu. Dwa piwa, wciąż w strojach narciarskich, po czym jadą do domu i robią obiad, czytają gazety. Hej. Jesteś tam? Popatrz na mnie.

– Jesteś tam? – pyta on.

– Tak sędzę.

– Masz w środku coś, co mnie obserwuje – mówi on. – Czy tak?

– Tak sędzę. Tak się czuję.

Biegają latem wokół jeziora, a potem się kąpią. Ona kąpie się nago, zawsze są sami, jak na starym obrazie. On zostaje w majtkach, szarych, ona patrzy na niego. Ukochany Arnold. Podnosi bosc stopy o cienkiej skórze nad kamieniami

i ostrożnie stawia je z powrotem. Ona idzie pierwsza, on za nią. Jej ciężkie piersi unoszą się na wodzie. Całują się w wodzie. Przez pierwsze lata częściej niż ostatnio. Przez ostatnie lata nie całują się już tak często jak kiedyś, jak dawniej. Ale kochają się codziennie. Na nowe sposoby albo w dobrze znany, prędko sposób. Od tyłu, ona się pieści, trwa to pięć minut albo i krócej.

– Kiedy będziemy się kochać? – pyta on przed południem, gdy dzieci są w szkole. Teraz, zanim wrócą ze szkoły albo wieczorem, kiedy położą się spać. Patrzą na zegarek i podejmują decyzję. Zdarza się, że przekładają to na wieczór, po czym wypijają za dużo, są zmęczeni i usypiają.

– Nie kochaliśmy się wczoraj – mówi on rano surowym tonem.

Mają strukturę, latem wyjeżdżają do domku na szkiełach, jego dziecko i jej dzieci, i kiełbaski z grilla. Udaje im się, potrafią to zorganizować. On przygotowuje jedzenie, grilluje, odstawiając kieliszek na kamień, w szortach i kapeluszu panama dla ochrony przed słońcem. Jego syn ze swoimi przyjaciółmi i jej dzieci ze swoimi przyjaciółmi, łącznie dziesięcioro albo dwanaścioro dzieci, z wrzaskiem zbiegają po kamieniach do wody.

W Casablance, w Maroku, kiedy zapytano ich,

ponieważ zaczynają przypominać małżeństwo: – Ile macie dzieci? Arnold podniósł dłoń i z dumą pokazał trzy palce.

Czy nie zrobią sobie dziecka, czy nie będą mieli razem dziecka? To możliwe. Jeśli się zdecydują, to możliwe, to takie proste.

Nigdy nie kochała nikogo w ten sposób. Nigdy nie pokocha nikogo w ten sposób. Czy ta dwójka nie powinna mieć dziecka, skoro to możliwe?

– Chcesz mieć ze mną dziecko?

On znowu płacze, nikt nigdy nie powiedział mu nic takiego. Jak by wyglądało? Ciemna, drobna dziewczynka z oliwkowymi oczami. Ale to niemądre. Ze słowiańskimi rysami po moim niewolniku, mówi ona z uśmiechem. Wieszaku, bardzo jak na wieszak gadatliwym. No, czasami milczącym, zwłaszcza przy dzieciach. Pomaga robić zakupy, zanosić je do domu, układać w szafkach, gotować, rąbać drewno. Milczący, ale obecny mimo swego milczenia. Odkurza dom milcząc, pozwala milczeniu płynąć.

Wiosną wyjeżdżają sami do domku nad wodą, żeby popracować, żeby pobiegać pod jasnym niebem. Kiedy inni siedzą w pracy, w biurze, od dziewiątej do czwartej. Gdy jest ciepło, mogą popływać. Gdy jest zimno, idą z czerwonym winem i kieliszkami na najbardziej wysuniętą w wodę

szkier i wpatrują się w purpurowe morze o zachodzie słońca. Wieje wiatr, ale mają koce, na kolanach rozłożyli owcze skóry i siedzą przytuleni do siebie. Wiatr na twarzach, wino w ustach, czy tak nie może być zawsze, z dala od wszystkiego.

Wyjeżdżać tak szybko i tak często jak tylko się da. Zapisują i oznaczają wszystkie miejsca, które razem odwiedzili. Jest ich dużo, coraz więcej. Napiszą książkę o swoich miejscach, o tym, co się w nich wydarzyło, w Trondheim, w Oslo, Kopenhadze i Paryżu, a wydarzyło się wiele.

Pewnego razu zjawiają się na lotnisku za późno i nie dostają w samolocie miejsc obok siebie. Arnold jest zły. To Ida się grzebie, to ona powtarza: – Oj tam! Będzie dobrze! To ona robi wszystko na ostatnią chwilę, w dobrej wierze, to ona musi sprawdzić raz jeszcze, czy na pewno wyłączyli płytę.

– Będzie dobrze – mówi – Zdążymy.

Zdążają, ale nie dostają miejsc obok siebie. Tego się obawiał. Dlatego chciał, żeby się pospieszyli. Czy widzi, ile miał w tym racji? Teraz muszą siedzieć osobno, jest zupełnie inaczej. On nie chce pytać, czy dałoby się zamienić miejsca. Nie chce się wysilać. Arnold nie wychodzi z żądaniami. Arnold nie uderza pięścią w stół. W sumie to dobra cecha. Arnold stoi w tle i nie

rzuca się w oczy w urzędach, na lotniskach, w recepcjach hotelowych. Można o nim zapomnieć, gdy tak stoi w kącie, cichy, wyobcowany. Ida wypytuje, Ida wybiega naprzód i woła, zwykle dobrze się to kończy.

– Będzie dobrze! – mówi Ida i klepie Arnolda po głowie, ale tym razem nie jest dobrze. Pyta, czy można zamienić się miejscami, by móc siedzieć razem, ale to niemożliwe, tym razem się nie udaje. Arnold złości się i zamyka w sobie, trzeba go znowu otworzyć. Gdy tylko stewardesa przejdzie z wózkiem, z winem, gdy dostanie coś do picia, będzie lepiej.

Obraca się i macha do niego z uśmiechem, ale on się nie uśmiecha i nie macha w odpowiedzi. Przechodzi obok niego w drodze do toalety, pochyla się i całuje go w głowę, to nie pomaga, zamknął się w sobie, to z jej winy siedzi teraz sam. Ale gdy przejechały wózki z napojami i dostał kilka buteleczek wina, stewardesa przychodzi ze złożoną kartką, listem do Idy od Arnolda.

Ukochana Ido. Strasznie za tobą tęsknię! Cieszę się, że znowu cię zobaczę, gdy wreszcie się spotkamy! Najpiękniejsza kobieto na świecie i moja najlepsza przyjaciółko!

Pocałunek dla wakacyjnego motylka.
Pozdrowienia od mężczyzny z tyłu samolotu.

Odpowiada mu, popija wino i spogląda na wielki błękit, kocha go, zawsze będą razem, coś innego jest nie do pomyślenia, tak blisko jest się tylko z jedną osobą i gdy już się tego doświadczy, staje się to niezbędne, człowiek się uzależnia. Wymieniają listy przez całą drogę do Paryża, a gdy spotykają się przy odbiorze bagażu, tulą się do siebie, jakby nie widzieli się od dawna, dwie godziny wśród obcych to dużo, gdy zdarza się tak niespodziewanie.

Tak zatopieni w sobie, tak bardzo poza światem, że zdarza się im pewnego razu przybyć na lotnisko o dzień za wcześnie. Sądziło się, że jest ósmy, a był siódmy. Albo o dzień za późno, tak się też zdarzyło, przyjechali na lotnisko trzynastego, a bilety mieli na dwunastego, musieli więc kupić nowe, żeby wrócić do domu. Nie śledzą ranków i wieczorów, nocy i dni, siebie samych i innych. Wszystko stapia się w jedno, jest tylko przestrzeń, już nie czas, sama masa, ciało, brakuje tylko, żeby się naćpali, gdyby ktoś im zaproponował, na pewno by się zgodzili.

Na początku on wysyła do niej krótkie liściki z miejsc, które razem odwiedzają, potajemnie kupuje pocztówkę i pisze, gdy ona jest w toalecie albo załatwia jakieś sprawy, pisze na odwrocie rachunku z restauracji albo na podstawce do piwa,

wsuwa do koperty i w sekrecie wysyła, tak że list czeka na nią w skrzynce, gdy wraca do domu za dzień albo dwa. Pozdrowienia z miejsca, w którym niedawno byli. Nie szczędzi słów, tych największych. Jak właściwie robią to inni. Jak może im być dobrze, skoro nie są nami.

Za murem w ogrodzie mieszka pliszka. Lata dookoła, wciąż zajęta, ale nigdy nie widzą żadnego innego ptaka, żadnego męża, żadnych dzieci.

– Rozwiedziona pliszka – mówi Arnold i przechyla głowę na bok. – Biedna. Nigdy mnie nie zostawiaj. Wtedy cię zastrzelę. Wtedy się zabiję!

Nieważne, jak bardzo wydaje się być otwarty, nigdy nie otwiera się do końca. Nieważne, jak podatny na zranienie, nigdy nie daje się poważnie zranić. Nieważne, jaki jest smutny, nigdy nie jest naprawdę smutny. Dzwoni i mówi, że chce popełnić samobójstwo, ale jest z tych, który nigdy nie popełniają samobójstwa. Może się wydawać, że to on jest potrzebującym, ale ma swoje własne ognisko, przeżyłby wszystko. To ona może od tego umrzeć.

– Wezmę cię – szepcze jej we włosy, leżąc za jej plecami. – Zerżnę cię. Będę cię miał! Kurwa, zerżnę cię, kocham cię, zerżnę, uderz mnie!

Próbuje, ale nie daje rady.

– Ty flirciaro! Flirtujesz! Dlaczego musisz ściągać na siebie spojrzenia, lubisz je prowokować!

No tak. Być może. Ona uwodzi, on uwodzi, uwodziciele, oboje pozują, są pozerami, ale na innych pozycjach, z odmienną strategią. Zależni od języka, owszem, ale na różne sposoby. On, mężczyzna, musi doprowadzić rzecz do końca, to próba, gdy opadną spodnie. Jej, kobiecie, wystarczy poczuć, że mogłaby, gdyby tylko zechciała. Wystarczy jej spojrzenie. Seminaria, na których Arnold ma wykład, to zdarza się wówczas, nigdy poza. Kiedy nie ma wykładów, nie robi żadnych numerów. Gdy ogląda go podczas wykładu, władającego pomieszczeniem w swój własny, wyciszony sposób, nie czuje dumy, tylko wściekłość płynącą z pożądania, agresywnego pożądania, tak jak on nie czuje się dumny, tylko wściekły, jeśli ona skłania ich do śmiechu. Chce tylko zniszczyć, uśmiercić to, co im zagraża, co może doprowadzić do tego, że pewnego dnia w przyszłości mogą zostać samotni i wtedy zaczną pić aż zrobią się brzydki, aż roztyją się i pomarszczą, zapiją się do biedy, zapiją się do krwi, pozostawią sobie nawzajem szpecące blizny, doprowadzą nawzajem do upadku.

Gdyby tylko nie było to regułą. Gdyby tylko nie zdawała sobie sprawy, że on tego potrzebuje.

Gdyby nie wiedziała, że za każdym razem, gdy wyjeżdża samotnie, istnieje realne zagrożenie, że znowu to zrobi, gdyby nie wiedziała, że zawsze, gdy jest na nią zły, gdy czuje się upokorzony, a dzieje się to często, to może się wydarzyć. Przyczajony strach, rozdzierające sceny podczas tłumaczenia się, odkrywania, kłótni, w nieokreślonej przyszłości zawsze można to wyciągnąć i wykorzystać. Błogosławieństwem byłoby to zostawić, uwolnić się, gdy przeżyło się coś innego i wie, że może być inaczej.

Jest coś, o czym ona nie wie. Coś, o czym on nie mówi, ale ona to wyczuwa. To po prostu istnieje, chociaż nigdy się o tym nie dowiedziała, po prostu wisi w powietrzu.

– Czy wtedy, w Szwajcarii, coś się wydarzyło? – pyta. – Czy coś zdarzyło się w Århus? Czy coś zdarzyło się w Seljord wtedy, gdy nie zadzwoniłeś do domu?

– Teraz w każdym razie się mylisz – odpowiada on, czy to znaczy, że myliła się mniej, pytając o Szwajcarię albo o Århus?

Kto nie życzy sobie przygody? Bezpieczeństwo i normalność są dobre, ale na dłuższą metę przewidywalne. Kto nie życzy sobie przestrzeni bez rachunków, brudnej bielizny, kredytów i dzieci. Arnold! Wyłącznie erotyczna przestrzeń

dzielona ze stypendystką albo studentką, która podziwia go, nauczyciela, profesora. Przez kilka godzin jest dla niej kimś, komu nie można się oprzeć, po prostu mądry, po prostu męski, można wymyślić się i pokazać od najlepszej strony temu na wpół obcemu człowiekowi, który pożera cię wraz z oczami, skórą i włosami. Kto potrzebuje być honorowany i podziwiany w ten sposób. Arnold! On tego potrzebuje, a ona o tym wie i się boi, i gdy z rzadka zagląda do jego biura, czuje lęk, że znajdzie tam coś demaskującego, kobiece majtki pomiędzy poduszkami kanapy, zużyty kondom w koszu na śmieci. Nie zagląda więc do kosza, gdy go odwiedza, nie zagląda do kosza, gdy on tam jest, nie spogląda na monitor, żeby nie zauważyć tam kobiecego nazwiska, którego nie rozpoznaje i nie stracić twarzy, kiedy on tam siedzi. Zapisana karteczka na półce na korespondencję, klips pod biurkiem. Gdyby tylko miała jego gabinet dla siebie przez jedną, jedyną godzinę! Nie patrzy w oczy personelowi instytutu, żeby nie zauważyć, że wiedzą coś, o czym ona nie wie, być może pół godziny temu z gabinetu profesora Buska wybiegła na wpół rozebrana studentka, jeszcze z rumieńcem na dekolcie po niedawnym szczytowaniu. Gdy pije, nie może powstrzymać się od wypytywania o kobiety,

z którymi – obawia się – spał, o te, z którymi wie, że spał, grzebie i rozdrapuje, żeby poznać szczegóły, żeby nie żyć w nieświadomości, ale im więcej wie, tym bardziej jest zdruzgotana. Ile razy uprawialiście seks tej nocy? Ile ona ma lat. Dwadzieścia osiem, odpowiada on, skoro koniecznie musisz to wiedzieć. Jak wygląda, czy jest ładna. Nie może przestać upokarzać się kolejnymi pytaniami. Chodzi jak opętana po mieszkaniu podczas jego nieobecności, wywraca kieszenie, wąża ubrania, szuka śladów szminki. Przeczesuje papiery, rachunki, kosz na śmieci w poszukiwaniu czegoś kompromitującego. Ma nadzieję, że coś znajdzie. Jeśli znajdzie, to go zabije. Kiedy on dzwoni i zapowiada, że się spóźni, rozbudza jej wyobraźnię w niekontrolowany sposób, wtedy wydzwania do jego poprzednich kochanek, żeby usłyszeć ich głosy, to wszystko jest jak benzyna wlewana do płonącego ogniska, które pali się w piersi i bucha takim gorącem, że nie pozwala oddychać. Krzyczy i chce bić go za to, co zrobił, ale nic nie pomaga, jest wściekła, ale bezsilna, opętana wizjami hotelowych łóżek do tego stopnia, że staje się to nie do wytrzymania.

On zaprzecza, jej brakuje dowodów. Wie, jest pewna, ma powód do wściekłości, ale brakuje jej dowodów. Nie ma prawa wściekać się tak bardzo,

jak to robi, popada od tego w szaleństwo.

Nie, nie jest w nim zakochana tak samo jak wcześniej. On dobrze wie, że nie jest już tak pokorna jak wcześniej, nikt by nie był, rok po roku, ale nie podoba mu się to, nie akceptuje tego, przyzwyczał się do jej czołobitności, uzależnił się od niej, pogrozi jej z daleka nożem do masła, a ona reaguje, jakby stał nad nią z siekierą. Traci ją, tak to prawdopodobnie odbiera, jako porażkę, jako oznakę, że traci kontrolę, jej uwagę. A co będzie, jeśli ona zacznie rozglądać się dookoła?

Ona pisze, że go kocha i chce z nim być. Kocham cię i chcę z tobą być. Przepraszam, że nie zadzwoniłam od razu i przepraszam, że przyszłam później, niż powiedziałam. Po pierwsze z powodu dzieci, a być może też z twojego powodu. Nie wydaje mi się jednak, by było to wielkie wykroczenie i twoja reakcja wydaje mi się przesadzona, wyciąganie tak poważnych wniosków o naszym związku z powodu takiego wykroczenia. Trudno mi też zaakceptować, że nie przyjmujesz moich usprawiedliwień. Nie mogę wypowiedzieć nawet słowa. Gdy zaczynam zdanie, ty kontynuujesz swoje, rozciągasz je w groteskowy, nieprzerwany strumień słów, zagniewany, obrażony, nieubłagany. Twierdzisz, że kłamie, nie wierzysz w moje usprawiedliwienia

i mówisz dalej: – A więc wolisz raczej pójść i nawalić się z kolegami niż budować ze mną przyzwoity związek? Odpowiedz mi! Chcesz tego? Wolisz iść nawalić się z kumplami! Tak! Tego chcesz! Gadasz same bzdury! Nie mogę słuchać tego pierdolenia! To pierdolenie i tyle! Twoje dzieciaki siedzą same, ty pijesz, masz mnie w dupie, nie istnieję dla ciebie, nie chce ci się zadzwonić. Mówisz, że masz dość swoich znajomych, ale to bzdura, muszę przestać wysłuchiwać tych bzdur! Masz ochotę nawalić się jak świnia z kumplami, a mnie masz w dupie, od teraz nie będę z tobą szczery! I tak dalej, i tak dalej, i tak dalej.

Trwa to bez przerwy. Czuję się upokorzona ciągłym wysłuchiowaniem że kłamię, piję, mam cię w dupie, i tak dalej, i tak dalej, i jeszcze, i jeszcze, próbuję spać, rano mam pracę do zrobienia, zobowiązania, ale poziom adrenaliny rośnie. Próbuję uprosić cię, żebyś zgasił światło, próbuję przekonać cię, żebyś przestał pić, mówię ci – i trwa to niemal dwie godziny – że jeśli nie przestaniesz, pójdę spać do drugiego pokoju. Bo nie mam już siły cię słuchać. Nie przestaniesz, więc pójdę do drugiego pokoju. Mówisz, że jeśli to zrobię, wyjedziesz. Będę więc leżeć długo, a ty będziesz mówił i mówił, aż wreszcie pójdę do

drugiego pokoju, a ty wyjedziesz.

Arnoldzie! Sam wchodzisz na takie tory, gdzie rozmiary mojego „przewinienia” stają się wyolbrzymione, zmuszasz mnie, żebym broniła się w twojej przesadzonej perspektywie zdarzeń, a zarazem i tak nie chcesz wysłuchać tego, co mam do powiedzenia. To nie jest żadna rozmowa, żadna wymiana zdań, to tylko twoja frustracja, która nigdy się nie kończy, jesteś nią całkowicie pochłonięty, mogłoby się wydawać, że staje się celem samym w sobie, dla ciebie, a jednocześnie wymagasz, bym była na miejscu i ją przyjmowała. A jeśli próbuję się uwolnić, grozisz mi odejściem, zyskując w ten sposób nade mną przewagę, zmuszasz mnie, bym była obok i przyjmowała całe to gówno, które wylewasz na mnie bez powodu. Zagroziłeś mi, że odejdiesz, leżałam więc, ty mówiłeś dalej, a ja czułam się jak w pułapce, pod kontrolą, tak uwięziona w twojej wizji zdarzeń, że coś we mnie pękło.

Jeśli on zrobi to czy tamto, być może będzie tak jak wcześniej. Jeśli jego zachowanie wyprowadzi ją z równowagi, o co nietrudno, a ona zacznie błagać i kleić się do niego, i powtarzać, że nie może bez niego żyć, że on i tylko on, byłoby to bardziej podobne do tego, co działo się wcześniej, do prawidłowego porządku rzeczy. Zdarzało się,

myśli teraz, dużo później, że narażał ją na coś, przed czym powinien ją chronić. Ponieważ kiedy robiła się słaba jak dziecko i bezwolna, przypominało to wcześniejszy etap ich związku, taki, jakiego pragnął. Może nie z rozmysłem, może nieświadomie, ale tak właśnie postępował.

Zostali zaproszeni na wesele. Ona będzie świadkową, wygłosi przemowę. Wiosenne wesele, nie, to nie oni będą brali ślub.

– Nie chcesz za mnie wyjść! – mówi on.

– Chcę, weźmiemy przecież ślub.

– Kiedy?

– Może w przyszłym roku, tak jak postanowiliśmy w naszym pierwszym dniu-piwa-na-śniadanie.

– Nie chcesz tego.

– Chcę.

Została zaproszona na ceremonię do ratusza, a później na toast z najbliższą rodziną, ponieważ jest świadkową. Stoi na tarasie z kieliszkiem szampana w słońcu, w pięknej sukni, z piękną przemową na kartce w torebce, to może być cudowny dzień. Arnold zasiada w komisji egzaminacyjnej na uniwersytecie, spotkają się później na mieście, musi być opanowana, będzie przemawiać, on zakończył tygodniową sesję egzaminacyjną i może po prostu odpoczywać,

prawda, zrelaksować się. Ciepłe lato w Oslo, wszystkie puby otwarte, krzesła i stoliki na chodnikach. Wesele, zarumieniona i zakochana panna młoda z kwiatami we włosach i obnażonym, niewinnym ramieniem. Dumny i lekko podniecony pan młody. Oboje odpowiedzieli wyraźnie „tak” na pytanie czarno ubranego urzędnika.

– Jaka jesteś piękna – mówi Arnold. Tak, wygląda ładnie. Mowa jest zabawna, udało się jej, potrafi, wszyscy się śmieją, teraz ona również może unieść kieliszek, nareszcie. Z ulgą przestaje zabawiać rozmową wylewnego starego wuja panny młodej, który skończył siedemdziesiąt sześć lat, tańczy z nim, gdy stoły są już zastawione, ale Arnold czuje się samotny na kanapie, widać to po nim, bo przewraca stół i tłucze butelkę. Ida domyśla się, co się będzie działo, więc wybiega, łapie torebkę, wraca taksówką do domu i nie wie, czy on przyjdzie, ma nadzieję, że nie, bo są tu dzieci, a Arnold jest wściekły i pijany.

Rano idzie do pracy, prowadzi debatę o teatrze i wartościach w Studentlunden, on o tym wie, pojawia się ze zwieszoną głową, smutny i zapłakany. To błędne koło, im więcej tłucze i niszczy, tym bardziej boi się ją stracić i strach przejmuje nad nim kontrolę, a gdy wypije, ogarnia go wściekłość. Dawno nie widziała go tak

roztrzęsionego. Znajdują ławkę i siadają, on drzy i szlocha, co ma z nim począć?

Jego finanse to jedno wielkie dno, katastrofa, wciąż walczy z Kjersti o alimenty na syna, ona grozi mu sprawą w sądzie, dzieci Idy go nienawidzą, wszystko jest takie beznadziejne, on czuje się beznadziejnie. Co Ida może zrobić? Zostawić go. Pozwolić mu pożeglować na własne wody. To niemożliwe, coraz bardziej niemożliwe, czuje to. Ich życie i praca splatają się więc tak mocno, że ma wrażenie, że traci oddech, a jednak, kiedy nie ma go obok, też ciężko się oddycha, jakby mieli wspólne płuco.

Masturbują się przed sobą. Opowiadają sobie, jak im było z innymi, co robili z innymi i w jaki sposób. Opowiadają sobie nawzajem o czym fantazjują i wprowadzają te fantazje w czyn. Czytają pornograficzne pisma i robią to na sposoby tam opisywane. Używają przyrządów kuchennych i marchewek, bułki paryskiej, która powoli rozmięka. Zabierają do łóżka skrzynkę z narzędziami, piją i siusiają na siebie, urządzą sceny i wstydzą się przejść przez recepcję hotelową, jeśli stoją tam inni ludzie, bo ktoś mógł usłyszeć, jak na siebie krzyczeli, jak się bili i jak uprawiali seks w nocy. W Paryżu ona tańczy na ulicy, on gra na akordeonie, a ludzie wkładają

pieniądze do stetsona Arnolda, wieczorem w kilka godzin zarobili trzysta franków, oczywiście byli pijani.

Jest ciepło, letnia fala upałów. W Kopenhadze okna i drzwi są pootwierane, także nocą. Pisze o tym felietonista w duńskiej gazecie „Politiken”. Jego żona jest w zaawansowanej ciąży i nie może spać, przewraca się z boku na bok. A w dodatku zakochana para głośno uprawia seks przez pół nocy w kamienicy po drugiej stronie ulicy. Kiedy wreszcie kończą, reszta sąsiedztwa jest tak zainspirowana, że stosunki zaczynają się we wszystkich sypialniach. On to opisuje, zabawna, mała rzecz, którą czytają w samolocie lecącym na południe. Wolą duńską prasę od norweskiej. Długi weekend w Kopenhadze, ona nie pamięta dlaczego, z jakiej okazji, może po prostu mieli ochotę i pieniądze, chcą wyjechać. Jak wiadomo, jest lato i piękna pogoda, nie potrzeba innego powodu do wyjazdu niż tylko chcieć. Wprowadzają się do przytulnego Hotelu Ibsen, chodzą po mieście w lekkich ubraniach i jadają japońskie jedzenie, nie potrafi sobie przypomnieć, jak to się zaczęło, wciąż to samo, prawdopodobnie te same, odwieczne sprawy. Kłóć się, a ona nie może już tego znieść, wskakuje do przejeżdżającej taksówki i znajduje inny hotel, żeby w nim przenocować

i nie walczyć z nim przez całą noc. Rano jedzie do niego do Hotelu Ibsen, z nadzieją, że odzyskał dobry humor, żeby reszta weekendu upłynęła przyjemnie, żeby mogli coś razem porobić. Znajduje go w łóżku. Wszystkie jej rzeczy są porozrzucane na podłodze, wszystkie przybory toaletowe i buteleczki ze sklepu wolnoćlowego, wszystko, co dało się potłuc, zostało potłuczone.

Kładzie się obok niego na łóżku, on jest zmęczony, na wpół omdlały. Koło siódmej dzwoni do nich obsługa hotelowa z recepcji, z prośbą, żeby się wyprowadzili. Nie są mile widzianymi gośćmi w Hotelu Ibsen. Wyprowadzają się więc. Dwa dni później mogą przeczytać w Politiken felieton tego samego autora, którego czytali w samolocie, kiedy pisał o upałach i ciężarnej żonie, która nie może spać, teraz pisze, że kiedy w sąsiedniej kamienicy przestali już uprawiać seks i fala upałów dobiegła końca, nie mógł spać przez pół nocy przez Norwega, który stał w oknie i wołał swoją dziewczynę: – Ida! Ida! Gdzie jesteś?

Są zmęczeni pracą. Są zmęczeni prasą, zmęczeni książkami, teatrem, krytyką. Są zmęczeni sobą nawzajem, zbyt zmęczeni, żeby się rozejść, to uzależnienie unieszczęśliwia. Są zmęczeni rodzicielstwem. Są zmęczeni wstawaniem rano, myślą o wstawaniu rano, myślą

o wszystkich latach, które przeżyją, myślą, że mogą dożyć osiemdziesiątki, jesień już ich dostrzegła.

– Idziemy tylko na spacer – mówią do dzieci i wymykają się w listopadową ciemność do najbliższego miejsca, gdzie serwuje się alkohol, chińskiej restauracji w Oslo albo kafejki w centrum, jeśli są w Trondheim. Wychodzą na deszcz, wędrują mokrymi ulicami, bez słowa, mokną im włosy i ramiona. Zdejmują z siebie kurtki i człapią do stolika w najgłębszym kącie.

– To samo, co zwykle? – pyta kelner pełnym troski tonem, oni kiwają potakująco głowami, on wraca z dwoma piwami, które prędko znikają, przywołują go raz jeszcze, a on przynosi im dwa kolejne.

– Idę sobie zrobić dobrze – mówi on i zabiera ze sobą do sypialni jedną z pornograficznych gazet. Wynajęli letni domek w Danii, żeby pisać.

– Możesz przyjść i na mnie popatrzeć – mówi, a ona idzie, żeby na niego popatrzeć, jemu podoba się, że ona na niego patrzy i pyta, czy może popatrzeć na nią, ona zdejmuje spodnie, obnaża się przed nim i zaczyna się pieścić, on ma orgazm, po chwili ona ma orgazm, dotyka się, kiedy on gładzi ją po pośladkach. To coraz bardziej przypomina mycie naczyń, szorowanie podłogi. Od

przodu, od tyłu, z każdej strony, jeśli czegoś jeszcze nie zrobiliśmy, to zrobmy to, dlaczego nie, żadna różnica. Siusiają na siebie, to tylko ciepło na twarzy i piersiach, jak pieszczota, nie śmierdzi. Dlaczego by nie dowiedzieć się, jakie to uczucie, nie poznać pełnej skali zaskoczenia, zazdrości, radości, nostalgii, wyrzutów sumienia, wszystkiego, co potrafią poczuć, dlaczego by nie. Czy może niebezpiecznie jest przeżywać swoje tajemne marzenia, odgrywać to, czego najbardziej się boją.

Przyjęcie na wsi, jubileusz nieżyjącego dramaturga. Goście zatrzymują się w pensjonacie, daleko od ludzi, in the middle of nowhere. Czy widzą, że to możliwe, czy mogą to sobie wyobrazić od chwili swojego przyjazdu? Jakaś kobieta podchodzi do Idy wczesnym wieczorem, nazywa się Ida, mówi, dwie Idy na jednym przyjęciu to coś niezwykłego. Arnold siedzi, obejmując jej kolana, mają to na zdjęciu, tutaj. Ida oparła nogi na krześle obok, a Arnold obejmuje ramieniem jej kolana, należy do niego. Mała, pulchna Ida podchodzi do Idy i coś zaczyna się dziać, potem trudno jest dociec, co właściwie, jak to mogło się zacząć, jak to się zaczęło, skąd obydwójce nagle wiedzą, o co chodzi, bez słowa, nagle znajdują się w tym samym pokoju. Przekraczanie granic.

W pokoju, w którym śpią. Pulchna Ida i znacznie szczuplejsza Ida, mały i okrągły mąż Idy oraz Arnold, z winem i wódką, rozbierają się, nie próbowali tego jeszcze, należy spróbować. O krok bliżej. Myślą, że trzeba stłumić w sobie normalność, narzuconą przez społeczeństwo, nieszczerą normalność, o ile w ogóle myślą. Nie da się tego odtworzyć. Czwooro nagich ludzi. Ida pod obcym mężem małej Idy na jednym łóżku, Arnold z drugą Idą – na drugim. Jakie ciała są do siebie podobne. Ramiona, po których prześlizgują się dłonie, członek pręży się pod dłonią, poruszającą się tam i z powrotem w dobrze znany, stary sposób. Włosy na karku i na piersi. Dłoń między nogami, poszukująca w ten sam stary sposób, dociera do wilgotnej dziurki i krąży wokół niej. Potrafią robić to przez sen, potrafią nawet po pijanemu. Takie same ruchy bioder, jak psy. Ktoś chce zostać pocałowany w ucho, pocałuj go w ucho. Ktoś chce poczuć palec w tyłku, włóż mu palec do tyłka. Kiedy Arnold dochodzi, mówi: – Kocham cię! To działa. Mówi, gładząc ją po piersiach i talii: – Jaka ty piękna! To działa. Teraz ona zawsze mówi „kocham cię”, gdy dochodzi, „jaki ty piękny”, głaszcząc, nie doświadczyła tego na próżno. Jest w łóżku z innym, w Arnoldzie nagle wywołuje to atak wściekłości. Zaczyna wrzeszczeć, szaleć.

Uderza ją, wybiega, trzaska drzwiami, krzyczy, znika. Oni wstają, dochodzą do siebie, a więc nie wyszło. Nie, tego się nie spodziewali. On nie może tego znieść. Często tak się zdarza. Ida też nie może tego znieść, ale nie potrafi odmówić. Arnold wybiegł, Arnold klnie i pędzi korytarzem, budząc gości, którzy wychodzą na zewnątrz i go zatrzymują.

– Kurwa! Pierdoli się z innym! Kurwa. Zabiję ją. Mała, pulchna Ida i jej mąż wychodzą z pokoju. Ida leży w łóżku. Arnold wraca, ktoś złapał go za ramiona i wepchnął do jego własnego pokoju. Rzuca się na nią. Nie jest duży, nie boi się go, jest po prostu zmęczona. Zmęczona wewnątrz i na zewnątrz. On ją szarpie, łapie za ramiona i potrząsa, uderza nią o ścianę, jest taka zmęczona, prawie martwa, może z nią robić, co chce.

Rano nie jedzą śniadania, nie uczestniczą w programie. Wyjeżdżają zaraz po wstaniu, pakują się i wyrzucają to, co do nich nie należy, puste butelki po wódce i dwie pary cudzych majtek, damskie i męskie, a więc to nie był tylko sen. Wymykają się, kiedy na dworze nikogo nie ma, gdy nikt ich nie widzi, tak cicho, jak tylko potrafią, podrapani, poszarpani, zmiażdżeni. Wyjeżdżają i nie rozmawiają w drodze do domu.

Dzieci czekają. Nie da się tego właściwie opisać, pomyśleć, tylko przeżyć.

Wytrzymują. Jak gdyby to była cnota. Planują wyjazdy, jakby chodziło o innych ludzi, jakby to od innych musieli uciekać. Wprowadzają się do hotelu, wychodzą, piją, wracają do pokoju, piją i znowu wychodzą. To szaleństwo, ale nie mogą przestać. Czego szukają, w czym toną, o tym nie mówią ani słowa. Czasem czują lęk, żyją w głębokim smutku. Płaczą. Nic nie mówią. Opłakują fakt, że nie są już w sobie zakochani. Nie wiedzą nic więcej, to właśnie mówią, bez słów, nie potrafią już rozmawiać. Piją. Nie potrafią zbliżyć się do siebie bez lęku, bez drżenia.

Wysiadają z pociągu w Kongsbergu, idą na festiwal jazzowy, wypili, piją dalej, uwieszeni sobie u ramion, ale wiedzą: tak dłużej być nie może. Kupują bilety, słuchają muzyki, ona tańczy z innym, jemu to się nie podoba, ale nie ma siły, żeby to okazać, jest wyczerpany, nic z tego nie będzie. Nie biją się już, nie całują, przyciskają się tylko do ściany, każde do swojej, odwrócenie do siebie plecami, nie kochają się już albo robią to po dawnemu, w pięć minut albo krócej, cztery i pół minuty albo trzy, on na niej, za nią, ona pieści się i tęskni za czymś innym, musi istnieć coś innego.

Brunatny hotel, brunatna kawiarnia, siedzą

w niej przez pół nocy, do rana i rano, przed południem, zanim odjedzie pociąg, pytają tylko: Gdzie podają tu piwo o tej porze? W Andy's, idą więc tam, ale ku swojemu przerażeniu przy drzwiach słyszą, że w środku ktoś deklamuje poezję i wycofują się czym prędzej.

Nie do pomyslenia, że mieliby nie być na zawsze razem, dlatego są tacy wykończeni, tacy zmęczeni tą myślą.

Arnold organizuje wycieczkę do Berlina dla swoich studentów. Jest opiekunem, Ida też jedzie, jako żona profesora. To Ida zaczyna. To wina Idy, jeśli by szukać winnego. To ona wykonuje pierwszy ruch. Opowiada koledze Arnolda, nieszczęśliwie żonatemu, choremu z miłości człowiekowi, już na lotnisku, a może w samolocie, a może na tarasie hotelowym w nocy, gdy oddychają już ciepłym, berlińskim powietrzem, że robili to w kilka osób, ona i Arnold, z innymi ludźmi, kiedy się upiła. Chwali się tym. Kiedy leżą już w łóżku, rozlega się pukanie do drzwi, stoi za nimi kolega Arnolda ze studentką i butelką wódki.

Nie tego wieczoru, ale następnego. Na tarasie na dachu, w ciemności, gdy inni się położyli, ona siedzi i rozmawia z tamtą studentką, która jest pijana i zwierza się Idzie, płacze, a Ida myśli tylko: Bądź dla niej dobra. Co ja mogę zrobić

dobrego? Gładzi ją po włosach i kładzie jej głowę na swojej piersi, a studentka chwyta ją za pierś. Obejmuje dłonią jedną pierś Idy i przyciska twarz, usta do drugiej, jakby chciała ją pocałować, Ida całuje jej włosy, wtedy studentka unosi głowę i całują się w usta. Ida dotyka jej dużych, świeżych piersi o całkowicie różowych brodawkach, które ściągają się i twardnieją w jej ustach. Biały, tłusty brzuch, którego dziewczyna się wstydzi, a który Ida całuje, jakby chcąc powiedzieć: Jesteś wystarczająco dobra. Śliczna. Schowane za wielkim wentylatorem na tarasie na dachu, same, niedługo zrobi się jasno, już świta, ona całuje pulchny, biały brzuch, pępek, dotyka dłońmi wewnętrznej strony ud dziewczyny, rozsuwa je i mówi: – Jaka ty śliczna! Całuje brązowe włoski. Całuje mały, czerwony guziczek który rośnie, gdy się go dotyka, ssie go, całuje wilgotne wnętrze, wsuwa język w mokrą dziurkę, jakby była mężczyzną, liże ją dookoła, wilgotną, sinawą cipkę, czeka, aż doznania staną się niemal nie do zniesienia, zna to z własnych doświadczeń, a potem ssie ją, słyhać odgłosy ssania, westchnienia, rytmiczny oddech, który zna z własnych doświadczeń, wie, jak to jest, teraz i wcześniej, teraz dziewczyna ma orgazm, skurcze wilgotnej cipki. Zaciska się, obrzmiała i mokra,

trzęsie się duży, biały brzuch. Potem się rozchodzą, każda do swojego pokoju. Arnold śpi. Po kilku godzinach wstaje i wychodzi na wycieczkę ze studentami.

Ona zostaje sama. Czy to alkohol, czy to drugie, czy może obie te rzeczy, wszystko naraz, to za dużo. Młoda kobieta pewnie nie wie, w co się wplątała. To szaleństwo. Nie może zostać w środku, nie może wyjść na dwór, nie może siedzieć, nie może chodzić. Jest wstrząśnięta, może tylko się modlić, pomoże albo nie. Dobry Boże! Nie proszę cię, żeby nie bolało. Nie chcę unikać bólu. Będę dźwigać mój ból, tak jak inni dźwigają swój. Wiem, że na świecie jest nieskończenie więcej bólu, ale ten szczególny ból, którym obdarzasz akurat mnie, jest nie do wytrzymania.

Dzwoni do domu, do dzieci, żeby usłyszeć ich głosy po powrocie ze szkoły, stoi przy telefonie w recepcji, gdy obok przechodzi ona, kobieta z dachu, studentka, która nie wybrała się na wycieczkę z innymi, ale została w pokoju, jest zbyt wstrząśnięta, myśli sobie Ida, jak to Ida. Przechodzi niespodziewanie obok, gdy Ida rozmawia przez telefon w recepcji.

– Hej – mówi z potępieńczym wyrazem twarzy.
Czy sprawiła jej ból? Trzeba z nią

porozmawiać, wypytać. Usiadła w ogródku hotelowym z piwem. Ida też zamawia piwo, wypija połowę przy kontuarze, zanim do niej podejdzie, do młodej dziewczyny z dachu, z nocy, tej nierzeczywistej nocy, i pyta, czy może się przysiąc. Dziewczyna uśmiecha się i wygląda na zadowoloną, tak się Idzie wydaje, siada więc obok niej i ostrożnie wypytuje. Młoda kobieta uśmiecha się. Robiła to już wcześniej, odpowiada. Bez obawy.

Gdy Arnold i studenci wracają, gdy zjedli już obiad i wypili, Ida przyznaje mu się. On uważa, że to nic nie szkodzi.

To Ida zaprasza. Mówi: przyłącz się do nas. Dlaczego to robi i czy wie, co robi? Studentka przyłącza się, wchodzi do nich do łóżka, to Ida całuje ją pierwsza, to Ida ją dotyka, ona dotyka Idę, Ida leży w środku. Czy to w ten sposób będą się od tej pory odnawiać, a może w ten sposób ona kończy, krok po kroku, tę coraz bardziej niemożliwą relację, i czy właściwie jest świadoma tego, co robi. Dzień później czuje się wyłączona, jak po wizycie w klubie w Kopenhadze, kompletnie wyłączona, przyciska się do Arnolda i kocha Arnolda, tylko Arnolda, nie może patrzeć na kobietę, na tę głupią kobietę, która wciska się w ich życie, która podchodzi do nich w biały dzień

i chce z nimi pogawędzić, jak gdyby nigdy nic. Ida chce uprawiać seks z Arnoldem, ma ochotę na Arnolda, kładzie nogi na jego udach w autobusie i jest napalona, oszalała, seksualnie opętana Arnoldem. W nocy pulchna, młoda dziewczyna puka do ich drzwi, wpuszczają ją do środka i Ida leży pośrodku, ale Arnold dotyka teraz też tej drugiej, też chce się zabawić, mówi, uprawia seks z Idą, na Idzie, ale gdy uprawia seks z Idą, na Idzie, jego dłonie muskają ciało tej drugiej kobiety, piersi tej drugiej kobiety, które ssie i liże, ale seks uprawia z Idą. Ostatniej nocy ona też się pojawia, puka do drzwi, gdy wszyscy poszli już spać, wpuszczają ją do środka i pozwalają jej położyć się ze sobą w łóżku, dotykają jej, Arnold uprawia seks z Idą i gdy Ida miała już orgazm, a Arnold jeszcze nie, robi to dalej, a Idzie chce się siusiu, mówi, że idzie się wysiusiać i wysuwa się z jego objęć, zrzuca go z siebie i proponuje mu, żeby zrobił to z nią, z tą drugą, kiedy ona będzie w ubikacji. Teraz on uprawia seks z tą drugą. Trzyma rękę na talii tej drugiej, tak jak trzyma rękę na talii Idy niemal każdego ranka, teraz ręka porusza się, schodzi coraz niżej. Ida stoi ze szczoteczką do zębów w ręku i obserwuje. Ależ to boli. Jego ręka, która powoli przemieszcza się niżej. Kobieta jęczy i dłoń ożywa, Ida to widzi. Stoi w drzwiach i to

widzi. On z chęcią kładzie jej rękę na cipce, ciemnej, sinawej, wyglądającej jak małe zwierzątko. Pochyla się nad tą drugą kobietą i całuje jej sutki, czując, jak ściągają się w ustach, tak jak ściągały się w ustach Idy, i wkrótce dochodzi wewnątrz niej, nie wiedząc, że Ida stoi i patrzy. Jakie to podobne, jak on to lubi, tak jak lubi robić to z nią, dlaczego ona robi to sobie. Teraz prędko następuje finał. Teraz dochodzi szybko, takie to cudowne. Tak cudownie jest mu w innej kobiecie, że dochodzi. Ida ucieka do łazienki i zamyka się w środku. A więc to prawda, a więc tak się da, niemożliwe stało się możliwe, to, z czym nie da się żyć. Nie zniesie tego. Ona stoi w łazience, on teraz pieprzy tę drugą, teraz dochodzi, teraz jęczy, teraz jest mu najcudowniej. To jest nie do zniesienia. Nie zniesie tego.

Dlatego, że wszystkiego należy spróbować. Żeby poczuć rozstanie, zanim nadejdzie. Wiedzą, że nadejdzie, albo umrą. Jeśli chcesz mnie zostawić, zostawiaj mnie powoli, po kawałeczku, żeby prawie nie dało się tego poczuć, żeby kiedy to już się stanie, wszystko było skończone. Zostaw mnie wcześniej, zanim się poznamy, pozwól mi poznać kogoś innego niż ty, jeśli zechcesz mnie zostawić, już mnie zostawiłeś, zostawiłeś mnie w moim dzieciństwie.

Nie wychodzi z powrotem.

– Ida, chodź – wołają, ale ona nie chce wyjść. Mogą leżeć w łóżku i się pieprzyć, dadzą sobie radę bez niej. Siedzi na podłodze, nie może wstać, nakrywa głowę ręcznikiem, to tak boli.

– Ida, wyjdź!

Uchyła drzwi dla Arnolda, ale nie wyjdzie, zanim ta druga kobieta nie opuści pokoju.

– Musisz ją wyrzucić – szepcze, chrypi. – Niech się wynosi! Wyrzuć ją. Nie wyjdę, zanim ona nie zniknie, nie mogę na nią patrzeć, nienawidzę jej, wyrzuć ją.

– Dobrze, dobrze.

– Wyrzuć ją, mówię – szepcze ochryple. – Nie mogę znieść jej obecności, nienawidzę jej, wyrzuć ją.

– Ida!

– Albo zacznę krzyczeć. Zaraz zacznę wrzeszczeć, płakać, słyszysz, najgłośniej jak potrafię, zaraz się zacznie, a kiedy się rozkręcę, nie będę potrafiła przestać, na pewno, słyszysz, wyrzuć ją stąd!

Arnold wychodzi, mija kilka minut. Może dziewczyna się ubiera, tak, ubiera się, a on obserwuje ją podczas ubierania, może pomaga jej szukać majtek i biustonosza, który leży gdzieś pod kapą na łóżko albo w kącie, patrzy na jej ciało, na

wpół nagie, na wpół ubrane ciało, z którym właśnie się kochał, tak właśnie, kochał się, może rozmawiają w sekrecie, może ją całuje. Może tłumaczy, że Ida jest stuknięta, może mruga do studentki i mówi, że gdy tylko wrócą do Trondheim i Ida zniknie im z oczu, pójdą na piwo i o tym porozmawiają, że będzie mogła przyjść do niego do biura, ale akurat teraz musi już iść, ze względu na Idę, niezależnie od opinii Arnolda, jego zdaniem powinna zostać, ale teraz chodzi o Idę, która nagle stanęła okoniem.

Potem puka do drzwi łazienki i mówi, że studentka poszła. Ida wychodzi, kładą się do łóżka i uprawiają seks, są smutni.

– Dotykaj mnie mocno! – mówi on, a potem: – Ukarz mnie!

– Ukarz mnie – mówi. – Złap mnie mocno!

– Nie, nie tak mocno – mówi. – Bądź ostrożna!

– Uderz mnie! Uderz! – mówi.

– Nie, nie tak mocno. Nie, au! – mówi.

– Kocham cię – mówi ona. – Wejdz we mnie, rozerwij mnie. Chcę usłyszeć śpiew aniołów.

– Uderzę cię!

– Tak! Dobrze. Zabij mnie!

– Rozerwę cię na kawałki!

– Spal mnie! Poraż moje piersi prądem, chcę krwawić!

– Nigdy nie będziesz taka jak wcześniej!
– Jestem już innym człowiekiem! Zaciśnięta pięść, kochanie! Bierz mnie mocniej. Tak, dobrze, aż umrę!

– Nie wolno ci umrzeć!

– Dziękuję, dziękuję! Upokarzaj mnie bardziej, chcę zaznać upokorzenia!

Gdy go poznała, był jasny. Wyszedł z głównego wejścia do Frognerparken, kierując się w stronę Herregårdskroa, a ona siedziała na murku i czekała. Włosy miał puszyste, blond, prawie przezroczyste. Po kilku latach pociemniał, jak ona, tak jak oczy ludzi, którzy długo mieszkają w Chinach albo Japonii robią się skośne, on stał się ciemniejszy, cięższy i bardziej krępy, bardziej męski, żeby lepiej do niej pasować. Gdy go poznała, lubił czarną kawę, teraz pija kawę z mlekiem, jak ona. Pyta ją: – Zakładasz kurtkę? I jeśli ona zakłada kurtkę, to on też. Jeśli ona zakłada czapkę, on też zakłada czapkę. Gdy spotkała go po raz pierwszy, miał zdeformowany paznokieć na palcu u stopy, jakaś gruba kobieta nadepnęła mu w dzieciństwie na palec, kiedy grał do tańca, od tego czasu paznokieć nie chciał się zagoić. W ostatnim roku związku z Idą, ostatniego lata, jego stan powoli zaczął się poprawiać, aż wreszcie zagoił się całkowicie. Tymczasem tego

samego lata, podczas zmywania naczyń, Ida upuściła talerz na wielki palec od nogi, paznokcieć posiniał i odpadł, i powoli odrósł taki sam, jak niegdyś u Arnolda. Tego wieczoru, gdy po raz ostatni ją zdradził, po raz pierwszy z ostatnią kobietą, z którą ją zdradził, o której wie, uderzyła szklanką o zegarek, któremu odpadły wskazówki.

Jej przyjaciółka bierze ślub i pyta, czy Ida zechciałaby być świadkową. Ceremonia odbędzie się w Skagen, daleko od rodziny, z którą nie pozostaje w dobrych stosunkach, to zrozumiałe, sami by tak zrobili, gdyby planowali ślub, a przecież planują, w przyszłym roku, ona i Arnold.

– Nigdy mi się nie oświadczyłaś!

Gdy potrafiłam, nie mogłam. Teraz, gdy mogę, nie potrafię.

Tylko młoda para i świadkowie, wsiadają na statek w czwartkowy wieczór, piątek w Skagen i ciche wesele w sobotę, a w niedzielę z powrotem do domu, tak zaplanowali. Młoda para stawia. Pasuje?

Tak, w ten weekend nie jest zajęta. Pasuje. Ale nie mówi tego, co natychmiast pomyślała i co przyprawia ją o ból brzucha: Ale Arnold. Znowu myśli o Arnoldzie. Arnold wpadnie we wściekłość. Został zaproszony na wielkie przyjęcie tydzień

później, ale nie do Skagen.

– Czy to konieczne? Trzy dni? Wyprawiają przecież przyjęcie tydzień później, czy to nie wystarczy. Czy jej ślub musi trwać czternaście dni. Czy to nie bezczelność, domagać się takiej ilości twojego czasu. A ty się zgadzasz. Bez uzgodnienia tego ze mną. Gdybyśmy byli małżeństwem, ja też zostałbym zaproszony. Twoi przyjaciele nie traktują naszego związku poważnie. Nigdy nie traktowali. Myślałem, że pojedziemy w ten weekend do Danii. Mam wtedy wykład w Århus i sądziłem, że pojedziesz ze mną, że moglibyśmy spędzić resztę tygodnia w Danii i popracować, wspominałem ci o tym dawno temu, ale ty od razu powiedziałaś „tak” swoim przyjaciółkom, nawet ze mną nie porozmawiałaś, nie traktujesz mnie poważnie.

Teraz będą dyskutować o tym co wieczór, codziennie, aż do dnia jej wyjazdu. Trzy tygodnie przed i trzy tygodnie po, i za każdym razem, kiedy się pokłócą. Zdarza się, że odwołuje, mówi nie, ponieważ nie daje rady, nie może znieść awantur przed, awantur po, kłótni. Ponieważ on wścieka się tak bardzo, jest taki zawiedziony, taki urażony, że idzie na górę i kładzie się na kanapie, aż ona musi pójść do niego na górę i ubłagać go, żeby zszedł. Albo idzie na dół i kładzie się do łóżka

przed południem, zamyka oczy i mówi, że popada w depresję, aż ona musi zejść do niego na dół, udobruchać go, głaskać go i poklepywać, kochać się z nim, żeby z powrotem wprowadzić go w dobry humor. Tylko ty, Arnoldzie, ponad wszystko. W jaki sposób zyskał nad nią taką władzę. Czego ona się boi. Że ją zostawi, zdradzi, sprawi jej ból. To on włada narzędziami tortur: Łaski!

Czasem odmawia, ale nie może zrezygnować ze ślubu przyjaciółki. To ważny dzień, wielka okazja, jej przyjaciółka, to zaszczyt, ale nie ma sensu tłumaczyć, dała już sobie spokój z tłumaczeniem. Jedzie więc. On jej za to nienawidzi. Za to, że jedzie bez żadnych wątpliwości. Przez chwilę wątpi specjalnie dla niego, ale w rzeczywistości nie wątpi ani przez moment, nie rozważa na poważnie ani odmowy, ani wyjazdu z Arnoldem do Århus, gdzie będzie wykładał. Cały następny tydzień spędzą razem w Danii, taki jest plan. To musi wystarczyć, cały tydzień. Ale nie o to chodzi, tylko o to, że on nie został zaproszony, że się z nim nie liczą, że nie jest traktowany poważnie, tak to odbiera, że ona przecieka mu przez palce, tak to odbiera. Ona jedzie do Skagen. On wyjeżdża do Århus, żeby mogli spotkać się gdzieś w połowie drogi, wynająć sobie miejsce do pracy, tylko we dwoje, na cały tydzień. Będzie dobrze. Ale mogli

wyjechać razem i być dłużej tam, we dwoje. Tak jak Arnold zaplanował już dawno temu. Gdyby nie ten pomysł ze Skagen, który pojawił się nagle, a Arnold nie został zaproszony. Czuje się upokorzony i coś złego musi się wydarzyć. Ona wie, że wydarzy się coś złego. Wykupiła zagraniczny abonament na telefon komórkowy, żeby Arnold mógł się z nią skontaktować, ale wydarzy się coś złego. On czuje się upokorzony i coś się wydarzy, nie potrafi przestać się niepokoić. Młoda para stoi na nabrzeżu i czeka, drugi świadek jest z nimi, uśmiechają się. Teraz będzie miło. Dlaczego Ida uśmiecha się tak sztucznie? Widać to po niej. Widać, że coś się dzieje, że ma złe przeczucia. Komórka dzwoni w torebce. Arnold dzwoni, ona odpowiada, że jest na statku, że teraz idą na dół coś zjeść. On jest odległy, wydaje się rozczarowany, zły. Tak, baw się dobrze, ja siedzę tutaj sam.

Jest taka zmęczona. Dzwoni do niego, gdy położyła się już do łóżka i życzy mu dobrej nocy. On mówi dobranoc, leży sam i musi wyruszyć samotnie następnego dnia, chociaż mogli jechać razem, ale to jej wybór. Ona rozdrapuje skórę na plecach i przedramionach, aż zaczyna krwawić. Nigdy nie odpoczywa. Czy powinna życzyć sobie jego obecności tutaj? Taka jest zmęczona. Teraz

musi tylko podołać. Żeby nic nie poszło źle. Arnold dołączy do nich po wykładzie, musi poprosić ich, żeby zaprosili go na uroczysty obiad, zapewniała go, że to żaden problem. Czuje lęk, to ciągle narzekanie, nacisk ze wszystkich stron. Niech to się prędko skończy, niech wszystko się skończy i znajdzie się z powrotem w domu, to jakiś rodzaj spokoju. W domu u siebie, w spokoju. Nie zniesie więcej niepokoju, więcej nacisku, to musi się skończyć.

Dzwoni do niego do hotelu w sobotę rano, on odpowiada wymijająco i prosi, żeby zadzwoniła za pięć minut. Dlaczego. Co się dzieje. Czy musi pozbyć się kobiety z pokoju. Był przecież zły, zna go już, wie, co robi, gdy jest zły, wiedziała, że coś wisi w powietrzu. Dzwoni ponownie po pięciu minutach, teraz jest spokojniejszy, tak, przyjedzie, dobrze mu poszło, mówi, dobry wykład, dodaje, bardzo go chwalili, mówi, ona słyszy, że jest skacowany. Przyjedzie.

Potem dzwoni, gdy spacerują po plaży w Grenen i zbierają kamyczki. Jest teraz na dworcu, wsiada do pociągu, będzie na miejscu o szóstej, mówi, słyhać po głosie, że pił. Mówi, że za nią tęskni, bo pił alkohol i nie jest już zły, być może spał w nocy z inną kobietą, i to dlatego. Mówi, że cieszy się na spotkanie z nią.

– Nie przyjeżdżaj pijany – odpowiada Ida, powinna była ugryźć się w język, on rzuca słuchawką. Teraz się zaczniesz, już się zaczęło, co teraz będzie, a ślub już za godzinę. Udaje jej się zapytać przyjaciółkę, czy on też może przyjść, Arnold jest w Århus i w pewien sposób są jak małżeństwo, mówi Ida, udaje się, chociaż atmosfera się zmieniła, bo zarazą ich swoim niepokojem, jest ich tylko czworo, myśli, teraz jest w porządku. Rezerwują miejsce dla Arnolda na obiedzie po ceremonii, on przyjedzie o szóstej i jeśli tylko do tego czasu wszystko pójdzie dobrze, oni będą już małżeństwem, będą szczęśliwi. Trzeba tylko dać z siebie wszystko do tego czasu, oni będą szczęśliwi, zadowoleni, wtedy przyjedzie Arnold, a oni w ogóle o tym nie myślą, czy mają Idy dość, czy to w porządku, że zajmie się Arnoldem po jego przyjeździe, tak jak musi.

Biorą ślub, śpiewają w pustym kościele, są sami, tylko ich czworo, pastor i organista. Stają przed ołtarzem z wielką powagą i mówią sobie „tak”. Ida nie marzy o Arnoldzie podczas ceremonii. Nie tęskni za Arnoldem podczas ceremonii. Boi się tylko tego, co nadejdzie. Musi pójść dobrze. Ale kiedy śpiewają Miłość od Boga, głos załamuje jej się na wysokich tonach, w każdej chwili może się rozplakać, pragnie się załamać.

Robią sobie zdjęcia, uśmiechają się, wychodzą na kobierzec z piasku. Panna młoda z czarnymi włosami i zielonymi oczami, jak Latynoska, tak się wygląda, gdy jest się zakochanym. Jej ciało jest tak lekkie, że mąż unosi ją bez wysiłku. Nad morzem, na kamieniu, przy murze.

– Za nas dwoje – mówi on i unosi kieliszek. Szampan na trawie, przed budynkiem, gdzie wynajęli pokoje, duńska flaga wbita w ziemię. Słońce. Arnold niedługo przyjedzie. Odbierze go.

– Za nas dwoje – powtarza pan młody i unosi kieliszek. Mówi cicho, bo dookoła nie ma nikogo poza nimi, ich czwórka, na trawie przed domem w Skagen. Jest wzruszony, jak dziwnie się na to patrzy. Ida unosi kieliszek. On spogląda na nią, jest całkiem poważny i oświadcza łamiącym się głosem, że teraz przypieczętowali najważniejszą rzecz, jaka zdarzyła się w ich życiu, to, że się spotkali. Ida musi pojechać po Arnolda, ale nie ma go na stacji. Dworzec jest zamknięty, Ida biegnie do okolicznych sklepów i wypytuje o sobotnie pociągi, słyszy, że nie przyjeżdża ich wiele. Arnolda nie ma. Jedzie z powrotem, po drodze odbiera od niego telefon. Jest pijany. Ponieważ powiedziała, żeby nie przyjeżdżał pijany. Wysiadł z pociągu, siedzi w sąsiednim miasteczku i pije. Czego więc chce, co chce jej powiedzieć. Dlaczego

dzwoni teraz, co ona ma z tym począć.

– Co ja mam zrobić? – krzyczy, tracąc nad sobą kontrolę, nie może się opanować, to zbyt wiele. On się rozłącza. Nie może do niego zadzwonić, on nie ma telefonu, jest nieosiągalny. Nie dzwoni. Co powinna zrobić. Wrócić do nich, wypić szampana z ludźmi, którzy zamówili stół dla pięciorga, nie dla czworga, wznieść toast za parę młodą w dzień ślubu!

– Nie było go tam – mówi. Ach, tak.

– Po prostu jedźmy – mówi ona. Nie ma na co czekać. Arnolda tam nie ma, ale duch Arnolda unosi się nad Idą. Jadą do restauracji Brønnums w Skagen. Najlepszy moment dnia, oto młoda para! Ostrygi do szampana. Telefon komórkowy leży na stole, ale milczy. Nagle on staje w drzwiach, pijany. Ida zrywa się z miejsca. Jest kompletnie nawalony, zatacza się. Chce się z nią kłócić, ona wyprowadza go na zewnątrz. Jest wściekły na nią za to, co powiedziała, za to, że zabroniła mu przyjeżdżać po pijanemu. Wściekły za to, co zrobiła i czego nie zrobiła, głównie za to drugie. Ona pyta, czy będzie w stanie zachowywać się przyzwoicie, dopóki nie wrócą do domu, aż skończy się obiad i będą mogli się położyć.

– Nie cieszysz się na mój widok!

Ostrygi czekają, szampan czeka, młoda para

czeka.

– Tak, tak. Czy dasz radę zachowywać się przyzwoicie, dopóki nie będziemy mogli iść się położyć?

– Wygłosiłem kurewsko dobry wykład o Brechcie i odniosłem cholerny sukces, a ty nie cieszysz się na mój widok!

– Tak, tak. Czy potrafisz zachowywać się przyzwoicie, zanim nie wrócimy do domu? Oni wzięli dziś ślub. Musimy do nich iść. Jedzenie czeka.

– Nie cieszysz się na mój widok.

– Tak, tak. Możemy do nich iść?

– Mogę sobie pojechać. Nie powinienem był w ogóle przyjeżdżać.

– Tak, tak. Możemy do nich iść?

– Nie cieszysz się ani trochę na mój widok.

– Tak, tak. **CZY MOŻEMY TERAZ DO NICH IŚĆ?**

– Mogę sobie pójść. Nie chcesz mnie tutaj!

– Tak, tak!

Och, nudno się o tym pisze, pewnie nudno się to czyta, ileż to trwa. Dziesięć minut, kwadrans albo więcej, zanim wejdą do środka. Arnold opowiada o swoim sukcesie, o swoim wykładzie na temat Brechta. Nie chce jeść, pali cygara.

– Nie gadaj tak głośno – upomina go Ida, bo

mówi głośno, dominuje nad otoczeniem

– Nie gadaj tak głośno – mówi on, gdy tylko ona zabierze głos.

Teraz już nie wytrzymam tego dłużej, myśli ona. Teraz musi się to skończyć, myśli sobie. To nie może dalej trwać, nie może tak być przez całe życie, myśli sobie.

Arnold rozprawia głośno o swoim sukcesie, o swoim wykładzie na temat Brechta. Może spędził z kimś noc, czy to dlatego jest pijany, bo spał z jakąś kobietą podczas seminarium i ma nieczyste sumienie, i musiał upić się, żeby być w stanie tutaj przyjechać, czy o to chodzi?

Arnold opowiada o swojej zachwyconej publiczności.

– Åshild i Rune wzięli dzisiaj ślub – mówi Ida.

– Nie gadaj tak głośno – odpowiada Arnold. Ida wychodzi do toalety. Płacze, nie może się powstrzymać. Panna młoda wychodzi za nią, bo widzi, rozumie, wchodzi za nią i gładzi ją po włosach, żeby ją pocieszyć.

– Będzie dobrze – mówi. – Nie myśl o nas. Nam to nie przeszkadza. Rozluźnij się, nam jest dobrze – mówi. – Damy sobie radę. Niech sobie gada, nie myśl o tym, Ido.

Potem znowu wychodzą, a kiedy Arnold idzie do toalety, świadek pana młodego spogląda

z powagą na Idę i powoli pyta: – Co się tutaj dzieje?

Ma na myśli: Dlaczego jesteś z tym facetem. Tym małym, łysym, brzuchatym facetem, z facetem, który nie potrafi się zachować. Który może i odniósł sukces swoim wykładem o Brechcie, ale nie ma manier, nie umie się zachować. Obcy człowiek, który zna Idę od dwóch dni, zastanawia się, kim jest Arnold, jej mężczyzna, profesor germanistyki, nic nie rozumie.

– O co tu chodzi, Ido?

Ida boi się Arnolda. Siedzi jak na szpilkach z powodu Arnolda. Panna młoda też się boi, ze względu na Idę, pan młody boi się ze względu na pannę młodą, ale świadek pana młodego się nie boi.

– Powiedzieć wam, co teologowie sądzą o moim wykładzie o Brechcie? – pyta Arnold, zapala cygaro i chce mówić dalej.

– Nie – odpowiada świadek pana młodego i odwraca się do Arnolda tyłem, zwraca się do pary młodej i zaczyna mówić o czymś innym, a Arnold milknie. Tak należy go traktować. To możliwe. Nie do wiary, że nigdy tego nie zrobiła. Arnold dolewa sobie koniaku do kawy, to pomaga. Inni chcą iść dalej na miasto, Ida wraca do domu

i kładzie Arnolda do łóżka, a gdy on chrapie, siedzi i patrzy na niego. Z taką pewnością zajął jej łóżko, pojedyncze łóżko, które muszą dzielić, ponieważ gospodarze nie wiedzieli, że przyjedzie. Z taką pewnością siebie leży rozwalony na łóżku i chrapie. Ona się nie kładzie, słyszy, jak pozostali wracają i rozchodzą się do łóżek, zasypia na krześle. Zdenerwowanie nie mija rano; jakby był jej dzieckiem, wstydzi się, boi się wyjść z pokoju, spotkać innych, spojrzeć im w oczy. Żeby tylko to się już skończyło, żeby tylko zostali sami w samochodzie, spakowani, w drodze powrotnej, żeby tylko znaleźli miejsce do mieszkania i usiedli nad piwem. Ubierają się w milczeniu. Nic nie mówią. Pakują się i wynoszą rzeczy do samochodu z nadzieją, że nikogo nie spotkają. Nikogo nie spotykają, przed wyjściem pukają do drzwi pozostałych gości, drzwi otwierają się i wszyscy udają, że nic się nie stało. Arnold udaje, że nic się nie stało, wstydzi się czy się nie wstydzi. Gospodarze pytają, czy nie wypiją po filiżance kawy przed wyjściem, Ida prosi o kawę, dostają kawę, siadają każde na swoim krześle i Ida próbuje zachowywać się jakby nigdy nic, pyta o poprzedni dzień, dokąd poszli po wizycie w restauracji, czy dobrze się bawili. Arnold wpatruje się w kawę. Potem Ida wstaje i mówi, że

będą się zbierać. Dziękują za kawę i odstawiają filiżanki na stół. Dziękują i wyruszają. Ida prowadzi. Na południe, tam, gdzie byli latem. Cztery albo pięć godzin drogi do miasta, w którym byli latem, nad morzem, Arnold jeszcze się nie odezwał, jest smutny. Parkują na nabrzeżu i idą do restauracji, w której byli już wcześniej, nad samą wodą, zamawiają jedzenie i piwo. Arnold zwiesza głowę.

– Arnoldzie – mówi Ida, wyciąga dłonie ponad stołem. On kręci głową.

– Arnoldzie – powtarza, on podnosi wzrok.

– Nie powinienem był w ogóle przyjeżdżać.

Wypił i zamawia kolejne piwo.

– Teraz w każdym razie jesteśmy tutaj. Czy nie możemy zapomnieć o reszcie? Teraz jesteśmy tylko we dwoje, tutaj. Mamy cały tydzień wolny. Stuka swoją szklanką o jego szklankę. – Zdrowie, Arnoldzie.

On wypija i odstawia szklankę, zagląda do niej, wciąż trzyma ją w dłoni, a potem podnosi wzrok na nią i uśmiecha się ostrożnie.

– Arnoldzie! – rozpromienia się Ida.

Wynajmują letni domek. Pracują, siedząc przy tym samym stole, każde ze swoim komputerem. Chodzą na spacerzy nad morze, zbierają dziwaczne kamyki i muszle. Chodzą do kawiarni, jedzą na

mieście, jedzą w domu, jak zwykle. W domku nie ma podwójnego łóżka. Dwa pojedyncze łóżka w dwóch osobnych pokojach, nie da się ich przenieść. Zdarza się, że ona w środku nocy przechodzi z łóżka, w którym położyli się wieczorem, do łóżka w drugim pokoju. Żeby lepiej się wyspać, żeby nie było im tak ciasno. On, z którym przed kilkoma laty nie mogła nigdy być wystarczająco blisko, dyszy jej przez cały czas w szyję. Jak się czują? Ciężko, są ociążali, mają ciężkie głowy, ciężkie ciała, nie biegają, czas płynie powoli. Ida nie podoba się sobie, nie lubi swojej twarzy w lustrze. Są cichsi niż zwykle i powolni, nie kłócą się, aż do ostatniego dnia. Wtedy Arnold mówi jej, że ma zbyt głęboki dekolt, w każdym razie przed wyjazdem wybucha kłótnia. Co chce osiągnąć swoim głębokim dekoltem. Na statku idą do baru i upijają się jak zwykle. Gdyby ktoś ich zobaczył, gdyby chciało mu się na nich patrzeć i coś o nich pomyśleć, uznaliby, że oto siedzi dwójka podstarzałych alkoholików i kłóci się o jakieś gówno. Oraz: My nigdy nie możemy tacy się stać.

Zataczając się, wracają korytarzami do kabiny i kładą się każde w swojej koi, i budzą się rano, milczący jak przed snem, zmęczeni i skacowani, nie mogą doczekać się rozstania, on jedzie do

Trondheim, ona do Oslo, nie zegnają się szczególnie serdecznie. Ale już kwadrans po rozstaniu, on w drodze do Trondheim, ona do Oslo, czują, że nadchodzi ból i sam ten początek bólu wystarczy, by zadzwonili do siebie i zapewnili się wzajemnie, że nigdy się nie opuszczą, że się kochają. Tak bardzo boją się bólu, że dzwonią z czystego strachu i powtarzają sobie, że nigdy nie wolno im się rozstać. Nie mogą się teraz rozejść, nie podołają, są zbyt słabi. Rozstanie boli tak samo, jak tkwienie w tym wszystkim. Wyruszyli razem, ale każde doszło w inne miejsce, tak właśnie było.

Rune i Åshild wyprawiają wielkie wesele dla przyjaciół i rodziny. Arnold jest zaproszony, ale nie jedzie, zostaje w Trondheim, i tak nie chciałby przyjechać po tym, jak obrażono go w Skagen. Ileż można świętować ten ślub. Ona nie czyta mu przemowy, którą wygłosi dla Åshild, a on nie prosi jej o przeczytanie. Dzwoni do niej na komórkę tuż przed wyjściem do lokalu, w którym odbywa się przyjęcie, mówi, że instytut robi imprezę, że się na nią wybiera, wtedy będą kwita. Ona wygłasza mowę, rozmawia, tańczy i idzie na imprezę po przyjęciu weselnym. Gdy budzi się we własnym domu następnego dnia przed południem, szkiełko zegarka jest stłuczone, wskazówki odpadły.

Arnold jest wściekły. Wydzwaniał do niej przez cały wieczór i noc na komórkę, ale nie zabrała jej ze sobą, żeby nie mieć z nim kontaktu. Mówi, że poddał się o wpół do piątej. I co zrobił? Wieczorem, gdy zadzwoniła do niego, jak mają to w zwyczaju, koło dwunastej, żeby życzyć mu dobrej nocy, telefon wciąż był zajęty. Gdy pyta go, z kim rozmawiał, on odpowiada:

– Z nikim.

– Z nikim? Przecież było zajęte.

– Nic na to nie poradzę.

On przyjeżdża do Oslo. Siedzą w jej łóżku i piją musujące wino, po czym ona znowu go pyta, z kim rozmawiał w sobotę późnym wieczorem, a on uśmiecha się szelmowsko i odpowiada, że ze studentką, którą spotkał na imprezie instytutu, kiedy ona świętowała ślub Runego i Åshild, Bóg jeden wie, który już raz.

W takim razie jak ona się nazywa. Ile ma lat. Ida wypytuje, a on znowu ma nad nią władzę. Ale nie przeciągaj struny, Arnoldzie, nikt nie wie, która kropla przeleje czarę.

– Wszyscy mówią, że wyprzystojniałem – mówi Arnold. Zapuścił wąsy i kupił sobie nową kurtkę. Pasuje mu, mówią ludzie, studentka tak powiedziała, na imprezie instytutu skomplementowano zarówno jego wąsy, jak

i kurtkę. Żeby Ida wiedziała. Dwudziestoparoletnie studentki uważają go za przystojnego faceta. Żebyś wiedziała, Ido, to może zaczniesz mnie trochę lepiej traktować.

– Nigdy już nie zaczniesz pierwsza – narzeka. Gdy jedzie z powrotem do domu, do Trondheim, ona prosi go ze strachem, z czystym, prawdziwym lękiem:

– Nie sypiaj teraz z innymi, Arnoldzie.

– Zobaczymy – odpowiada on.

Widzi, że to się dzieje, ale nie potrafi tego zatrzymać. Jeśli się dzieje, dzieje się dlatego, że Arnold jest Arnoldem i nie potrafi być inny, i niech to już lepiej stanie się wcześniej niż później, jest już za późno, on się nie zmieni, a ona nie potrafi z tym żyć, nie może ciągle błagać go, żeby przestał.

Wybiera się do niego do Trondheim, jak to ma w zwyczaju, gdy dzieci są u ojca. Ale nie wyjeżdża jak zwykle w poniedziałek, jak się początkowo umówili, bo została zaproszona na spotkanie z dyrektorem teatru w Bergen, który przeczytał jej ostatnią sztukę i rozważa wystawienie jej na scenie. Przyjedzie więc do Arnolda do Trondheim dzień później, bo musi przenocować w Bergen, na koszt teatru, została zaproszona na obiad po spotkaniu z dyrektorem i kierownikiem

literackim. Naturalnie przyjmuje zaproszenie, jest bardzo podniecona, Arnolda to złości. On sam najczęściej rezygnuje ze swoich planów, żeby przyjechać do niej, czy ona zdaje sobie właściwie sprawę, jak zaniedbuje pracę w instytucie, żeby przyjechać do Idy, jak gniewają się na niego koledzy za to, że jeździ do Idy i chce spędzać z Idą jak najwięcej czasu. Ida nie traktuje ich związku poważnie. Jedno, jedyne spotkanie, ale dla Arnolda to cała doba spóźnienia, Arnold będzie musiał siedzieć samotnie w Trondheim.

Spotkanie idzie dobrze, prawdopodobnie wystawią jej sztukę, jeśli tylko zmieni kilka drobiazgów, tak się cieszy, jest taka radosna, prawie nie jest w stanie nic przełknąć podczas obiadu, który nie trwa zbyt długo, biegnie do pokoju hotelowego, żeby zadzwonić do Arnolda i mu o tym opowiedzieć, ale on nie odbiera telefonu. Ona już wie. Czuje to samo, co zwykle. Dzwoni raz jeszcze, on nie odbiera, dopiero po chwili, w tle gra Chet Baker. Nie spodziewał się, że zadzwoni tak wcześnie, że obiad już się skończył, dlatego odbiera telefon, ponieważ nie podejrzewał, że to ona, a ktoś u niego jest, taka jest prawda. Ida domyśla się od razu, intuicja jej to podpowiada, on jest oschły i nie chce, by mu przeszkadzano, chce wrócić do tego, co robił, do

kobiety, która u niego siedzi.

– Myślę, że przejdę się do baru – mówi Ida na próbę.

– Tak, uważam, że absolutnie powinnaś – odpowiada Arnold. – Idź do baru i baw się dobrze – mówi i odkłada słuchawkę. Teraz ma pewność. Zna go. Arnold nigdy wcześniej nie powiedział Idzie, żeby poszła do baru i dobrze się bawiła. Czeka dziesięć minut i dzwoni raz jeszcze, on nie odbiera telefonu. Nie odbiera przez resztę wieczoru, nie odbiera przez całą noc, wyciągnął wtyczkę z gniazdka, żeby w spokoju robić swoje. Ida o tym wie. Leży w pokoju hotelowym i wie. Rano też nie odbiera telefonu, chociaż wydzwania do niego od siódmej, ale nie może się z nim skontaktować, dopiero w instytucie, trzy minuty przed spotkaniem o dwunastej.

I tak właśnie było. W takich sprawach nie można się pomylić. Ale nie będę już o tym myśleć, nie będę się nad tym dłużej pochylać, nudzi mnie to już, wydaje się takie dziecinne, takie banalne, że ból, który ze sobą niosło też chwilami wydaje się dziecinny, banalny, męczący, jest powodem do wstydu. Resztką rozsądku, którą jeszcze zachowałam, podszeptuje mi, jakie to banalne, ale i tak czuję ból, może jeszcze większy, bo nawet najgłupsze, najbardziej dziecinne zachowanie

potrafi sprawić ból, ale nie będę się nad tym zastanawiać, bo dalej czuję wstyd, także teraz, siedząc tutaj. Dlatego opisuję tylko to, co najważniejsze: ból był tak totalny, że istniało tylko jedno, jedyne rozwiązanie: przeciąć to, żeby nigdy się nie powtórzyło. Jedyne działanie, które może go złagodzić: decyzja. Nie ma wyboru, całe ciało mówi, że to koniec, dość, teraz musi tylko przeżyć. Nigdy, nigdy więcej nie pójdzie z nim do łóżka.

Dopada go rano w instytucie, trzy minuty przed zebraniem o dwunastej. Wie o tym, słyszy to w jego głosie, ale on kłamie. Ona krzyczy, że więcej tego nie zniesie.

– Moja dziewczynko – odpowiada on, ale nie przyznaje się, nie jest w stanie się przyznać, bo słyszy, że ona jest na granicy wytrzymałości.

– Nie chcę z tobą rozmawiać, dopóki mi tego nie powiesz – mówi ona i wyjeżdża z Bergen, nie do Trondheim, jak się umawiali, ale do Oslo. Nie potrafi usiedzieć w milczeniu, to nie do zniesienia. Dzwoni do przyjaciółki, opowiada jej o wszystkim i przyjaciółka radzi: – Nie rozmawiaj z nim. Pod żadnym pozorem z nim nie rozmawiaj. Odetnij się od niego, nie kontaktuj się z nim przez chwilę, może to coś pomoże, wtedy przeniesiesz część swojego bólu na niego. To koniec. Wyjeżdża z Bergen. To koniec. Kurwa, jak to boli. To koniec.

Dzwonią dzieci, oświadcza im, że z Arnoldem koniec. Dzwoni były mąż, oświadcza mu, że z Arnoldem koniec. Rodzice dzwonią, oświadcza im, że z Arnoldem koniec. Tak będzie. Arnold dzwoni. Mówi, że nie chce z nim rozmawiać, dopóki się nie przyzna.

– Dlaczego jesteś taka wściekła i podejrzliwa?

– Skurwiel. Nie chcę z tobą rozmawiać, dopóki mi tego nie powiesz.

On dzwoni znowu dopiero wieczorem, jest pijany.

– Nie chcę z tobą rozmawiać, dopóki mi tego nie powiesz.

– Czego?

– Wiesz, co mam na myśli.

– Co?

– WIESZ, CO MAM NA MYŚLI!

– Telefon się zepsuł. Możesz spytać Bertholda. Telefon się zepsuł.

Wpada w histerię, teraz oszalała, z piersi wrywa się pierwotny krzyk, tak głośno nie krzyczała jeszcze nigdy: – NIE WYTRZYMAM JUŻ! NIE CHCĘ BYĆ Z MEŃCZYZNĄ, KTÓRY KŁAMIE! Rzuca telefonem o ścianę i próbuje odetchnąć, sprawić, by serce przestało tłuc się w piersi. On nie dzwoni, nie rozmawiają przez wiele dni, wypożyczyła z biblioteki wszystkie

książki o przeżywaniu żałoby, żeby spróbować sobie pomóc, żeby podołać. Przeprowadzić to do końca, żeby przeżyć, aż nie wytrzyma już dłużej i zadzwoni, bo to nie do zniesienia, nie do wytrzymania i nie jest lepiej, tylko gorzej. W sobotę przed południem dzwoni i mówi, że nie może wytrzymać, on odpowiada, że też nie może wytrzymać, płaczą i powtarzają sobie, że się kochają, ona nie jest zła, tylko smutna, a on pyta, czy sądzi, że mogą znowu być razem, wtedy ona milknie. Pyta, co wydarzyło się tamtej nocy. Arnold też milknie i mówi, że głupio się czuje.

Ona czeka, on nie mówi już nic więcej, więc ona dopytuje, czy chodzi o tamtą studentkę, on odpowiada: – Tak.

Wiedziała o tym przez cały czas, a jednak boli, czuje się gorzej, chociaż była pewna, że gorzej już być nie może, jakby mimo wszystko miała odrobinę nadziei, że da się to wyjaśnić w inny sposób, żeby nie musiała tego robić. On odpowiada, że nie jest w stanie o tym rozmawiać.

– Zastanów się – mówi on i odkłada słuchawkę, ale nie ma nad czym się zastanawiać. Nie ma alternatywy. On dzwoni dziesięć minut później i pyta ją, co wymyśliła, a ona odpowiada, że to koniec. Nie ma już siły, to się nigdy nie skończy, to koniec.

Tam, gdzie przebywa, spadła lawina. Jest przygnieciona lawiną.

To koniec. Od teraz wie dzie ją tylko insty nkt. Stać w tym i przeżyć. Leżeć w tym w chwila ch, gdy nie będzie w stanie się podnieść. Zaufać ludziom, którzy zapewniają ją, że to przejdzie. Nie jest w stanie w to uwierzyć, ale niektórzy mówią, że przeżyli to samo i że naprawdę przechodzi, chociaż w tym momencie wydaje się to niewiarygodne. Gdy udaje jej się podnieść, idzie do innej biblioteki, żeby znaleźć lepsze książki o przeżywaniu żałoby, które mogą jej pomóc. Czy nic jej nie pomoże. Co można zrobić, żeby to poszło szybciej? Czy można zrobić cokolwiek, żeby to poszło szybciej. Uświadom sobie, co straciłaś i opłacz to. Leży na kanapie, uświadamia sobie, co straciła i opłakuje to, krzyczy nad tym, jeśli jej nie przejdzie, to się zabije, ale on nie jest wart tak wielkiego nieszczęścia.

– To przejdzie! – odpowiada każdy, kogo zapyta, a pyta wszystkich, pyta bibliotekarki, sprzedawczynię w sklepie, w monopolowym, gdzie kupuje wino i w kolejce w spożywczym, pyta kierowców taksówek, wszyscy powtarzają, że to przejdzie, ale czy można im wierzyć. Że może tak boleć teraz i nie boleć za kilka miesięcy, a co, jeśli to będzie trwało wiecznie. Wydzwania nocami do

telefonów zaufania i płacze. Jest w porządku, mówią, po prostu wylej to z siebie, dobrze, że do nas dzwonisz. Teraz już wie, że to przejdzie. Chodzi o przetrwanie.

To niesprawiedliwe, że on ma ramię, na którym może się oprzeć. Idzie do studentki ze swoim smutkiem, a może w ogóle nie czuje smutku, skąd ona może wiedzieć, jak on się czuje. Może sam nie wie, co czuje, może jest trochę zakochany, zdezorientowany, jak przy rozstaniu z Kjersti. Idzie do studentki, żeby nie być sam na sam ze swoim zdezorientowaniem, a studentka przyjmuje go i nie musi spędzać nocy samotnie. Ida nie ma nikogo, jest sama. Tak jest najlepiej, mówią inni. Znajduje numer telefonu studentki, dzwoni i wypytuje o Arnolda, krzyczy, wrzeszczy, a potem się wstydzi, dzwoni raz jeszcze i przyrzeka, że nigdy więcej tego nie zrobi, i prawie dotrzymuje słowa. Tkwić w tym i tylko płakać. Chodzić w śniegu. Pić piwo, to pomaga. Napij się piwa, mówi przyjaciółka, to pomaga. Zdejmuje pierścionek, który od niego dostała. Zdejmuje zdjęcia ze ściany, jego i ich obojga. Pakuje jego rzeczy, książki, ubrania, jego buty, wywozi je w worku na śmieci do jego brata, który mieszka w Oslo i zostawia je na schodach. Zrobić to wreszcie, skoro jest okazja, zrobić to porządnie,

całkowicie i do końca. Studentka, mówi sobie, jest podarunkiem dla mnie. Rany, które mi zadał, robiąc to z inną kobietą w łóżku, w którym robiliśmy to razem, nigdy już się nie powtórzą. Ale to musiało się wydarzyć. Teraz się wydarzyło. Nigdy już tam nie pojedzie, jej noga nie postanie w tamtym pokoju. Nigdy więcej nie pójdzie z nim do łóżka, nigdy, nigdy. Nie czuje pożądania, tylko ból, nigdy już nie będzie go pożądać, gdy myśli o tym, jak uprawiali seks, czuje tylko ból, tylko cierpienie.

Wyjeżdża do Røros, do hotelu przy dworcu, gdzie od czasu do czasu wymykała się, żeby popracować, nie mogąc już wytrzymać w domu, gdy dzieci były u ojca, ale w Røros też nie może znaleźć sobie miejsca, stoi w oknie i obserwuje pociągi, które zajeżdżają na peron, i przypomina sobie pewien raz, gdy była tutaj sama, jeszcze przed związkiem z Arnoldem, ale już po tym, jak go spotkała. Stała w oknie z nadzieją, że on wyjdzie z jednego z wagonów i przyjdzie do niej. Gdyby to zrobił, byłaby szczęśliwa; tak po prostu. Stoi w tym samym oknie i patrzy, jak pociągi wtaczają się na peron. Jest wieczór, ciemno jak tamtego dnia. Jest zima, zimno jak tamtego dnia, ale teraz nie ma nadziei, że Arnold wysiedzi. Straciła wiarę. Gdyby Arnold wyszedł teraz

z pociągu, wcale nie jest pewne, że by go wpuściła. Nie mogłaby odetchnąć, zaznać ukojenia w ramionach Arnolda, nie potrafi nic zrobić, żeby pozbyć się bólu.

Jeśli życie jest filmem, powtarza sobie, kiedy boli i ma wrażenie, że ból nigdy nie ustąpi, to znajduje się teraz w szczytowym punkcie dramatu. Zawsze to coś, w jednej w najbardziej trzymających w napięciu sekwencji, przynajmniej nie jest nudno, a oglądający mogą się głowić: Co się teraz stanie? Jak to się skończy? Tak trzeba o tym myśleć, kiedy boli najbardziej, jakby to był film i należało się zastanawiać, co się wydarzy. Tak jak to powiedziała jej córka po obejrzeniu filmu o Titanicu: – Mnie nigdy nie zdarza się nic zajmującego!

– Nie walczysz o nasz związek – mówi on, nagrał się na automatycznej sekretarce. Czy wierzył, oczekiwał, że będzie walczyć, czy to dlatego znowu zaczyna? Żeby obudzić w niej instynkt rywalizacji, żeby w ten sposób ją schwytać? Rywalka, studentka, przekonajmy się, która zdobędzie Arnolda Buska, kiedy gra zacznie się na poważnie! Czy wierzył, że tak właśnie zareaguje? Będzie walczyć, żeby go odzyskać i zagrać studentce na nosie: patrz, która go zdobyła! A w trakcie tej walki Arnold Busk może

chodzić dumny przez uniwersyteckie korytarze, z mile polectaną dumą, ze wzwodem. Czy tak właśnie jest?

Nie wierzył, że ona będzie w stanie zrobić to, co robi teraz. Nie wierzy, że ona robi to, co robi teraz. Sądził, że to kryzys, przerwa, a potem Ida weźmie się w garść, zatęskni za nim i przyjdzie, tak jak zawsze przychodziła. Zawsze było dobrze, kiedyś, bo nie mogła bez niego żyć. Czy teraz może bez niego żyć?

– Wydaje ci się, że mnie kochałaś – mówi on w nagraniu. – Ale nie kochałaś mnie wcale, nie kochałaś mnie takim, jakim naprawdę *jestem*.

Czy powinna kochać jego niewierność? Czy dopiero wówczas byłaby to wielka miłość, gdyby kochała też jego niewierność i potrzebę kontroli? Czy to, że nie potrafiła znieść wszystkiego, dowodzi słabości jej uczuć?

– Tove Ditlevsen – mówi on w nagraniu. – Zniosła więcej niż ty. Jesteś cienka w porównaniu z Tove Ditlevsen – mówi. – To, co ja robiłem, jest niczym w porównaniu z tym, co Victor Andreasen robił Tove Ditlevsen. Duńska pisarka Tove Ditlevsen i redaktor naczelny „Ekstra Bladet” byli ze sobą przez całe życie, no, prawie, i nieważne, co sobie nawzajem robili, ponieważ się kochali. My też się kochamy, Ido! Wiesz o tym!

Tove Ditlevsen, odpowiada mu w myślach, odebrała sobie życie. Tove Ditlevsen wylądowała w szpitalu psychiatrycznym, a Victor Andreassen nie mógł już z nią wytrzymać i ją zostawił, odpowiada mu w myślach. Być może Tove Ditlevsen powinna była porzucić Victora dużo wcześniej. Wtedy być może nie wylądowałyby w psychiatryku, nie popełniłaby samobójstwa, kto wie. Tove Ditlevsen planowała napisać książkę o swoim życiu z Victorem Andreassenem, którego nazwała szczególnie uzdolnionym psychopatą, wiesz o tym, książkę chciała zatytułować „Kobieta, która zniosła wszystko”, tytuł z dużą dozą autoironii, jeśli chcesz znać moje zdanie, jakby trochę żałowała, jakby chciała postąpić inaczej, gdyby tylko miała możliwość, odpowiada mu w milczeniu.

– Powinnaś uważać, będąc taka natrętna i walcząc tak zawzięcie o mężczyznę, z którym właściwie nie chcesz być – mówi on w nagraniu, ona nie odbiera telefonu, gdy widzi, że dzwoni Arnold.

– Nie byłem dla ciebie najważniejszy – mówi. – Nie chciałaś przeprowadzić się do Trondheim. Może na początku, dodaje, ale nie w ostatnich latach. Przez cały czas ważniejsze były twoje przyjaciółki, twoi przyjaciele, twoi koledzy.

Żadna z moich przyjaciółek, żaden z moich przyjaciół i kolegów nie czuje się najważniejszy, odpowiada mu w myślach. Spytaj ich tylko, odpowiada mu w ciszy, wszyscy uważają, że to ty byłeś najważniejszy, zawsze, miałeś u mnie szczególne względy, ponad granicami wszelkiej przyzwoitości.

On próbuje nie dzwonić, żeby przekonać się, czy ta strategia zadziała. Wracając do domu wieczorem, albo w ciągu dnia, rano, Ida dopytuje się: – Czy ktoś dzwonił? I ma nadzieję, że dzwonił, że zostawił jej wiadomość na automatycznej sekretarce. Nawet jeśli powiedziałaby „Kurwa, nienawidzę cię!”, to lepsze niż nic, niż cisza. Ponieważ zauważa, że sama stosuje milczenie jako najbardziej efektywną broń. Nie chce być jedyną osobą, którą boli. Tak naprawdę pomaga jej chyba tylko świadomość, że jego też boli i że daje wyraz temu bólowi.

On próbuje pisać listy, ale pisze tak jak mówi i ona nie może mu odpisać. Napisałaby całą książkę, gdyby miała tłumaczyć mu, w jaki sposób to wszystko przeżywała, zupełnie inną opowieść niż ta stworzona przez niego, dostrzegła to, kiedy czasem rozmawiała z nim przez telefon, zanim jeszcze przestała to robić. On tylko się gniewa, odpowiada, że Ida się myli, że gdyby się zmieniła,

coś mogłoby z tego wyjść, tymczasem ona uważa, że to on musi się zmienić, ale nie wierzy w odmianę, zabrakło jej wiary.

– Nie traktowałaś mnie poważnie – mówi on w nagraniu. – Nie interesowały cię wszystkie te sprawy, które uważałem w naszym związku za trudne, tematy, które nie raz próbowałem poruszać, a ty cały czas zachowywałaś się tak samo jak wcześniej.

Czy uważa, że powinna była przestać podróżować, nie spotykać się już z innymi, bo uświadomił jej, jak bardzo go to niepokoi. Czy powinna była dzwonić do niego częściej, ograniczyć wszystkie zajęcia, których nie lubił, czy to oznaczałoby potraktowanie go poważnie, przestrzeganie jego zaleceń, czy miała uwięzić się sama, żeby on poczuł się bezpieczniej. Przejąć jego pogardę dla spraw, którymi pogardzał, jego wrogów i jego poglądy, ponieważ niezrobienie tego prowadziłyby do sankcji, do bólu. Czyta listy i dyskutuje z nimi wieczorami, leży bezsennie w nocy i nie zgadza się z nimi, tyle chciałaby powiedzieć, ale czuje się zmęczona na samą myśl o tym.

A jeśli on ma rację. Jeśli opowieść brzmi tak, jak on ją przedstawia. Jeśli jego prawda, bardziej niż jej prawda, jest bliższa prawdzie, jeśli coś

takiego w ogóle istnieje.

– Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, jak zachowujesz się wobec mężczyzn, kiedy jesteś pijana? – pyta. Co miałyby na to odpowiedzieć, nie wie przecież. Sądziła, że jest wesoła i miła, to wszystko, może jest coś więcej, z czego nie zdaje sobie sprawy. Może naprawdę zachowuje się dziwnie, tak że jego reakcja jest uzasadniona, że wszyscy mężczyźni zareagowaliby tak samo jak Arnold, skąd ma wiedzieć. Może jest tak, jak on opowiada na automatycznej sekretarce i pisze w listach, że żaden inny facet nie wytrzymałby z Idą, taką jaką jest, jak zachowuje się publicznie.

Dostała zaproszenie na przyjęcie premierowe i czuje radość. Dawno nigdzie nie wychodziła. Sporo schudła i chce pokazać światu, że dobrze się miewa, że przeżyła, minęło półtora miesiąca od czasu wizyty w Bergen, gdy nakryła go ze studentką, czasem wydaje się jej, że ma już to za sobą. Syn zrobił prawo jazdy i może ją podwieźć, wszyscy jej współczują i są mili. Siedzi na tylnym siedzeniu i popija szampana. Głupi Arnold, który zdradzał ją ze studentkami, ha! Powinien ją teraz widzieć, uśmiechniętą, z kieliszkiem szampana, w najładniejszej sukni. Jeśli jest tak, jak powiedziałeś mi w nagraniu, Arnoldzie, że jestem dla ciebie jedyna na świecie, tylko ja cię rozumiem

i widziałam prawdziwego ciebie, tak jak powiedziałeś, jestem jedyną, której możesz się zwierzyć, jedyną, z którą możesz porozmawiać, to dlaczego poświęciłeś to wszystko, żeby bzyknąć studentkę? Co? Teraz powinienes Idę widzieć, Arnoldzie, na tylnym siedzeniu samochodu, w drodze na przyjęcie premierowe, już czuje się jak królowa, a to niebezpieczne uczucie w drodze na bal. Ma tego świadomość, ale zapomniała o tym przy tej okazji, oto nadchodzi osoba, która ma perspektywę, która stoi na szczycie. Uśmiecha się na prawo i lewo, czy są tu jacyś przystojni mężczyźni i szampan, tak, poproszę!

Pamięta stół. Pamięta, pomiędzy kim siedziała i z kim później piła kawę. Trond, jej dawny, mądry i miły kochanek, jest teraz szczęśliwym mężem i ojcem trójki dzieci. Potem już tylko urywki, kolejka w barze, knajpa, zawisa na ramieniu mężczyzny w garniturze, pamięta, że wybiegła z hotelowego pokoju w listopadową ciemność, w środku nocy i wsiadła do taksówki, rano budzi się u siebie w domu, ale bez torebki, butów, portfela. Dzieci są na szczęście u ojca, ona leży w łóżku i dygocze. Może nie poradzi sobie na własną rękę, bez niego. Musi napisać do psychoanalityka, przestała go odwiedzać, bo nie wierzył w jej miłość, prawdopodobnie miał rację

przez cały czas, powinna była chodzić do niego cztery razy w tygodniu zamiast trzech. Arnoldzie, dlaczego mi to robisz!

Jest sobota, w siedzibie Związku Dramatopisarzy odbywa się przyjęcie, chciała pójść, zapowiedziała swój udział, ale nie ma siły. Zamiast tego dzwoni do kolegi, który też nie ma siły, proponuje mu piwo na mieście w trakcie przyjęcia, mogą dołączyć do reszty później. Musi porozmawiać z kimś, kto umie słuchać i kto powie jej, że to nic niebezpiecznego, kogoś, kto też wybiegał w zimowe noce. Zagląda do hoteli, które wydają się być po drodze, z których mogła wybiec poprzedniego wieczoru, wypytuje, czy mają jej torebkę, buty, komórkę, portfel. Podchodzi do jednej recepcji za drugą i pyta, czy ich nie znaleźli.

– W jakim pokoju pani była? – pytają.

– Nie wiem – odpowiada.

– No to kto płacił? – pytają.

– Nie wiem – odpowiada.

– Jest pani pewna, że to było tutaj? – pytają.

– Nie – odpowiada.

Nikt nie widział jej torebki, komórki, portfela. Idzie do kawiarni do swojego kolegi, on tuli ją mocno po wejściu, wszyscy mogą poznać po jej podkrążonych oczach, po sposobie, w jaki wypija pierwsze piwo, że przechodzi żalobę. Zwierza się

mu, zostaje wysłuchana, a potem idą do Związku Dramatopisarzy na przyjęcie i ona mówi pierwszej osobie, którą spotyka w środku:

- Z Arnoldem koniec!
- Domyśliliśmy się.
- Tak?

Spotkali go w Celsusie, skąd właśnie przychodzi, siedział tam z kobietą. W Celsusie, gdzie powinna być Ida, byłaby tam ze swoimi kolegami, gdyby poszła na wigilijne spotkanie Związku Dramatopisarzy, tak jak miała to w planach. Poszliby potem do Celsiusa, jak zwykle, Arnold wie, że zawsze to robią po spotkaniach związku. Był tam z kobietą w skórzanych spodniach, pił piwo, spotkał wszystkich kolegów Idy i tylko przypadkiem nie Idę.

Teraz piwo nie pomaga, zamawia tequilę. Dwie, a potem jeszcze dwie i wali się na podłogę.

Dzwonią po taksówkę i chcą odwieźć ją do domu, ale nagle zauważają, że nie oddycha i zamiast tego zabierają ją na pogotowie. Budzi się tam kilka godzin później, w łóżku, a lekarz trzyma ją za rękę i pyta, co się wydarzyło, pyta o jej najbliższych, a ona podaje dane byłego męża, no bo kogo. Lekarz dzwoni do niego, jest w Paryżu, ale odbiera telefon, lekarz wyjaśnia mu sytuację

i Ida może z nim porozmawiać, ale tylko płacze. Zatrzymują ją na obserwację, ale koledzy, którzy wciąż siedzą na korytarzu, mogą już jechać do domu, po kilku godzinach Ida też może wrócić do domu, nie sądzą, by chciała popełnić samobójstwo. W domu czyta poezje Ekelöfa, tylko to pomaga. Gdy cię boli, gdy nie możesz już więcej znieść, idź na plażę i wrzucaj kamienie do morza. Jeden po drugim i pocuj, jak powoli robi się lżej. Idzie na plażę i rzuca kamienie do morza, jeden po drugim, to odrobinę pomaga, zbiera je i rzuca. Siada na plaży, otulając ramiona owczą skórą, gdy zaczyna się ściemniać w tę i tak już ciemną listopadową niedzielę. Gdy teraz o tym myśli, później, wydaje się to też w pewien sposób piękne. Zamrożony mały wycinek, podczas gdy wszystko inne przesuwa się obok i znika. Przez chwilę bliższa ludzkim miarom, rozsądek i emocje zadają to samo pytanie: Jak mam sobie z tym poradzić? Jak mam to znieść? Co z sobą począć? Kładzie się i czuje chłód ziemi, ciepło ciała i pragnienie ciepła, bycia noszoną, obietnice kamieni. Tak my się też czujemy, żyjąc.

Patrz, on tańczy z inną, pisała Tove Ditlevsen. A jednak nie odchodzę. Bo cierpienie jest łańcuchem, wiążącym mnie z magiczną rozkoszą, którego szczęście nigdy nie zapewni.

Tak też bywa. Zakochać się szczęśliwie i zakochać się ze smutkiem. Ekelöf: „Pytasz: dlaczego wulgaryzmy, dlaczego kutas i cipa? Dlatego, że nie mamy żadnych słów na nazwanie Bólu. Najcudowniejszego, najbardziej nieobliczalnego. W młodości jest pożądaniem, a na starość ciepłymi wspomnieniami, ten słodki Ból, nasz zły brat.”

Gdy wraca do domu, na drzwiach wisi papierowa torba z Paryża. W niej specjalna koszulka, z napisem na piersiach: One tequila – two tequila – three tequila – floor! To były mąż kupił ją dla niej.

W poniedziałek dzwoni do Tronda i pyta, czy zauważył, z kim zniknęła w piątkowy wieczór. Nie. Mówi, że była tam do końca i niezłe się trzymała, gdy wszyscy zaczęli się rozchodzić. Potem zniknęła, nie było jej przez dziesięć minut, zawróciła po torbę i żeby zwierzyć mu się, że poznała mężczyznę, z którym wyjdzie z przyjęcia, skoro Trond jest teraz żonaty i ma troje dzieci. Nie widział, z kim wychodzi.

Dzwoni do organizatora przyjęcia i prosi o listę gości, zatrzymuje się przy niektórych nazwiskach i pyta, jak wyglądali, gdzie pracują, próbuje skontaktować się z mężczyzną, który z opisu wydaje się najbardziej prawdopodobny, wybiera

numer i chce powiedzieć, że zada mu dziwne pytanie, to właśnie chce powiedzieć, a może nie, to zależy. Czy byłam z tobą w piątek w nocnym klubie? Żeby nie pytać, czy poszła z nim tamtej nocy do pokoju w hotelu.

– Halo. Mówi Ida Heier – mówi ostrożnie.

– Heeej! – odpowiada głęboki głos o znacząco erotycznym zabarwieniu, a więc dobrze trafiła. Może jej powiedzieć, w jakim byli hotelu, ale nie wie nic o torebce. On sam zasnął, po obudzeniu nie mógł znaleźć jednej skarpetki i uznał, że nie może wrócić do domu, do żony, w jednej tylko skarpetce, musiał więc czekać, aż otworzą sklepy. Ale przetrząsnął pokój w poszukiwaniu skarpetki i nie znalazł żadnej torebki.

I tak jej ulżyło, że poznała jego imię, że usłyszała jego głos, że okazał się miły.

– Szkoda – mówi. – Szkoda, że skoro udało mi się poznać takiego fajnego faceta, byłam zbyt pijana, żeby się tym cieszyć.

– No, no – odpowiada on. – Doszłaś trzy razy.

Wyobraża sobie siebie, przewracającą się w łóżku, jak krzyczy i jęczy, oddalenie zamaskowane jako bliskość, jest w tym dobra, potrafi przeżywać cielesność zupełnie oddzielona od siebie samej, otępiała podczas aktu, myśli oddalone o tysiąc mil, odcięta i niedostępna.

Spotyka mężczyznę z nocnego klubu zaledwie kilka tygodni później, w samolocie ze Sztokholmu, gdzie odwiedza przyjaciółkę, żeby trochę się oderwać. Była w promiennym nastroju przez cztery dni, teraz odreagowuje, siedząc samotnie na lotnisku, z winem. On pojawia się z żoną i dziećmi, siada tuż za nią. Ona tylko płacze i próbuje wyjaśnić to młodemu mężczyźnie siedzącemu obok: Jestem nieszczęśliwie zakochana, rozumiesz. Czuję, jakby ktoś wyrywał mi obcęgami kawałki mięsa z ciała.

On patrzy na nią z przerażeniem; czy tak naprawdę jest?

Arnold nagrywa się na sekretarce i mówi, że za nią tęskni. – Nie tęsknisz za mną? Powiedział synowi, że to koniec i chłopcu zrobiło się bardzo smutno. To przez Idę jego syn jest smutny. Mówi, że tęskni za jej dziećmi. Ale dlaczego to zrobiłeś, pyta sama siebie, skoro tyle dla ciebie znaczą, skoro twój syn tak mnie lubi, dlaczego to zrobiłeś? Zadzwoiłeś do studentki z pociągu, namówiłeś ją na spotkanie i zabrałeś ją do swojego mieszkania, włączyłeś płytę Cheta Bakera i wyjąłeś wtyczkę z gniazdka telefonicznego, gdy dzwoniłam, i pieprzyłeś ją w naszym łóżku, tam gdzie my się pieprzyliśmy, **DLACZEGO, KURWA, TO ZROBIŁEŚ?** Czy nie mówiłam ci: zostawię cię,

jeśli zrobisz to raz jeszcze? Dlaczego jesteś taki zdziwiony? Czy naprawdę sądziłeś, że znieśliśmy jeszcze jeden epizod, o który można się kłócić? Jeśli uprawiasz sporty ekstremalne, grasz w rosyjską ruletkę, nie powinieneś być zdziwiony, gdy coś pójdzie źle.

– Przeżywam – mówi pewnego razu, gdy odbiera telefon od niego, on odpowiada, że nie ma mowy o przeżywaniu, że rozmawiają o suchych faktach, on mówi o suchych faktach, a ona ich nie rozpoznaje. Twierdzi, że nigdy nie wypowiedziała słów, które on wkłada jej w usta, a on odpowiada, że wyraźnie je pamięta: – Byłem tam – mówi, a ona ma ochotę powiedzieć: – Ja też. Ale co to da, nigdy się nie pogodzą. Gdyby mogła mówić, gdyby miała możliwość mówić spokojnie, bez przerywania, być może powiedziała: – Tak. Kocham cię. Ale to niemożliwe, bo ty się nie zmienisz, nie chcesz się zmienić, ponieważ uważasz, że to nie ty powinieneś się zmienić, tylko ja. Jestem współwinna, bo pozwoliłam temu się wydarzyć, odsłoniłam przed tobą swoją słabość, którą wykorzystałeś, nieświadomie, mój brak granic, poczucie winy. – Czy zapytałeś siebie kiedyś: Czy to dobre dla Idy?

Gdy sprawiłam ci przykrość, ty zalewałeś mnie przykrościami w formie agresji i oskarżeń, jakby

każda nieprzyjemność, którą spowodowało moje zachowanie, była moją winą i moim problemem, nigdy twoim. A ja pozwalałam temu się dziać, to mój błąd, nasza tragedia. Kocham cię, ale nie możemy być razem, bo nic się nie zmieni, a wszystko, co wydarzyło się w międzyczasie, co wspominamy, by się zemścić, by przeżyć, co pomaga na moment, rozerwie nas na kawałki, jeśli spotkamy się znowu i zaczniemy o tym rozmawiać, więc sprawa jest skończona, to koniec. Próbuję to zrozumieć, żeby nie być zła – nie znienawidzić cię za to, że to zniszczyłeś – ty to zniszczyłeś!

Czy jestem niesprawiedliwa? Naturalnie. Działam w afekcie, nienawidzę i chcę to z siebie wyrzucić, ty skurwielu, ty dupku, nigdy więcej nie pójdę z tobą do łóżka, nigdy, nie potrafię. Wszystko, co nas kiedyś łączyło, jest już nieaktualne, wszystkie umowy i obietnice, słowa wypowiedziane za jednym czy drugim razem, bo jestem zniszczona i skończona, czuję to zupełnie wyraźnie, całym ciałem. Pierścionek, który ci dałam, jest już nieaktualny, zdejmij go. Nie dlatego, że cię nie kocham, może właśnie dlatego, że kocham. Nigdy więcej, ukochany, ciebie we mnie, nigdy. Nigdy więcej moich słów w twoich uszach albo twoich w moich, nie wiem już, co

znaczą. Nigdy więcej kładzenia się obok. Nigdy więcej w jednym łóżku, to koniec, zniszczone, jak wtedy, gdy stłuczesz wazonik i dociera do ciebie, że tych kawałków nie da się połączyć z powrotem, trzy razy pękł i został posklejany, ale teraz leży na podłodze w okruchach i widzisz od razu, że to niemożliwe, przegrana sprawa. To powód do płaczu. Tak, płaczę, kiedy to piszę.

Marzy, by ugodził ją publicznie nożem, cztery uderzenia w plecy, tak by straciła przytomność i upadła, a plamy krwi wykwitłyby na jej plecach, takie to uczucie, właśnie takie, byłoby jej wtedy łatwiej i wszyscy dookoła widzieliby, jaki jest brutalny. Co on jej zrobił. Czy to w ten sposób umrze, wykrwawi się, z jego powodu?

Czy nigdy już nie pokocha? Kocha się tylko raz. A może jest tak, że miłość do jednego potrafi przerodzić się miłość do drugiego, tak jak tekst rodzi się z czytania, książka z książek? Tak musi być!

Minęło sześćdziesiąt osiem dni i nie wiem, co robisz. Czy przeżywasz żałobę jak ja, jak po czyjejś śmierci, czy płaczesz, czy może jesteś szczęśliwie, swobodnie zakochany? Czy wzdychasz: Och, to już! – w innej kobiecie i budujesz z nią nowy miłosny język? Czy chodzisz po wielkim mieście, trzymając ją za rękę, tak jak umiałeś to robić, gdy

byliśmy szczęśliwie i świeżo zakochani, a Kjersti cierpiała w Trondheim? To nic nie znaczy, Arnoldzie. Chcę być hojnym i przyzwoitym człowiekiem, dlatego zmuszam się do napisania: Mam nadzieję, że jest ci dobrze. Życzę ci wszystkiego dobrego, czując wyrafinowaną, masochistyczną rozkosz, nurzając się w jednym z najdziwniejszych wspomnień, jakie mogę mieć z całego życia.

Sto czternaście dni minęło i mam nadzieję, że do mnie nie zadzwonisz, bo mężczyzna, który do mnie zadzwoni, musi być kimś innym i mówić w inny sposób niż ty. Czy kocham cię takiego, jakim mógłbyś być, gdybyś poszedł na terapię i się zmienił, nie, na pewno nie, czy raczej kochałam najbardziej to, co jest w tobie najgorsze, i dlatego powinnam się uwolnić. A uczucie miłości do ciebie, które zawsze mnie ogarniało, gdy widziałam cię po rozłące, czy zniknęłoby, gdybym cię teraz zobaczyła, gdybym znowu cię spotkała i podeszła na tyle blisko, by poczuć twój zapach? Moje ukochane szczęście i ból. Twoje kroki, dźwięk twojego głosu z oddali, co mi pozostało. Dlaczego, dlaczego, dlaczego.

Może z czasem, mówią doświadczeni ludzie, a z nikim nie rozmawiam teraz więcej niż z nimi, z czasem zupełnie przestanę cię kochać

i przestanę nienawidzić, a pewnego dnia może nawet pomyśle: Dlaczego właściwie byłam z tym człowiekiem?

Sto sześćdziesiąt dwa dni minęły i wciąż zdarza mi się budzić z poczuciem samotności. Człowiek może nauczyć się podrywać, ale nie kochać. Zdarza mi się nie spać po nocach, pić i palić. Czy teraz jest wspaniale? – pytam sama siebie. Teraz, gdy się zaciągam, teraz, gdy wdycham, wciągam dym do płuc i czuję go w piersi. Czy wtedy, gdy wydycham go i ponownie wkładam filtr do ust. Kiedy, kiedy właściwie nastąpiła ta chwila miłości?

Byłam ostatnio na tym dworcu i usiadłam z samą sobą, o dwadzieścia lat spóźniona. Rozpakowuję to, żeby zajrzeć do środka, raz za razem, po czym zawiązuję i idę dalej, noszę to jak brzemień na plecach, noszę bez przerwy. Zdejmuję je, otwieram, rozchylam i przyglądam się zawartości, teraz, gdy nie jestem już niespokojna. Ostrożnie rozpakowuję i pakuję z powrotem, starannie zawiązuję i niosę dalej, przez cały czas noszę je ze sobą. Zrobiła mi się tam rana. Dopiero teraz rozumiem, jaka jest głęboka. Czuję, jak ból zbiera się w tym miejscu podczas pisania i zastanawiam się, czy nie utrzymuję w ten sposób wszystkiego przy życiu, zamiast to wreszcie

pogrzebać.

Czy to była tylko terapia, leczenie z miłości? Czy on otwiera ten grób tylko po to, by zgnilizna mogła wylać się i zniknąć, by można było jej się pozbyć i porządnie wszystko wyczyścić, wlewając tam raz za razem środek do dezynfekcji, palącą ciecz, prosto w tę krwawiącą, rozwartą głębię, by wyczyścić cały ten brud, wypłukać go, a potem polać raz jeszcze, żeby nie wiadomo jak mocno bolało. Wtedy miłość umrze. Gdyż miłość umiera tak, jak umierają książki, tworzy się i żyje własnym życiem, krótkim albo długim, a potem umiera jak wszystkie żywe stworzenia, jest skazana na śmierć, bo bez śmierci nie ma życia i bez śmierci nie ma też miłości.

[1] Przeł. Jerzy Łanowski

[2] Wielka czwórka literatury norweskiej: Bjørnstjerne Bjørnson, Alexander Kielland, Jonas Lie, Henrik Ibsen.

[3] „Garman & Worse”, pierwsza powieść Aleksandra Kiellanda.

[4] Federico Garcia Lorca, przeł. Katarzyna Mosek



VIGDIS HJORTH

Vigdis Hjorth (ur. 1959 r.) ma na swoim koncie interesujący dorobek literacki. Do roku 1987 pisała głównie książki dla dzieci; dotąd wydała dziewięć powieści dla dorosłych, dzięki którym została uznana za jedną z najciekawszych współczesnych pisarek norweskich.

W 2012 r. otrzymała nagrodę Kritikerprisen dla najlepszej powieści dla dorosłych „Leve posthornet”.

Jej powieści przesycone są humorem i ironią, ale dotyczą także doniosłych kwestii egzystencjalnych i politycznych. Główne bohaterki to kobiety i silne, i wrażliwe zarazem, które zmagają się z tradycyjnymi rolami społecznymi oraz głęboko zakorzenionymi stereotypami, a także własnymi emocjami i seksualnością.

GDYBY TYLKO

Ida jest dramatopisarką – młodą i piękną, odnosi sukcesy, prowadzi uregulowane życie, ma męża i dwoje małych dzieci. Czy jest szczęśliwa? Na pozór tak, ale gdzieś tam, w głębi tli się niepokój, że to nie wszystko, że życie może i powinno dawać więcej. I przypadkiem poznaje Arnolda Buska. To wykładowca uniwersytecki, tłumacz Brechta. Przeciętny mężczyzna w średnim wieku – kolejna żona, dziecko, poza tym chętnie uwodzi studentki.

Ale w Idzie budzi namiętność, która wywróci do góry nogami całe jej życie.

Co jeszcze zrobić, by pogłębić doznania? Powoli zaczynają przekraczać najbardziej intymne granice: alkohol, seanse grupowe, kluby swingersów, a potem kac moralny – dwoje zabląkanych ludzi, spragnionych odrobiny ciepła, cząstki elementarne rzucone w pustą przestrzeń.

A przy tym pięknie napisane!